

Klucz do Apokalipsy

Wolski Marcin



calibre 0.9.43

trident

Marcin Wolski

Klucz do

Apokalipsy

Wydanie polskie

Data wydania:

2009

Projekt okładki:

Andrzej Kuryłowicz

Wydawca:

Wydawnictwo Albatros

Andrzej Kuryłowicz

Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

ISBN: 978-83-7359-446-3

Wydanie elektroniczne:

Trident eBooks

tridentebooks@gmail.com

Mojemu synowi Mateuszowi,

który zaraził mnie pasją nurkowania

Nadciągająca burza

Jesienna burza nadciągnęła od strony Gór Albańskich. W kilkanaście minut niebo pociemniało, a gwałtowny wicher poderwał z ulic śmieci i przedwcześnie spadłe liście. Z

dachów Zatybrza posypały się dachówki, zerwało też wiele płóciennych markiz znad wejść do sklepów i trattorii. Zaraz potem jakby rozdarło się sklepienie niebios, wedle dawnych legend oddzielające wody zewnętrzne od wewnętrznych. Ściana deszczu zwielokrotnioną Niagarą runęła na lewobrzeżne dzielnice Rzymu, z sobie tylko wiadomych powodów nie przekraczając granicy Tybru. W mgnieniu oka schody Kapitolu i ścieżki Palatynu zamieniły się w rwące potoki, a fontanny di Trevi czy na placu Navona po prostu utonęły w hektolitrach spadających z chmur. Oślepieni nawałnicą kierowcy na ogół zatrzymywali samochody, mimo to doszło do niezliczonych stłuczek i kolizji ze słupkami na chodnikach. Tymczasem na prawym brzegu Tybru, ciągle jeszcze niedoświadczonym ulewą, trwało ogniste pandemonium. Błyskawice raz po raz wycinały ze zgęstniałych ciemności mury Watykanu, kopułę bazyliki i kolumnadę Berniniego. Jakiś piorun trafić musiał w ważną linię przesyłową, bo w całym mieście zgasło światło. Naraz z okrutnym grzechotem grom uderzył w

egipski obelisk, a dźwięk uwięziony w obrębie placu zdawał się rozsadać go w kawałki.

Siostra Martha przeżegnała się. W ciągu swego długiego żywota nie przeżyła takiej nawałnicy. Nie lękajmy się!, powtarzała sobie w duchu.

Spojrzała przez szparę w drzwiach kaplicy na szczupłą sylwetkę w bieli zgiętą na klęczniku.

Ojciec Święty, obojętny wobec szalejących żywiołów, wydawał się bez reszty pogrążony w modlitwie. O czym mógł rozmawiać z Panem ów świątobliwy mąż, następca nieodżałowanego papieża Polaka, nazywany przez nieżyczliwych „żelaznym strażnikiem wiary”? Z pewnością nie były to rozmowy łatwe. Zapewne bolesne. Parokrotnie, odkurzając klęcznik, siostra Martha znalazła na nim ślady łez. Jaki mógł być powód płaczu tego twardego mężczyzny, uważanego przez wielu za pozbawionego uczuć? Czyżby nawet przed najbliższymi *pontifex* ukrywał pod nie opuszczającym go uśmiechem jakąś bolesną chorobę?

Stara zakonnica wiedziała, że papież od miesięcy nie może spać. Pracownicy papieskiego pałacu opowiadali, że widują białą postać snującą się jak duch po korytarzach, dziedzińcach i ogrodach... Czy zawsze jednak był to Benedykt? Duchów w Watykanie nie brakuje. Podobno w bezksiężycowe noce Szwajcarom strzegącym Sykstyny ukazuje się purpurowe widmo występnego Aleksandra VI – Rodryga Borgii, skazanego na wieczne potępienie. Mówiono też, iż podczas remontu grot pod bazyliką widywano tam siną przerażającą kobietę o pustych oczodołach, uważaną przez jednych za papieżycę Joannę, a przez innych za kochankę któregoś z renesansowych *pontifeksów*, ponoć zamurowaną żywcem przez jego surowego następcę.

Co nie dawało spać współczesnemu następcy świętego Piotra? Kondycja chrześcijaństwa? Trudności, z jakimi musiał zmagać się Kościół w dobie powszechnej laicyzacji? Mnożące się prorocтва? Nikt nie wiedział o garści wierszy, które na rok przed śmiercią wręczył ówczesnemu kardynałowi Ojciec Święty, mówiąc:

– Przeczytaj i spal!

Ratzinger spełnił jedynie pierwszą część polecenia. Nie mógł postąpić inaczej.

Zniszczenie dzieła sztuki byłoby aktem wandalizmu. A poza tym musiałyby coś zrobić z własną pamięcią – słowa, wersy, całe frazy wyryły się w jego umyśle tak mocno, że i teraz, kiedy usiłując odgrodzić się od żywiołu, próbował powtarzać modlitwę, powracały.

(...) Bliżej, wciąż bliżej, jakże blisko

tych dni i czasów ostatecznych.

Z ogni wulkanów, z serc wygasłych,

z fal morskich, znaków ziemi i nieba

czuję Cię, słyszę, idziesz, kroczysz...

*Tak mało czasu nam zostało,
aby przywrócić smak gron winnych,
zawrócić bieg strumieni płochych,
splątane ścieżki wyprostować...
Zaczekaj...
Oni... My... Nie wiemy.
Nie wiemy ciągle, co czynimy.
Oddal swój gniew,
powstrzymaj rękę,
o Miłosierny, o Przedwieczny! (...)
Rzekł Człek „Bóg umarł”,
i tysiakkroć – splamił się zbrodnią i niewiarą,
słabością, pychą, zaniedbaniem...
Bo jeśli nawet był odbiciem
Twego oblicza, to skrzywionym
w lustrze użycia i głupoty.
Wybacz Mu... Im... Nam.
Jak wstrzymałeś,
dłoń Abrahama, nóż ofiarny...
Opamiętanie wnet nadejdzie
Daj wiek, pół wieku, choćby ćwierć... (...)*

Rozległo się wycie syreny. Gdzieś całkiem blisko karetka reanimacyjna ścigała się ze śmiercią. Biskup Rzymu uniósł głowę, wstał z klęcznika i podszedł do okna. Deszcz jeszcze nie padał, a wiatr nagle ucichł. W mroku widać było jedynie płomienie i kłęby dymu. Palił się jakiś dom w głębi via dei Conziliazione.

Na niebo wypełzała purpurowa luna.

– *Daj wiek, pół wieku, choćby ćwierć...* – powtórzył półgłosem. Nie sądził jednak, aby zostało aż tyle czasu.

1.

Znalezisko

Fala była średnio wysoka, ale tu, przy samym urwistym brzegu wyspy, krótka i nieprzyjemna. Niepokorne białe grzywy z hukiem łamały się na rdzawych skałach, rozpryskując w postaci wilgotnej kurzawy. Niewielka łódź tańczyła na wodzie jak kawałek korka, mogąc przyprawić o mdłości posiadacza słabego błędnika. Robert Mirski należał na swoje szczęście do osobników odpornych na wszelkie choroby lokomocyjne, toteż z uśmiechem wyższości przypatrywał się z lekka pozieleniałej twarzy muskularnej Kristy.

Tymczasem Lars wyłączył silnik, rzucił kotwicę w bezpiecznej odległości od brzegu, opodal wyrastającej z morza skałki zbliżonej kształtem do *Mysłiciela* Rodina, i rozpoczął *dive briefing*. Dziewięciu młodych ludzi, siedząc kręgiem na pokładzie wokół kudłatego Skandynawa, spoglądało na tablicę z narysowaną mapą, starając się zapamiętać najważniejsze etapy podwodnej trasy. Mieli nurkować wzdłuż ściany wyspy, opadającej nieomal prostopadle do głębokości 32 metrów, z tym że Johanssen radził, aby nie przekraczali granicy dwudziestu pięciu metrów. Zresztą za małym przyładkiem dno się podnosiło... *Dive master* wskazał miejsce, w którym mogli spodziewać się szczątków wraku z ostatniej wojny.

Kanonierka leżała ukośnie, dziobem ku górze, pomiędzy dziewiętnastym a dwudziestym czwartym metrem.

– Mam nadzieję, że te ostatnie wstrząsy nie rozwalą staruszki ostatecznie...

Trzęsienie ziemi, które tydzień wcześniej przeszło nad wschodnią częścią Morza Egejskiego, wprawdzie dość silne (6,5 stopnia w skali Richtera), nie spowodowało strat w ludziach, jednak na pobliskiej Samos zawaliło się kilkanaście domów, w tureckich kurortach wybuchła lekka panika, a w starożytnym Efezie runął fragment wspaniałej biblioteki Celsusa.

Przez parę dni Robert obawiał się, czy tektoniczne niepokoje nie przekreślą od dawna planowanego rejsu, na szczęście sejsmolodzy stwierdzili niewielką możliwość wstrząsów wtórnych.

Ekipę zgromadzoną na „Trytonie” stanowiło dwunastu miłośników *scuba divingu* z kilku krajów Europy. Celem ich eksploracji były wyspy Dodekanezu, kamienne okruchy Grecji rozsypane u wybrzeży tureckiej Anatolii. Obszar w porównaniu z przebogatym we wszelkie formy życia Morzem Czerwonym może mniej ciekawy, choć każdemu z nurkujących marzyło się znalezienie jakiegoś starożytnego artefaktu. Jednak takie odkrycia nie zdarzały się zbyt często, a znana z pedantycznego stosunku do antyków policja grecka natychmiast wyłączała akwen z amatorskiego nurkowania.

Pierwsza skoczyła Anette, potem Dawid i starszy od nich Horst, szczytający się stopniem *rescue-divera*. Kolejno z pluskiem lądowali w wodzie Mark, Berty, Krista, Jean oraz Ivan.

Robert spóźnił się trochę, bo w ostatniej chwili przypomniał sobie, żeby dopompować kamizelkę...

– Wszystko w porządku? – spytał go Lars, który miał wskoczyć jako ostatni. Kiedy skinął

głową Skandynaw dorzucił: – Weź poprawkę na prąd!

– Oczywiście. – Młody Polak przechylił się do tyłu ponad burtą ciężka butla dokonała reszty, wywinął koziółka i wylądował w ciepłej toni Morza Egejskiego. Po chwili wypłynął

na powierzchnię i zbliżył się do drabinki, gdzie Skandynaw wręczył mu aparat fotograficzny, cyfrową kamerę Kodaka w plastikowym pojemniku, zdolnym wytrzymać ciśnienie 5

atmosfer. Po chwili sam Johanssen znalazł się w wodzie. Policzył głowy uczestników, sprawdził, czy wszystko w porządku, i gestem nakazał zanurzenie. Poszło doskonale. Robert nurkował już od dwóch lat i nie miał najmniejszych trudności z wyrównywaniem ciśnienia.

Ruchy zuchwą powodowały błyskawiczne odpowietrzenie, tak że mijanym metrom towarzyszyło jedynie swędzenie w uszach. Gdzieś na piętnastym metrze natrafił na termoklinę. Mimo grubej pianki poczuł się, jakby zanurkował w przeręblu. Równocześnie znosiło go. Nie poruszał rękami ani płetwami, ale szybko przesuwająca się obok ściana sygnalizowała gwałtowność prądu. Wypuściwszy resztkę powietrza z kamizelki, zszedł

jeszcze niżej i osiadł na dnie, rozglądając się za murenami, których obecność sugerował Lars.

Dno było szarobure, jak podczas letniego zmierzchu, a świat flory i fauny ubogi. Nigdzie nie widział kolegów. Czyżby zniosło ich dalej? Rzucił okiem na komputer – trzydzieści metrów.

Za nisko! Odbił się ku górze, minął skalny nawis... I zdębiał. W równej ścianie ział głęboki pionowy otwór. Jaskinia? Dziwne. Według map dla nurków w tej części wybrzeża Patmos nie powinno być żadnej jaskini. Podpłynął bliżej. Sądząc po krawędziach otworu, pęknięcie było całkiem świeże. Może pojawiło się dopiero podczas ostatniego trzęsienia ziemi? Zajrzał do środka. Mrok.

Nie miał latarki, ale strzelił zdjęcie i w błysku flesza dostrzegł, że szczelina jest bardzo głęboka.

Jeszcze raz rozejrzał się dookoła, ani śladu partnerów. Spojrzał na manometr. W butli miał ponad 250 milibarów. Mnóstwo! Wiedział, że postępuje wbrew procedurom, ale pokusa była zbyt wielka. Wpłynął do środka. Otwór był dość wąski, jednak po paru metrach znacznie się rozszerzał, zmieniając w jaskinię. Podwodna grota musiała być olbrzymia. Nie mógł

dostrzec ani jej ścian, ani stropu. Zrobił parę fotek i odwrócił się. Błękitnawa poświata dobywająca się z otworu, przez który bezpiecznie wpłynął, wskazywała mu drogę powrotną.

Uznał jednak, że dość tej eksploracji. Już zamierzał zawrócić, kiedy zdał sobie sprawę, że jego pas balastowy jest zbyt luźny. Zaczął go zaciskać, kiedy tuż obok swoich rąk dostrzegł

paskudny zębaty pysk gigantycznej mureny!

Zapinka i parciany rzemień wysunęły mu się z rąk. Zanim się zorientował, lżejszy o siedem kilo wystrzelił w górę. Chwilę później walnął głową w jakiś występ. Zakrztusił się.

Otoczyła go ciemność.

Dopiero przy wraku Lars zdał sobie sprawę, że ekipa nie jest w komplecie. Brakowało właściciela pomarańczowych płetw – Roberta Mirskiego.

Młody student dziennikarstwa z Warszawy miał opinię doświadczonego nurka, ale Johanssen doskonale wiedział, że z morzem nie ma żartów. Sam ledwie uszedł z życiem, kiedy podczas nurkowania w Tajlandii zimą 2004 roku zaskoczyło go bożonarodzeniowe tsunami. Roberta mógł znieść prąd, mógł też z jakiegoś powodu wypłynąć na powierzchnię.

Lars okrążył grupę i walcząc z prądem, dopłynął do ściany. Ani śladu. Spojrzał na zegarek.

Niedobrze, minął już kwadrans, a Mirski się nie pojawił. Zarządził wynurzenie całej grupy, a następnie, z pomocą Horsta, próbował ustalić, co się stało. Polaka nie znaleźli ani przy wraku, ani na płyciźnie, gdzie mógł wynieść go prąd. Co gorsza, nigdzie na powierzchni morza nie mogli wypatrzeć bąbelków wskazujących zawsze miejsce pobytu płetwonurka. Pod warunkiem, że jeszcze oddychał.

Czyżby zasłabł, zemdlął? Na samą myśl o tym Larsowi, mimo że był cały mokry, zrobiło się gorąco. Wziął zapasowe butle, latarkę i z dwójką najbardziej doświadczonych nurków powtórzył zanurzenie. Sam zszedł najniżej. Odnalazł jaskinię i wpłynął do niej. Tuż przy wejściu znalazł leżący na kamieniach pas balastowy. Zrozumiał, co się stało. Chłopaka uniosło w górę. Bez obciążenia, w grubym skafandrze, z niepełną butlą nie miał szansy zawrócić... Popatrzył na fosforyzującą tarczę zegarka. Od początku nurkowania minęło pięćdziesiąt minut. Gdziekolwiek przebywał Mirski, z pewnością nie miał już powietrza.

Przytomność wróciła wraz z bólem. Żył. Unosił się na powierzchni wody, jednak otaczała go nieprzenikniona ciemność. Co ważniejsze, oddychał, mimo że krztusząc się, wypluł ustnik.

Dlaczego jednak nic nie widzi? Stracił wzrok. Nie! Raczej nadal znajduje się we wnętrzu jaskini. Powietrze było stęchłe, ciepłe, ale o wystarczającej zawartości tlenu, co wskazywało, że u szczytu pieczary utworzył się naturalny bąbel powietrza. Równie prawdopodobna była możliwość, że znalazł się powyżej poziomu morza i gdzieś są szczeliny umożliwiające jaką taką wentylację. Po twarzy ściekała mu krew, czuł jej smak, sączyła się z rozbitego czoła, nosa, z uszu pewnie też. Nie był tym zaskoczony. Znał skutki gwałtownej dekompresji. Z

największym wysiłkiem pohamował mdłości. Dopłynął do jednej ze ścian, natrafił ręką na piasek i kamienie. Nigdzie najmniejszego choćby promyka światła. Pomyślał o swoim aparacie fotograficznym. Wypłatał go po omacku spośród rurek regulatorów i zaczepów kamizelki. Na obudowie nie wyczuł żadnych pęknięć ani zarysowań. Nacisnął przyciski usłyszał znajomą melodyjkę, sygnalizującą otwarcie obiektywu. Kodak przetrwał incydent nieuszkodzony. Nie zastanawiając się długo, Robert zaczął robić zdjęcia. Niestety, w rozbłyskach flesza nie mógł zobaczyć niczego. Były zbyt oślepiające. Obejrzał parę fotek na wyświetlaczu. Olbrzymia jaskinia. Przy ścianach skalne rumowiska. Żadnych wyjść.

Wszystko wskazywało na to, że jedyna droga na zewnątrz znajduje się prawie trzydzieści metrów pod nim. Dziesięć piętér! Pomyślał o bloku rodziców na Gocławiu. I powróciło uczucie paniki. Bez pasa balastowego trudno marzyć o zanurzeniu i wydostaniu się na zewnątrz. Opanował jednak lęk. Żyje i nie musi się martwić brakiem powietrza w butli.

Wystarczy spokojnie czekać, aż go odnajdą. A jeśli nie odnajdą? Zważył w ręku jeden z kamieni. Na oko jakieś pół kilo...

Rozpiął kombinezon i zaczął wypychać za pazuchę skalne okruchy, aby się dociążyć.

Na koniec wziął jeszcze pod pachę jeden szczególnie ciężki głaz i próbował dać nura.

Szło ciężko, boleśnie. Gwałtownie wypływając, musiał uszkodzić sobie ucho środkowe.

Teraz, opadając w dół, czuł wciekły ból. W którymś momencie wypuścił główny balast, w porę jednak przywarł do skały i nie dał się wypchnąć na powierzchnię. Mozolnie pełził w dół.

Nie przejmował się, że ostre krawędzie ranią mu palce. Musi! Narastały zawroty głowy, kłujący ból stawał się nie do zniesienia. Zawrócić?

W pewnym momencie wydało mu się, że dostrzega światło. Wylot jaskini, a może czyjaś latarka? Puścił się skały i zaczął przyciskać spust aparatu. Znow poszedł w górę. Nagle poczuł, że coś łapie go za płetwę. Potem stracił przytomność.

* * *

Na maleńkiej wyspie Patmos nie mieli komory dekompresyjnej, najbliższa znajdowała się w ośrodku ratownictwa na Samos. Mirski spędził tam trzy dni. Bardzo szybko przyjechał jego brat, Jacek, jak zwykle niezawodny w trudnych sytuacjach. Gdy tylko stan Roberta się ustabilizował, załatwił mu przewóz do Aten, gdzie przez dwa dni poddawano go specjalistycznym badaniom. Wypadły zadowolająco, jednako powrocie na „Trytona” i nurkowaniu nie mogło być mowy. Wspólnie postanowili, że przed powrotem do kraju Robert wypocznie parę dni w Attyce, zwiedzając tę kolebkę cywilizacji.

– Będiesz miał chatę, dobrze zaopatrzoną lodówkę, a jeśli uda mi się wziąć parę dni urlopu, nie najgorszego przewodnika – zapewnił Jacek.

Starszy o szesnaście lat, był dla ludzi z pokolenia Roberta człowiekiem z zupełnie innej epoki. Wychował się za komuny, skutecznie z nią walczył, wydając nielegalne pisemka i organizując uliczne happeningi. Natychmiast po odzyskaniu niepodległości on, dotąd namiętny przeciwnik służby wojskowej i całego aparatu represji, włączył się w organizowanie Urzędu Ochrony Państwa, skończył jakieś tajemnicze kursy w USA i gdyby nie kolejna postkomunistyczna recydywa, dosłużyłby się zapewne wysokiego stanowiska w administracji. Wyrzucony ze służby, przesiedział cztery lata za biurkiem w IPN-ie, i dopiero nowy antykomunistyczny rząd, zimą 2005 roku, ku zaskoczeniu rodziny, wysłał go na stanowisko sekretarza ambasady w Atenach. (Być może zdecydował tytuł magistra filologii klasycznej). Robert miał nieodparte wrażenie, że jest to przykrywka dla jakiejś innej

działalności, ale brat nie miał zamiaru nic na ten temat mówić.

Na pozór wyglądało, że żyje sobie niefrasobliwie pod słońcem Attyki, zajmując się sprawami topielców, ofiarami złodziei czy rodakami, którzy weszli w konflikt z miejscowym prawem. Czasem, jak można było wywnioskować z kolorowych pocztówek, wyjeżdżał na parę dni do Bejrutu, Larnaki czy La Valetty, choć trudno dociec, jaki był cel tych podróży.

Zgodnie ze swym dyplomatycznym statusem Jacek zajmował przyjemny apartament w Glifadzie, luksusowej nadmorskiej dzielnicy, ciągnącej się na wschód od Pireusu w kierunku przylądka Sunion. W trzypokojowym mieszkaniu żył w zasadzie samotnie, jego tutejsza przyjaciółka, Aria, była, jak mawiał – „na przychodne”. Z sakramentalnych związków raz na zawsze wyleczyła go Dorota, hoża dziewczyna o pszenno-żytniej urodzie, z którą wziął ślub latem osiemdziesiątego trzeciego roku, w kościele św. Stanisława Kostki na warszawskim Żoliborzu. Dwa lata później młoda żona, mając dość ciągłych najść ubecji, klimatu konspiracyj i niepewnego jutra, zabrała małego Patryka i wyjechała do Kanady. Jak się okazało – na zawsze.

W prywatnych rozmowach Jacek niechętnie wspominał ten związek, choć musiał bardzo boleć nad jego rozpadem. Tymczasem jego była żona znakomicie urządziła się w Toronto. Z

mężem Kanadyjczykiem dorobiła się wkrótce dwóch córeczek i nie życzyła sobie kontaktów z eksmężem. Szybko dorastający Patryk poszedł w jej ślady; nie odpisywał na listy z ojczyzny, nie chciał uczyć się polskiego, a jedyne trzy spotkania z ojcem przebiegły sztucznie i przygnębiająco. Po ostatniej, wyjątkowo nieprzyjemnej próbie, Jacek dał spokój. Wszystkie rodzinne uczucia przelał na młodszego brata, którego poczęcie, jak twierdziła rodzina, było wynikiem bojkotu programu reżimowej telewizji, konsekwentnie prowadzonego przez jego rodziców. Wychowywanie „juniora” wcale nie było prostą sprawą. Rozpieszczony Robercik rósł, jak większość jego kolegów, lekko, łatwo i przyjemnie. Piwko, trawka, balanga. Dużo komputera, hip-hopu i panienek wrywanych na dyskotekach. Do czasu. Kiedy parę lat temu młodszy Mirski doczołgał się na trójkach do przedostatniej klasy, podczas osiedlowej bójki zginął chłopak z sąsiedniego bloku. Robert nawet go nie uderzył, ale jako bierny uczestnik, winny niewzwania pomocy i ukrywania głównego sprawcy, został zatrzymany, przesłuchany... Padło oskarżenie o współudział. Chłopak przeżył szok. Oszałamiali ze strachu rodzice błagali o pomoc Jacka. Ten spotkał się z bratem w więziennej rozmównicy i odbył z nim męską rozmowę.

Odmówił jakichkolwiek pozaprawnych interwencji, a kiedy zapadł wyrok (na szczęście w zawieszeniu), przystał jedynie na rolę kuratora, pod warunkiem że niesforny małolat przyjmie jego warunki. Robert, drobny i wiotki maminsynek, przerażony perspektywą więzienia, opowieściami o git-ludziach i losie nieszczęśliwych cwelów, zgodził się na wszystko.

– Przejdziesz u mnie piekło, ale wyrośniesz na człowieka – obiecał brat. I słowa dotrzymał.

Nieduże mieszkanie na Żoliborzu stało się dla Roberta koszarami, łagrem, ale zarazem akademią wszelkich umiejętności. Jeśli liczył na jakąkolwiek taryfę ulgową boleśnie się przeliczył. Brat nie zastosował wobec niego siły fizycznej, nie musiał, sama perspektywa siłowego rozwiązania wystarczała, by utrzymać chłopaka w ryzach. W jego życiu zapanował

bezwzględny reżim: żadnych koleśków z Gocławia, żadnych dyskotek, żadnych gołych panienek i gier w Internecie!

O szóstej rano jogging nad Wisłą, potem szkoła, po południu trening na pływalni, wieczorem lekcje, lektury, rozmowy z bratem, raz w tygodniu kino, teatr lub filharmonia.

Robert serdecznie nie znosił muzyki klasycznej, ale MUSIAŁ ją polubić.

Na dobitkę w domu niedaleko placu Wilsona rozmawiało się teraz wyłącznie po angielsku. Kiedy usiłował zaprotestować koślawą angielszczyzną, usłyszał w odpowiedzi:

„Jeśli wolisz, możemy przejść na grekę”.

Mimowolny rekrut do dziś dnia nie wie, jak przetrzymał okres „do przysięgi”. Nie było dnia i nocy, żeby nie przeklinał swego kapo – śnił na jawie o ucieczce, marzył o morderstwie, a nawet o samobójstwie. Próbował się też stawiać, dyskutować, niekiedy sabotować polecenia, ale za każdym razem zderzał się z siłą spokoju granitowego głazu. Na pierwszy jogging pojechali taksówką na zupełne odludzie w Puszczy Kampinoskiej. Robert dostał limit czasu (kwadrans!) na przebiegnięcie trzech kilometrów, po czym brat, nie oglądając się, pomknął przed siebie. Kiedy maruder, który śpieszyć się nie zamierzał, spokojnym truchtem dotarł na miejsce, nie było tam brata ani żadnej komunikacyjnej alternatywy i skończyło się nieprzyjemnym (zaczęło padać) dziesięciokilometrowym powrotem do rogatek miasta. Stało się regułą, że na każdą próbę przechytrzenia przez niesfornego braciszka były anarchista miał

przygotowaną dokuczliwą ripostę. Nie było dnia, żeby chłopak nie prosił rodziców o pomoc, ale ci mieli dość oleju w głowie, aby pozwolić Jackowi doprowadzić eksperyment do końca.

O dziwo, do wszystkiego można przywyknąć. Koło Bożego Narodzenia zmiany zaczęły być zauważalne. „Rekrut” wyrósł, zmężniał i w dodatku dziwnie wyszlachetniał. W szkole (dużo bardziej wymagającej niż bakalarnia na Gocławiu), trójce na szynach zmieniły się najpierw w czwórki, potem w piątki... Jacek zauważył lekkość pióra swego pupila i zachęcił

go do redagowania szkolnej gazetki. Sylwestra spędzili na szlaku w górach. O północy wypili nawet szampana pod Ornakiem.

– Jesteś wolny – powiedział Jacek, zamiast tradycyjnych życzeń.

– Słucham?

– Zdałeś egzamin, od tej chwili możesz decydować o sobie.

– To znaczy?

– Na przykład wrócić na Gocław, dać sobie spokój z treningami. Laptop, neostrada i koledzy czekają...

– Naprawdę mogę tam wrócić?

– Oczywiście.

– A po pół roku miałbym przez to wszystko przechodzić jeszcze raz? W życiu!

– Twoja decyzja!

I został na Żoliborzu. Maturę zdał jako prymus, na dziennikarstwo dostał się bez najmniejszych kłopotów. Po drodze zaliczył kurs nurkowy. Sprawdzał się na Morzu Czerwonym i zimnych jak wewnątrz zamrażarki Lofotach. Przeżył pierwszą prawdziwą miłość, z koleżanką z roku, i pierwszy dramat, gdy ta związała się z energicznym szefem agencji reklamowej. A gdy brat wyjechał na placówkę, stał się szczęśliwym posiadaczem chaty –

która jednak częściej bywała miejscem politycznych debat niż sceną upojnych nocy we dwoje.

Po rozczarowaniu z Grażyną nie zadowalał się byle czym, chociaż okazji nie brakowało.

Rozglądał się i czekał na wielką miłość.

Po raz pierwszy zobaczył Ariadnę Mavreli, kiedy razem z Jackiem pojechali na przylądek Sunion. Wrażenie było porażające, przypominało uderzenie błyskawicy. Jednak bez grzmotu.

Zachwytwi towarzyszyła bezradność. Równie dobrze mógłby marzyć o poderwaniu bogini Artemidy. Która w dodatku była związana z jego bratem. Na tle purpurowego wieczornego nieba i potrzaskanych kolumn świątyni Posejdona ciemnowłosa Aria, z regularnymi rysami, szlachetnym noskiem, w niczym nie przypominającym ptasich kinoli, tak częstych u kobiet z Południa, i boską figurą, wydała mu się olimpijską boginią, która przybyła tu z antyku jakąś windą czasu i tylko z braku innego zajęcia zajmuje się pilotowaniem grup azjatyckich turystów.

Greczynka ucałowała Jacka, po męsku uściśnęła rękę Robertowi, który spuścił oczy, nie chcąc, by przeniknęła jego duszę ogarniętą gwałtownym przeciągiem.

Jakie on ma szczęście! – pomyślał z zazdrością o bracie. Prawdziwa bogini. Orlica!

Wszystkie moje Grażynki wyglądają przy niej jak mazowieckie makolągwy.

Jako realista wrzucił swe pragnienie do szufladki z napisem „nie dla mnie” i próbował

cieszyć się ze szczęścia Jacka, choć łatwe to nie było, bo ten, o zgrozo!, wydawał się lekceważyć posiadany skarb. Za to sposób, w jaki panna Mavreli patrzyła na starszego Mirskiego, przypominał fascynację graniczącą z uwielbieniem. Chłoneła jego słowa, gdy ze swobodą recytował w oryginale Homera, perliście śmiała się z jego żartów i akceptowała go całą sobą ze szczególnym uwzględnieniem wydatnych sutków prężących się na jego widok pod bawelnianą koszulką...

Nie pomagało powtarzanie sobie w duchu, że przy swoich dwudziestu sześciu czy siedmiu latach Mavreli jest starsza blisko o dekadę od wszystkich dziewcząt, z jakimi Jacek miał dotąd kontakty.

– Czy ona nie ma przypadkiem jakiejś siostry? – zapytał z nadzieją, gdy późną nocą wrócili na

Glifadę.

– Ma brata w Kanadzie! – zaśmiał się Jacek i wyszczerzając swoje równe zdrowe zęby, dorzucił: – Uwważaj na kobiety zbyt piękne, Bob, bywają niebezpieczne.

Jakoś nie potrafił wyobrazić sobie Arii jako osoby pod jakimkolwiek względem niebezpiecznej. Mylił się.

* * *

Następnego dnia po wizycie na Sunionie pojechali do Delf. Tylko we dwóch. W

starożytnym sanktuarium było gwarno, ruchliwie, tłoczno. I mimo wietrzyku dość upalnie.

Mirski senior ze swadą opowiadał o czasach, kiedy było tu święte źródło, a wieszczka Apollina, paskudna starucha siedząca na trójnogu w oparach trujących wyziewów dobywających się z wnętrza Ziemi, wieszczyla losy bogów, królów i królestw, przeważnie wyjątkowo mętnie, tak aby w ostatecznym rozrachunku zawsze móc stwierdzić: „A nie mówiłam?”. Jacek opowiadał też o porażce archeologów, którzy nigdy nie natrafili ani na jej jaskinię, ani na wulkaniczne tunele. Czyżby słynna wyrocznia od początku była mistyfikacją?

Po zwiedzeniu muzeum wyszli na skwarną i gwarną alejkę biegnącą pośród kramów z pamiątkami, widokówkami i napojami. Jacek, usiłując jak najszybciej wydostać się z tłoku, skręcił i dość niespodziewanie trafił na niewielki placyk, gdzie w cieniu prastarej oliwki pod szyldem „Pytia za 10 euro” starszawa i niespecjalnie przystojna kobiecina, o poczerniałej, upstrzonej brodawkami twarzy, wróżyła frajerom z kart tarota. Robert usiłował przyśpieszyć, by minąć wianuszek ludzi otaczających wróżbitkę, ale brat go powstrzymał.

– Być w Delfach i wróżby nie usłyszeć to jak być w Rzymie i papieża nie zobaczyć –

rzekł i dorzucił, widząc zdziwienie brata: – Uwielbiam takie stare zabobony.

Greczynka miała skrzekliwy, wyjątkowo donośny głos, słyszeli więc, jak kolejnym klientom obiecuje zdrowie, szczęście albo pieniądze. I to po angielsku.

Tyle miłego za dziesięć euro. Co nam szkodzi, pomyślał Robert i posłusznie stanął w ogonku.

Kolejka posuwała się dość szybko i wkrótce znaleźli się przed stolikiem przykrytym jednorazowym, ale bardzo brudnym obrusem w gwiazdy. Współczesna Pytia nie zaszczyciła ich nawet spojrzeniem, tylko zainkasowała banknot i rozłożyła zatłuszczone karty.

Rozłożyła sprawnie, na moment podniosła wzrok na klientów, potem znów go opuściła i zgarnęła karty ręką w czarnych rękawiczkach bez palców. Palce za to wystawały brudne, o połamanych paznokciach. Przetasaowała jeszcze raz, dała do przełożenia i ponownie ułożyła.

– No i jak? – zapytał z uśmiechem Jacek. – Lepiej?

Znów uniosła głowę. Robert mógłby przysiąc, że w jej oczach pojawił się strach zmieszany ze zdumieniem, jakby taki układ kart widziała po raz pierwszy.

– Coś nie tak? – dopytywał się starszy z braci.

Gwałtownie pokręciła głową i zabrała się po raz trzeci do stawiania tarota. Nie trzeba było być specjalnie spostrzegawczym, by zauważyć, że mimo przetasowania i przełożenia za każdym razem karty układały się dokładnie tak samo.

– Przybywacie z północy? – zapytała nagle.

– Z Polski – odparł Jacek. – Ale to też kraj Unii...

Niewiasta zrobiła się popielata na twarzy – poderwała się od stolika, a karty poleciały na ziemię.

– Proszę zaczekać, zmienię talię, ta jest niekompletna – wymamrotała, kierując się do pobliskiego namiotu z pamiątkami, przy którym krzątał się jakiś brodaty pop.

Bracia popatrzyli na siebie i się roześmieli. Postanowili zaczekać. A nuż dowiedzą się czegoś naprawdę ciekawego? Pytia jednak nie wracała. Zajrzeli do namiotu. Był pusty.

Kobieta musiała opuścić go tylnym wyjściem, w pędzie strącając z półki pocztówki, które rozsypane, znaczyły drogę jej ucieczki. Pop również gdzieś się ulotnił.

Przeszli przez namiot i zobaczyli drobną figurkę w czerni, zbiegającą niezwykle żwawo ze wzgórza. Wróżbitka nie była sama. Kilkadziesiąt metrów za nią sadyli wielkimi susami mężczyzna w sutannie.

– Ciekawe. Uciekają przed nami czy się ze sobą ścigają? – zaśmiał się Robert. Miał

ogromną ochotę puścić się w ślad za nimi. Nie wierzył w zabobony, ale czuł, że całe to zdarzenie może mieć jakiś głębszy sens.

Podeszli na skraj drogi wijącej się serpentynami. Z jakiegoś powodu spłoszona starucha i ortodoksyjny duchowny pędzili na skrót. Pop chyba ją wołał, ona jednak nie zatrzymywała się, tylko odkrzykiwała coś głośno.

Robert nie rozumiał, ale patrząc bratu przez ramię, zauważył, jak ten zapisał po grecku na odwrocie pocztówki, która przyklepiła mu się do buta, gdy wychodził z namiotu: θανατος!

θανατος!

Prawie równocześnie pop, który prawie ją doganiał, potknął się i runął jak długi między chwasty. Po chwili oboje zniknęli za zakrętem. Skąd ci niemłodzi ludzie mieli w sobie tyle siły?

Incydent wyglądał na zakończony, bracia dotarli do parkingu, Jacek zapalił silnik i wyjechał na drogę. Po niecałych stu metrach stanął. Dalsza jazda okazała się niemożliwa – na drodze powstał gigantyczny korek. Ludzie podawali sobie z ust do ust wiadomość o jakimś wypadku.

To zelektryzowało Jacka. Zjechał na pobocze i razem z bratem pobiegli w dół. Udało im się zdążyć przed pogotowiem.

Wróżbitka leżała martwa u stóp oliwki, z panicznym strachem zastygłym w jej nieruchomych oczach. Jakiś naoczny świadek twierdził, że gdy jak szalona przecinała drogę, pojawił się jadący pędem motocyklista, potrącił ją, a ona przeleciała parę metrów w powietrzu i uderzyła w drzewo.

– Upadła zupełnie jak szmaciana lalka.

– A ten motocyklista? – spytał Jacek.

– Nic mu się nie stało. Żebyście widzieli, jak opanował maszynę. Jak kaskader. A potem dodał gazu i po prostu uciekł.

Mirski zapytał o popa. Ku jego zaskoczeniu nikt ze świadków nie zauważył żadnego duchownego.

– Zrozumiałeś, co wołała? – zapytał Robert, kiedy wrócili na parking. Jacek podał mu pocztówkę. – *Tanatos, tanatos...* Co to znaczy?

– Po grecku śmierć. Słyszałeś chyba o starożytnym bogu, synu Nocy – Thanatosie.

– Naturalnie. Naprawdę sądzisz, że w tych kartach zobaczyła własną zgubę i tak ją to przeraziło, że zaczęła uciekać?

– Tak myślałem w pierwszej chwili, chociaż bardziej prawdopodobne wydaje mi się, że powodem nieszczęścia było coś, co zaszło między tą dwójką Greków...

Robert machinalnie odwrócił pocztówkę. Ciekawe... Chociaż znaleźli ją w Delfach, przedstawiała skalistą wyspę sfotografowaną z lotu ptaka. Wyspę Patmos.

Tymczasem Jacek uruchomił silnik, i co ważniejsze, klimatyzację. Obaj chcieli jak najszybciej zapomnieć o incydencie, który popsuł im uroczą wycieczkę. Żadnemu nie przyszło do głowy, że to zdarzenie może mieć wpływ na ich losy. Na wszelki wypadek, aż do samej Glifady, jechali bardzo ostrożnie. Było nie było, złowróźbny pasjans za dziesięć euro wykładany był dla nich.

* * *

Następnego dnia nadeszły wreszcie z „Trytona” rzeczy Roberta Mirskiego: wypłowiwały plecak, maska, pletwy i aparat fotograficzny, do których dołączony został list od Anette, apetycznej Francuzki, wymarzonej kandydatki na wakacyjny flirt.

Szkoda, że nie mogłeś z nami zostać – pisała niedoszła sympatia. – Nazajutrz po twoim wypadku Horst z Larsem spenetrowali odkrytą przez ciebie grootę. Obiecali nazwać ją twoim imieniem – Robert's Cave. Mieliśmy w planie odwiedzić ją wszyscy, ale pogoda gwałtownie zaczęła się psuć, więc musieliśmy przenieść się na północną stronę Samos. W dodatku Horstowi odezwały się wrzody żołądka i musiał zejść na ląd. Potem jeszcze stroniczka banalnych dyrdymałów i standardowe zakończenie: Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy...

W postscriptum podała swój paryski adres i numer telefonu. Robert postanowił

wykorzystać to przy pierwszej okazji. Na razie sprawdził sprzęt, wyjął aparat z plastikowego pokrowca i zmienił baterię na świeżo naładowaną, a potem sprawdził zdjęcia na karcie. Poza pierwszymi pięcioma fotkami, strzelonymi jeszcze na pokładzie „Trytona”, resztę stanowiły robione prawie na oślep zdjęcia z jaskini pod wyspą Patmos. Już zamierzał je skasować, ale Jacek z rozędu przerzucił wszystko do laptopa i dopiero teraz zamierzał wziąć się za selekcję.

– A co to takiego?! – wykrzyknął nagle.

Robert wyszedł z łazienki, gdzie mył pletwy oraz maskę w słodkiej wodzie, i spojrzał na ekran. Na tle żwirowego osypiska majaczył jakiś regularny biały kształt.

– Nie mam pojęcia. Robiłem zdjęcia w kompletnej ciemności, a flesz tak mnie oślepiał, że nie widziałem, co właściwie fotografuję...

Na drugim zdjęciu obraz był wyraźniejszy. Obiekt wyglądał na dużą, ponad metrową tablicę z marmuru, pokrytą jakimiś znakami. Jacek przybliżył obraz, wyostrzył, jednak czytelne były jedynie pierwsze linijki. Pozostałe trzy czwarte płyty spowijał cień.

– Wygląda jak antyczna inskrypcja. – Robert wyraźnie się ożywił. – Myślisz, że w tej jaskini może znajdować się jakiś starożytny grobowiec?

– To mi raczej nie pasuje na inskrypcję nagrobną, za dużo tekstu. I jest bardzo gęsty... –

mruczał jego brat, wyteżając wzrok. – Taak... Litery są ewidentnie greckie, tyle że nie układają się w żaden znany mi wyraz. Ciekawe, bardzo ciekawe...

Jacek nie emocjonował się łatwo, a jeśli nawet, nie dawał tego po sobie poznać. Tym razem jednak wyglądał na naprawdę podnieconego. A co dopiero Robert. Na jego twarzy pojawiły się ceglaste wypieki. Zawsze marzył, by dokonać odkrycia na miarę dysku z Fajstos lub rozszyfrować zagadkę kreteńskiego „pisma linearnego A”.

– Pismo ma cechy charakterystyczne dla późnego okresu hellenistycznego – ciągnął ze znajomością rzeczy filolog klasyczny. – Interesujące jednak, że powtarza się zaledwie parę liter – ι, β, ξ, λ – (jota, beta, ksi, lambda), z rzadka κ, δ, μ – (kappa, delta, mi)...

– I nie ma żadnych spółgłosek? Alfa, omega, omikron...?

– To właśnie mnie dziwi...

– Może piszący oszczędzał na samogłoskach, jak Żydzi?

Jacek dłuższą chwilę kombinował coś z długopisem w ręku.

– Nic na to nie wskazuje. Litery nawet po wstawieniu samogłosek raczej nie układają się w sensowne wyrazy.

– A może tekst w ogóle nie jest po grecku, a jedynie zapisany tym alfabetem?

– Niewykluczone. – Robert z wyraźnym szacunkiem popatrzył na młodszego brata. –

Gdybym mógł obejrzeć całą płytę...

– To pewnie jest wykonalne. Tablica nadal leży sobie w grocie i czeka na ciebie.

* * *

Jeszcze tego popołudnia Mirski spotkał się z zaprzyjaźnionym dygnitarzem z Ministerstwa Kultury i Turystyki. Wiadomość o odkryciu zrobiła na Greku duże wrażenie, a zarazem wzbudziła niepokój, że ktoś niepowołany może zainteresować się zawartością jaskini i ukraść zabytek. Wykonał parę telefonów do swoich zwierzchników. W nadzwyczajnym trybie postanowiono wysłać na Patmos ekipę policyjno-archeologiczną której zadaniem miało być zabezpieczenie miejsca i zbadanie artefaktu. Zresztą mogły się tam kryć jeszcze inne zabytki, które uchowały się przed okiem archeologów. Mirski już na wstępie postawił jeden warunek.

– Chcę uczestniczyć w ekspedycji!

Zgodzono się na to bardzo niechętnie. Natomiast o obecności drugiego Polaka nie mogło być mowy. Prawdę powiedziawszy, Jacek niespecjalnie na to nalegał, zdając sobie sprawę, że pożytek z niesprawnego Roberta byłby niewielki.

Cały wieczór spędzili nad reprodukcją napisu. W komputerze udało się fotografię wyostrzyć i powiększyć, jednak próby rozjaśnienia reszty inskrypcji spełzły na niczym. Koło północy sen zmorzył Roberta, jego brat pracował jednak nadal i do świtu nie zmrużył oka.

– Miałeś rację, sugerując, że to nie jest język grecki – rzekł, kiedy wyspany junior wychynął z sypialni. – Zresztą to w ogóle nie są litery.

– A co?

– Cyfry! Cyfry łacińskie zapisane znakami greckimi.

– Nie rozumiem.

– Ja też długo nie mogłem do tego dojść. Jednak kiedy już na to wpadłem, wszystko stało się dosyć proste. Popatrz! Najczęściej pojawiający się znak ι odpowiada rzymskiemu I, co, jak wiesz, oznacza jedynekę, ξ w łacinie to oczywiście X, czyli dziesiątka. A zatem ι ξ – to oczywiście jedenaście...Przez dłuższy czas miałem kłopot z β oraz κ.

– Trudno przypisać im jakieś cyfry?

– Tylko w pierwszej chwili. Nasz tajemniczy autor miał trudności z zapisaniem piątki i setki. V ani C nie występują w greckim alfabecie, dlatego posłużył się zamiennikami – betą i kappą

– Czyli „κ β” to po prostu sto pięć?

– Trafiony, zatopiony!

– W takim razie co może przedstawiać cały zapis? Jakieś starożytne rachunki?

– Trudno wyobrazić sobie, żeby ktoś marnował marmurową płytę na utrwalanie rachunków i w dodatku ukrywał ją w jaskini na odludnej wysepce. To nie inkaskie kipu, tworzone dla zapisywania doraźnych interesów...

– W takim razie co?

– Najprostsze wytłumaczenie to szyfr – powiedział z naciskiem Jacek. – Zauważyłem, że cyfry pogrupowane są w szczególnych zestawieniach, luźniej i ciaśniej. Zobacz tu – mały odstęp i dalej odstęp i... A między nimi jeszcze większa przerwa.

– Co to może oznaczać?

– Mnóstwo rzeczy. Jednak roboczo zakładam, że może to być znany już starożytnym

„szyfr książkowy”. Oczywiście terminu „książka” używam umownie, w tamtych czasach posługiwano się tabliczką lub zwojem. Gdybyśmy mieli do czynienia z okresem renesansu, kiedy księgi miały formę zbliżoną do współczesnych 123 i 21 odczytywałbym – strona 123

wiersz 21...

– A tak?

– Na przykład pieśń 123 linijka 21...

– Niesamowite! Ale wygląda, że pasuje.

– Największy kłopot polega na tym, że jak na razie, nie mamy informacji, do jakiego utworu może mieć zastosowanie ten klucz.

– Pieśń 123 linijka 21, to by wskazywało na jakiś bardzo długi utwór, jak... Jak *Iliada*!

– Miałem to samo skojarzenie, drogi bracie. I sprawdziłem. Przypadkowo mam grecki oryginał dzieł Homera. Muszę cię jednak rozczarować. Nie pasuje. *Iliada* liczy ledwie dwadzieścia cztery księgi, *Odyseja* tyle samo.

– A gdyby zamienić liczby? I ta druga oznaczałaby księgę?

– Też sprawdziłem.

– I co?

– Dupa błada! Passus numer sto dwadzieścia trzy z księgi dwudziestej pierwszej brzmi w przekładzie na polski: *Bezrozumny, kto szkody zrozumieć nie umie.*

– Całkiem sensowna sentencja, choć nie wiadomo, czemu miałyby służyć. A próbowałeś sprawdzać w *Odysei!*

– Naturalnie. *Pragnę walczyć jak ojciec, w tych rękach jest siła.*

– Brzmi zachęcająco.

– Niestety, po rozszyfrowaniu następnych liczb nie znalazłem w nich ani sensu, ani związku. Ale nie gorączkuj się, braciszku. Oczywiście fascynujące byłoby rozwiązać zagadkę jednym strzałem, oddanym w dodatku na oślep, ale obawiam się, że nie tędy droga.

– A którą?

– Do analizy potrzebuję całego tekstu. Poza tym trzeba przyjrzeć się samemu znalezisku i jego otoczeniu. Może znajdziemy tam coś, co pozwoli zrekonstruować okoliczności powstania tablicy i cel, w jakim ją stworzono. Niewykluczone, że zachowały się jakieś wskazówki pozwalające ustalić autora. A jeśli znajdzie się człowiek, cała reszta stanie się o wiele łatwiejsza.

* * *

Z lotu ptaka Patmos przypomina skrecony i pożółkły liść dębu, który upadł na szmaragdowe fale Morza Egejskiego. Wyspa, skalista i stroma od zachodu, po stronie wschodniej pełna jest plaż, kąpielisk, gwarnych przystani i malowniczych miasteczek. Nieco poniżej przewężenia w środku wyspy, na szczycie wzgórza Hora, góruje nad okolicą imponująca bizantyjska forteca, wzniesiona z szarych ciosów w XI wieku, mieszcząca klasztor Świętego Jana Ewangelisty. Stanowi ona cel pielgrzymek i zwykłych turystów, zdążających przez cały rok do tej Jerozolimy Dodekanezu.

Śmigłowiec Ministerstwa Kultury i Turystyki dostarczył trzyosobową ekipę do Skali, niewielkiej miejsciny pełniącej rolę lokalnego centrum. Jackowi Mirskiemu towarzyszył

profesor Kostas Katopulos, czterdziestopięcioletni znawca kultury hellenistycznej, Archilochos Patakis, wyblakły urzędnik z ministerstwa, oraz John Gradley, naturalizowany Brytyjczyk, specjalizujący się w archeologii podmorskiej. W miejscowym porcie, a właściwie przystani, czekała na nich szybka łódź miejscowej policji z trzema funkcjonariuszami na pokładzie i kompletnym wyposażeniem do nurkowania. W pół godziny znaleźli się na miejscu. Dzień był burzliwy, toteż na morzu nie było zbyt wielu jednostek. W zasięgu wzroku zauważyli jedynie dwa jachciki, rybacką łajbę i zaniedbany turecki frachtowiec, z trudem posuwający się po wodzie.

Postępując zgodnie z wskazówkami Roberta, który ku swemu wielkiemu żalowi został w Atenach, zakotwiczyli we wskazanym miejscu, około stu metrów od pływającej boi, którą oznakowano zatopiony wrak. Następnie Gradley, Katopulos i Mirski włożyli piankowe kombinezony. W swoim ekwipunku mieli mocne latarki, kamery i aparaty cyfrowe. Ponadto Jacek zabrał ze sobą wodoszczelny pojemnik z telefonem i paroma innymi użytecznymi przedmiotami.

Odnalezienie wejścia do jaskini okazało się prostsze, niż oczekiwali. Dolna komora mierzyła około piętnastu metrów średnicy, natomiast pięć metrów powyżej dna zwężała się, tworząc naturalny szyb, miejscami szeroki na pięć, a w najwęższym punkcie liczący zaledwie dwa metry. Nie ulegało wątpliwości, że zanim pęknięcie ściany umożliwiło szerszy dostęp od strony morza, musiała wcześniej istnieć jakaś ograniczona komunikacja. Wskazywały na to ślady wegetacji na ścianach komina. To nie był suchy szyb zalany dopiero przed tygodniem.

Dopłynęli do górnej części i wyszli na brzeg. Jeziorko w górnej jaskini nie przekraczało dziesięciu metrów średnicy, a sama grotta nie była zbyt wysoka i miała zaledwie kilka płytkich odnóg. Wszędzie dawało się zauważyć całkiem świeże ślady trzęsienia ziemi. Również obecność powietrza dowodziła kontaktu ze światem zewnętrznym. Nigdzie jednak nie przedzierał się choćby najmniejszy promień światła. Tajemnicza tablica leżała poniżej wielkiej dziury w sklepieniu, w stercie skalnych okruchów. Wyglądało, że osunęła się wraz ze zwałami piasku i kamieni z jakiegoś wyższego poziomu. John Gradley ustawił aluminiowy stojak, na którym powiesił lampę. W jaskini zrobiło się jasno jak na teatralnej scenie.

Katopulos zdjął płetwy oraz kombinezon i próbował wspiąć się wyżej.

– Ostrożnie, profesorze! – przestrzegł go Anglik. – Teren jest niestabilny. Może zwalić nam się na głowę połowa wyspy.

W tym czasie Mirski zajął się tablicą. Wyjawszy drobne ukruszenia, wydawała się nietknięta. Piękny blok szlachetnego marmuru oszlifowany został tylko z jednej strony. Ktoś poświęcił sporo czasu starannemu żłobieniu napisów, a następnie zapuszczaniu wyżłobień ciemnym barwnikiem, który przetrwał około dwóch tysiącleci. Ani śladu wilgoci, erozji.

Jaskinia powyżej musiała być wyjątkowo sucha. Fotografując i filmując obiekt, Jacek zauważył, że litery, niezależnie od tego, czy pisane ciasniej, czy luźniej, układają się w dość równe pola. W sumie naliczył tych pól trzydzieści trzy.

Tymczasem zwirowy deszczyk, sypiący się przy jakiegokolwiek próbie wejścia wyżej zniechęcił Katopulosa do wspinaczki. Nie uśmiechało mu się spuszczenie kamiennej lawiny.

Skoncentrował się więc na otoczeniu płyty. Z plastikowej walizeczki wyjął miotłkę i szpadek. Już po chwili wygrzebał z piasku kawałek jakiegoś glinianego przedmiotu.

– Lampka, oliwna... O, jest i druga. Zdaje się, że nasz rytownik pracował przy sztucznym świetle!

Zrobił zdjęcie obiektowi i odłożył skorupy na bok. Po chwili cofnął się i wygrzebał

palcem coś, co wyglądało na drobinę skawalonego brudu. Oczy mu rozbłysły. Wyciągnął z pojemnika szmatkę, odrobinę jakiegoś płynu, przetarł znalezisko, i po chwili w blasku lampy błysnęła srebrna moneta.

– Mamy niebywale szczęście, że ten denar wpadł do oliwy i przetrwał w tak doskonałym stanie przez tysiąclecia.

– Może pan ustalić jego wiek? – zapytał Jacek.

– Bez trudu. – Kostas przybliżył monetę do światła i przymrużywszy jedno oko, przypatrywał się profilowi mężczyzny w wieńcu. Potem przeliterował napis:

– IMP NERVA CAES AVG P M TR P COS III PP.

– Co to znaczy? – chciał wiedzieć Anglik.

– *Imperator Nerva Caesar Augustus, pontifex maximus, tribunicia potestate, consul tertium, pater patrie* – rozwinął skrótowy napis profesor.

– Imperator Nerwa? – upewniał się Mirski. – Pierwszy z „dobrych cesarzy”?

– Nie inaczej – uśmiechnął się naukowiec. – Panował... – ledwie zauważalna chwila namysłu – od osiemnastego września dziewięćdziesiątego szóstego do dwudziestego piątego stycznia dziewięćdziesiątego ósmego roku. Adoptował Trajana, który w rewanżu, wkrótce po jego śmierci, załatwił mu zaliczenie w poczet bogów.

– A zatem z dużym prawdopodobieństwem można stwierdzić, że nasz rytownik skończył

pracę najwcześniej w dziewięćdziesiątym szóstym roku – podchwycił Gradley.

– W dziewięćdziesiątym siódmym! – poprawił naukowiec. – Mennica rzymska wybiła te monety dopiero rok po rozpoczęciu panowania Nerwy. Ale jeśli panowie pozwolicie, wrócę do poszukiwań.

– Powinniśmy chyba zawiadomić statek – powiedział John. – Mogą się niepokoić, że siedzimy tak długo.

Wyciągnął wodoszczelne walkie-talkie i wywołał bazę. Odpowiedziała mu cisza.

– Dziwne – mruknął. – Nikt się nie zgłasza.

– Może skały stanowią nieprzepuszczalny ekran? – podsunął Mirski.

– Nie powinny.

Jacek otworzył pojemnik i wydobyl swój prywatny telefon o wielu opcjach.

– Jest zasięg – oznajmił, spoglądając na wyświetlacz.

– Zadzwońmy zatem do Archilochosa – zdecydował Gradley. – Podyktuję panu numer...

Patakis jednak nie odpowiadał. To się Jackowi nie podobało. Czyżby coś stało się ze statkiem?

– Powinniśmy wracać – stwierdził. Gradley i Katopulos zgodzili się z nim.

Ponownie założyli sprzęt. Mirski spróbował się jeszcze porozumieć z bratem, ten jednak również nie

odbierał. Włączyła się automatyczna sekretarka. Postanowił wykorzystać pocztę głosową.

– Jest sukces, braciszku – podyktował. – Płyta ma trzydzieści trzy pola, to ważne, datujemy ją na koniec pierwszego lub sam początek drugiego wieku naszej ery. Mam pewną hipotezę na temat autora napisu, ale jeszcze muszę się upewnić. Gdyby pojawiły się jakieś kłopoty, zwróć się do Arii.

– Niech się pan pośpieszy – ponaglał go Kostas. Zanurkowali. Pierwszy Gradley, oświetlający drogę pozostałym, za nim profesor. Stawkę zamykał Mirski.

Dość szybko znaleźli się na dole jaskini – Anglik wypłynął na zewnątrz, Katopulos już miał iść w jego ślady, kiedy zauważył coś wystającego z skały. Płaszczka?

Włączył swój reflektor i natychmiast dostrzegł stopy w płetwach. Wykonał gwałtowny gest latarką i w tym samym momencie poczuł za sobą ruch. Do ust wdarła mu się woda. Ktoś szybkim ruchem noża przeciął rurkę doprowadzającą powietrze z butli. Katopulos instynktownie wstrzymał oddech.

Tymczasem nieświadomy dramatu rozgrywającego się poza jego plecami, Gradley powoli dążył ku górze. Natrafił na linę kotwiczną na piątym metrze pod powierzchnią zatrzymał się na chwilę, aby odczekać na wyrównanie się poziomu azotu we krwi. Nad jego głową majaczył kadłub policyjnej łodzi ze Skali.

– Co tam się mogło stać, u diabła?

Wynurzył się obok gościnnie spuszczonej drabinki. Nikt jednak nie wychylił się, żeby zabrać ciężki pas i butle. Nikt nie podał mu ręki. Zdjął płetwy i wszedł na pokład. Najpierw zobaczył nogi Patakisa leżącego na pokładzie, dopiero później krwawą kałużę wokół jego głowy. Wreszcie ogarnął wzrokiem postać mężczyzny siedzącego pod daszkiem z pistoletem w ręku.

Powinien rzucić się w tył nawet bez płetw. Zaskoczenie jednak było zbyt duże.

Natomiast intruz, osiłek ostrzyżony na zero, o potężnej szczęce, nie wahał się ani sekundy. Strzelił Brytyjczykowi prosto w pierś.

– I po co się było tak śpieszyć? – skomentował.

* * *

Płynący jako trzeci Jacek zauważył atak na profesora. W słabej poświacie docierającej z zewnętrznego otworu dostrzegł mężczyznę przecinającego rurkę Kostasowi i drugiego, który przydusił go do dna. Był także i trzeci. Ten przechwycił latarkę Katopulosa i skierował snop światła ku górze. Mirski próbował skryć się za skalnym załomem, ale nie zdążył. Dostrzegli go! W ułamku sekundy przeanalizował swoje położenie. Nie mógł, bezbronny, rzucić się do walki z trzema uzbrojonymi, wyszkolonymi facetami.

Jedyna droga na zewnątrz została odcięta. Może wprawdzie uciekać w górę, ale tam też znajdzie się w potrzasku. Wybierając jednak pomiędzy śmiercią natychmiastową a odroczonej wybrał to drugie rozwiązanie. Nie miał pojęcia, kim są mężczyźni, którzy ich zaatakowali.

Przemytnikami, terrorystami mającymi tu kryjówkę? Jakoś nie mieściło mu się w głowie, że powodem ataku jest starożytna tablica. Cóż takiego oznacza ten napis, skoro wart jest czyjejs śmierci? I skąd napastnicy wiedzieli o odkryciu? A może w jaskini znajduje się coś jeszcze?

Nie miał czasu do namysłu. Energicznie wyszedł na brzeg, ściągnął płetwy. Lampa nadal jarzyła się na stelażu. Postanowił jej nie gasić. Rozpaczliwie rozglądał się za czymkolwiek, co mogłoby posłużyć za broń. Kamienie? Uniósł spory głaz i widząc wypływającego napastnika, spuścił mu go na głowę.

Rozległ się trzask pękającego szkła w masce i bandzior znikł pod powierzchnią. Po chwili jednak, plując wodą, wynurzył się po drugiej stronie podziemnego jeziora. Zgrzytnął zamek suchego kombinezonu. Zaraz potem rozległ się trzask tłumika i kula minęła o cal Jacka, zajętego fotografowaniem płyty. Mirski przypadł do ziemi, i pełznąć, schował się za płytę.

Kolejnych strzałów jednak nie było. Morderca widocznie bał się uszkodzić obiekt. A więc jednak chodzi im o płytę!!! Wcisnął komórkę pod kombinezon, a następnie szybko wyciągnął

rękę i szarpnął za nóżkę statywu. Lampa upadła w żwir i pękła z hukiem. Podziemia pograżyły się w mroku. Jacek wcześniej obmyślił plan, zanim więc bandzior odszukał i zapalił swoją latarkę, on dał potężnego susa w górę. Posypały się żwir i skalne okruchy. Strop jednak wytrzymał. Jacek podciągnął się i czepiając się skał, dotarł na górę jaskini.

Z dołu dobiegały przekleństwa miotane amerykańską angielszczyzną. Potem rozległ się chłopot wypływających ludzi i przytłumiona rozmowa. Najwyraźniej napastnicy zastanawiali się, co robić. Światło świecące z dołu pozwalało Jackowi rozejrzeć się po pomieszczeniu.

Komora, w której się znalazł, miała około dwudziestu metrów kwadratowych. Połowa podłogi zapadła się zapewne podczas trzęsienia ziemi, w pozostałej części zauważył dzbany na wodę i wino, prosty kielich, czarę i miskę. Liczne lampki oliwne i rylce wskazywały, że znalazł się w pracowni rytownika. Z jednego rogu odchodził wąski kręty korytarz, jednak trudno go było penetrować, mając na karku bandziorów.

Napastnicy tymczasem wyraźnie go zlekceważyli. Żaden nie podążył za nim na górę.

Może uznali, że jest już niegroźny, a może mieli wobec niego inne plany? Rozmawiając półgłosem, naradzali się przez dłuższy czas. Potem usłyszał ich stękanie, szorowanie płyty po żwirze, wreszcie donośny plusk.

Czyżby odpływali? Może wystarczył im sam łup? Mało prawdopodobne. Dopełził do otworu. Poniżej panował mrok, jeśli nie liczyć słabego światła oddalających się latarek. A potem zobaczył coś jeszcze: rubinowe oczko pulsujące tuż przy ścianie.

Detonator!

Zawodowcy nie chcieli zostawić po sobie żadnych śladów. Na moment strach chwycił go za gardło, ale nie odebrał mu zdolności myślenia.

Rozwazał, czy nie skoczyć i nie spróbować rozbroić bomby. Po ciemku, bez narzędzi, było to niewykonalne. Zawrócił i wpadł w zauważony wcześniej korytarz. Potykając się, macał przestrzeń przed sobą. Tunel w wulkanicznej ścianie wykuła bezsprzecznie ludzka ręka. Ale czy zaprowadzi do jakiegoś wyjścia? Na koniec trafił na gładką skałę. Oświetlając przestrzeń wyświetlaczem komórki, zorientował się, że korytarz zakręca pod ostrym kątem i wiedzie w dół.

Błysnęła mu myśl, że powinien zrobić coś jeszcze: zadzwonić. Jeszcze raz połączył się z numerem Roberta. Ten nadal nie odbierał. Nagrał się po raz drugi:

– Zabili Kostasa. Zabrali płytę. Chyba Amerykanie! Zaminowali grotę. Zaraz prześlę ci fotografię całej inskrypcji. Uważaj na siebie. Zawiadom Arię.

Potem zmienił opcje w telefonie i pocztą elektroniczną próbował wysłać fotografię całego napisu na adres brata. To było teraz najważniejsze. Jeśli nie przeżyje, jego śmierć nie pójdzie na marne. Robert i Aria opublikują zdjęcie. Ktoś rozszyfruje przekaz. Szybko!

Nim jednak wcisnął ENTER nastąpił wybuch. Najpierw jeden, a po nim seria detonacji.

Podmuchał wytrącił mu telefon z ręki, a jego cisnął na ziemię. Osłaniając głowę dłońmi, czekał na pewną śmierć. Dookoła słyszał łomot walących się skał, tony kamienia sypały się do podmorskiej groty, do jego piersi wdarł się pył, ale nie ugodził go ani kamyczek...

Przeżył! Odcinek chodnika, w którym przebywał, w zadziwiający sposób ocalał. W

nieprzeniknionych ciemnościach nie mógł ocenić rozmiaru zniszczeń. Dłuższą chwilę macając wokół siebie, próbował odnaleźć upuszczoną komórkę. Daremnie. Była to robota na wiele godzin, i to dla Kopciuszka, bo cały korytarz przykrywał pył, żwir i glina. Na szczęście wymacał na przegubie zegarek. Podświetlił tarczę. Działał. Poświata była jeszcze słabsza niż w komórce, ale w kompletnej ciemności dobre i to. Spróbował cofnąć się do jaskini, w której mieściła się pracownia rytownika, ale po paru krokach natrafił na jedno wielkie rumowisko.

Zawrócił. Dotarł do zakrętu chodnika, przed którym zatrzymał się uprzednio, przecisnął się jednak dalej przez prawdziwe ucho igielne i znalazł się w kolejnym, większym pomieszczeniu, wyjątkowo dusznym i suchym. Wskazywało to, że świeższe powietrze dotarło tu dopiero po ostatnim trzęsieniu ziemi, ale rozchodziło się z trudem. Pełznąąc na czworakach, wymacał przed sobą jakieś przedmioty, znów posłużył się podświetlaczem zegarka.

Przed sobą miał zadziwiająco dobrze zachowane chodaki, podobne do tych, jakie do dziś noszą mieszkańcy Bliskiego Wschodu. Obok stał dzban, z którego dawno wyparowała ciecz, i lampka, wypełniona do połowy zaschniętą oliwą, zachował się nawet knot. Na krawędzi kamiennej ławy, czy może niszy, której wnętrze tonęło w mroku, wymacał dwa kamyki... Do cholery, to krzemień, starożytna zapalniczka. Czyżby była szansa na zapalenie lampki...

Szukając czegoś, co mogłoby posłużyć za hubkę, odnalazł zetlałe strzępki pradawnej tkaniny. Zaczął krzesać... Ile wieków temu w tej jaskini ktoś dokonywał podobnej czynności?

Hubka zatliła się, knot zakopcił, pojawił się niewielki ogieniek. Zaraz zgasł, prawdopodobnie w grocie było za mało tlenu. Wystarczyło jednak, by Jacek mógł omieść wzrokiem całe pomieszczenie.

Znajdował się w sypialni przerobionej na grobowiec. Ława, przy której klęczał, okazała się szerokim kamiennym łóżem, na nim dostrzegł wysuszone, ale kompletne zwłoki mężczyzny, starca o nieprawdopodobnie długich siwych włosach i brodzie. Śmierć nie nastąpiła nagle. Rytownik wydawał się być na nią przygotowany. Wskazywały na to złożone ręce, a w nich...

Lampka zgasła, ale Jacek, starając się nie dotykać zwłok, najbliżej jak tylko mógł

podsunął przegub z zegarkiem. Natychmiast zauważył, że wyschnięte palce zmarłego nie mają paznokci. Jednak nie to zdumiało go najbardziej. W seledynowej poświacie zegarka zauważył czarny krzyżyk z wulkanicznego obsydianu, trzymany kurczowo przez starca.

Wielkie nieba, a zatem rytownik, jeśli to jego ciało znajdowało się na łożu, był jednym z pierwszych chrześcijan... Mirski nie był szczególnie religijny, jednak ogarnęło go wzruszenie.

Na chwilę zapomniał o swoim losie, przeniósł się myślami do czasów mieszkańca podziemi, któremu przez całe tysiąclecia nikt nie zakłócał śmiertelnego spokoju. Kim był? Z pewnością nie prostym wieśniakiem. Pustelnikiem? Ci jednak pojawili się znacznie później.

Odszczepieńcem, którego wydalila gmina? Może więźniem? Największą zagadką było jednak, co chciał przekazać, pisząc na marmurowej tablicy. I dlaczego zaszyfrował treść?

Ponowne próby zapalenia kaganka nie dały rezultatu. Pozostawała macanka i zegarek. W

pomieszczeniu znalazł jeszcze resztki drewnianego cebrzyka wypełnionego skamieniałą gliną.

Po co temu człowiekowi potrzebna była tutaj glina?

Kolejna macana próba ujawniła niski otwór prowadzący dalej. Po paru metrach, które musiał pokonać na czworaka, Jacek znów znalazł się na znacznie szerszym chodniku. Uszedł

nim jeszcze kilkanaście kroków i potknął się na pierwszym stopniu kamiennych schodów wiodących w górę. Dobry Boże! Czyżby było stąd wyjście?

Niestety, od czwartego stopnia zaczynało się ogromne rumowisko.

Jego stan wskazywał, że nie powstało w efekcie detonacji czy niedawnego trzęsienia ziemi. Wejście najprawdopodobniej zawaliło się, lub zostało zawalone, przed wiekami, grzebiąc jaskinię i jej mieszkańca. Może zresztą ten zawal nie był przypadkowy i z jakiegoś powodu postanowiono pozostawić tu na wieki samotnego rytownika? Sunąc dłońmi po gładkiej ścianie, Mirski wyczuł regularne wgłębienia. Napis? Nacisnął podświetlenie zegarka i odczytał inskrypcję wydrapaną na ścianie. Imię starożytnego intelektualisty – IQANNE.

Wzruszenie ścisnęło mu gardło. Naraz wszystko stało się niesamowicie oczywiste, wstrząsające. I w tym momencie, gdzieś z trzewi góry doszedł do niego cichutki dźwięk. Nie pomyliłby go z żadnym

innym! *Marsz Radetzky'ego*. Sygnał jego komórki. Dzwoniono do niego! Puścił się pędem z powrotem, na czworakach przeleciał korytarzyk, minął grobowiec.

Biegł po omacku, ufając swojej pamięci. Zapomniał o obniżeniu tuż przed zakrętem.

Uderzenie w głowę omal nie rozłupało mu czaszki. Runął w mrok nieświadomości. A telefon dzwonił, dzwonił i dzwonił.

2.

Ślady, tropy, zbrodnie

Robert nie odebrał telefonu od brata z bardzo prostego powodu. Swoją komórkę zostawił

w plecaku w szatni Narodowego Muzeum Archeologicznego w Atenach. Nieświadomy dramatu rozgrywającego się na Patmos, spokojnie oglądał przebogate zbiory sztuki antycznej.

W sali poświęconej kulturze mykeńskiej na dłuższą chwilę zatrzymał się przy szczerozłotej masce znalezionej przez Schliemanna w mykeńskim „skarbcu Atrydów”. I choć naukowcy utrzymywali, że nie mogła ona należeć do Agamemnona, ponieważ powstała dużo wcześniej, niż Grecy podjęli wyprawę pod Troję, Mirski, patrząc na nią mimowolnie przenosił się myślami w epokę *Iliady*. Dzięki bratu sporo czytał i choć z historii wołał dzieje najnowsze, znał takie fundamentalne prace jak *Bogowie, groby i uczeni Cerama* czy *Wieczność piramid i tragedia Pompei*. Od Pięknej Heleny jego myśl przeskoczyła ku współczesnej Arii, jednak natychmiast odgonił od siebie obraz pięknej Greczynki. To była dziewczyna brata! Świętość!

O tym, by sprawdzić pocztę głosową przypomniał sobie dopiero jedząc lody na placu Omonia. Dobre cztery godziny za późno.

„Masz dwie nowe wiadomości” – usłyszał.

Pierwszej wysłuchał z zainteresowaniem, drugiej z przerażeniem.

Natychmiast oddzwonił do brata. Raz, drugi, trzeci. Jacek nie odbierał.

Czwarty telefon, zgodnie z jego poleceniem, wykonał do Arii. Greczynka wysłuchała go z zaskakującym opanowaniem.

– Bierz taksówkę i jedź na Glifadę – poleciła.

– A ty?

– Dojadę tam. Po drodze zorientuję się w sytuacji.

– Zawiadomisz policję?

– Zrobię wszystko, co będzie konieczne.

Przejazd przez zakorkowane Ateny zajął Robertowi około godziny. Greczynka już czekała w mieszkaniu Jacka. Oczy miała zaczerwienione, ale suche. W półmroku pulsował

monitor laptopa.

– Nic nie przyszło! – powiedziała, nerwowo zaciągając się papierosem. (Dotąd nie zdradzała się, że

pali). – Komórka Jacka też nie odpowiada. To znaczy jest włączona, ale nikt jej nie odbiera. Nie to jest jednak najgorsze. – Zmieniła opcje i monitor komputera stał się ekranem telewizyjnym. – W kółko powtarzają informację o incydencie na wyspie Patmos.

Katastrofie małej łodzi policyjnej i podziemnym wstrząsie... Oczywiście nie mówią wszystkiego. W żadnym z doniesień nie ma ani słowa o zamachu i rabunku... Biedny Jacek!

Robert ciężko opadł na kanapę. Tak bardzo chciał, żeby to wszystko było koszmarnym snem.

– Mam jeszcze informacje z własnych źródeł – kontynuowała dziewczyna. – Wszystko wskazuje na to, że z całej grupy nikt nie przeżył. Ani w grocie, ani na statku.

– Wiadomo chociaż, co tam się stało? – Chłopak desperacko walczył ze łzami cisnącymi się do oczu.

– W tej chwili rozważane są różne hipotezy. Tonącą motorówkę zauważyli z lądu miejscowi wieśniacy, ale zanim zawiadomili policję, a ta zorientowała się, co się stało, minęło parę godzin. Dlatego obławę i poszukiwania napastników rozpoczęto zdecydowanie za późno.

Ci, którzy to zrobili, jeśli mieli odpowiednio szybką łódź, mogli już dotrzeć do Turcji.

– Ale dlaczego to zrobili?

– Ty możesz wiedzieć lepiej niż ja. – Sięgnęła do lodówki i wyciągnęła dwa zimne piwa, które nie dalej jak poprzedniego wieczoru Robert kupił z Jackiem w sklepiku na rogu. – Jacek wspominał mi o jakimś starożytnym znalezisku.

– Znalezisko! Rzeczywiście. To jedyny punkt zaczepienia! – Rozpacz i ból nie odebrały mu zdolności logicznego myślenia. Pokazał Arii fotografię antycznej tablicy, list od Anette, i zwięźle zrelacjonował teorie, które na temat tablicy wysnuł jego brat. Potem wręczył jej swoją komórkę.

Wysłuchiwała obu nagranych wiadomości ze ściągniętymi brwiami. Wargi jej drżały.

Widać było, że próbuje zapanować nad emocjami, ale kiedy przekaz dobiegł końca, przytuliła się do Roberta i wybuchnęła płaczem. Po chwili płakali oboje.

* * *

Resztę popołudnia i cały wieczór zajęły Robertowi przesłuchania i rozmowy z przedstawicielami władz. Grecy byli dociekliwi, nieufni, choć kulturalni. Zabezpieczyli laptopa i przegrali pocztę głosową z komórki. Dopytywali się szczególnie o kontakty brata ze środowiskiem kolekcjonerów i handlarzy dziełami sztuki. Młody Mirski nie wiedział nic na ten temat, a kiedy dotarło do niego, że rozważana jest możliwość, iż jego brat sam nadał

informację o znalezisku nielegalnym handlarzom, nieomal wpadł w furję. W odwecie nie pisnął nawet słowa na temat koncepcji dotyczących napisu, o rzymskich cyfrach zapisanych greką ani o prawdopodobnym szyfrze. Niech sami sobie łamią głowę! Dzięki Bogu, przed oddaniem komputera Aria skopiowała wszystkie materiały dotyczące znaleziska na dyskietkę.

Tymczasem laptop, po interwencji ambasady, został przekazany w ręce jakiegoś polskiego urzędnika o smutnej twarzy, pracownika tajnych służb, i wyglądało na to, że nieprędko wróci do rodziny.

W trakcie owych nużących przesłuchań w siedzibie policji pojawił się osobiście wiceminister kultury i turystyki Alexander Leros, potężny mężczyzna o lwiej grzywie siwych włosów opadających na ramiona. Robert znał słynnego pisarza tylko ze słyszenia, ale widział

skandalizujący film *Maria z Magdali* nakręcony na podstawie jego głośnej powieści, nazywany przez krytyków morderczą odpowiedzią na słynną *Pasję* Mela Gibsona. Chrystus został przedstawiony w niej jako sprytny szaman, który wspólnie z byłą wszetecznicą upozorował własną śmierć, a następnie zmartwychwstanie i wniebowstąpienie. Leros nie szczędził Mirskiemu słów otuchy, gratulował odkrycia w jaskini i obiecywał urządzić pogrzeb Jacka z ceremoniałem należnym dyplomatom.

– Jeśli kiedykolwiek mógłbym w jakiś sposób pomóc, proszę się nie krępować. To jest wizytówka z moim prywatnym numerem telefonu – mówił, ściskając rękę młodego Polaka.

Mirski wyszedł z komisariatu późnym wieczorem. Aria czekała w hondzie Jacka, z najświeższymi informacjami, które dotarły z Patmos. Niestety, nie były krzepiące. Policyjni pletwonurkowie zbadali wrak zatopionej łodzi, odkryli ciała naukowców i policjantów.

Brakowało jedynie zwłok Jacka Mirskiego i wszystko wskazywało na to, iż nie zostaną odnalezione. Wejście do groty okazało się niemożliwe – cały komin wypełniły skały, które osunęły się z góry. Ktokolwiek znajdował się wewnątrz jaskini, nie miał najmniejszych szans na przeżycie, dlatego kontynuowanie akcji ratunkowej uznano za bezcelowe. A jeśli chodzi o prawdopodobnych sprawców? Motorowy ponton z czteroosobową załogą, który widziano w godzinach porannych w pobliżu tragicznej zatoki, rozpląnął się pośród innych podobnych jednostek, tłumnie krążących po tych wodach. Zrewidowanie tureckiego transportowca przepływającego w pobliżu nie przyniosło żadnych efektów, poza protestacyjną notą rządu w Ankarze.

Kiedy ruszali spod gmachu ateńskiej policji, Robert odniósł wrażenie, że jest obserwowany. Pozostawiając Arii manewrowanie hondą Jacka, zwrócił uwagę na niewielkiego peugeota, który zaraz za nimi zapalił światła i włączył się do ruchu. Twarz kierowcy, mężczyzny o oliwkowej cerze z wielką czarną brodą, wydała mu się znajoma, chociaż nie potrafił sobie przypomnieć, gdzie i kiedy go widział. Zwrócił na niego uwagę pannie Mavreli.

– Nie ma problemu, zaraz go zgubimy! – Roześmiała się i dotrzymała słowa. Niczym zawodowy kaskader złamała parę przepisów, w tym na czerwonym świetle przeleciała skrzyżowanie koło świątyni Zeusa, i już bez „ogona” dowiozła Roberta do apartamentu, pod którym po południu zostawiła swojego mercedesika.

– Wpadniesz na herbatę? – spytał Robert.

– Nie dam rady. Mam jeszcze parę telefonów do wykonania. Zajrzę rano.

Nie nalegał. Był śmiertelnie zmęczony i marzył o tym, żeby się położyć. Chciał jak najszybciej uciec

z tej rzeczywistości, w której każdy sprzęt, każda myśl przypominała mu, że stracił brata. Więcej – swojego mistrza.

Mieszkanie poraziło go pustką i ciszą dzwoniącą w uszach. Żaden sprzęt nie zmienił

swego miejsca, a jednak apartament sprawiał wrażenie, że opuściła go rzecz najważniejsza –

jego duch! Płaszcz, który Jacek wkładał w chłodniejsze dni, wciąż wisiał na wieszaku, podobnie kapelusz... Po twarzy Roberta popłynęły łzy. Idąc w stronę sypialni, zauważył, że na sekretarce pulsuje czerwona lampka. Wszystkie pięć zarejestrowanych wiadomości pochodziło od matki. Zagryzając wargi, słuchał jej głosu nabrzmiałego rozpaczą. Dopytywała się, czy są jakieś nowe wiadomości o Jacusiu. Nowe wiadomości?! Jakby mogło pojawić się coś nowego. Zazdrościł matce nadziei, której on nie potrafił w sobie wykrzesać. Rozmowa z nią przed ośmioma godzinami była jednym z najtrudniejszych momentów w jego życiu.

Długo wahał się, zanim wykręcił numer. Wreszcie zrobiła to za niego Aria, po czym wyszła z pokoju, zostawiając go samego ze słuchawką, która w tym momencie ważyła tonę. Krystynę Mirską w pierwszej chwili замуrowało. Potem poprosiła, żeby powtórzył jej jeszcze raz wszystko po kolei. Na koniec zapytała:

– A więc nie znaleziono go?

– Nie, mamusiu, nie znaleziono.

– W takim razie ciągle żyje. I musisz go odnaleźć!

Próbował wytłumaczyć jej, że to niemożliwe, że zna opinię fachowców... Odparła wszystkie argumenty krótkim stwierdzeniem.

– Gdyby umarł, wiedziałabym o tym!

Podczas rozmów z przedstawicielem ministerstwa próbował poruszyć tę kwestię, pytając:

– A jeśli mój brat przeżył wybuch, i uwięziony w jakiejś rozpadlinie czeka na pomoc?

– Ze względu na skalę tąpnięcia to wykluczone – odparł ekspert. – Ślad zapadliska widoczny jest nawet na powierzchni wyspy. Do jaskini wpadło setki ton materiału skalnego.

Przekopanie się przez to wszystko wymagałoby sprzętu, ludzi, i zabrałoby długie tygodnie.

Zresztą sprawdzaliśmy ewentualność, że ktoś przeżył. Czujniki dźwiękowe i cieplne nie wykazały najmniejszych śladów życia. Podobnie reagowały psy. Jeśli nawet eksplozja nie zmiotła pana Mirskiego do studni, jego martwe ciało znajduje się ponad sto pięćdziesiąt metrów pod ziemią przywalone tonami skał.

Nie chciał opowiadać o tym matce. Przynajmniej nie dziś. Postanowił nie oddzwaniać, ale zanim dojrzał do łóżka, telefon znowu się odezwał.

– Jesteś wreszcie, Robercie. Dowiedziałeś się czegoś nowego? – dopytywała się matka.

Możliwie najogólniej przekazał wszystko, czego dowiedział się podczas przesłuchań.

Chyba jej nie przekonał.

– Powinieneś pojechać na tę wyspę – orzekła kategorycznie. – Sama bym to zrobiła, ale ojciec po wylewie wymaga opieki. Na razie nic mu nie powiedziałam. Po co go martwić niesprawdzonymi informacjami. Pojedziesz?

Co miał zrobić? Obiecał, że pojedzie, głęboko przekonany o bezsensowności takiego działania. Finanse chwilowo nie stanowiły problemu – miał około dziewięćset euro w gotówce, poza tym Jacek zostawił mu swoją Master Card i podał PIN. Kiedy matka wreszcie się rozłączyła, Robert postanowił pogadać na ten temat z Arią.

Jej numer miał zapisany w komórce, nacisnął więc przycisk i w tym momencie zorientował się, że wybrał połączenie z komórką Roberta. Absurd! Odczekał jednak pięć dzwonek i dopiero potem się rozłączył. Numeru Arii już nie wybrał, po prostu zasnął.

* * *

Marsz Radetzky'ego. Znów ten cholerny *Marsz Radetzky'ego!* Jacek, który powoli odzyskiwał przytomność, teraz ostatecznie otrzeźwiał. Czuł się fatalnie – pulsujący ból głowy, zakrzepła krew na całej twarzy. A w ustach wysuszony język przypominający kołek. I ten przytłaczający mrok podziemi. Sygnał komórki zabrzmiał raz jeszcze. Cholera, ktoś naprawdę do niego telefonuje. Niczym leżący na deskach bokser, liczony przez sędziego, dokonał nadludzkiego wysiłku. Stał na miękkich nogach. Kolejny sygnał. Jeszcze parę kroków... Ręka pogrzyżyła się w kurzu i odnalazła rozświetloną nokię, kiedy ta dzwoniła po raz piąty. Przyłożył aparat do ucha. W tym momencie dzwoniący się rozłączył. Pozostał

jednak ślad w postaci znajomego numeru. Robert! Kochany braciszek, ciągle go szuka.

Natychmiastową pokusę, by oddzwonić, zakomunikować, że żyje, powściągnęła informacja na wyświetlaczu: BATTERY LOW. Komórka padała. Być może udałoby mu się raz połączyć, ale czy nie lepiej wysłać dwie informacje w jednej? Chciał koniecznie przesłać zdjęcie inskrypcji, której wagę rozumiał lepiej niż ktokolwiek inny. Wybrał adres mailowy Roberta. Jego własny nie wydawał się bezpieczny. Nacisnął przycisk. Chwilę potem ekran pociemniał...

Zaśmiał się gorzko. Miał bardzo dużo czasu na zastanawianie się – wysłał, nie wysłał? I kolejna kwestia: kiedy brat wpadnie na pomysł odebrania poczty ze swojej polskiej skrzynki.

„Tylko cud może nas uratować!”. Z archiwum pamięci dobiegło ulubione powiedzonko babci, powtarzane najczęściej podczas domowych rozgrywek w karty. Nigdy nie brzmiało bardziej serio niż teraz. Czuł się jak skazaniec oczekujący w celi śmierci na wykonanie wyroku. Bez jedzenia, a co gorsze, bez wody, nie miał szans na przeżycie. Mógł nawet próbować obliczyć, kiedy nastąpi kres. Czytał o ludziach zasypanych w kopalniach, którzy potrafili przetrwać nawet tydzień i doczekać się

ratunku. Jednak większość z tych nieboraków mogła spodziewać się jakiejś pomocy, a on...

Wracając chodnikiem, co pewien czas uderzał kamieniem w ścianę, szukając jakiejś pustej przestrzeni, ale dźwięk wydawał się grzęznąć w wulkanicznej skale. Z zewnątrz też nie docierał najmniejszy odgłos. Żeby chociaż huk fal rozbijających się o brzeg!!

Żadnych szans. Czarna rozpacz! I wściekłość!

Nie będę biernie czekał na śmierć!, powtarzał sobie. Ciągłe był żywy, sprawny, chwilowe zamroczenie, będące wynikiem uderzenia, mijało. Dotarł do rumowiska zawałającego schody.

Uniósł jeden kamień i przeniósł w głąb korytarza za sobą. Potem drugi. Miał przynajmniej jakieś zajęcie...

* * *

Aria przyjechała na Glifadę bladym świtem, z siatką pełną śniadaniowych zakupów.

Świeża, z delikatnym, ale starannym makijażem, przypominała gwiazdę filmową. W dodatku z filmów akcji. Żadnych łez, rozpacz, same rzeczowe informacje.

– Mam wieści z Turcji – zaczęła, zabierając się do smażenia jajecznicy. – Rzucają trochę światła na naszą sprawę. Tę pieczarę pod wyspą Patmos odkryłeś ósmego, prawda?

Robert potwierdził.

– Dziewiątego eksplorowali ją Lars Johanssen i...

– Horst. Horst Mulden. Potem miała zwiedzić ją reszta nurków, ale popsuta się pogoda.

– Wiem, dziesiątego „Tryton” przepłynął na drugą stronę Samos i tam Mulden zszedł na ląd?

– Podobno odnowiły mu się wrzody żołądka.

– Taaak! – Aria pokiwała głową. – Wrzody! Poważna sprawa! Nie przeszkodziło mu to podróżować w następnych dniach po wybrzeżu Azji Mniejszej. Jedenastego pojawił się w Izmirze i tak balował w miejscowych lokalach, że aż spisała go policja. Potem dwa dni było o nim cicho, za to piętnastego morze wyrzuciło jego zwłoki koło kurortu Kusadasi, w którym wynajął pokój... Policja na podstawie stwierdzonych obrażeń, między innymi złamanej podstawy czaszki, uznała, że spadł ze skał... Spadł albo ktoś mu w tym pomógł.

Równocześnie ustalono, że tej samej nocy ktoś buszował w jego pokoju w hotelu.

Robert popatrzył na nią z niekłamanym podziwem.

– Skąd o tym wszystkim wiesz?

– Znam turecki, swobodnie czytam tamtejsza prasę, poza tym potrafię wejść nawet na zastrzeżone strony policyjne – odparła spokojnie, rozstawiając talerze na stole. – Drażąc dalej tę kwestię, próbowałam dowiedzieć się czegoś więcej o panu Muldenie. Pewnie nie miałeś pojęcia, że obok nurkowania twój starszy kolega miał jeszcze jedno hobby – paserstwo, ze specjalizacją „dzieła sztuki”. Jest notowany w ojczystej Bawarii, a parę lat temu dostał wyrok w zawieszeniu.

– Nie do wiary!

– To jednak nie koniec niezwykłej historii rejsu „Trytona”. Siedemnastego jacht zawinął

do portu na wyspie Naxos, dotychczasowi uczestnicy wycieczki udali się na lotnisko, a Johanssen, w oczekiwaniu na przybycie następnej grupy nurków, szwendał się po miasteczku.

Miał pecha, staranowała go ciężarówka należąca do miejscowego chłopca. Sprawca wypadku zbiegł.

– A co z Larsem? Nie żyje?!

– Z tego co wiem, przeżył, ale jest mocno połamany i leży w szpitalu, tu, w Atenach. Co ciekawe, właściciel ciężarówki twierdzi, że kwadrans przed wypadkiem ktoś ukradł mu samochód sprzed domu. Sam ma doskonałe alibi: kiedy zdarzył się wypadek, przebywał

właśnie na posterunku policji.

– Rany boskie! – Ręka Roberta z kanapką zawisała w połowie drogi do ust. – W co myśmy wdepnęli?

– W coś bardzo poważnego. – Aria wstała, podeszła do kuchennego blatu i wróciła z kawą. – Jadąc przez miasto, zastanawiałam się nad możliwym przebiegiem wydarzeń.

– I do czego doszłaś?

– Mam wrażenie, że twoje przypadkowe odkrycie bardzo zainteresowało Muldena.

Przypuszczam jednak, że wkręcił się na ten rejs, wężąc za czymś zupełnie innym...

– Fakt, nie mógł przecież wiedzieć, że trzęsienie ziemi otworzyło wejście do grot.

– Jednak gdy się dowiedział o znalezisku, błyskawicznie zmienił plany.

– Ale ja nie mówiłem nic o tablicy, bo sam nie wiedziałem, że ją sfotografowałem.

– Widocznie musieli natrafić na nią z Johanssenem, kiedy zabrali się za penetrację jaskini. Komuś, kto wcześniej zajmował się handlem kradzionymi przedmiotami, odkrycie zabytkowej tablicy musiało podsunąć pomysł zrobienia dobrego interesu.

– Tyle że Lars nie wyglądał na kryminalistę.

– Mało kto wygląda. Ale rzeczywiście, wcale nie musiał być współnikiem. Wystarczy, że Mulden

jakimś sposobem przekonał go, by nie mówił o tablicy reszcie kolegów, tylko zarządził zmianę miejsca nurkowania. Po czym sam pod byle pozorem zszedł na ląd.

Zapewne w Izmirze nawiązał kontakt z podobnymi do siebie osobnikami, nadał im sprawę tablicy i opił interes.

– A ci wspólnicy, zamiast dzielić się z Horstem przyszłym zyskiem, postanowili wydobyć ją sami?

– Tak sądzę. Jednak tu mamy kolejny problem. – Zrośnięte brwi Arii zmarszczyły się w intensywnym namyśle. – Dlaczego tablica była aż tak łakomym kąskiem, że aby ją zdobyć, zdecydowano się na zabicie siedmiu ludzi? Przecież nie była ze złota!

– Może złodzieje po prostu spanikowali?

– To dość naciągane rozumowanie. Trudno mi uwierzyć, że drobne złodziejaszki, wybierające się na penetrowanie groty, o której istnieniu nikt nie wie, przybywają uzbrojeni jak komandosi. Mają przygotowane ładunki wybuchowe wystarczające do zasypania wielkiej jaskini. I to w dodatku takie, których można użyć pod wodą.

– Rzeczywiście, dziwne... Ale może dostali skądś cynk o wyprawie Jacka, musieli się śpieszyć...

– Też o tym pomyślałam. Dlatego bardzo uważnie przyglądam się działaniom naszej policji. A w sukces śledztwa raczej nie wierzę. Policja podejrzewa zwykłych złodziei sztuki.

Ja myślę, że klucz do zagadki nie tkwi w samym artefakcie, ale w wyrytej na nim inskrypcji.

– Jacek mówił mi, że płyta ma parę tysięcy lat. Jednak nie mam pojęcia, jaki tekst mógłby mieć aż taką wagę.

– Nie jestem dobra w fantazjowaniu, ale być może jest tam zawarta informacja o jakimś skarbie.

– Już prędzej recepta na kamień filozoficzny!

Uśmiechnęli się oboje. W tym samym momencie zapiszczała komórka Greczynki. Aria wstała, podeszła do okna i odczytała SMS-a.

– Zbieramy się – zarządziła. – Dostałam wiadomość, że twój przyjaciel Johanssen dziś rano odzyskał przytomność. Jeśli się pośpieszymy – spojrzęła na zegarek – zdążymy odwiedzić go w szpitalu. Mam jeszcze godzinę do spotkania z moją grupą Chińczyków.

Istnieje szansa, że tobie, koledze, powie więcej niż policji. Co ty na to?

– Jak na lato.

* * *

Szpital, do którego przewieziono Johanssena, znajdował się we wschodniej części Aten, z niższą i

mniej zwartą zabudową. Pawilony, nowoczesne białe prostopadłościowy wśród soczystej, nieustannie zraszanej zieleni, kontrastowały ze spalonymi letnim żarem wzgórzami dookoła. Skandynawa umieszczono w jednoosobowym pokoju na oddziale ortopedii.

– Bardzo się ucieszy z waszej wizyty – poinformowała ich starsza pielęgniarka z recepcji. – Od rana jest przytomny. Zaprowadzę państwa...

– Sami trafimy! – podziękowała Aria.

Idąc korytarzem, minęli jakiegoś wielkiego łysego mężczyznę w fartuchu lekarskim, sądząc po potężnych łapskach i masywnym torsie, ani chybi chirurga. Przeszył ich wzrokiem ostrym niczym skalpel, jakby byli parą wyrostków robaczkowych czekających na operację, i zniknął w windzie.

Przed pokojem Johanssena nie zastali nikogo. Widocznie uznano za bezcelowe zostawianie policjanta.

Aria zapukała, ale ponieważ nie padła ani zachęta, ani odmowa, pchnęła drzwi.

Pierwszą rzeczą jaką zobaczyła, były zastygłe w przerażeniu oczy pletwonurka, wpatrujące się w drzwi. Lars, cały w gipsie, nie żył.

Greczynka dobiegła do łóżka. Dotknęła ciała.

– Skręcili mu kark. Przed chwilą – oznajmiła. Robert mimowolnie pomyślał o wielkim chirurgu spotkanym na korytarzu, i przebiegł go dreszcz.

– Wezwiemy policję? – zapytał.

– Inni to robią. Nic tu po nas! – Parę sekund potem zbiegali schodami ewakuacyjnymi na parking.

Aria wysadziła Mirskiego przy przystanku autobusowym, a sama popędziła na spotkanie z grupą z Tajwanu, z którą miała zaplanowaną wycieczkę po mieście.

– Do zobaczenia wieczorem! – rzuciła na pożegnanie.

Było jeszcze bardzo wcześnie i Robertowi nie uśmiechał się samotny powrót na Glifadę.

Z drugiej strony samotne zwiedzanie zabytków zupełnie go nie pociągało. Nieopodal przystanku znajdowała się kawiarenka internetowa, pusta o tej porze. Przyszło mu do głowy, żeby wejść, zajrzeć na strony Onetu, przeczytać parę wiadomości z kraju, a przy okazji sprawdzić pocztę. Od ponad czterech dni nie zaglądał do swojej skrzynki. Zasiadł przed klawiaturą, wprowadził login, wystukał hasło. Pojawił się napis „Masz 7 nowych wiadomości”. Aż siedem! I w tym momencie znów zobaczył tego brodacza. Stał tuż przy szybie na zewnątrz kawiarenki i przypatrywał się Mirskiemu. Chłopak błyskawicznie przerwał ściąganie poczty i podszedł do barku.

– Jest tu jakieś tylne wyjście? – zapytał.

Dziewczyna w pierwszej chwili zrobiła wielkie oczy, a potem, zapewne wychowana na amerykańskich filmach kryminalnych, wskazała niewielkie drzwi oznaczone jakimiś greckimi literami.

Udając, że zmierza do toalety, Robert w ostatniej chwili zmienił zamiar, skoczył w służbowe wejście, przebiegł jakimś korytarzem i wypadł na podwórko.

Przez moment bał się, że tam też na niego czekają, ale nie – śledzący nie zabezpieczył tyłów.

– Na starą agorę – rzucił, wskazując do wolnej taksówki.

Brodacz chyba tym razem odpuścił, bo nic nie wskazywało na to, żeby ruszył za nim w pościg. Robert jednak nie miał pewności, czy go zgubił. Nie wierzył w zbiegi okoliczności.

Ponadto przypomniało mu się, skąd zna tego faceta. To przecież ten sam pop z Delf, świadek śmierci współczesnej Pytii, tyle że dziś ubrany po cywilnemu...

W tłumie turystów poczuł się zdecydowanie lepiej. Przez całe popołudnie krążył po skwaronym terenie wykopalisk, z którego na dobrą sprawę pozostała jedynie świątynia Hefajstosa – Tezejon, i zrekonstruowane nazbyt współcześnie portyki – Stoa Attalosa. Przez cały czas pilnie wypatrywał tajemniczego popa, ten jednak się nie pojawił. Może zrezygnował?

Koło piątej Robert uznał, że wystarczy tego zwiedzania, przegryzł coś w snack barze na skraju Plaki i trzy razy zmieniając taksówki, wrócił do domu. Po drodze zadzwonił do Arii i opowiedział jej o brodaczu, który przeszkodził mu w odebraniu poczty. Dziewczyna nie mogła długo rozmawiać.

– Moim zdaniem nie masz się czego bać – uspokajała go. – Niczego nie wiesz o rabusiach, a więc nie jesteś dla nich groźny.

– Ale zrobiłem zdjęcie tej cholernej tablicy!

– Kawałkowi tablicy – poprawiła go. – I co z tego? Twoją fotografię zna już cała ateńska policja i połowa Ministerstwa Kultury i Turystyki. Wyluzuj! Wieczorem wpadnę do ciebie i wspólnie zastanowimy się, co robić dalej.

W mieszkaniu powitał go przyjemny chłód. Włączona rano klimatyzacja i opuszczone żaluzje zrobiły swoje. Marzył o prysznicu, ale nie mogąc opanować narastającej senności, runął na łóżko. Nie miał zresztą nic innego do roboty.

Spał mocno, choć niedługo. Może dwie godziny, najwyżej trzy, w każdym razie kiedy się ocknął, było już ciemno, tylko przez szczeliny w żaluzjach wpadało światło ulicznej latarni.

Sam dobrze nie wiedział, dlaczego się obudził i skąd wziął się ten dziwny porażający strach, który go ogarnął. W mieszkaniu ktoś był!

– Aria? – zapytał, ponieważż się zdając sobie sprawę z własnej głupoty. Dziewczyna zapaliłaby światło, przynajmniej w przedpokoju.

Nie było odpowiedzi, tylko mrok w sypialni jeszcze zgęstniał. Robert chciał się poderwać, ale silny cios powalił go z powrotem na łóżko. Usiłował krzyknąć, ale twarz przysłoniła mu gaza nasączona jakimś paskudztwem. Wirywał się, ale napastnik miał nad nim fizyczną przewagę. Był wielki, muskularny, śliski od potu. Chirurg!!!

Zresztą już po chwili Mirski stracił kontakt z rzeczywistością i zapadł w sen. Intruz zachichotał. Otworzył usta chłopaka i za pomocą rurki wlał mu do przełyku roztwór kilkunastu proszków nasennych. Potem zawlókł go do kuchni, odkręcił wszystkie palniki i wsunął głowę swej ofiary do piekarnika. Będzie wyglądało, że załamany śmiercią brata chłopak popełnił samobójstwo...

Nie zdejmując rękawiczek, zamknął od wewnątrz okno. Wychodząc, zatrzasnął za sobą drzwi i znikł, jakby go nigdy nie było...

* * *

– Obudź się, obudź! – Niczym przez grubą znieczulającą powłokę, w jaką zmieniła się jego skóra, czuł uderzenia, klepięcia, potrząsanie. Próbował otworzyć oczy. Ostry ból przewiercił mu czaszkę, a świat niebezpiecznie wirował.

– Masz, pij, koniecznie się napij! – nalegała Aria.

Wypił łyk pozbawionej smaku kawy. Jego powonienie drażnił smród gazu i własnych wymiocin.

– Co się stało?

Z wolna plamy świetlne zaczęły układać się w zarysy sprzętów i postaci.

– Co ci strzeliło do głowy, żeby się zabijać? – głos Greczynki dobiegał jak ze studni. –

Gdybym zjawiała się pół godziny później, nie dałabym rady cię odratować.

– Kto się chciał zabijać? – wykrzyknął. – Ja?!

– Chyba nie ja?! Najpierw łyknąłeś fiolkę proszków, a potem odkręciłeś gaz. Na szczęście gazu nie poleciało zbyt wiele i udało mi się wywołać u ciebie odruch wymiotny... A i tak nie mogłam cię dobudzić.

Wreszcie zaczął przypominać sobie, co się stało. Przełknął solidny łyk kawy. Potem jeszcze jeden.

– Chloroform – wybełkotał. – Uśpił mnie... Ten fałszywy chirurg ze szpitala... –

Rwanymi zdaniem opowiedział o napastniku, wielkim mężczyźnie, który wynurzył się z mroku.

Aria natychmiast spoważniała.

– Musimy się natychmiast stąd wynosić! – Usiłowała go podnieść, ale lał jej się przez ręce i szczekał zębami:

– Za... za... dzwoń na po... policję!

W tym momencie zadzwonił telefon. Dziewczyna zastygła bez ruchu. Na jej twarzy malował się gorączkowy namysł – odebrać, nie odebrać?

Po trzecim dzwonku włączyła się automatyczna sekretarka. Po angielsku i grecku informowała, że Jacka nie ma w domu, ale można zostawić wiadomość. Oboje wstrzymali oddech, czekając, kto się odezwie. Jednak telefonujący nie wypowiedział ani słowa.

– U... ciekaj...! On wróci sprawdzić, czy ja żyję. – Robert chciał wstać, ale zatoczył się i opadł na kanapę. – Co robisz?

Aria przyłożyła palec do ust i rozglądała się po mieszkaniu, jakby widziała je po raz pierwszy. Dopiero po jakichś trzech minutach przyszło jej do głowy, żeby zgasić światło.

Biegła w kierunku wyłącznika, kiedy w zamku zgrzytnął klucz (najwyraźniej dorobiony), poruszyła się klamka. Morderca wrócił! Aria skoczyła w stronę szafy, a Robert usiłował

przypomnieć sobie jakąś modlitwę z dzieciństwa.

Tym razem zobaczył napastnika w pełnym świetle: wysokiego byczka o czaszce ogolonej na zero, z twarzą praktycznie pozbawioną brwi i rzęs, za to o wystającej szczęce buldoga.

– A jak ty przeżyłeś, gnojku? – mruknął po angielsku. – Wyrzygałeś wszystko?

Prawdziwy z ciebie szczęściarz.

Mirski chciał wstać, jednak nadal było to ponad jego siły. Wiedział, że nie ma dla niego ratunku, i modlił się jedynie, aby morderca skoncentrował się na nim i nie zauważył

dziewczyny. Niestety, obaj prawie równocześnie dostrzegli torebkę pozostawioną na oparciu fotela. Rysy napastnika wyostrzyły się. Jak u tygrysa, który zwęszył krew, pomyślał Robert.

Osilek omiół wzrokiem mieszkanie, w jego rękę błysnął nóż. Widocznie zależało mu, żeby wszystko odbyło się bez hałasu. Zamiast krzyku z gardła Roberta wydobył się jedynie cichy pisk. Łysol zupełnie go zlekceważył. Jak po sznurku sunął w stronę cienkich drzwi garderoby.

Padł jeden strzał, drugi, trzeci. Olbrzym zrobił jeszcze parę kroków, ale wolniej, w końcu osunął się na ziemię...

Aria rozsunęła podziurawione drzwi. Była blada, ale spokojna. W rękę trzymała pistolet.

Nie zwracając uwagi na Roberta, uklękła obok ciała i odwróciła mężczyznę na wznak. Był

martwy, a na jego twarzy zastygł wyraz ogromnego zdumienia, jakby chciał powiedzieć: „Nie tak się umawialiśmy”. Przeszukała go wprawnie. Znalazła kluczyki od auta, komórkę, portfel i jakąś legitymację.

– Cholera! – zaklęła cicho. – Zdaje się, że załatwiłam funkcjonariusza greckiej służby bezpieczeństwa.

Robert nie zareagował, po prostu bardziej przestraszyć się nie mógł.

– Miejmy nadzieję, że nie przyszedł ze wsparciem. – Wyjęła z komórki nieboszczyka kartę SIM, zgarnęła rzeczy Roberta do plecaka i rzuciła krótko: – Idziemy.

Chwiejąc się, zdołał wstać. Aria zarzuciła sobie jego rękę na ramię i pociągnęła ku schodom. Pierwsze kroki były trudne, ale potem jakoś poszło. Z każdą chwilą Mirski dochodził do siebie. Elegancki mercedesik stał prawie pod samymi drzwiami... Aria wepchnęła chłopaka do wnętrza jak worek. Poszukała wzrokiem wozu zabójcy. Ford stał

kilkadziesiąt metrów dalej. Pusty. Wrzuciła kluczyki mordercy do studzienki ściekowej, wsiadła do mercedesa i ruszyli.

– Kim ty naprawdę jesteś, Ario? – wykrztusił Robert, kiedy wypadli wreszcie na nadmorską promenadę.

– Kiedyś ci powiem – zabrzmiała odpowiedź. – Na razie wiejemy!

Po drodze zatrzymali się tylko raz, koło apteki. Dziewczyna nie zgasiła silnika, tylko wyskoczyła szybko z wozu i po chwili wróciła z torebką leków. Część z nich, za pomocą strzykawki została zaaplikowana Mirskiemu.

– Nie powinnaś przypadkiem zawieźć mnie do szpitala? – wymamrotał.

– Obawiam się, że w naszej sytuacji grecki szpital nie jest dla ciebie najbezpieczniejszym miejscem.

Pojechali do Pireusu. Tam, na jednej ze stromych zapuszczonych uliczek, Mavreli wprowadziła go do starego domu, robiącego wrażenie niezamieszkanego, i po drewnianych skrzypiących schodach pociągnęła aż na poddasze.

– Przez jakiś czas nikt nie powinien nas tu znaleźć – oznajmiła, choć nie bardzo miała komu, bo Mirski zasnął.

* * *

Obudził go strumień słonecznego światła. Padał prosto na jego twarz, w chwili kiedy słońce wynurzyło się ponad dachem sąsiedniej kamienicy. Spojrzał na zegarek, dochodziło południe. Nadal czuł się jak ludzki ochłap przepuszczony przez maszynkę do mięsa, ale ból pod czaszką dowodził, że przynajmniej żyje. Przez moment zastanawiał, się gdzie jest i jak się nazywa. Dopiero widok Arii kręcącej się po mieszkaniu przypomniał mu wypadki ubiegłego wieczoru. Chciał wstać, ale ból się

wzmógł. Jęknął.

– Wypałeś się, wreszcie? – zapytała wesoło dziewczyna. – Zjesz coś może?

– Wolałbym coś od bólu głowy...

Podawała mu zestaw tabletek, nadal nalegając, by się posilił. Nie miał na to specjalnej ochoty, ale zmusił się do przełknięcia jakiegoś jogurtu, kawy i paru owoców.

– Możesz mi wytłumaczyć, co się właściwie dzieje? – zapytał między jednym kęsem a drugim.

– Chyba za wiele ode mnie wymagasz.

– Powiedz przynajmniej, kim jesteś? Nie wmówisz mi, że zwyczajną pilotką zagranicznych wycieczek, z licencją na zabijanie.

– Kim jestem? – powtórzyła, przeciągając słowa, jakby chciała zyskać na czasie. – A wiesz, że teraz to już sama nie wiem.

Widząc zaskoczenie na twarzy Mirskiego, dodała poważnie:

– Mój dotychczasowy status w ciągu ostatnich godzin uległ drastycznie zmianie.

Wszystko się posypało. Rzeczywiście nie powiedziałam ci całej prawdy o sobie. Jacek zresztą też. Nawet teraz nie jestem upoważniona... Niech ci wystarczy, że ostatnio pracowaliśmy z Jackiem jako sojusznicy. Mieliśmy do wykonania pewne delikatne zadanie! Absolutnie nie związane z tobą czy starożytnymi artefaktami... Jednak po wczorajszych wydarzeniach nie wiem nawet, czy nadal pracuję w mojej firmie. Nie uśmiechaj się. Mówię poważnie.

Przekroczyłam uprawnienia, obowiązujące procedury. I tak dalej. Więcej nie mogę ci powiedzieć.

Robert taktownie nie drażył tematu. Zdawał sobie sprawę, że Ariadna Mavreli, podobnie jak jego brat, są pracownikami tajnych służb. A w zakres ich zainteresowań wchodzi takie zagadnienia, jak terroryzm oraz handel ludźmi i narkotykami. Dlatego zmienił temat i zapytał:

– Ten łysy naprawdę był gliną?

– Niestety tak. Chociaż z tego, czego się dowiedziałam, gdy spałeś, wynika, że w tej sprawie działał na własną rękę. Podobno był na urlopie... To jednak wcale nie znaczy, że jego koledzy już teraz nie wychodzą z siebie, żeby się dowiedzieć, dlaczego go zabiłeś.

– Ja?!!!

– Tak niestety wynika z wewnętrznych komunikatów. Na szczęście w mediach nie podano twojego rysopisu. Mogę cię pocieszyć, że ja także jestem poszukiwana. Ktoś widział, jak cię wynosiłam, ktoś inny zapamiętał mój samochód. Na szczęście w nocy się go pozbyłam.

- Szkoda! – westchnął współczująco Robert.
- Mnie jest jeszcze bardziej przykro. Pół roku oszczędzania wylądowało na dnie Zatoki Sarońskiej.
- A więc można powiedzieć, że jedziemy na jednym wózku. Tyle że na piechotę.
- Być może i jedziemy, ale w różnych kierunkach. Ja sobie jakoś poradzę, ale ty musisz jak najszybciej opuścić Grecję. Żarty się skończyły.
- Wczoraj przekonywałaś mnie, że nic mi nie grozi...
- Od wczoraj sytuacja się zmieniła. Stałeś się celem.
- Ale dlaczego?
- Mogę się jedynie domyślać. – Pociągnęła go do drugiego pokoju, gdzie na zakurzonej podłodze stał laptop. – Czy twoja poczta to „robmir@op.pl”?
- Skąd wiesz?
- Po prostu wiem. Nie znam tylko hasła.
- „Jacek dwa”.

Sprawne paluszki zatańczyły na klawiszach. Wyświetliła się jego skrzynka. Żadnych wiadomości. Pustką świecił także kosz.

- Nic nie rozumiem – wykrztusił Robert. – Wczoraj było tu siedem nieodebranych wiadomości.
- A dzisiaj, jak widzisz, nie ma ani jednej. Ktoś niesłychanie sprytny dostał się i wyczyścił skrzynkę. Sami mu to ułatwiliśmy.
- My?
- Jestem pewna, że nasze telefony są na podsłuchu, więc kiedy wczoraj wspomniałeś mi o otrzymanej poczcie, zmusiłeś wroga do działania. Tym bardziej że ja już wiem, co to była za poczta.
- Wiesz?
- Jeden z moich niezliczonych przyjaciół ma dostęp do billingów. Nie uwierzysz, ale dziesięć godzin po katastrofie ktoś wysłał na twój adres mailowy sporą przesyłkę. Sądzę, że mogło to być zdjęcie.
- Wiadomo, kto to zrobił?
- Wiem tylko, że przekaz wysłano z telefonu komórkowego należącego do twojego brata.

Dziesięć godzin po katastrofie...

– Boże kochany! Dopiero teraz mi to mówisz! A więc Jacek żyje! Przecież tylko on mógł to zrobić! – wykrzyknął Robert.

– Nie można tego wykluczyć. A przynajmniej żył przed dziesięcioma godzinami.

– Tylko dlaczego do mnie nie zadzwonił?

– Wspomniany przekaz urwał się w trakcie wysyłania. Prawdopodobnie wysiadły baterie.

Z tego samego powodu nie ma możliwości odzyskania zdjęcia.

– Kiedy odnajdziemy Jacka, odnajdziemy też komórkę, a w niej to zdjęcie... Musimy dostać się na Patmos!

Aria popatrzyła na jego rozgorączkowaną twarz.

– Ja muszę. Ciebie jakoś przetransportujemy do Polski.

– Wykluczone. Nie zostawię cię samej!

Położyła mu dłonie na ramionach i popatrzyła prosto w oczy.

– Posłuchaj, chłopcze, to robota dla zawodowca. Przeciwno sobie mamy całą policję i dodatkowo potężnego wroga, o którym nic nie wiemy.

– A twoja firma?

– Moja firma wyprze się jakichkolwiek kontaktów ze mną. Jestem spalona, zabiłam funkcjonariusza sojuszniczego państwa.

– Ratując swoje i moje życie!

– Trudno mi to będzie udowodnić. Za to, jeśli to cię ciekawi, zdobyłam dane tego łysola, którego rozwaliliśmy.

Roberta zdziwiła trochę ta liczba mnoga, ale nie zaprotestował.

– Gość nazywa się Konstantin Stavros, urodzony w sześćdziesiątym dziewiątym w Nowym Jorku, od ośmiu lat przebywa w ojczyźnie. Przez pewien czas służył w marines. Brał

udział w pierwszej wojnie w Zatoce, czymś podpadł Amerykanom, bo został usunięty ze służby, ale widać Grekom to nie przeszkadzało.

– Może potrzebowali właśnie kogoś takiego?

– Całkiem prawdopodobne. Na deser mamy jeszcze jedną ciekawą informację o panu Stavrosie.

– Jaką?

– Jego ojciec, zresztą też noszący imię Konstantin, urodził się pod koniec wojny nie gdzie indziej, jak na wyspie Patmos. To oczywiście może być czysty przypadek, choć ja nie wierzę w takie przypadki.

Robert próbował skierować rozmowę na temat tajemniczego popa, który go śledził.

– Nic nie wiem na temat kogoś takiego – odparła dziewczyna. – Nie ma go wśród poszukiwanych przestępców. Przynajmniej w Europie. Nie pracuje też dla greckiej policji.

– Jesteś pewna? Widziałaś go przecież tylko przez chwilę.

– Takich twarzy się nie zapomina. To tylko dla was, ludzi północy, każdy brunet z brodą wygląda identycznie.

– Rozumiem. Dla ciebie każdy Grek jest inny.

– Po pierwsze, to raczej nie jest Grek. Już prędzej Latynos. Metys, może z niewielką domieszką krwi murzyńskiej.

– Niesamowite, wszystko to potrafiłaś dostrzec...

– Nie ma w tym niczego niesamowitego, to tylko umiejętności zawodowe. Zoolog też potrafi na pierwszy rzut oka rozróżniać muchy różnych gatunków. Wracając do ciebie.

Znajomy ma mi zorganizować tira, który przetrzuci cię do Bułgarii. Do Polski będziesz musiał

dostać się przez Rumunię i Węgry ze swoim aktualnym paszportem. Nie sadzę, żeby od razu wysłano za tobą międzynarodowy list gończy.

– A ty?

– Udam się na Patmos. Jeśli Jacek żyje, wyciągnę go nawet spod ziemi.

Robert próbował protestować, dowodząc, że przyda się podczas ekspedycji, Aria jednak pozostawała nieubłagana.

– Uwierz, że w pewnych sytuacjach samotna kobieta może działać dużo więcej. Poza tym mam jeszcze w tym kraju kilku przyjaciół.

* * *

Pół godziny później opuścili rudere w Pireusie. Aria wytrasnęła skądś inny wóz, poobijaną toyotę.

– Ukradłaś tego rzecha? – domyślił się Robert.

Skądże! Pożyczyła brykę od starej przyjaciółki.

Nie uwierzył jej, znając zasadę, że piękne dziewczyny nie mają przyjaciółek. Musiał

jednak przyznać, że przygotowała się do akcji. Burzę ciemnych włosów spacyfikowała z pomocą ulizanej peruki barwy zdechłej myszy, a luźna bluza zamaskowała jej wdzięki.

Robertowi miały wystarczyć okulary i baseballówka.

– A jeśli nas zatrzymają?

Wzruszyła ramionami.

– W taki upał nawet największym służbistom nie chce się nikogo kontrolować!

Ciężarówka czekała na zastawionym autami parkingu na północy Aten, tuż przy wjeździe na autostradę. Kierowca, wąsaty Grek, nie zadawał żadnych pytań, zresztą nie mógł, ponieważ nie znał żadnego języka poza greckim. Milcząco wskazał Robertowi miejsce w szoferce. Aria poinstruowała go, że przed samą granicą zostanie ukryty w bezpiecznym schowku.

– To zresztą tylko *pro forma*, bo bułgarscy celnicy za drobną opłatą ograniczą swoją ciekawość do minimum.

Uścisnęła go serdecznie. Przez moment poczuł na ustach muśnięcie jej pełnych warg.

– Kiedy już się wszystko uspokoi, spotkamy się w Polsce. Miejmy nadzieję, razem z Jackiem – powiedziała.

Wsiadła do zdezelowanej toyoty, pomachała na pożegnanie i ruszyła z piskiem opon.

Zaraz potem zahuczał potężny silnik olbrzymiego volvo. Grek zwolnił hamulce i zaczął

kręcić kierownicą... W tym momencie Mirski zauważył tuż przy krawężniku motocyklistę.

Krwistoczerwony kask przykrywał większą część głowy, ale ciemnej brody nie dało się ukryć. Fałszywy pop! Cholera! Mężczyzna odpalił motor i ruszył w ślad za wozem Arii.

Robert wiedział, że musi ją ostrzec.

– Stój – wrzasnął do kierowcy – Stop! *Halt!*

Grek nie zareagował. Koła ciężarówki drgnęły i ogromny samochód zaczął coraz szybciej toczyć się w stronę autostrady... Robert szarpnął drzwiczki i wyskoczył. Nie ustał na nogach, przetoczył się po trawniku...

Nad równiną wzniosł się ogłuszający huk. W pierwszej chwili Mirski pomyślał, że na parking spadła jakaś rakietka. Ale nie. Odwracając głowę, mógł zobaczyć, jak tir zamieniony w płonącą kulę toczy się jeszcze siłą bezwładu, łamiąc balustradę i osuwając się do rowu. Z

szoferki nie zostało prawie nic. A przecież jeszcze przed chwilą on sam był w środku...

Ugięły się pod nim nogi, ale nie miał czasu na rozczulanie się nad sobą. Rozejrzył się bacznie. Chyba nikt go nie zauważył. Korzystając z zamieszania, przeszedł przez krzaki i ukryty za pojemnikami na śmieci, czekał na rozwój sytuacji. Doczekał się. Aria, zwabiona wybuchem, wróciła po kilku minutach. Zatrzymała się w pewnej odległości i z pobladłą twarzą podbiegła w kierunku płonącego wraku.

Kiedy mijala śmietniki, Robert gwizdnął. Natychmiast się rozpogodziła. Dała mu znak, żeby zaczekał, i podjechała wozem. Mirski wślizgnął się na tylne siedzenie. Chyba nikt nie zwrócił na nich uwagi. Wokół miejsca wypadku gęstniał tłum gapiów. W oddali zawyły policyjne syreny...

– Twoja komórka! – rzuciła Aria tonem nie znoszącym sprzeciwu. – Kiedy podał jej telefon, cisnęła go z wdziękiem koszykarza w otwór śmietnika z napisem „szkło”.

– Myślisz, że w ten sposób nas namierzili?

– Najprawdopodobniej. Nie wykluczam też, że ktoś z moich przyjaciół im pomaga... – Na chwilę mocniej zacisnęła szczęki. – No cóż, wydaje się, że będziemy musieli zabrać się za to razem.

– Przynajmniej wiemy, kto to zrobił. – Robert w paru słowach opowiedział jej o motocyklicie.

– Myślisz? Kiedy zawracałam, minął mnie i pojechał prosto.

– Zatem nie wie, że żyję.

– Byłaby to jedyna korzyść z tego wypadku... Czekaj, czy to on?

Daleko przed nimi, prawie przy linii horyzontu, widać było sylwetkę motocyklisty: wściekle czerwony kask i motor yamaha. Nie mogło być mowy o pomyłce. Aria wdepnęła gaz do dechy, wyciągając ze zdezelowanej toyoty sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, i po paru minutach zrównała się z jednośladem.

Nacisnęła klakson, pokazując brodacowi, żeby zjechał z drogi. Ponieważ nie wykazywał specjalnej ochoty, podała Robertowi broń.

– Pokaż mu, żeby zjechał z drogi!

Motocyklista nie okazał się szczególnym twardzielem. Na widok wymierzonego w siebie pistoletu posłusznie zatrzymał się w najbliższej zatoczce. Drżącymi rękami zdjął kask.

– To nie on! – stwierdziła Aria.

Robertowi nie pozostało nic innego, jak przyznać jej rację. Mężczyzna ze względu na brodę wykazywał pewne podobieństwo do śledzącego ich popa, jednak był o co najmniej dwie dekady młodszy. W dodatku po zejściu z siodełka okazał się wyjątkowym drągałem...

– Przepraszam, pomyliliśmy się, wzięliśmy pana za kogoś innego – powiedziała Aria do faceta, który ze strachu popuścił w spodnie. I na osłodę dorzuciła: – Szerokiej drogi. I w dodatku suchej!

– Właściwie powinienem mu podziękować – mruknął Robert. – Gdybym nie wziął go za tamtego popa, gdybym nie wyskoczył z tira...

– Musisz mieć najwyraźniej chody u opatrności, kolejny raz udało ci się ujść z życiem –

skomentowała panna Mavreli. – Masz szczęście, że zastosowali zapalnik z opóźnieniem, przekręcenie kluczyka jedynie uzbroiło ładunek, a dopiero po trzydziestu sekundach nastąpiła właściwa detonacja. Fachowa robota! Ale na wszelki wypadek powinni być na miejscu i ewentualnie poprawić.

Pojechali dalej i wkrótce skręcili w boczną drogę wiodącą do Maratonu. Jednak nie pole słynnej bitwy było ich celem. Pozostawiwszy je z boku, dotarli niebawem do portu w Rafinie.

Aria przedstawiła swój zmodyfikowany plan:

– W Rafinie wsiądziemy na prom płynący na wyspę Siros. Stamtąd weźmiemy kurs na Samos, a tam wynajmiemy jakąś łódkę i udamy się prosto na Patmos.

– Nie namierzą nas?

– Nie powinni. Nie będziemy używali kart kredytowych, a zaraz kupię dla nas komórki jednorazówki. Musielibyśmy mieć naprawdę sporego pecha, gdyby nas złapali po drodze.

Obawiam się jednak, że na samej Patmos może czekać na nas cały komitet powitalny.

– Wiesz, z kogo może się składać?

– Być może z bliższej i dalszej rodziny Stavrosa. Co do jednego nie mam wątpliwości – nie będą to mili, gościnni faceci.

Samochód zostawili koło portu. Weszli na prom, nie wzbudzając niczyjego zainteresowania. Równie bezproblemowo, mimo koniecznych przesiadek, przebiegł rejs na Samos.

Na miejscu znaleźli się wieczorem i taksówką przejechali do miasteczka Pithagorio, położonego na południowym wybrzeżu wyspy, nieopodal lotniska. Słońce właśnie zachodziło, kiedy z przełęczony otworzył się przed nimi szeroki widok na zatokę, port jachtowy i nieprawdopodobnie gęsto zabudowaną osadę, z mnóstwem czerwonych dachów skupionych poniżej żółtawych murów zamku Likurga.

Mavreli podziękowała taksjarszowi, zanim dojechali do przystani.

– Rozdzielmy się – zaproponowała Robertowi. – Spotkajmy się za pół godziny przy kościele.

– A ty?

– Zorientuję się, jak szybko dotrzeć na Patmos.

Jeśli ktoś nawet dysponował jej rysopisem, z pewnością by jej nie poznał.

Zeszła do portu w jasnej peruce i niemodnej luźnej kiecce, nie wzbudzając nawet zainteresowania Niemców, którzy w restauracjach nerwowo wypatrywali wieczornej zdobyczy. Na nabrzeżu przyuważyła rezolutnie wyglądającego dzieciaka, próbującego wciskać turystom pamiątki.

– Znasz niemiecki? – zagadnęła.

– *Jawohl.*

– Potrzebuję tłumacza, żeby dogadać się z kapitanem jakiejś łodzi.

– Nie ma sprawy. Dwadzieścia euro na godzinę.

– Dziesięć!

– Piętnaście. Niech stracę.

– Dobrze. – Aria wyciągnęła dwa zmięte banknoty. Ruszyli brzegiem morza, rozpytujac o możliwość wynajęcia łodzi.

– Chce pani nurkować, łowić ryby? – dopytywano się.

– *Nein, nein.* Chciałabym z mężem i dwójką dzieci opłynąć wyspę i porobić zdjęcia w najbardziej urokliwych miejscach. Jakby się dało, chciałabym też zahaczyć o inne wysepki.

– Które? Może Patmos? – zapytał właściciel eleganckiej łódki.

– To chyba byłoby za daleko. Dzieci mogą dostać choroby morskiej – odparła czujnie.

I dobrze zrobiła. Indagowany wilk morski, ledwo się oddaliła, sięgnął po komórkę. Aria, udając, że poprawia makijaż, skierowała ku niemu róg torebki z ukrytym mikrofonem kierunkowym (jeden z tych służbowych gadżetów, który postanowiła wykorzystać prywatnie). Dzięki mikrośluchawce w uchu słyszała doskonale każde słowo meldunku.

– ...Niemka. Bogata ździra. Blondynka. Nie, mężata i dzieciata. O Patmos nie pytała...

Dobra, będę czujny.

Błogosławiona ostrożność, pomyślała. Wrogowie przewidzieli, że możemy się tu pojawić.

Po powrocie na parking zdała relację Robertowi. Mina mu się wydłużyła.

– A więc spodziewają się nas – jęknął.

– Spokojnie – rzuciła nonszalancko. – Wzięłam to wszystko pod uwagę.

– I zapewne masz pomysł, jak się tam dostać bez łodzi?

– A kto ci powiedział, że bez łodzi? Ukradniemy ją. Wyjdzie taniej. A na razie trochę się prześpimy.

Na skraju wioski Pithagorio znaleźli duży dom z wolnymi pokojami. Wynajęli dwa z marmurowymi posadzkami, kuchnią, łazienką. Doskonałe miejsce na całe wakacje, nie tylko na jedną noc. Nikt nie żądał od nich żadnych dokumentów. Nikt z sąsiadów nie zaszczycił ich zainteresowaniem.

Aria zrobiła zakupy i ugotowała kolację. Ze zrozumiałych powodów nie mieli ochoty szwendać się po knajpach. Ale Robert nie żałował. Na stole pojawiło się wino, sałatka i *souvlaki*. Pyszne!

Im dłużej przebywał w towarzystwie panny Mavreli, tym bardziej czuł się zakłopotany.

Skąd się biorą takie kobiety? Piękna, młoda inteligentna, dzielna i jeszcze znakomita kucharka. Najgorsze było to, że budziła w nim tyle sprzecznych uczuć. Pociągała go, ale też trochę jej się bał. Niepokojąco urodziwa Greczynka nie robiła wprawdzie niczego, żeby go sprowokować, jednak wdzięk, z jakim stąpała i trzymała głowę, wystarczał, żeby zmącić zmysły bardziej niż czerwone wino.

Nie wariuj, to dziewczyna twojego brata!, powtarzał sobie. Ale diabeł, głośniej z każdym wypitym kieliszkiem, szeptał w ucho: „Twój brat pewnie już nie żyje. Gdyby mógł, zapisałby ci ją w spadku. Oboje jesteście smutni, bardzo samotni...”.

Nie!

Z Jackiem, jak wynikało ze słów Arii, znali się od pół roku. Początkowo były to kontakty ściśle służbowe. Bliżej poznali się na jakimś dyplomatycznym party.

– Zjawiłam się tam jako osoba towarzysząca – wyjaśniła. – Naturalnie „towarzysząca”

komuś innemu. Było, pamiętam, okropnie nudno, i jakoś tak się złożyło, że wyszliśmy razem..

Robert nie pytał o szczegóły. Zastanawiał się za to, jak dziewczyna zareaguje, jeśli powie jej, że jest najpiękniejszą kobietą świata, z tych, dla których mężczyźni nie wahają się wywoływać wojen, a zazdrosne rywalki sięgają po truciznę? Wyśmieje go? A może powie:

„Jesteś pięćset czterdziestym facetem, który się do mnie podwala”.

Zaważył, że i ona co pewien czas przypatruje mu się uważnie, z ciekawością badacza, który właśnie zetknął się z nieznanym gatunkiem. Zmieszało go to jeszcze bardziej.

– Świetnie gotujesz – powiedział, żeby przerwać ciszę.

Roześmiała się, chyba po raz pierwszy od trzech dni.

– Lubię przyrządzać posiłki mężczyznom, do których czuję sympatię.

Z trudem zapanował nad chętką, aby, w podziękowaniu za kolację, porwać ją w ramiona.

Nastrój zepsuł jakiś pies, który zaczął nagle ujadać w pobliskich zabudowaniach.

Wściekle, złowrogo. Było to tym dziwniejsze, że do tej pory nie zdradził swojej obecności najcichszym szczeknięciem.

Aria dała znak Robertowi, żeby nie wstawał, sama pochyliła się ku lampie i zgasiła światło.

– Co robisz?

Poczuł na ustach jej ciepłe, pachnące palce. Umilkł, czując zarazem, jak niedawna fala podniecenia łamie się na mieliźnie niepokoju. Tymczasem Greczynka bardzo ostrożnie, sunąc tuż przy ścianie, dotarła do okna. Wstrzymał oddech, gdy wychyliła się zza framugi. Pies przestał tymczasem ujadać i jedynym dźwiękiem docierającym z zewnątrz było granie cykad w ogrodzie i jednostajny szum nieodległego morza.

– Nikogo! – powiedziała półgłosem, ale nie było to zbyt pewne stwierdzenie.

– Sądysz, że nas znaleźli?

Pokręciła głową, ale światła nie zapaliła. Wyszła na korytarz, gdzie wbite w ścianę metalowe kręgi wskazywały awaryjne wyjście na płaski dach. Chciał pójść za nią.

– Zostań!

Wyjęła broń, odbezpieczyła, i ostrożnie wyszła na zewnątrz. Gęstniejące ciemności rozświetlały jedynie rzadkie światła z okolicznych zabudowań. Tylko wokół zatoki koraliki latarń i lampy na zakotwiczonych jachtach zbiegały się w jaśniejsze skupisko. Chwilę trwała w absolutnej ciszy. Nic. W pobliżu domu nie zauważyła niczego podejrzanego, żadnych samochodów, ludzkich sylwetek. Być może pies wyczuł kota, a ten uciekł?

Zsunęła się na dół.

– Nie ma najmniejszego powodu do alarmu – rzekła, jednak nadal wydawała się lekko spięta.

Dopili resztkę wina, które teraz smakowało zdecydowanie gorzej, skończyli kolację.

– Powinniśmy chyba pójść spać – zdecydowała Aria. – Czekają nas poważne zadania, a nie mamy zbyt wiele czasu na wypoczynek. Kto pierwszy idzie się kąpać?

– Panie mają pierwszeństwo – rzekł Robert dwornie.

Po chwili rozległ się szum prysznica.

Zastanawiał się, co w tej sytuacji zrobiłby jego brat. Zaproponowałby, że umyje jej plecy?

* * *

Brodaty mężczyzna ukryty w zaroślach odłożył lornetkę. Światło w apartamencie zapaliło się ponownie, tym razem w łazience. Na krótko. Ze swojego punktu obserwacyjnego widział

przez półprzezroczystą szybę, jak dziewczyna namydla się pod prysznicem, mógł nawet podziwiać jej sterczące piersi. Zastanawiał się, czy nie powinien złożyć tym dwojgu wizyty.

Już teraz? Uznał jednak, że na to za wcześnie. Z pomrukiem mogącym ująć za westchnienie lub dezaprobatę, cofnął się i zniknął w ciemności.

3.

Wyspa Patmos

Praca przy oczyszczaniu korytarza okazała się cięższa, niż Jacek przypuszczał. Już po przeniesieniu zaledwie kilkunastu kamieni myślał, że umrze. Ciemność, duchota, zmęczenie, brak wody, tępy ból pod czaszką... Ileż dałby za butelkę mazowszanki, choćby ciepłej i bez gazu. Niewiele pomagały coraz częstsze wypoczynki, kiedy przechodził najbliższej miejsca detonacji. Może było to złudzenie, ale powietrze wydawało się tu bardziej rześkie, z ledwo, ledwo wyczuwalnym zapachem morza. Skądś wiało. Przymykał oczy i widział wznoszącą się błękitną falę, która osiągnąwszy apogeum, łamała się, tworząc wspaniały tunel dla miłośnika surfingu. Niestety, nie potrafił zlokalizować najmniejszej choćby szczeliny. Podczas jednego z odpoczynków usnął. Spał długo – jeśli jakieś podziemne trole nie przesunęły w tym czasie wskazówek jego zegarka – równo osiem godzin. Lecz ten sen wcale go nie wzmocnił.

Przeciwnie, Jacek obudził się jeszcze słabszy. Głód robił swoje! Jednak żył i się nie poddawał. Problem pragnienia rozwiązał w sposób znany z katastrof górniczych i trzęsień ziemi – po prostu sikał do dzbana, który znalazł przy łożu z mumifikowanego chrześcijanina, a następnie, oszczędnie dozując dawki, pił własny mocz. Czy nie było to jednak tylko przedłużanie agonii?

Po następnych godzinach pracy i kolejnym krótkim śnie nastąpił kryzys. Nadzieja prysła.

Oczyszczenie z kamieni kilkunastu schodków nie przybliżyło go do wolności. Na czwartym, może piątym, trafił na skalną płytę, która niczym gigantyczny rygiel musiała opaść z góry i zatarasować definitywnie drogę. Podkopanie lub przebicie się obok monolitu wymagało czasu i narzędzi. Jacek nie miał ani jednego, ani drugiego.

Nie ulegało wątpliwości, że historia się powtórzy. Z niezwykłą jasnością uświadomił

sobie, co naprawdę zdarzyło się tu przed wiekami. Gospodarz groty, przeczuwając być może zbliżającą się śmierć, a zarazem pragnąc, by jego tablica nie trafiła w niepowołane ręce, dobrowolnie odciął się od świata. Spowodował zablokowanie wyjścia. Zamknął się wraz ze swoim przekazem na wieki.

Dlaczego tak postąpił? Dla kogo spisywał zaszyfrowaną informację, skoro zadbał o to, aby nikt przez stulecia nie mógł do niej dotrzeć? A może... Mirski aż przestraszył się tej koncepcji. A może doskonale wiedział, że ktoś kiedyś odnajdzie jego zapis? I go rozszyfruje.

Nie wcześniej i nie później, tylko teraz, po dwóch tysiącach lat. Czyżby nic nie działało się przypadkowo i nawet ostatnie trzęsienie ziemi, otwierające dostęp do groty, nastąpiło we właściwym momencie?

Dobry Boże!

Nagle Jacek zdał sobie sprawę, że się modli. On, agnostyk. No, może nie tak do końca...

Wierzący, niepraktykujący. Jak większość z jego pokolenia. Do kościoła chodził głównie na msze za ojczyznę i święcenie sztandarów. Oczywiście deklarował, że jest katolikiem. W

końcu ksiądz Jerzy Popiełuszko, na parę miesięcy przed swą męczeńską śmiercią, chrzczył jego pierworodnego – Patryka. Chyba właśnie wtedy Jacek spowiadał się po raz ostatni. I ostatni raz przystąpił do komunii.

Nie było to żadne dramatyczne zerwanie, raczej brak wewnętrznej potrzeby uczestniczenia w zbiorowych ceremoniach. Owszem, postępował zgodnie z chrześcijańską tradycją, pościł w Wigilię i Wielki Piątek, całe lata prowadził rozmowy z zaprzyjaźnionym dominikaninem, ale uporządkowanie swych stosunków z Bogiem (nawet zakładając Jego istnienie, a tego nigdy nie był pewny) ciągle odkładał na później, na później... Ale teraz...

Pewnie jest za późno. Usłyszał swój szept:

– Jeśli to, co się dzieje, Panie, nie jest przypadkiem, jeśli Robert musiał odkryć tę płytę, jeśli ja z jej fotografią przeżyłem eksplozję, i masz w tym swój cel, Przedwieczny, to powiedz mi, z łaski swojej, co mam teraz zrobić. Co zrobić?!!

Odpowiedzi nie było. A może jej nie usłyszał? Zwłaszcza że myśli zaczęły mu się plątać, robił się coraz słabszy i znów zapadł w sen, czy raczej osunął się ku granicy omdlenia, śmierci i jawy. Miał halucynacje i trudno byłoby je nazwać zwyczajnym snem.

Znów zobaczył wyspę, która stała się jego grobowcem. Może bardziej zieloną niż dziś.

Zgarbiony i siwy (włosy opadały mu niemal do pasa) mężczyzna, w zgrzebnej szacie wieśniaka z wysp, stał, wsparty na kosturze, przy skraju opadającego w morze urwiska i poruszał ustami. Jacek nie rozumiał słów. Nawet ich nie słyszał. Słońce zachodziło. Biła od niego osobliwa jasność, opromieniająca twarz starego samotnika i czyniąca ją, mimo spustoszeń dokonanych przez czas i nieprzyjaciół – piękną. To prawda, Ιωαννις praktycznie nie miał zębów, jedno wypadły same, inne wybito mu podczas niezliczonych tortur, kiedy zrywano mu paznokcie, miażdżono jądra, chłostano biczem i szarpano cęgami. Wszystko po to, aby wyparł się lub umarł. Nie zrobił ani jednego, ani drugiego. Przeżył, choć skóra jego ciała, po zanurzeniu we wrzącym oleju, nigdy nie powróciła do dawnej jędrności i w zaskakujący sposób upodobniła się do powłoki gada. Tylko oczy, oczy blisko stuletniego starca, który kiedyś musiał być postawnym mężczyzną, a teraz przypominał raczej wychudzone dziecko chore na progerię, pozostały młode i bystre, jak wtedy, gdy kosztował

wina w Kanie, spożywał ostatni posiłek z Mistrzem i stał pod drzewem jego śmierci.

– Co mam robić?! – krzyknął Jacek.

Starzec się odwrócił. U jego stóp pojawiła się nagle skalna rozpadlina, a on wszedł w nią i począł, jakby na niewidzialnej platformie, osuwać się w dół. Mirski chciał pobiec za nim, lecz apostoł odwrócił się i powstrzymał go ruchem wzniesionej ręki, po czym się uśmiechnął.

Jacek ocknął się pośród znajomej ciemności i ze zdumieniem skonstatował, że jego wyschnięte wargi

powtarzają w kółko jeden bezsensowny wyraz: „Glina, glina, glina”.

– Dlaczego glina? Dlaczego glina? – wymamrotał. Naraz przypomniał sobie cebrzyk z grobowca i wszystko stało się jasne. Ιωαννις w swoim postanowieniu izolacji nie poprzestał

na zawaleniu drzwi. Zamurował także okno!

Że też nie wpadł na to wcześniej. Kiedy rytownik tu żył i pracował, musiał mieć dopływ świeżego powietrza! Tylko gdzie znajdowało się to okno? W sypialni? Szkoda, że nie przyszło mu to do głowy na początku, kiedy był w pełni sił. Ale nic to! Odnajdzie je!

Chciał się podnieść, jednak miękkie nogi odmówiły posłuszeństwa. Pełznąąc na czworakach, zawlókł się do kamiennej alkowy. Tam, oświetlając ciemne ściany poświatą zegarka, szukał żółtawej plamy, skamieniałej gliny. Znalazłszy ją sięgnął po kamienne dłuto starego rytownika...

* * *

Aria obudziła Roberta po trzeciej. To był najlepszy czas na ucieczkę. Za oknem panowała smolistoczarna noc. Wokół zatoki wygaszono znaczną część świateł, choć zdaniem Roberta i tak paliło ich się zbyt wiele. Na szczęście mgielka podnosząca się znad wody sprzyjała ich zamiarom. Szybko opuścili dom. Miasto spało. Czasem chwiejnym krokiem przeszło kilku zawianych klientów nocnych lokali, zza otwartego okna doleciał krzyk kobiety przeżywającej orgazm. Przez nikogo nie zatrzymywani, dotarli na brzeg morza. Tam Aria umieściła ich rzeczy w podwójnym plastikowym worku, a następnie, w najbardziej zacienionym miejscu, oboje zsunęli się do wody. Na twarze założyli maski, na stopy pletwy, kupione poprzedniego wieczoru. Płynąc labiryntem, jaki tworzyły łódki i pomosty, starali się robić jak najmniej hałasu. Ich cel, motorowy jachcik stojący na krańcu przystani, dziewczyna wypatrzyła jeszcze podczas wieczornego rekonesansu. Załoga jednostki, nazwanej nomen omen „Aria”, liczyła zaledwie trzy osoby. Samotny zamożny pięćdziesięciolatek – Szwed albo Norweg – i dwie młode dziewczyny, bardziej wyglądające na jego córki niż siostry. Arii udało się jeszcze ustalić, że właściciel nazywa się Thor Lundkvist i jest wesołym, życzliwym ludziom sybarytą.

Kiedy dopłynęli na miejsce, Robert zdjął pletwy i możliwie najciszej wspiął się wraz z bagażem na pokład, natomiast Aria zanurkowała i ostrożnie odczepiła kotwicę. Kiedy oboje znaleźli się na pokładzie, odcięła cumę. Jacht zaczął dryfować, prąd i północno-zachodni wiaterek znosił go na pełne morze. Jak na razie nikt na brzegu nie podniósł alarmu. Strażnicy zapewne też tej nocy zabalowali. Tutejsi funkcjonariusze nie należeli do służbistów. Jak to Grecy. Dopiero teraz Aria wsunęła się do kabiny. Wypełniało ją obszerne łóżce z trzema nagimi ciałami pod skotłowanym prześcieradłem. Sprawa wyjaśniła się ostatecznie – panienki nie były siostrami Skandynawa. Już prędzej córami... Koryntu.

– Dzień dobry – powiedziała półgłosem, trącając mężczyznę w gołą pierś.

Potomek Waregów otworzył oczy.

– Ccco, ktto? – wybełkotał, widząc przed nosem lufę pistoletu. Śpiące obok dziewczyny nawet się

nie poruszyły.

– Cicho! – powiedziała słodko Aria. – Nie chcę cię przypadkowo zastrzelić, przyjacielu.

– Nie mam przy sobie dużo pieniędzy! – wyszeptał śmiertelnie przerażony Lundkvist. –

Ale oddam wszystko!

– Nie potrzebujemy pieniędzy – odparła z uśmiechem Greczynka. – Pożyczam jedynie ten jacht. Na krótko!

– A my? Co będzie z nami?

– Proponuję, żebyście spali dalej. Jeśli będziecie grzeczni, nic wam się nie stanie. A jeśli nie, będziecie musieli wracać w pływ. Rekinów w tych wodach podobno nie ma od dawna, ale na twoim miejscu wolałabym nie sprawdzać. – Tu półgłosem zwróciła się do Mirskiego, który wsunął się za nią do kabiny: – Robertcie, zabierz państwu komórki i inne niebezpieczne przedmioty, i połóż w jednym miejscu. Chyba nie masz nic przeciwko temu, Thor?

Po minie Szweda widać było, że nie zamierza przysparzać im najmniejszych kłopotów.

Pięć minut potem Mirski ostrożnie podniósł żagiel. Płótno złapało wiatr, łódź

błyskawicznie przyspieszyła, a wokół kadłuba pojawiły się rozbryzgi piany. Kwadrans potem, kiedy miasto i port zniknęły za przylądkiem, Mavreli uruchomiła silnik. Dopiero wtedy, zostawiwszy ster Robertowi, poszła obudzić wyraźnie przemęczone panienki i wytłumaczyć reguły gry, które tej nocy zaczęły obowiązywać na porwanym jachcie. Nie napotkała oporu, a po niespełna dwóch godzinach z porannej mgły wynurzyły się skaliste wybrzeża wyspy Patmos.

* * *

Wyprawa tylko z pozoru zakrawała na wariactwo. Przy założeniu, że Jacek uwięziony w skalnej pułapce jeszcze żyje, istniała pewna szansa na wydobycie go. Nawet bez pomocy rzeszy ratowników i bez ciężkiego sprzętu. To prawda, wejście przez podwodną grootę zostało zawałone, a chcąc dostać się do niej z poziomu wzgórza, należałoby przebić się przez dziesiątki metrów skał. Jeśli kiedyś istniało jakieś wejście od góry, nie wiedzieli, gdzie szukać po nim śladu.

Zuchwały pomysł narodził się jeszcze poprzedniego dnia, w kafejce na promie płynącym na Samos. Po rozważeniu wszystkich możliwości zamilkli na dłuższą chwilę, Aria bawiła się plamą rozlanej kawy, rysując palcem kontury jakichś lądów, Robert zaś pozornie bezmyślnie wpatrywał się w wodny bezmiar.

– A z boku? – zapytał nagle.

– O czym mówisz?

Narysował na serwetce szkic sytuacyjny: krawędź urwiska, szczelinę przy dnie prowadzącą do

podwodnej groty, komin zakończony górną jaskinią.

– Komin jest oddalony od ściany zewnętrznej o około cztery, pięć metrów – tłumaczył. –

Biegnie lekkim skosem, oddalając się od morza, ale podwodna ściana też nie jest w tym miejscu idealnie pionowa. Można założyć, że na poziomie morza odległość między komorą, w której może być uwięziony Jacek, a ścianą nie przekracza kilku metrów. Gdyby udało się zorganizować jakieś oskardy...

Oczy Arii rozblęły.

– Musielibyśmy tylko wiedzieć dokładnie, w którym miejscu kuć...

– Zorientujemy się, gdy tam dotrzemy. Mam dobrą pamięć. W najgorszym razie zanurkujemy, znajdziemy wejście do jaskini...

– Ja zanurkuję! – poprawiła go Aria. – Przy obecnym stanie twoich uszu to byłoby szaleństwo...

Nurkowanie nie okazało się konieczne. Robert bez trudu rozpoznał wynurzającą się parę metrów od brzegu charakterystyczną skałkę, przypominającą *Myśliciela* Rodina.

– Z tego, co pamiętam, zanurzyliśmy się na wprost niej. Prąd znosił mnie w lewo... W tę stronę, popatrz. – Podał Arii lornetkę pożyczoną od Szweda. – Naturalnie trudno wyliczyć precyzyjnie, gdzie znajdowało się wejście do jaskini i komin nad nim, ale jeśli ten lowelas ma na pokładzie chociaż jedną pełną butlę, a ty zanurkujesz i znajdziesz właz...

– Sądzę, że to nie będzie potrzebne! – przerwała mu piękna Greczynka. Lornetka w jej rękę znieruchomiała, a głos zadrżał.

– Widzę otwór w skale, a z otworu wystaje ludzka ręka...

Wyrwał jej lornetkę. Zwiększył ostrość. Ręka wyglądała znajomo, a zwłaszcza solidny zegarek na przegubie.

– To Jacek!

– Jak myślisz, żyje? – zapytała Aria. – W ogóle się nie rusza.

– To na pewno on. Może zasnął albo zemdłał.

– Tylko jak mamy się do niego dostać? – głośno zastanawiała się Aria. – Od morza będzie trudno, gładka ściana, jakieś sześć, siedem metrów...

– Od góry. Pójdzie zdecydowanie łatwiej.

– Czy mógłbym jakoś pomóc? – Lundkvist, na którego od dłuższego czasu nie zwracano uwagi, już jakiś czas temu wynurzył się z kabiny i zaniepokojony, przysłuchiwał się ich rozmowie. Jego kobiety

nadał spały jak zabite.

– Spływając stąd! – niezbyt grzecznie odpowiedziała Aria. – Jedyne, co może nam się przydać, to długa lina i pański ponton, no i jeszcze ten toporek strażacki... Pięćset euro za wszystko, chyba wystarczy?

– Ale ja naprawdę chętnie pomogę, bez żadnych pieniędzy – obruszył się Skandynaw. –

To, co państwo robią jest niesłychanie ekscytujące.

– Nie wie pan nawet, jak bardzo – mruknął Robert.

Jego towarzyszka była mniej miła. Znow wyciągnęła spluwę.

– Dobijamy targu i zmywacie się stąd. W waszym własnym interesie. To nie jest żadna zabawa. W ciągu zaledwie kilku dni zginęło całkiem sporo ludzi. Chce pan być następny?

Thor Lundkvist pobladł i gorliwie zgodził się na wszystko. Widząc, jak ponton z intruzami odbija, nie mógł uwierzyć, że znow stał się panem swojego jachtu. Odczekał chwilę (a nuż się rozmyśla), po czym włączył silnik i „Aria” obrała kurs powrotny na Samos.

Tymczasem ponton spełnił swoje zadanie. Robert wysadził dziewczynę w małej zatoczce, z której prowadziła ścieżka na szczyt urwiska. Nie było aż tak strome, jak wydawało się, gdy patrzyli od strony morza. Sam wrócił gumową łódeczką do *Mysłiciela*, który po zarzuceniu pętli musiał pogodzić się z rolą kołka cumowniczego.

Nie musieli krzyczeć. Komórki kupione przezornie w Rafinie przez cały czas zapewniały im dwustronny kontakt. Ze swego stanowiska Robert ogarniał wzrokiem ścianę i mógł

kierować krokami dziewczyny tak, aby znalazła się dokładnie ponad otworem, z którego wystawała ręka brata. Wczesna pora sprzyjała ich operacji, w okolicy nie było żywej duszy.

Co ważniejsze, na skraju urwiska udało się Arii znaleźć niewielką platformę, położoną zaledwie dwadzieścia metrów ponad celem. Starannie przywiązała linę do pnia solidnie wyglądającego drzewa, po czym spuściła ją na dół, aż do powierzchni morza.

Mirski obwiązał się nią w pasie, komórkę schował do hermetycznego plastikowego pojemnika, po czym podwójnym szarpnięciem dał znać, żeby ciągnąć. Ruszyli.

Wykorzystywał najmniejsze nawet nierówności skały, aby ułatwić Arii robotę. Na szczęście krzepa dorównywała jej urodzie. A może nawet ją przewyższała. Dotarł na miejsce i z niepokojem dotknął ręki brata. Była ciepła.

– Żyje! – krzyknął, rezygnując z telefonu. Wyciągnął zza pasa siekierkę i ostrożnie, by przypadkiem nie zranić Jacka, zaczął poszerzać otwór. W pozycji wiszącej nie szło mu łatwo, na szczęście nie musiał zмагаć się z litą skałą, a jedynie z glinianą zaprawą między kamieniami. Znalazł oparcie dla stóp, wąskie ale stabilne, i mógł zdwoić wysiłki.

Po kwadransie udało mu się poszerzyć otwór na tyle, że zobaczył głowę brata. Jacek był

nieprzytomny, wychudzony, ale oddychał w miarę równo. Po następnych dziesięciu minutach udało mu się wyciągnąć go do połowy na zewnątrz. Przytroczył go do siebie zapasowym kawałkiem liny i rzucił przez komórkę:

– Możesz nas powoli opuszczać. Tylko uważaj, będzie bardzo ciężko.

– Rozkaz, szefie!

Z bezwładnym Jackiem, szorując po ścianie, osunął się do wody. Ponton czekał przycumowany do skały, choć prąd zniósł go parę metrów dalej.

Robert odwiązał linę i zaczął holować brata, który nagle oprzytomniał.

– Komórka, Bobbi, tam została moja komórka... Musisz ją zabrać. Fotografia...

Kiedy dopłynęli do pontonu, Jacek dał się wciągnąć do łódki, po czym poprosił o wodę i opróżnił całą butelkę z zapasów Lundkvista.

Może za wcześnie odprawiliśmy tego Skandynawa, pomyślał Robert, rozglądając się, ale elegancki jacht zniknął już za przylądkiem. Nie pozostało mu nic innego, jak porozumieć się z Arią, która właśnie zaczęła schodzić, następnie wziąć wodoodporną latarkę i znów wskoczyć do wody.

– Posłuchaj. – Jacek na moment oderwał się od butelki – To bardzo ważne. Dla całego świata! Nic nie dzieje się bez powodu. Musieliśmy znaleźć ten szyfr właśnie teraz, jego autorem był sam... – Przerwał mu atak gwałtownych torsji.

– Nie męcz się teraz, wszystko opowiesz mi później, mamy mnóstwo czasu – powiedział

Robert.

Dopłynąwszy do liny, znów obwiązał się nią pod pachami i dwukrotnie szarpnął:

– Ciągnij, Aria!

Szczuplejszy od brata, bez trudu przecisnął się przez skalne okno. Jaskinię sypialną od zewnętrznego świata dzieliły zaledwie trzy metry. Komórkę Jacka dostrzegł na skraju kamiennego łoża, na którym spoczywała mumia jakiegoś siwowłosego starca. Niestety, świeże morskie powietrze źle podziałało na zwłoki. Dotychczasowy brak dopływu tlenu pozwolił jej na wielowiekowe trwanie, teraz jednak, dosłownie w oczach, postępował proces degradacji. Robert niechcący dotknął lewej nogi, a ta rozsypała się w proch.

Jeszcze chwila, a krzyżyk z obsydianu wypadł z zaciśniętych rąk, które powiew wiatru przemienił w pył. Mirski schował krzyżyk wraz z komórką brata do wodoszczelnej puszkii i jeszcze raz omiół wzrokiem wnętrze grobowca. Znów obwiązał się liną w pasie i szarpnął nią dwukrotnie, dając znać,

żeby Aria opuściła go do wody. Zdziwił się, czując, jak szybko jedzie w górę.

Popatrzył na ponton.

– Skacz! Skacz!!! – wrzeszczał Jacek, wymachując rękami.

Zagrzechotała seria z broni automatycznej. Kule przecięły wodę, ponton i ciało starszego Mirskiego, który osunął się w toń.

– Nieee! – Robert, zupełnie zdezorientowany, uniósł głowę i kilkanaście metrów nad sobą ujrzał czerwoną z wysiłku twarz bezrzęsego łysola, który przecież zginął w mieszkaniu na Glifadzie.

– Chryste! Zaraz wyciągnie mnie na górę!

Zadziałał instynktownie – toporkiem, który nadal miał przy pasie, przeciął liną i runął w dół.

Plusnął głęboko w wodę, poczuł ból w uszach i w piersiach, ale nie stracił przytomności.

Nie wypływając na powierzchnię, dotarł do brzegu. Kule stebnujące wodę z szybkością maszyny do szycia nie mogły przecież zakręcać. Pod samym urwiskiem był więc chwilowo bezpieczny. Ile czasu mu zostało, zanim napastnicy znajdą się koło niego? Kwadrans? Nie mógł liczyć na niczyją pomoc. Martwe ciało brata unosiło się na wodzie. Aria, jeśli żyła, znajdowała się w rękach wroga.

– Co robić, Boże, co robić?

* * *

Taki mały ból, pomyślał Jacek Mirski, kiedy jego dusza odrywała się od ciała. Zatoczyła łuk ponad podziurawionym pontonem i zaczęła ulatywać w górę. Odczuwał lekki smutek, że nie może w żaden sposób pomóc bratu ani Arii, a zarazem ogarniał go przedziwny spokój, żeby nie powiedzieć: radość z wyzwolenia.

Poranne słońce wyszło zza chmur. Było jaśniejsze i potężniejsze niż zwykle, a przecież nie oślepiało. Jak w tamtym śnie sprzed wielu godzin. Nie odczuwając strachu, Jacek podążył

ku tej jasności. I naraz na jego drodze pojawiła się postać. Jakiś młody człowiek o ciemnych włosach i zniewalającym uśmiechu wyciągnął do niego ręce. Jacek uświadomił sobie, że przecież już się znają że to ten sam starzec z jaskini, cudownie odmłodzony.

– Ιωαννις? – zapytał Mirski pro forma.

– Tak, czekaliśmy tu na ciebie, Jacku. – Młodzieniec mówił po aramejsku, ale Jacek ze zdumieniem skonstatował, że rozumie ten język. – Doskonale wykonałeś swoje zadanie.

– Jakie zadanie? – zapytał, ale nie otrzymał odpowiedzi i odwrócił głowę. Ujrzał za sobą wyspę Patmos, mały skalisty punkt na wodzie, a potem okoliczne wyspy oraz lądy, a na nich ludzi. Tak żywych, jak i umarłych. Wtedy wszystko zrozumiał.

W tym czasie, w innej rzeczywistości, jego brat, przytulony do skalnej ściany, zastanawiał się, co zrobić. Wyjście na brzeg równało się samobójstwu, posuwając się w prawo lub w lewo mógł stać się łatwym celem. Naraz na wodzie, najwyżej dwa metry od Roberta, ukazały się bąbelki.

Nurek?, zdumiał się chłopak. Jakiś pieprzony płetwonurek wybrał się akurat na poranny *diving*. A może ci bandyci zamierzają zaatakować mnie także od tej strony?

Nim zdołał pomyśleć, o krok od niego woda się zakotłowała i wychynęła z niej głowa w masce, a zaraz po niej wyciągnięta ręka z ustnikiem od zapasowego regulatora. Zrozumiał

propozycję. Ktokolwiek wynurzał się z głębin, wskazywał mu jedyną drogę ucieczki. Bez słowa chwycił ustnik w zęby i pociągnięty przez nurka, poszedł pod wodę. Nie miał maski, więc mimo otwartych oczu widział jedynie zamazane kształty.

Wybawca nie był wielkim człowiekiem, wręcz przeciwnie, był niski i tęgawy. Jednak doskonale przygotował się do akcji. Miał ze sobą dwa pasy balastowe. Jeden natychmiast przytroczył do Roberta, umożliwiając mu w ten sposób głębsze zanurzenie. Potem objął go ramieniem i zaczęli płynąć wzdłuż brzegu, całkowicie niewidoczni dla napastników, którzy w furii, że znika im zdobycz, puścili jeszcze kilka serii w wodę. Bystry prąd, którego działanie Mirski poznał przed ponad tygodniem, niósł ich szybko, oddalając od prześladowców.

Jeśli tylko miniemy przylądek, będziemy mieli pewne szanse, pomyślał. Pod warunkiem, że czeka tam jakaś łódź, na której da się stąd ewakuować.

Ratownik zdawał się spełniać jego najskrytsze marzenia. Łódź czekała, w samej rzeczy, tuż za zakretem. Niewielka, ale z dwoma potężnymi silnikami yamaha. Nie miała schodków, a może nie starczyło czasu, by je wystawić, toteż nurek podsadził Roberta, a potem, zrzuciwszy sprzęt w wodzie (kamizelka spokojnie unosiła się razem z butlą), wygramolił się sam. Bezzwłocznie uruchomił silnik. Dopiero potem zdjął maskę, pokazując uśmiechniętą brodatą gębę.

Mirski zdrętwiał. Nieoczekiwanym wybawcą okazał się ten sam człowiek, który śledził

go w Atenach. Ten sam, który w sutannie popa, w Delfach, usiłował zatrzymać uciekającą

„Pytię”. Co to oznaczało? Kim jest ten brodac? Wrogiem czy przyjacielem? Mirski miał

zamęt w głowie. Czyżby znalazł się pomiędzy dwoma konkurującymi szajkami i wpadł z deszczu pod rynnę?

– Podziękujmy Najwyższemu, że czuwa nad nami – przemówił po angielsku w nieco archaicznym stylu tajemniczy salwator. – Miałem zamiar nawiązać z wami znajomość trochę później, ale widać opatrność zrządziła inaczej.

– Kim pan jest? – Robert wreszcie odzyskał mowę.

– Grzesznym sługą Pańskim, który próbuje pomagać Przeznaczeniu. Nazywam się... A może raczej wypadaloby powiedzieć, kiedyś, dawno temu, nazywałem się Jorge Gutierrez. To prawda, że od pewnego czasu was śledzę, ale jedynie po to, żeby was chronić.

Łódź wypłynęła zza zakrętu, teraz znajdowała się już poza zasięgiem strzału.

Prześladowcy, gromadka kolorowych punkcików na krawędzi urwiska, mogli najwyżej wygrażać im w bezsilnej złości. Na usta Mirskiego cisnęły się setki pytań. Po raz pierwszy miał okazję przyjrzeć się dokładniej swemu wybawcy. Oceniał, że mężczyzna musi mieć koło sześćdziesiątki. Kruczoczarne (farbowane?) włosy odmładzały go nieco, za to twarz, naznaczona wieloma doświadczeniami, wydawała się znacznie starsza. Ostry nos i wąskie usta wskazywały na stanowczość, jednak z oczu biła nadzwyczajna dobroć. Który z dwóch możliwych Gutierrezów jest prawdziwy? Robert zamierzał o coś zapytać, ale poczuł silne wibracje swojej komórki.

– Aria?! – krzyknął.

– Nie, mister Mirsky. Chwilowo nie. – Rozmówca mówił z charakterystycznym amerykańskim akcentem. – Gratuluję, że uszedł pan z życiem. Świetnie się składa. Jest mały interes do zrobienia.

– Co z Arią?!

– Panna Mavreli wygląda jak zwykle bosko, choć trochę smutno, co po śmierci jej *boyfrienda* jest absolutnie zrozumiałe. Ale wracając do rzeczy. Pan ma coś, czego potrzebuję, a ja również dysponuję towarem na wymianę.

– O czym pan mówi?

– O drobnej transakcji barterowej. Komórka pańskiego brata w zamian za jego dziewczynę. To chyba znakomity kontrakt.

– Zanim zacznę pertraktować, muszę mieć pewność, że Aria żyje.

– Proszę bardzo. Ma się doskonale i aż rwie się do rozmowy z panem.

Głos Arii był lekko zachrypnięty, ale zdecydowany.

– Nie oddawaj im tej komórki, Robercie! – krzyknęła. – Nie możesz tego zrobić, zanim nie przekonasz się, co w niej jest, nie...

Musiano wyrwać jej aparat, bo znów zadudnił głos zbira:

– Mam nadzieję, że będzie pan mądrzejszy od tej dziwki i bardziej skłonny do negocjacji.

Wolałbym nie pogarszać sytuacji. Ale jeśli trzeba, mogę przysłać panu jeden śliczny mały paluszek albo ten kształtny grecki nosek.

Robert zadrzał.

– Dogadamy się – wybełkotał. – Niech będzie. Komórka za dziewczynę. Gdzie i jak dokonamy wymiany?

W tym samym momencie usłyszał dziwny trzask i ze zdumieniem stwierdził, że wokół

jego przegubu zamknęły się kajdanki. Ich drugą połówkę Gutierrez przykuł do metalowego relingu łodzi, po czym wyrwał Mirskiemu aparat.

– Żadnych pertraktacji Stavros! Wiesz, że nie wygrasz! – krzyknął i wyrzucił komórkę za burzę.

– Co pan zrobił?! – zawył Robert, bezskutecznie próbując oswobodzić dłoń. – Wydał pan wyrok śmierci na tę cudowną kobietę.

– Nie sadzę – odparł czarnobrody. – Raczej zwiększyłem jej szanse na przeżycie.

Prawdziwe negocjacje dopiero się zaczną. Poza tym, proszę wybaczyć brutalne stwierdzenie, cóż oznacza śmierć nawet najpiękniejszej niewiasty świata wobec losów całej ludzkości?

Mirski tylko zacisnął zęby. Nie umiał soczyście kłać po angielsku.

Wyspa Patmos rychło pozostała daleko w tyle. Gutierrez spokojnie odczekał, aż z Roberta wyparuje cały gniew.

– Mam nadzieję, że kiedy poznasz prawdę, zrozumiesz moje postępowanie – zaczął.

– A pan ją zna?

– Podejrzewam, że przynajmniej częściowo. Jak dotąd proroctwa Vassyliki sprawdzały się co do joty.

– Vassylika? To ta nieszczęsna Pytia z Delf? – zapytał Robert, a otrzymawszy potwierdzenie, dodał z wyrzutem: – Swoim pościgiem spowodował pan jej śmierć.

– To było jej pisane – stwierdził melancholijnie Gutierrez. – Niech dobry Bóg ulituje się nad jej grzeszną duszą.

– Tak było jej pisane! Bardzo wygodne stanowisko. – Robert czuł, że fałszywy pop wkurza go coraz bardziej. – Takie stanowisko usprawiedliwia każde łajdactwo i każde zaniechanie.

– Nie nazywałbym mojej działalności zaniechaniem. Robię co mogę, aby zło nie wygrało... Jeśli tylko zechce mi pan pomóc, ocalimy tę dziewczynę i zrobimy dużo dobrego.

– A przynajmniej wiadomo, dokąd płyniemy?

– Na południe – odparł lakonicznie Jorge. – Znam miejsce, gdzie na pewien czas udzielą nam schronienia.

- Co to znaczy: na pewien czas?
- Nie wiem, ile czasu zajmie nam odczytanie tablicy i uczynienie jej treści własnością publiczną.
- Skąd wie pan o moim znalezisku? – zdziwił się Mirski. – To miała być tajemnica!

Brodacz się uśmiechnął.

– Nie tylko mocodawcy Stavrosa mają informatorów w Ministerstwie Kultury i Turystyki. Poza tym Vassylika przepowiedziała wszystko nader precyzyjnie. I to, że ziemia się otworzy, ujawniając Logos. I że zginie twój brat...

– A pan wierzy bez zastrzeżeń we wróżby i prorocтва?

– Nie we wszystkie i nie zawsze. Jednak Vassylika należała do istot naprawdę wyjątkowych. W swoim życiu spotkałem dwie, może trzy osoby o równie nadzwyczajnych zdolnościach.

– I zamiast doradzać wielkim tego świata, ta kobieta dorabiała sobie, stawiając tarota przypadkowym gapiom w Delfach?

– Nie przypadkowym – zaproponował Gutierrez. – Mniej więcej od dwóch lat czekała na was. Wierzyła, że się zjawicie. Ale kiedy to nastąpiło, nie wytrzymała psychicznie.

Jednak wariat, pomyślał Robert. Były ksiądz odgadł jego myśli.

– Nie jestem szaleńcem, panie Mirski – powiedział. – Powiem więcej, całkiem niedawno, podobnie jak większość zwykłych ludzi, należałem do zatwardziałych niedowiarków.

– I co to zmieniło?

– To dłuższa opowieść.

– Chętnie posłucham. Chyba że nie mamy czasu.

– Mamy mnóstwo czasu. Na Kos dotrzemy za jakieś trzy godziny.

A więc udajemy się na wyspę Kos, skostatował Robert. Dobrze, że chociaż tyle wiem.

Ponieważ słońce wzniosło się dość wysoko i zaczęło zdrowo przypiekać, Gutierrez podniósł płócienny daszek nad łódką, ustawił obok gościa koszyk z owocami i napojami, po czym, zablokowszy ster, obrócił się twarzą do słuchacza i zaczął swoją opowieść.

4.

Przypadki ojca Gutierrez

Głos Pana. Nigdy nie przypuszczałem, że się do mnie odezwie. A już na pewno nie w takich okolicznościach. Nie w dniu, w którym buńczucznie ogłosiłem jego nieistnienie. Nie w to duszne, parne popołudnie dziesiątego września w Bostonie, na kongresie humanistów, odbywającym się w starej auli uniwersytetu stanowego, jednej z tych słynnych postępowych uczelni, którymi chlubiła się do niedawna demokratyczna Ameryka. Inna sprawa, że przez następną dobę nie pojąłem sensu przesłania. Może ze względu na posłańca – wysokiego, prawie dwumetrowego mięśniaka, o skórze koloru starego miodu, który wyglądał bardziej na pracownika służb specjalnych niż wysłannika opatrności. Dziś już wiem, że nie każdy może mieć urodę archanioła Gabriela – jak wynika z dostępnej ikonografii – białego anglosasa, a być może nawet protestanta. W końcu niektóre feministki utrzymują, że Pan Bóg jest ciemnoskórą kobietą, w dodatku bezwyznaniową.

Kiedyś bardzo ucieszyłbym się z takiego kontaktu, na niczym nie zależało mi bardziej niż na KONTAKCIE. Będąc dzieckiem, sierotą wychowanym w katolickiej ochronce na przedmieściach Quito, a także później, jako młodzieniec – chluba ekwadorskiej szkoły podstawowej – zaskakiwałem wszystkich preceptorów dojrzałą głębią mojej wiary.

Potrafiłem słuchać i żarliwie się modlić. A może byłem tylko niezłym aktorem, który wiedział, że właśnie tego od niego oczekują? Sęk w tym, że Ten, do którego kierowałem moje słowa, uparcie milczał. Może znał mnie lepiej niż ja sam i powątpiewał w ich szczerłość? Lata później zdałem sobie sprawę, że była to tylko długa próba, której niestety nie udało mi się sprostać.

Czy przynajmniej próbowałem? Ależ próbowałem! Zarówno będąc słuchaczem jezuickiego kolegium w Limie, studentem Rzymskiej Akademii Teologicznej, mnichem zakonu założonego w piętnastym wieku przez Ignacego Loyolę (i zlikwidowanego na pewien czas przez wojujące Oświecenie), czy wreszcie wykładowcą, profesorem, cenionym znawcą historii, teologii, eschatologii...

I nic, żadnego znaku. Za to diabeł tkwiący we mnie odnosił coraz większe sukcesy.

Byłem grzeszny, a pokusa zawsze miała dla mnie ciało kobiety.

(Jedyna pociecha, że nigdy nie gustowałem w ministrantach!) Jako młodzieniec często zmieniałem spowiedników. Wyznając sekrety mego pożądania, otrzymywałem rozgrzeszenie, głównie po to, żeby przy pierwszej okazji nie dotrzymać postanowienia poprawy. Trochę później, w Rzymie, zasmakowałem w prostytutkach, ale ten fakt zatajałem w konfesjonale. Przepraszałem Boga, jeszcze wtedy w niego wierzyłem, rozwijając na swój prywatny użytek doktrynę o zbyteczności spowiedzi. Faktycznie jednak byłem grzesznikiem, wiarołomcą, niegodnym uczestniczenia w sakramentach. Pycha i egoizm pozwalały mi z tym żyć, a co gorsza, nauczać innych. Ale na tym się nie skończyło!

Im wyżej wspinałem się po stromych szczeblach kościelnej drabiny, tym więcej rodziło się we mnie wątpliwości na temat instytucji, w której działałem. Pocieszenie się, że wśród innych „sług Bożych” są hipokryci podobni do mnie, osłabiało przekonanie o metafizycznym charakterze mojej organizacji.

Możecie zapytać, dlaczego z niej nie odszedłem? Cóż, byłem wygodny. Odnosiłem sukcesy! W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych na fali posoborowego entuzjazmu nazywano mnie nadzieją katolickiej nauki i doktryny.

Zwierzchnicy doceniali moją błyskotliwość, wiedzę, inteligencję. Ktoś w kurii powiedział nawet, iż w tajemniczy sposób czaruję moich rozmówców i studentów na podobieństwo amazońskiego węża, zdolnego wzrokiem obezwładniać ptaka.

Czy wtedy jeszcze w cokolwiek wierzyłem? Chyba chwiałem się na krawędzi zwątpienia.

Takie rzeczy przytrafiają się podobno tak pospolitym grzesznikom jak i świętym. Święci jednak nie robią z nich użytku. Ja niestety zacząłem zbijać na nich swój naukowy kapitał.

Moje ówczesne rozprawy *Zaratustra a manicheizm*, *Truizmy Orygenes* czy bardziej popularne opracowanie *Święte herezje* lub esej *Między Janem a Pawłem*, tak chętnie cytowane przez świeckich nieprzyjaciół Pana Boga były tyleż kamieniami milowymi chrześcijańskiej nauki, co kamieniami obrazy dla kościelnego establishmentu. Moje efektownie brzmiące sformułowania błyskawicznie podchwytywały liberalne media, szczęśliwe, że mogą rzucić kolejną kłodę pod nogi „konserwatystom z Watykanu”. Nie dbałem o konsekwencje. Cieszył mnie szum wokół mojej osoby, a co do przyszłości...

Cokolwiek robiłem, oddawałem się temu całym sobą, nie zastanawiając się nad implikacjami moich czynów.

Trzeba przyznać, że być może ze względu na mój młody wiek, i tak dość długo traktowano mnie wyjątkowo tolerancyjnie. Wśród posoborowych teologów było mnóstwo duchownych podobnych do mnie – niekonwencjonalnych, a zarazem wybitnych. Dobrych parę lat Kongregacja Doktryny Wiary patrzyła przez palce na kolejne kontrowersyjne publikacje, tolerowała moje sympatie do teologii wyzwolenia czy posługiwanie się nieomal marksistowską retoryką. Nie mogło to jednak trwać wiecznie. Z początkiem lat osiemdziesiątych na celownik wziął mnie sam kardynał Ratzinger i jego oficjum. Zrazu pojawiły się ojcowskie napomnienia, potem surowsze ostrzeżenia, wreszcie reakcje dyscyplinujące.

Niestety, moje poglądy ewoluowały coraz szybciej, a zapal polemiczny tylko je nakręcał.

Od krytyki praktyk katolicyzmu przeszedłem do podważania jego fundamentów – na pierwszy ogień poszedł dogmat o nieomyślności papieża, później niepokalane poczęcie...

Esaj *Syn Człowieczy*, w którym zanegowałem boskość Jezusa Chrystusa, okazał się moim Rubikonem. Po jego opublikowaniu Watykan ostatecznie stracił cierpliwość i obłożył mnie ekskomuniką. Zbyttno się tym nie przejąłem, od dawna nie uznawałem sakramentów, nie odprawiałem mszy, ceremonii, która połączenie z Absolutem zamieniła, jak wówczas twierdziłem, w gastronomiczny rytuał. Wyklęty przez *panzer-kardynała*, z wielką ulgą zrzuciłem habit, zostając świeckim wykładowcą. Postanowiłem się nawet ożenić, doraźne romanse i korzystanie z płatnych *call girls* przestało mnie bawić. Poza tym zakochałem się.

Tamtej wiosny dwa tysiące pierwszego roku wpadła mi w oko panna Shirley Davies, ćwierć wieku młodsza ode mnie studentka o jasnych włosach i zmysłowych, jakby wiecznie opuchniętych ustach grzesznej Marii Magdaleny. Czy z jej strony była to miłość, czy jedynie fascynacja, trudno mi orzec. Czułem się szczęśliwy, a utrzymywanie romansu ze studentką w tajemnicy zapewniało dodatkowe emocje... Jednak kiedy Shirley zaszła w ciążę, uznałem, że żarty się skończyły. Ustaliliśmy, że podczas dłuższej przerwy w cyklu moich kalifornijskich wykładów wymkniemy się na weekend do Nevady (gdzie zawrzeć małżeństwo lub je rozwiązać można między jednym a drugim rzutem kulki od ruletki) i w Reno lub Las Vegas zalegalizujemy nasz związek.

Rozgadałem się, ale zależało mi, aby poznać pan ten zdewastowany ugór, na który paść miało ziarno. Owego jesiennego dnia, ku radości trzech setek słuchaczy wypełniających historyczną aulę, zakończyłem swe wystąpienie serią zgrabnych paradoksów, w których definitywnie zanegowałem istnienie Boga w Trójcy Jedynej, stwierdzając *expressis verbis*, że na obecnym poziomie wiedzy inteligentny człowiek MUSI być agnostykiem. Otrzymałem brawa na stojąco i mnóstwo gratulacji po zejściu z mównicy. Ale ledwie zdążyłem ochłonać, sekretarka rektora wręczyła mi pismo od władz uczelni zawiadamiające, z datą wsteczną że nie przedłużono mi kontraktu na kolejny semestr.

Byłem zbyt zaskoczony, żeby zareagować. Zresztą o jakiej reakcji mogła być mowa?

Procesowanie się z uniwersytetem nie mieściło się w moich kanonach postępowania, a co do życiowych perspektyw? Bezrobocie mi nie groziło. Odczytów i wykładów mogłem mieć więcej niż czasu na nie. Całkiem niedawno nie przyjąłem propozycji stałej audycji w radiu, a wpływowi przyjaciele sugerowali, że już czas, abym zajął się polityką. Jako naturalizowany Latynos mogłem liczyć na znakomitą przyszłość w szeregach partii demokratów. Tak więc zachowanie władz uczelni, wynikające, jak wówczas to oceniałem, z intryg rosnących w siłę reakcjonistów, przyjąłem ze spokojem mędrca. Zresztą myślałem głównie o rychłym spotkaniu z Shirley i o naszym wyjeździe.

Korytarz uniwersytecki był mroczny, toteż w pierwszej chwili w ogóle nie zauważyłem potężnego Afroamerykanina, ubranego w drogi garnitur od Armaniego. Wyszedł z nienacka zza kolumny, zastąpił mi drogę i błyskając białkami oczu, mruknął ciepłym basem: „Mocne wystąpienie!”.

– Dziękuję panu – odparłem, szukając miejsca pod ścianami z prawej lub z lewej, aby wyminąć tę czarną górę. Nie przepadałem za niezapowiedzianymi spotkaniami. Elegancki Murzyn mógł się przecież okazać religijnym fundamentalistą, a ci już parę razy płatali mi nieprzyjemne figle. Niestety, nie dał się wyminąć.

– Chcielibyśmy z panem porozmawiać – rzekł.

– W jakiej sprawie? – Popatrzyłem uważnie na intruza, używającego z niejasnych powodów *pluralis majestatis*. Gdyby nie strój, uznałbym go za typowego przedstawiciela jakiejś tajnej agencji rządowej. Ci jednak z reguły noszą gorsze ciuchy.

– W sprawie konsultacji teologicznej – odparł. – Mówiąc ściślej, chodziłoby nam o udział

pana profesora w pewnym programie badawczym.

– Jeśli słuchał pan uważnie wykładu, który raczył pan pochwalić, to wynika z niego przynajmniej jeden oczywisty wniosek: skończyłem z teologią! – Tu rozłożyłem ręce szerzej, niż kiedykolwiek czyniłem to przed ołtarzem, i wykorzystując, że przesunął się nieco w prawo, minąłem go z lewej, dorzucając w przelocie: – Nie ma Boga, *ergo* nie ma również nauki o nim.

– Zauważyłem. To było bardzo efektowne sformułowanie – zgodził się, ale bynajmniej nie zniechęcony, ruszył w ślad za mną, dotrzymując mi kroku. – Sugeruję jednak, aby popatrzeć na to zagadnienie od strony materialnej...

– Jak mam to rozumieć?

– Najprościej! Nie ma pan stałej pracy, a nasza oferta jest poważna. Poza tym fakt, że pan skreślił Boga, nie oznacza, że Bóg skreślił pana. Jeśli interesują pana konkrety, proponujemy dwieście tysięcy rocznie netto...

– Mówi pan, że to stała praca? – Słyszac sumę, nieco zwolniłem i popatrzyłem na Afroamerykanina nieco uważniej.

– Powiedzmy na dłuższy czas. Stawiamy tylko jeden warunek: pracuje pan wyłącznie dla naszej fundacji.

To stwierdzenie ochłodziło moje zainteresowanie propozycją. Od zerwania z Kościołem nie znosiłem żadnych ograniczeń, ponadto przypominałem sobie o paru zobowiązaniach wydawniczych i zamówionych wykładach.

– Trzysta tysięcy! – Murzyn, widząc moje wahanie, dorzucił stówę, jakby chodziło o napiwek dla barmana. Ciekawe, na jakiej sumie by się skończyło, gdybym podjął tę licytację.

Ale nie podjąłem. Jeśli los i władze uniwersyteckie właśnie uczyniły mnie człowiekiem wolnym, chciałem posmakować tej nowej sytuacji.

Poza tym zadziałała intuicja. Zauważyłem coś w zachowaniu tego czarnoskórego eleganta, co mnie zaniepokoiło: nienaganna elegancja, a może nadgorliwa skłonność do ustępstw... Coś trudnego do określenia, a jednak...

– Nie podpisuję żadnych kontraktów w ciemno – zastrzegłem.

– A kto mówi, że w ciemno? Jeszcze dziś w imieniu mojego szefa zapraszam na spotkanie. – W ręku czarnego eleganta pojawiła się wizytówka. – Będziecie mogli dogadać wszelkie szczegóły.

– Dziś jestem zajęty. – Przyśpieszyłem kroku. Podjąłem już decyzję i nie zamierzałem jej zmieniać.

– W takim razie może jutro? – nalegał Murzyn.

– Jutro wylatuję na cykl wykładów. Najwcześniej moglibyśmy się spotkać za dwa tygodnie – rzuciłem na odczepnego.

– Jak pan sobie życzy, ale mam nadzieję, że nastąpi to dużo wcześniej. – Afroamerykanin skłonił się i oddalił.

Odwrociłem wizytówkę.

Fundacja nosiła nazwę „Dotknąć Boga”. Zapachniało mi jakąś koszmarną dewocją lub, co gorsza, prowokacją. Miałem ochotę pozbyć się tego kartonika, ale ponieważ nigdzie nie zauważyłem kosza, machinalnie schowałem go do kieszeni.

Z komórki zadzwoniłem do Shirley.

– Tu Jorge, nie masz pojęcia, jak się za tobą stęskniłem...

– Mam pojęcie. Usycham bez ciebie.

Przez resztę dnia i cały wieczór nawet przez sekundę nie pomyślałem o niespodziewanej propozycji. W mieszkaniu czekała na mnie Shirley. Wykąpana, pachnąca... Jak zwykle było fantastycznie. Nasz romans trwał już pół roku, ale nie doszło do „zmęczenia materiału”.

Gibkie i zawsze chętne ciało studentki, niezależnie jak często przeze mnie używane, nie przestawało zachwycać delikatnością, słodyczą, oddaniem. Seks z rzymskimi nierządnicami, nawet w okresie, kiedy przestałem wierzyć w Boga, każdorazowo wywoływał u mnie moralnego kaca, natomiast miłość z Shirley niezmiennie czyniła mnie młodym, szczęśliwym i beztróskim. Ileż razy, nasycony rozkoszą, powtarzałem sobie: „Jakież ja byłem głupi, ślubując celibat. Naprawdę liczy się to, czego możemy dotknąć, reszta jest mirażem lub spekulacją...”.

Rozstaliśmy się koło jedenastej. Shirley, która z powodu jakiegoś przesądu wolała nocować u rodziny, wzięła taksówkę, a ja zasiadłem nad korektą artykułu piętnującego odrażający fundamentalizm amerykańskich neokonserwatystów. Mieliśmy się spotkać rano na lotnisku, a najpóźniej na pokładzie samolotu do Los Angeles.

Tej nocy źle spałem. Śniło mi się, że stąпам po bezkresnym polu czarnej lawy przypominającej zamrożone piekło. Pejzaż wydawał mi się znajomy. Przed laty z wycieczką peruwiańskich seminarzystów odwiedziłem wulkaniczną wyspę Santiago w archipelagu Galapagos. Jednak w porównaniu z krajobrazem ze snu nawet tamta czarna pustynia nie była ani tak rozległa, ani tak pusta. Zresztą wtedy towarzyszyła mi grupa księży, a we śnie byłem sam. To znaczy nie do końca. Czulem obok siebie czyjaś stałą, męczącą obecność. Docierał

do mnie jakby chichot.

A tuż przed obudzeniem się przysięgłbym, że usłyszałem cichy, ale przenikliwy szept:

„Nie ma Boga, nie ma przeznaczenia, a szatan, przepraszam, jest?”.

* * *

Ranek nastał piękny, słoneczny, sprzyjający wspaniałym planom i zdrowym wypróżnieniom. Jednak

nie miałem okazji docenić jego uroków. Jakby wszystko sprzysięgło się przeciwko mnie. Najpierw, co nigdy dotąd się nie zdarzało, nie zadzwonił mój staromodny budzik, toteż wstałem spóźniony o ponad pół godziny. Dobrze chociaż, że spakowałem się wieczorem. Nieogolony i niedomyty, zbiegłem do samochodu. Kolejny pech! Mój ford, dotychczas posłuszny jak doskonale ułożony labrador, po raz pierwszy nie zapalił za pierwszym ani nawet za dziesiątym razem. Wyglądało na to, że w ciągu nocy rozładował się akumulator. Na domiar złego taksówka z korporacji „Niezawodność”, którą wezwałem, utknęła w porannym korku, tak więc, kiedy parę minut po ósmej wreszcie znalazłem się na bostońskim lotnisku, boeing 767 z United Airlines, lot do Los Angeles numer sto siedemdziesiąt pięć, unosił się już ponad pasem startowym. Minutę później wystartowała również lecąca w tym samym kierunku maszyna linii American Airlines, w której z powodzeniem znalazłoby się dla mnie miejsce. Niech to szlag! Spóźniłem się na oba samoloty!

Kiedy wściekły usiłowałem przebukować bilet na któryś z następnych lotów, podeszła do mnie Mulatka z personelu lotniskowego i wręczyła kartkę od Shirley. *Nie mogłam się na ciebie doczekać ani dodzwonić! Co się dzieje z twoją komórką? Zobaczmy się w LA.*

Natychmiast sprawdziłem telefon. Ekran ciemny, bateria wyładowana. Czyżby jakaś burza magnetyczna przeszła tej nocy nad tą częścią Bostonu?! List kończył dopisek: *Będę cię kochała aż do śmierci. A nawet dłużej. Twoja S.*

Dramatyczny sens tych słów miał uderzyć we mnie ponad godzinę później, w saloniku dla VIP-ów na końcu hali odlotów, wraz z brzękiem rozbijającej się filiżanki, która wypadła mi z rąk. Na ekranie telewizora poblady spiker podał właśnie wiadomość, że samolot pasażerski, dokładnie o dziewiątej zero trzy, uderzył w Wieżę Południową World Trade Center... Jako jedyny z obecnych na lotnisku, w przebłysku intuicji poczułem, że to właśnie maszyna z moją Shirley i pięćdziesięcioma sześcioma pasażerami na pokładzie...

Nie, nie, to absolutna bzdura. Nad USA krążą w tej chwili tysiące samolotów, to nie może być ten, uspokajałem się, zamawiając następną kawę.

Potwierdzenie moich obaw zbiegło się z pokazaniem przez telewizję obrazu drugiego samolotu, wbijającego się w Wieżę Północną. Odniosłem wrażenie, jakby na moment na całym lotnisku wysiadła fonia i nastąpiła cisza absolutna. Trwało to ułamek sekundy. Zaraz potem rozległy się krzyki, szlochy, i rozpoczęła bieganina. Jednak w tym właśnie ułamku sekundy, który zdawał się trwać wieki, znów odezwał się ów niesamowity chichot ze snu:

„Nie ma Boga, nie ma przeznaczenia, a szatan, przepraszam, jest?”.

* * *

Następna doba przypominała rwane sekwencje rodem ze złego snu, z którego bezskutecznie usiłowałem się obudzić. Nie pamiętam, jak wróciłem do domu, z trudem rozpoznawałem twarze ludzi, którzy zjawili, się aby mnie wesprzeć, a każdy dzwonek telefonu przypominający Shirley sprawiał mi ból. Nie jadłem, nie spałem, a co gorsza, długo nie mogłem racjonalnie myśleć. Kiedy wreszcie, kończąc drugą butelkę whisky, doczekałem następnego świtu – pomimo pięknego wschodu słońca koszmar trwał nadal – wiedziony nagłym impulsem sięgnąłem po leżące pod łóżkiem Pismo

Święte i otworzyłem na chybił

trafił. Wzrok mój padł na słowa Jezusa: *Nie potrzebują lekarza zdrowi, lecz ci, co się źle mają. Nie przyszedłem powołać sprawiedliwych, ale grzeszników.* Nagle otrzeźwiałem. Moje myśli, do tej pory przypominające rumowisko w nowojorskiej „strefie zero”, ułożyły się.

Pojąłem logikę faktów. Shirley nie żyła, a ja, z jakiegoś powodu, ocalałem. Niezwykły, wręcz nieprawdopodobny zbieg okoliczności sprawił, że nie poleciałem tym samolotem. Ani następnym, który staranował kolejną wieżę! Zbieg okoliczności? Poczulem gwałtowny skurcz serca. Czy w ogóle istnieją zbiegi okoliczności? A może wszystko dzieje się według starannie zaplanowanych scenariuszy? Byłem zbyt słaby, aby rozmyślać o determinizmie. Najpierw poszedłem do łazienki, żeby zwrócić do sedesu co tylko dało się zwrócić. Potem zaparzyłem sobie mocną kawę, a na koniec wygrzebałem z kieszeni kamizelki wizytówkę Fundacji

„Dotknąć Boga”. Wykręciłem wydrukowany na niej numer.

– Luke Palmer – zabrzmiało prawie natychmiast, jakby Afroamerykanin czekał na mój telefon.

Przedstawiłem się i nieskładnie próbowałem coś wybełkotać, ale Murzyn przerwał mi już po paru słowach.

– Przyjadę po pana – powiedział krótko. – O trzeciej po południu.

– Już dzisiaj? – jęknąłem. – Nie wiem, czy będę na siłach...

– A co ma pan innego do roboty? Łączność lotniczą nieprędko przywrócą. Chce pan udać się do Kalifornii pieszo?

Odkładając słuchawkę, nie potrafiłem pozbyć się wrażenia, że już podczas pierwszego spotkania na uniwersytecie Palmer doskonale wiedział, że tak się to wszystko skończy.

* * *

Luke prowadził błękitną limuzynę pewnie, choć bez szczególnego polotu, trzymając się rygorystycznie ograniczeń prędkości, które dla Europejczyków czynią podróże po rozległych obszarach USA koszmarem. Odnosiło się wrażenie, że elegancki Murzyn jest osobnikiem całkowicie wypranym z emocji. Nawet kiedy zajechał nam drogą wielki truck, omal nie powodując katastrofy, Palmer bez jednego przekleństwa lub chociaż słowa komentarza wcisnął hamulec, precyzyjnie prześlizgując się poboczem. Jego telefon nie zadzwonił ani razu, a radio nie wydało żadnego dźwięku. Najwyraźniej Palmer uznawał, że jedynym towarzyszem podróży powinna być cisza.

Przespałem większość tej podróży bocznymi drogami Nowej Anglii, owej pięknej i schludnej krainy, pełnej studentów, zakamuflowanych wieźm i emerytów. Obudziłem się na dobre, kiedy Palmer delikatnie przyhamował przed fantazyjną kutą bramą posiadłości położonej w górzystej części stanu New Hampshire. Przy wjeździe nie zauważyłem żadnego strażnika ani nawet kamery, jednak potężne wierzeje otworzyły się automatycznie. Topolowa aleja doprowadziła nas do kompleksu starych domów o wielu szczytach, wzniesionych z kamienia, cegły i „pruskiego muru”, tu i ówdzie

obrośniętych dzikim winem...

Jednak Afroamerykanin ominął te zabudowania, jakby stworzone do filmu o czarownicach z Salem, i skierował się w stronę rzeki, nad którą czerwieniały kryte dachówką dachy jakichś bungalowów, a ponad rozległymi sadami na szczycie wzgórza stary wiatrak flegmatycznie miał skrzydłami powietrze.

– Najpierw odwiedzimy szefa – oznajmił Luke. – Bardzo ucieszy się z pana przybycia.

Ominęliśmy wyrastający z wody pałac, miniaturową kopię jednego z zamków nad Loarą (wtedy nie byłem pewny, czy wzoru dostarczył Chinon, Chambord czy Chanonceau) i zatrzymaliśmy się na jego zapleczu, gdzie za szpalerem z ligustru zaczynały się ogrody. Luke doprowadził mnie na skraj warzywniaka. Gospodarz, w wystrzępionym słomkowym kapeluszu, ubrany w poszarpane dzinsy i T-shirt drugiej świeżości z napisem „Jesus Christ Superstar”, zajmował się pieleniem grządki. Na tle swego majordomusa, wyglądającego niczym reprezentacyjna uliczka eleganckiego centrum handlowego, gdzie Gucci (buty) sąsiadował z Armanim (garnitur), a Rolex (zegarek) z Versace (krawat), pryncypał

przypominał zaulek w lumpeksie. W dodatku był tak pochłonięty pracą, że chyba nie usłyszał naszych kroków.

– Profesor Jorge Gutierrez – oznajmił Palmer w sposób świadczący, iż anonsowanie przybyszów jest jego częstym zajęciem.

Pielący mężczyzna wstał, odwrócił się, otarł kościstą dłoń o spodnie, po czym wyciągnął ją do mnie.

– Cieszę się, że pan już jest – powiedział, mrugając, a jego oczy na tle siwych włosów i twarzy pomarszczonej jak suszone jabłuszko, spoglądały nad wyraz młodzieńczo. – Można powiedzieć: właściwy człowiek we właściwym momencie. Al Hollmayer – przedstawił się.

Prezentację akurat mógł sobie darować. Któż nie znał charakterystycznej trójkątnej twarzy jednego z najbogatszych ludzi Ameryki? Nie interesował mnie wprawdzie świat z ilustrowanych czasopism, ale nie sposób było go całkowicie ignorować! Alexander Rupert Hollmayer Trzeci – sieć domów towarowych, media, nieruchomości. Bogaty jak Gates, bezwzględny jak Morgan, tajemniczy jak Hughes. I dodajmy, rozpoznawalny jak Ted Turner, chociaż jakieś pięć lat temu zniknął z plotkarskich periodyków i elektronicznych mediów.

Jedni twierdzili, że trawi go tajemnicza choroba, inni, że z nadmiaru bogactwa zwariował. A wyglądało na to, że postanowił zostać ogrodnikiem.

Milcząco uścisnąłem suchą, spracowaną dłoń. Przez cały czas zadawałem sobie pytanie, co ja właściwie tutaj robię?

Palmer zniknął, miliarder umył tymczasem ręce pod ogrodowym szlauchem, potem wprost z niego

napił się wody, a następnie, alejką pomiędzy ścianami precyzyjnie przystrzyżonej zieleni, doprowadził mnie do malowniczej chińskiej altany. Tam zaproponował mi drinka, sam zadowolając się szklanką świeżego mleka.

– Ile ma pan lat, księże? – zapytał, przewiercając mnie oczami, które pogodną twarz nowoangielskiego Lwa Tołstoja zmieniały od czasu do czasu w oblicze doktora Mabuse.

– Pięćdziesiąt pięć – odparłem.

– Ja mam osiemdziesiąt. I coś tam jeszcze. Najwyższa pora, żeby zacząć myśleć o rzeczach ostatecznych. Jak to się mówi: Niebo bliżej, ziemia wyżej. A w głowie ciągle chłopak grający w koszykówkę na peryferyjnej uliczce. Wiosny przechodzą w jesień, jak w kołowrotku. Przelatują epoki. Wszystko się zmieniło. I nic się nie zmieniło. Poza perspektywą. Był ranek, jest zmierzch. Dziś jesteśmy, jutro nas nie będzie. A co najgorsze, nie potrafimy się z tym pogodzić.

Sączyłem drinka, zastanawiając się, kiedy będę musiał zabrać głos i przeprosić gospodarza za nieporozumienie. Hollmayer potrzebował spowiednika, ewentualnie psychoanalityka, a ja, nawet po pijaku, absolutnie nie nadawałem się do tej roli.

– Całkiem niedawno zdałem sobie sprawę, że z dawnych nałogów pozostał mi już tylko jeden: ciekawość – ciągnął starzec. – Dziwne, prawda? Można przecież powiedzieć, że przez te osiemdziesiąt lat poznałem wszystkie rozkosze doczesnego życia. W dodatku profesor Alzheimer jakby o mnie zapomniał. Do dziś pamiętam smak każdej kobiety, którą kochałem, a gdy zasypiam, pod powiekami przesuwają mi się twarze i krajobrazy. Twarze i krajobrazy.

Przeżyłem dwie wojny z karabinem w rękę, wiele lat uprawiałem hazard o nazwie biznes, w dodatku grając o najwyższe stawki. Planując, kalkulując... Dziś dochodzę do kresu. Zmysły tępieją, straciłem powonienie, lekarze nie pozwalają mi pić ani palić, a na kobiety nie mam specjalnej ochoty... I właściwie interesuje mnie już tylko jedno: co będzie dalej? Czarna przepaść niepamięci czy nowy początek? Niebyt czy sąd przed najwyższą ławą? Bez adwokata.

– Nie wiem, czy pan się orientuje, że ja... – zacząłem, pragnąc powiedzieć coś o mojej niekompetencji, ale Hollmayer natychmiast mi przerwał:

– Wiem, co chce pan powiedzieć! Od pewnego czasu nie wierzy pan w Boga. A przynajmniej do wczoraj był pan na najlepszej drodze, aby go unieważnić. Pycha, drogi profesorze. Pramatka wszystkich grzechów. W pańskim przypadku uzasadniona znacznymi sukcesami, ale nigdy nie nasycona. I w dodatku wcale nie samotna pośród innych występków.

Zali nie towarzyszyło jej pragnienie szczytów, nieumiarkowanie w ambicjach i głód sukcesu za wszelką cenę? Nieczystość zaspokajanych żądz, gniew na struktury Kościoła, które, pańskim zdaniem, nie nadążają za potrzebami czasów, wreszcie lenistwo, które nie zezwalało na poświęcenie wszystkiego i powrót do ideałów Ewangelii. Nieprawdaż?

Zadrzałem. Nie miałem pojęcia, że to nie mnie przyjdzie występować w roli spowiadającego. Starzec przejrzał mnie z dziecinną łatwością, wyliczając wszystkie główne przewiny mojego

dotychczasowego żywota.

– Na tym tle – kontynuował miliardier – grzech zwątpienia jest w pańskim przypadku doprawdy niewielką przewiną. Człowiek myślący, choćby i pobożny, co dzień, co godzinę, miota się między zwątpieniem i niewiarą... jak ja. Wierzy, to znów nie wierzy... Ale wracając do mnie, żeby było jasne: nie potrzebuję pociechy duchowej, profesorze! Gdyby takowa była mi potrzebna, z racji genealogii zaprosiłbym rabina. Ja tylko chcę wiedzieć, jak jest naprawdę? Chcę dowodu – lub zaprzeczenia – na istnienie Boga. Dla siebie i dla tej ludzkości, która odrzuciwszy go *a priori*, zupełnie zwariowała.

Umilkł i sięgnął po kubek z mlekiem, czekając na moją odpowiedź.

– Ciekawe zadanie, szkoda, że niewykonalne – odparłem. – Od czasów Tomasza z Akwinu nikt tak naprawdę nie znalazł nowych dowodów na istnienie Boga. A ja już nadaję się do tego najmniej!

– Nie będzie pan sam. Powołałem do zbadania tej sprawy fundację i zgromadziłem w niej zaiste pierwszorzędną zespół ekspertów z różnych dziedzin. Jestem pewny, że jeśli Bóg istnieje, udowodnicie to empirycznie jeszcze za mojego życia.

Ośrodek, do którego Luke Palmer zawiózł mnie po tej audyencji („Proszę nie udzielać mi ostatecznej odpowiedzi, spokojnie się rozejrzeć, zastanowić. Za dziesięć dni podejmie pan, nie wątpię, jedyną słuszną decyzję” – zakończył spotkanie Hollmayer) stanowił zadziwiające połączenie klasztoru, kampusu i domu wariatów. Stare, ciemne gabinety wyposażono w ultraszybkie, najnowocześniejsze komputery. Dwupiętrowa biblioteka pełna starodruków z dziedziny alchemii, sztuk magicznych, psychotroniki, z bogatym katalogiem niewyjaśnionych zjawisk z ostatnich lat, sąsiadowała z wielkimi, doskonale wyposażonymi laboratoriami, mieszczącymi reaktor jądrowy i liczne urządzenia, których przeznaczenia nie próbowałem nawet odgadnąć. Nieco z boku znajdowała się także klinika, w której, sądząc po zapachu, dokonywano doświadczeń na zwierzętach, a może i na ludziach.

Apartament przygotowany dla byłego mnicha mieścił się na poddaszu – dwa pokoje, sypialnia z łazienką i gabinet połączone były korytarzem z wnęką ozdobioną czarnym krucyfiksem, która z biedą mogłaby służyć za ołtarz. Luke poczekał, aż zostawię swoje rzeczy i poddam się krótkiej ablucji (pozytywka w kiblu nuciła jakiś standard muzyki gospel), a następnie zaprowadził mnie na posiłek.

Sala jadalna przypominała klasztorny refektarz, jednak potrawy nie odbiegały od tych, które serwowano w stołówkach akademickich, no i obowiązywała w niej samoobsługa.

Palmer podszedł do głównego stołu, przy którym posilało się kilkanaście osób różnej płci, prezentując mi kolejno znakomitości w swoich specjalnościach. Witali mnie z zainteresowaniem, w końcu mnich – wojujący ateista to dość rzadki okaz, ale zarazem z powściągliwością właściwą nie tylko ludziom wykształconym, ale przede wszystkim dobrze wychowanym. Personel pomocniczy konsumował w mniej eksponowanych kątach wielkiej sali i nie fraternizował się z liderami. W pierwszej chwili nie zdołałem zapamiętać wszystkich nazwisk moich nowych kolegów, zresztą miałem zbyt wielki mętlik w głowie, aby kojarzyć wszystko, co do mnie mówiono. Jednak nie minął dzień, a nauczyłem się rozpoznawać wszystkie twarze i sylwetki, i przypisywać je właściwym

osobom. A dziś, z dystansu, jeszcze raz przeżywam tę scenę z niejakim wzruszeniem, a na pewno z żalem. Nie byli to ludzie, których łatwo zapomnieć.

Weźmy fizyka Jasia Nowaka z dalekiej Polski: szopa blond włosów i gęsta broda opadająca na szeroką pierś. Zasłużony poszukiwacz Boga na poziomie kwantowym.

Za jego jaskrawe przeciwieństwo można było uznać biologa Francois Aubry'ego, drobnego lyończyka o łysej podłużnej czaszce i zabójczym wąsiku, stanowiącym, jak podejrzewano, jedyne owłosienie genialnego genetyka. Tropieniem śladów Przedwiecznego w kosmosie zajmował się Aleksiej Titow, astronom z Semipałatyńska, zwaliste chłopisko z twarzą ruskiego muzyka, perkatym nosem i wiecznie przekrwionymi oczami, które zawdzięczał, tu zdania były podzielone – notorycznemu spoglądaniu w gwiazdy lub raczej do kieliszka.

Sekcją medyczną dowodził Hans Frischke, kościsty chudzielec w czarnym, zapewne nigdy nie pranym garniturku, gęsto obsypanym łupieżem – genetyk, który oprócz kodu życia interesował się odmiennymi stanami świadomości, wagą duszy, co sprawiło, że w ojczystym Heidelbergu dorobił się opinii groźnego hochsztaplera i zmusiło do zmiany kontynentu.

Frischke, jak zauważyłem, nie był szczególnie lubiany przez kolegów. Niezbyt zrównoważony złośliwiec, kiedy spotkał się z godnym siebie przeciwnikiem, potrafił

wybuchnąć, i zdarzyło mi się później widywać, jak gonił asystenta ze zlewką w rękę, grożąc, że jeszcze jedna taka pomyłka, a wypali mu oczy kwasem.

Całkowitym przeciwieństwem Hansa był odpowiedzialny za dział weterynaryjny Howard Boon z Kalifornii – autor fundamentalnej pracy *Nadmysty zwierząt*. Przyjazny wszystkim naukowiec, malutki, okrągłutki, o różowym nosku, przez współpracowników nazywany był

„Chomikiem”.

Amerykańskim paszportem legitymował się również programista Gene Jacobi – rudy Żyd o niebieskich oczach i nieprawdopodobnie długich palcach, najlepszy hacker, jakiego nosiła matka ziemia. Już w wieku trzynastu lat bezkarnie włamywał się do baz danych CIA, a w wieku szesnastu z musu (złożono mu propozycję nie do odrzucenia) zajął się ich zabezpieczaniem.

Podobno z pokrewnej agencji wywodził się Steven Green, bezbarwny gość o szarej twarzy nałogowego palacza, podczas rozmowy cedzący słowa wolno, półgłosem, choć podobno w sytuacjach ekstremalnych potrafił poruszać się ze zwinnością czarnej mamby. O

swojej pracy w FBI mówił rzadko i niechętnie.

– Porfirio. – Przed moim nosem wyrosła nagle miękka dłoń Latynosa o wyraźnej przewodze genów indiańskich, na które wskazywały metaliczne włosy i wystające kości policzkowe. – Porfirio Lobo. Czekaliśmy na ciebie, *padre*.

– Czekaliście?

– Od tygodnia!

– To interesujące, bo ja jeszcze dziś rano nie wiedziałem, że tu przyjadę.

– Niektórzy widzą trochę dalej niż inni – powiedział Meksykanin i wrócił do jedzenia.

Później Palmer wyjaśnił mi, że Lobo to ostatni z wielkiej dynastii meksykańskich szamanów, uprawiającej nieprzerwanie swój proceder od czasów Olmeków. Porfirio był mistrzem prekognicji, wyczuwał zbliżające się trzęsienia ziemi, tornada, a nawet katastrofy.

– Na trzy dni przed jedenastym września uprzedzał o ataku na Amerykę. Mówił o czarnych ptakach uderzających w wieże...

– To dlaczego nie zawiadomiliście FBI?

– Wróżba nie mówiła konkretnie, gdzie i kiedy to się stanie. Poza tym, kto z rutyniarskich funkcjonariuszy uwierzy w prorocтва człowieka od lat posiadającego wariackie papiery?

Przy stole obok Lobo zasiadała zazwyczaj ponura jak Hades Greczynka, Vassylika Roidis, przezywana Pytią, dorównująca mu talentem prekognicji. Niestety, dar przewidywania przyszłości u tej ledwie piśmiennej chłopki z Epiru szedł w parze z osobliwą tępotą, utrudniającą w ogromnym stopniu interpretację jej wróżb i wizji. Wpadając w trans, używała często słów w językach, o których istnieniu nie miała pojęcia. Ubierała się na czarno, zakrywając szczelnie każdy skrawek ciała (jakby ktokolwiek, nawet wyjątkowo mało wybredny, próbował się nań połaszczyć), nosząc, zarówno latem, jak i zimą, długie grube rękawiczki.

Ostatnimi, których poznałem, był czarny jak asfalt Carlos Ramos – radiesteta i telekinetyk z Kuby, oraz Alima – pochodząca z Mongolii specjalistka od medycyny naturalnej. Jej domeną była akupunktura, bańki cięte, leczenie żeń-szeniem, a także masażem.

Popatrzyłem na tę niebrzydką Azjatkę, zastanawiając się, czy w grę wchodzi również masaż erotyczny? Uśmiechnęła się zachęcająco. Trochę się zmieszałem i odwróciłem wzrok.

Natychmiast moją uwagę przyciągnął siwy mężczyzna, milczący, siedzący osobno przy małym stoliku w połowie sali, między starszyzną a laboratoryjnym plebsem. Człowiek ten nie zareagował na moje wejście i zdawał się w ogóle nie zwracać uwagi na świat zewnętrzny. Po jego wyjściu Luke powiedział mi, że to historyk Ben Wilder, w rzadkich chwilach gadatliwości żywa encyklopedia wiedzy o zdarzeniach niezwykłych od pradziejów po najnowsze bredzenia o świętym Graalu i Marii Magdalenie.

Niektórzy przebywali tu już parę miesięcy, inni dopiero od paru tygodni. Stanowili grupę tak niezwykłych egzemplarzy ludzkiego gatunku, że szybko pogodziłem się z myślą o spędzeniu z nimi głupich dziesięciu dni, które obiecałem Hollmayerowi.

– W każdej chwili po tym terminie będzie mógł się pan wycofać, nie tracąc prawa do wynagrodzenia! – zapewnił mnie miliardier.

Ani się spostrzegłem, jak dni zmieniły się w tygodnie, tygodnie w miesiące, a te ostatnie w lata.

Nie wynikało to wyłącznie z szoku po wydarzeniach jedenastego września. Program, którym się zająłem, po prostu mnie wciągnął. Święte księgi czytane na nowo ujawniały treści, których istnienia nigdy nie podejrzewałem. W przebogatym archiwum po raz pierwszy dotarłem do niepublikowanych zwojów z Qumran, do zadziwiających płytek z Tell el Amarna, wymieniających imię buntownika Mojżesza, który zaraził faraona Echnatona koncepcją Jedyne Boga – Atona, Wiekuistej Światłości, symbolizowanego przez tarczę słoneczną. Znalazłem tam też kopię *Rękopisu Synajskiego*, odkrytego całkiem niedawno w zamurowanej krypcie klasztoru Świętej Katarzyny i nieznanego ogółowi biblistów, który zawierał najstarszą różną w kilkunastu szczegółach od kanonicznej, wersję Apokalipsy.

Ból po stracie Shirley, początkowo nieznośny, dręczył mnie coraz rzadziej, podobnie działo się z poczuciem pustki i ową kumulowaną przez lata niechęcią do jakiegokolwiek *sacrum*. Dostyc wcześnie złapałem się na tym, iż żegnam się, przechodząc koło wnęki z krucyfiksem. Później, przed snem, poczęły wracać do mnie nie odmawiane od lat modlitwy.

Czytając stare papirusy i pergaminowe zwoje, początkowo zachwyciałem się jedynie urodą biblijnych fraz. I choć nieraz studiowałem je, zestawiałem i porównywałem w celu udowodnienia, że Boga nie ma, teraz im bardziej chciałem przeciwstawić Syna Ojcu i Duchowi, wbić klina między Elohima a Jahwe, podważyć ustalenia wczesnych soborów, na których pierwsze skrzypce grali cesarze ateści, lub wyśmiać legendy o cudach i świętych, tym częściej docierało do mnie, że za tymi komiksami dla ubogich duchem kryje się coś większego, potężniejszego, nieodgadnionego.

Podobne doznania mieli i inni pracownicy fundacji. Mogłem się o tym przekonać, kiedy raz w tygodniu rozmawialiśmy na sympozjone u Hollmayera – Bóg wyzierający z kwarków Nowaka przedziwnie korespondował z nowymi regułami dotyczącymi materii i energii wszechświata, które tropił Titow. Jak można było pozostawać niedowiarkiem, gdy szaman Porfirio Lobo swe własne sny i rozwichrzone wizje Vassyliki umiejętnie przekładał na wzrost lub spadek kursów na giełdzie, co bezwzględnie wykorzystywał Al Trzeci. Zawsze z korzyścią dla swoich interesów. Nie dziw więc, że z każdym dniem głębiej wchodziłem w rolę syna marnotrawnego, doświadczałem dziwnych uczuć skruchy lub wspominając dotychczasowe życie, czułem gwałtowną bojaźń bożą... Szedłem wtedy do kaplicy wzniesionej w ogrodzie, padałem krzyżem na dębowe deski u stóp figury Zbawiciela i płakałem. Tak, Robercie, na nowo nauczyłem się płakać.

Na koniec doznałem objawienia. Oto leżałem wyprostowany, rozmodlony, kiedy coś upadło koło mnie i z grzechotem potoczyło się po podłodze. Popatrzyłem i zaraz spostrzegłem sprawcę hałasu. Był nim potężny skorodowany gwoźdź.

Uniosłem głowę. I oniemiałem. Chrystus na krzyżu wyciągał uwolnioną rękę w moim kierunku... Krzyknąłem rozzierająco i straciłem przytomność.

Później dowiedziałem się, że zabawiono się moim kosztem, a sprawcą „cudu” był

kubański telekinetyk, Ramos. Siłą woli faktycznie wyciągnął gwoźdź i poruszył ramieniem figury, ale potem wpadł w panikę, widząc, że zemdlałem.

– Chyba trochę przesadziłem! – wyznał towarzyszącemu mu Meksykaninowi (obaj obserwowali mnie z wysokości chóru), po czym Porfirio pognął po Alimę, biegną również w reanimacji.

Nie obraziłem się na nich. Ani nie zwątpiłem w możliwość występowania nadprzyrodzonych zjawisk. Dziś sądzę, że ten eksperyment był mi potrzebny. Dojrzywałem do nawrócenia i potrzebowałem wstrząsu.

* * *

– I dał się pan zwerbować za pomocą zwyczajnej kuglarskiej sztuczki? – przerwał opowieść eksksjędza Robert.

– Nie kuglarskiej! – zaproponował Jorge. – To prawda, nie zdarzył się żaden cud, ale Ramos zademonstrował, że istnieje praktyczna telekineza, że możliwe jest wyciągnięcie gwoźdźcia wyłącznie siłą woli z dystansu kilkunastu metrów... To zdarzenie ostatecznie upewniło mnie w przekonaniu, że w programie Hollmayera zostali zgromadzeni ludzie naprawdę obdarzeni nadzwyczajnymi zdolnościami.

– Tylko czy tego rodzaju eksperymenty dowodziły istnienia Boga, czy raczej tylko tego, że współczesna fizyka nie wytłumaczyła jeszcze wszystkiego i że istnieją na tym świecie rzeczy, o jakich nie śniło się filozofom? – zastanawiał się Mirski.

– Oczywiście! Cały czas prześladowało mnie to samo pytanie! – Gutierrez pokiwał głową.

– Nie mogłem jednak pozostawać obojętnym wobec faktów. Na moich oczach dochodziło do uzdrowień, sprawdzały się prorocтва, a materia w swoich najbardziej elementarnych cząstkach okazywała się zaskakująco rozumna. Otwarta pozostawała kwestia, czy obserwowaliśmy sprawczą moc Boga, czy jedynie docieraliśmy do wyższego poziomu organizacji wszechświata? Rodziło to kolejne pytanie: jeśli nawet cały kosmos był w istocie jednym samoświadomym, kontrolującym się organizmem, Bogiem, jaka wypływa stąd odpowiedź na pytanie Hollmayera o życie po życiu? O sąd i zbawienie? Czy nieśmiertelność Boga – Wszechświata przekłada się na indywidualne losy ludzi?

– I co ustaliliście?

– Nic! Pod tym względem przez cztery lata nie posunąłem się naprzód. Wywoływane duchy okazywały się elementem rozpraszającej się energii, wspomnieniem po przeszłym życiu, nie zaś formą nowego, pozacielesnego bytowania. Nie dostaliśmy żadnego świadectwa STAMTĄD, skąd poza Jezusem Chrystusem nikt nie wrócił. A prorocтва? Pewne zjawiska uchodzące za prekognicję, sny prorocze, mogły stanowić świadomy przekaz wysyłany do nas przez naszych potomków, nie zaś wskazówki co do Bożych zamiarów. Co gorsza, mimo ogromnych nakładów nie udało mi się odszukać choćby jednego anioła...

– A więc jednak porażka?

– Absolutnie nie. Udało nam się bowiem odnaleźć diabła. A właściwie to on nas odnalazł!

Oczy Mirskiego zrobiły się w tym momencie wielkie jak spodki, ale Gutierrez przerwał rozmowę i wskazując wyłaniający się przed nimi ląd, rzekł:

– Później ci o tym opowiem, synu. Na razie trzeba zająć się nawigacją. Przed nami wyspa Kos.

5.

Kod objawienia

Brzeg przed dziobem motorówki ogromniał z każdą chwilą. Wyspa Kos, do niedawna niewyraźny pasek ponad linią wód, wypełniła wnet cały horyzont. Może sprawiła to niesamowita opowieść byłego jezuita, a może dramatyczne przeżycia poranka, ale w szarych skałach wyrastających z zielonej roślinności zdawało się czaić coś tajemniczego, groźnego, tym bardziej że Jorge miał skierować łódź na wschód, ku odwiedzanej tłumnie przez turystów stolicy, słynnej z twierdzy i antycznego sanktuarium Asklepiosa, obrał kurs na zachód i okrążając cypel, podpłynął do brzegu w miejscu odludnym i dzikim.

– W zasadzie nawet dobrze się składa, że panna Mavreli chwilowo nam nie towarzyszy –

powiedział Gutierrez, wyłączając silnik, a widząc oburzenie malujące się na twarzy młodego Polaka, dorzucił pośpiesznie: – Tam, dokąd się udajemy, ze względów zasadniczych po prostu by jej nie wpuścili. – To mówiąc, otworzył kajdanki i uwolnił Roberta.

Ten przez chwilę rozcierał zaczerwieniony przegub, ale nie robił już wrażenia desperata pragnącego uciec lub rzucić się na swego strażnika.

Wnet ukazała się nieduża pusta przystań, z pomostem robiącym wrażenie od dawna nieużywanego i podejrzenie zmurszałego. Wysoko wśród zieleni bieleły się jakieś zabudowania.

– Klasztor Agios Joannis, jeszcze jedna pamiątka po świętym Janie Apostole – wyjaśnił

Latynos. – Nie jest może tak znany jak świątynie z góry Athos, ale równie rygorystycznie przestrzega w swej części mieszkalnej klauzury. Inna sprawa, że mieszkańcy Kos tłumnie nawiedzają go tylko raz w roku, dwudziestego dziewiątego sierpnia, podczas święta swego patrona. Przez resztę czasu jest to miejsce dosyć spokojne.

A jednak ich przybycie zostało zauważone. Ledwie weszli na pomost, nie wiedzieć skąd pojawił się młody mnich, pomógł im wysiąść, wymienił braterski pocałunek z Gutierrezem, którego musiał dobrze znać, i wskoczywszy do łodzi, odpłynął między skały, niczym dobry boy hotelowy, odprowadzający limuzynę na parking. Jorge tymczasem poprowadził swego młodego towarzysza w górę, stromymi, niewidocznymi od strony morza stopniami wykutymi w skale. Zanim doszli do połowy drogi, Robert był spocony, a na szczycie ledwo łapał dech.

Jego przewodnik, mimo zaawansowanego wieku, miał zdecydowanie lepszą kondycję. A może brał jakieś stymulujące prochy?

Zabudowania klasztorne składały się ze świątyni i kilku budynków różnego przeznaczenia. Przybysze skierowali się w stronę najniższego z nich, od frontu pozbawionego okien, o potężnych murach, zapewne od wieków dających ochronę pielgrzymom. Drzwi były otwarte, lecz od wewnętrznej strony sterczał klucz, pamiętający zapewne czasy Marco Polo.

Zamek był doskonale naoliwiony, bo kiedy Jorge zamknął wierzeje, klucz obrócił się bez najmniejszego zgrzytu. Cela, do której weszli, była niewysoka, skromnie wyposażona – stół, zydle, dwa łóżka z czystą pościelą. Okna, wychodzące na wewnętrzny ogród, choć wąskie, wraz ze świetlikiem umożliwiającym wejście na dach wpuszczały dostatecznie dużo światła, by móc podziwiać bizantyjską urodę przepięknych ikon wiszących na ścianach. Słoneczny blask oświetlał szczególnie jasno jedną z nich, nadzwyczaj realistyczną, przedstawiającą młodego smagłego chłopaka o kędzierzawych włosach i delikatnej, prawie dziewczęcej urodzie.

– Oto i on, umiłowany uczeń Mistrza! – rzekł Jorge, wskazując postać w świetlistej aureoli. – Powiadają, że jest to pochodząca z piątego wieku dokładna kopia dzieła świętego Łukasza z Antiochii. Oryginał, niestety, podobnie jak portret tej, którą wy nazywacie Czarną Madonną, przepadł w ósmym wieku w trakcie szaleństw ikonoklastów. Chociaż co się tyczy waszej Pani z Częstochowy, powiadają iż wprawdzie pierwotny wizerunek na cedrowej desce został parokroć dokładnie zheblowany, zawsze cudownym sposobem pojawiał się na niej powtórnie i umożliwiał skrupulatne odtworzenie.

Robert miał już na końcu języka żart, że widocznie w średniowieczu też znana była technika ksero, ale patrząc na uduchowioną twarz apostoła, powstrzymał się od komentarza.

Naraz otworzyła się szafa w głębi, ujawniając przejście do następnych pomieszczeń.

Wyszedł z niej braciszek, malutki, zasuszony, choć pękaty, osobliwie podobny do orzecha kokosowego. Przyniósł im chleb, wodę i wino. Skłoniwszy się milcząco, postawił wiktuały na stole i zastygł w wyczekującej pozie.

– Śluby milczenia – wyjaśnił jego zachowanie Jorge i zwrócił się do Roberta: – Mógłbyś pokazać Dimitriosowi komórkę twego brata?

Mirski wyciągnął aparat. Grek przyglądał mu się przez chwilę w skupieniu, jakby to były relikwie samego Grahama Bella, po czym dotknął napisu Nokia i przekreśliwszy go na krzyż, wskazał ręką za siebie i w dół. Ale po pauzie znów pokręcił głową.

– Nie mają tu ładowarki tego typu – przetłumaczył Jorge. – Sugeruje, żeby pójść do wioski Kefalos, ale nie jest pewny, czy tam uda się ją kupić.

– No to marnie.

– Proponuję zachować spokój. Poślemy kogoś na lotnisko w Antimahi, albo nawet do samej stolicy, tam kupią wszystko, co trzeba...

Brat Dimitrios najwyraźniej rozumiał po angielsku, bo wykonał gest mający zapewne oznaczać, że sprawę należy uważać za załatwioną po czym skłonił się i wyszedł.

– Wygrzebią dla nas tę ładowarkę choćby spod ziemi – powiedział Gutierrez. – To wspaniali i niesłychanie życzliwi ludzie. My zaś i bez tego mamy dość zajęć. Dopóki nie możemy zobaczyć całości, przyjrzyjmy się chociaż temu kawałkowi płyty, który udało ci się sfotografować.

Robert wyciągnął wodoodporny pojemnik, z którym przezornie nie rozstawał się ani na chwilę – po stracie komórki z całego majątku pozostał mu jedynie paszport, trochę pieniędzy, karta kredytowa brata oraz dyskietka i złożona w kostkę fotokopia napisu. Jorge rozprostował

papier i przyglądał się w najwyższym skupieniu jedenastu widocznym polom, wypełnionym greckimi znakami. Mirski szybko wytłumaczył to, do czego doszedł brat, o zamianie greckich liter na rzymskie cyfry i o prawdopodobnym szyfrze.

– Sęk w tym, że nie wiemy, jakie dzieło miał na myśli rytownik, oraz czy zachowało się ono do naszych czasów – zakończył.

– Sadzę, że akurat to nie jest najtrudniejszym elementem zagadki – mruknął Gutierrez. –

Powiedz mi, młody człowieku, co wiesz o świętym Janie?

– Był kuzynem Jezusa. Rozpoznał w nim Mesjasza i ochrzcił w rzece Jordan –

wyrecytował młody Polak.

– Akurat nie Jana Chrzciciela miałem na myśli – Gutierrez uśmiechnął się pobłaźliwie i ponownie wskazał na ikonę z młodzieńcem – lecz Jana Apostoła, brata Jakuba Starszego, syna Zebedeusza. Tego Jana, który był rybakiem nad jeziorem Genezaret i jednym z pierwszych, a zarazem najulubieńszych uczniów Jezusa Chrystusa...

– Czyli chodzi panu o świętego Jana Ewangelistę?

– Nie inaczej, choć wielu biblistów powątpiewa, żeby czwarta Ewangelia była jego dziełem. Niektórzy twierdzą, że w odróżnieniu od Objawienia, którego chropawy styl zdradza indywidualne cechy autora, Ewangelię w ostatecznej formie wystylizował jeden z jego uczniów, wyjątkowo biegły w hellenistycznej grece. Ale do rzeczy. Wspomniany Jan towarzyszył swemu Mistrzowi w jego peregrynacjach po Ziemi Świętej, był krytycznej nocy w wieczerniku i w ogrójcu, a nawet wtedy, kiedy Piotr się zaparł, a inni trwożnie opuścili Pana, wespół z niewiastami trwał wiernie pod krzyżem.

– Tyle to i ja wiem – powiedział Robert, sięgając po chleb i nalewając sobie i Gutierrezowi wina, które ten niezwłocznie rozcieńczył wodą.

– Po zmartwychwstaniu i wniebowstąpieniu zaopiekował się Matką Boską i przez dłuższy czas przebywali razem w Efezie. Jan nie miał w sobie żyłki podróżniczej jak Paweł czy inni z dwunastu. Ograniczał się do nauczania w miastach na skraju Azji Mniejszej. Legenda głosi, że Chrystus obiecał mu, iż nie umrze śmiercią męczeńską, ale zostanie żywcem wzięty do nieba. Podobno obietnicy tej dotrzymał. Kościół jednak nigdy tej wersji nie uznał. Z drugiej strony są świadectwa, że był poddawany torturom, które w nadzwyczajny sposób udało mu się przeżyć.

– Naprawdę?

– Żywoty świętych nie są jedynie zgodne co do tego, czy działo się to za Nerona, czy za Domicjana,

choć przyjmuje się raczej, że za tego ostatniego, zarazem najokrutniejszego z Flawiuszy. Jak zapewne wiesz, pamiątką po nim pozostało *Amfiteatrum Flavianum*, czyli rzymskie Koloseum. – Niepostrzeżenie Jorge popadł w styl biblijny i począł przemawiać tak, jakby był świadkiem opisywanych zdarzeń: – Zawsze pasjonowała mnie ta historia, mówiąca, że Jan został pojmany i dostarczony do Rzymu, gdzie cesarz, widząc, iż ma do czynienia z nie lada przeciwnikiem, zrazu próbował go otruć, testując na nim trucizny i jady najprzeróżniejsze. Jednak apostoł okazał się nadzwyczaj odporny i nie czuł nawet najmniejszych boleści. Tedy postanowiono go spalić, a wcześniej ugotować żywcem we wrzącym oleju, co od wieków było specjalną karą dla bluźnierców i fałszerzy. Odnośny fragment żywotów świętych umiem na pamięć. – Tu, przymknąwszy oczy, począł recytować płynnie i pewnie:

Wiedziono Apostoła do bramy, którą Łacińską zowią (dziś stoi tam bazylika jego imienia, na Lateranie) i tam ogień wysoki naniecono, na dwóch słupach wysokich kocioł wielki, oleju pełny zawiesiwszy, gdy już wrzeć a kręcić się olej począł, wrzucono w niego ciało ono, które w czystości wiecznej żyło i zmazy nie zaznało. Wrzał olej, a ogień się wysoko podniósł, że przezeń nie widać było Świętego Jana, aż gdy zrozumieli, że już uduszony został, ugasić ogień kazano. I ujrzeli Apostoła w kotle żywego, chwającego imię Pańskie... – Tu popatrzył, jakie wrażenie uczynił cytata na słuchacza, i skrótowo dokończył. – W efekcie wyrok śmierci został

zamieniony na zesłanie na wyspę...

– Patmos! – wyrwało się Mirskiemu. – Dlaczego na to nie wpadłem!?

– Na Patmos, nie inaczej. Tam około roku dziewięćdziesiątego piątego naszej ery doznał

futurologicznych wizji. Niektórzy mówią, że były następstwem przeżytych tortur. Spisał je, tworząc osobliwe dzieło nazwane Objawieniem Świętego Jana, alias Apokalipsą.

– Ale co to ma wspólnego... – zaczął Robert i urwał, bo coś zaczęło mu świtać.

– Mogę tylko przypomnieć stare i niedawne prorocтва, które mówią, że „w dniach przedostatnich to, co zakryte, odkryje się”. A Pytia Vassylika wręcz twierdziła, że klucz do Apokalipsy jest w zasięgu ręki...

– I pan myśli, że ta płyta... Że jej twórca, to był sam... O mój Boże, przecież ja go widziałem!

– Kogo?! – Jorge tak gwałtownie zerwał się na równe nogi, że wino z dzbana polało się po stole krwistą strugą.

Jąkając się z podniecenia, Robert opowiedział o grocie i mumii siwowłosego starca na kamiennym łożu, która rozsypała się w proch pod wpływem świeżego powietrza. Gutierrez przeżegnał się i na moment ukrył twarz w dłoniach.

– Tak, to by wiele tłumaczyło – rzekł w końcu.

– Proszę mówić jaśniej.

– Po pierwsze dzięki twemu odkryciu łatwiejsza do zrozumienia staje się zagadka śmierci apostoła. Tradycja mówi, że po opuszczeniu Patmos, skąd uwolnił go akt łaski cesarza Nerwy, przeżył jeszcze kilka spokojnych lat w Efezie. Podobno dożył dziewięćdziesiątki. Ale i to nie jest wcale takie pewne. Efeski grób jest pusty. Kiedy go otworzono po kilku latach, znaleziono jedynie dziwny proszek przypominający biblijną mannę. Wedle innej opowieści, czując zbliżający się kres, apostoł udał się za miasto, na wzgórze, tam polecił wykopać dół, wrzucił do niego płaszcz, i sam weń wszedł, polecając uczniom, by się oddalili. Jednak kiedy przyjaciele pojawili się następnego dnia, nie znaleźli tam ani ciała, ani płaszcza, jeno trzewiki.

Samego Jana jakby ziemia pochłonęła.

– Ale mówi pan, że było to pod Efezem!?

– W moich badaniach zetknąłem się również z inną wersją głoszącą że na krótko przed śmiercią apostoł wrócił na Patmos i właśnie tam zniknął pod ziemią...

– Dobrowolnie odciął się od świata, aby wykuć ten... jak pan to nazwał „Klucz do Apokalipsy” i umrzeć?

– Nie inaczej. – Jorge umoczył kawałek chleba w rozlanym winie i żuł go przez chwilę. –

Przyjmijmy zatem, iż tak być mogło. I w tym kontekście jeszcze raz przyjrzyjmy się Objawieniu, które wyszło spod jego ręki. Nad ukrytym sensem Apokalipsy, drogi przyjacielu, łamały sobie głowy całe pokolenia interpretatorów. Jedni myśleli, że jest to aluzyjne proroctwo dotyczące najbliższych losów Kościoła chrześcijańskiego, inni, że to zbiór poetyckich alegorii i metafor, które zresztą interpretowano dość dowolnie. Nikomu jednak nie przyszło do głowy, że może to być tekst służący ukryciu przesłania właściwego, zaszyfrowanego, z niejasnych powodów przez dwa tysiąclecia niedostępnego, a dziś, za sprawą żywiołów i splotu wydarzeń, gotowego do ujawnienia.

– Spróbujmy zatem odczytać Apokalipsę, posługując się naszym kluczem. – Robert aż poczerwieniał z emocji. – Jestem pewien, że mnisi muszą mieć w klasztorze jakiś egzemplarz Biblii.

– Spokojnie, spokojnie! Nie gorączkuj się aż tak! – uspokajał go Jorge. – Przekaz apostołów został w pierwszych wiekach chrześcijaństwa trochę przeredagowany. Obawiam się, że przyłożenie naszego klucza do Wulgaty świętego Hieronima czy brytyjskiej wersji Biblii, mogłoby sprowadzić nas na manowce. Na szczęście posiadam kopię najstarszą.

– Tę z klasztoru na Synaju?

– Nie inaczej. Od paru lat podejrzewam, że jest to wersja najbliższa oryginałowi. Zresztą, przekonajmy się. – Uniósł blat stolika i wyciągnął spod niego plik odbitek, najwyraźniej zawczasu przygotowanych na tę okazję – Zwróć uwagę na Prolog. I różnice wersji pierwotnej i kanonicznej. Wersję starszą wpisałem wersalikami. Oczywiście jest to moje własne tłumaczenie na angielski.

Robert pochylił się nad tekstem i zaczął czytać głośno:

– *Objawienie Jezusa Chrystusa, które dał mu Bóg, aby (WE WŁAŚCIWYM CZASIE) ukazać swoim*

ślugom, co się musi stać niebawem. (U KOŃCA CZASÓW).

– Za czasów pierwszych chrześcijan „koniec czasów” miał nastąpić niebawem, stąd zapewne ten retusz – wtrącił Gutierrez. – Jan wiedział, że upłyną całe tysiąclecia, nim Chrystus powróci. Czytaj dalej!

– *On wysławszy swego anioła, oznajmił przez niego za pomocą znaków słudze swemu Janowi (W wersji starszej tekst brzmiał: ON OZNAJMIŁ ZA POMOCĄ ZNAKÓW SŁUDZE SWEMU JANOWI).*

– Redaktorów najwyraźniej przestraszyła wersja osobistego kontaktu świętego Jana z Chrystusem, dodali więc anioła pośrednika. Ale kontynuujmy!

– *Ten poświadcza, że Słowem Bożym i świadectwem Jezusa Chrystusa jest wszystko, co widział (W wersji starszej: CO WIE). Błogosławiony, który odczytuje (KTÓRY*

ODSZYFRUJE!!!) i którzy słuchają (KTÓRZY ROZGŁOSZĄ) słowa proroctwa, a strzegą tego, co jest napisane (A DOSTRZEGA, CO JEST NAPISANE POD), bo chwila jest bliska (GDY CHWILA BĘDZIE BLISKA).

Mirski skończył, ale nic nie powiedział, bo z wrażenia zaparło mu dech.

– Interesujące, prawda? – zapytał teolog.

– To brzmi wręcz jak instrukcja obsługi, napisana specjalnie dla nas! – wykrzyknął chłopak.

– Spróbujmy zatem przyłożyć klucz do mojej wersji tekstu – zaproponował Jorge. – Ty czytaj cyfry, ja będę szukał w Piśmie. Oczywiście będziemy pracowali na greckim oryginale, ale gotowy efekt bezzwłocznie przełożę na angielski. Cóż zatem mamy w pierwszym polu?

Robert pochylił się nad notatkami brata, który podczas bezsennej nocy zdążył

pozamieniać znaki na cyfry:

– Na początek mamy następujące zestawy liczb: 7 – 6 następnie, 5 – 21, 108 – 16, 107 – 25, 107 – 32, 117 – 8...

– Dobrze. Roboczo założmy, że pierwsza cyfra dotyczy wersetu, druga zaś wyrazu, i weźmy do ręki Pismo. Siódmy werset wyraz szósty, powiadasz?

Mirski wstrzymał oddech, a teolog pracował przez chwilę w skupieniu. W ciszy przedpołudnia słyhać było jedynie skrobanie długopisu po papierze. Wreszcie Gutierrez wykrzyknął:

– Mam! Słowa nie do końca pasują do form gramatycznych, ale z grubsza można tę frazę odczytać następująco: *Ujrzyście krew czarnych braci, zabitych tysiące...*

– Brzmi jeszcze bardziej enigmatycznie niż oryginalny tekst Apokalipsy.

– Zobaczmy, co będzie dalej. – Gutierrez nie wyglądał na człowieka, który łatwo się zniechęca.

Kolejna partia cyfr po rozszyfrowaniu ujawniła następny mroczny passus: *Dom chmur upada, jedną ręką zniszczon, 168 śmierci nadaremnych, imię druha wędrowcy splamione nikczemnie.*

Wreszcie ostatni zapis z pierwszego fragmentu brzmiał po odczytaniu: *Na skale skały legowisko Bestii wielkie wzniesiono, bo nie strzegł owczarni świętobliwy sługa...*

Robert miał zawiedzioną minę, na twarzy Gutierrezza zaś widać było intensywną pracę umysłową. Nie mówił nic, jedynie poruszał ustami, jakby przypominał sobie jakieś teksty albo cytaty.

– Beznadziejna praca – westchnął Robert. – Mamy informacje o jakichś rzeziach, katastrofach i naprawdę nie wiadomo, do czego to przypasować.

– Myśl, przyjacielu! Nie bez powodu zestawiono je razem. Miały się zdarzyć w jednym miejscu bądź w jednym czasie. Na przykład w tym samym roku.

– Możliwe, ale gdzie i kiedy? Nie widać żadnych wskazówek.

– Nie sądzę, żeby Janowe proroctwo dotyczyło antyku. Raczej lat nam bliższych, kiedy złe wieści błyskawicznie rozchodzą się po globalnej wiosce.

– Może także chodzić o zdarzenia, które dopiero będą miały miejsce.

– Raczej nie. Weź pod uwagę, że mamy do czynienia z proroctwem przeznaczonym do ujawnienia. Jeśli istotnie zostaliśmy wybrani, aby odczytać tekst, zagadka nie może być zbyt trudna. Przeczytaj z łaski swojej jeszcze raz ten drugi fragmencik!

– *Dom chmur upada, jedną ręką zniszczon, sto sześćdziesiąt osiem śmierci nadaremnych, imię druha wędrowcy splamione nikczemnie.* Dom chmur? – zastanawiał się głośno Robert. –

Może jakaś katastrofa lotnicza ze stu sześćdziesięcioma ośmioma ofiarami...? Co roku zdarza się kilka podobnych...

– Nie o to mi chodzi. Zwróć uwagę na drugą część wersetu. Na owo *splamione nikczemnie imię druha wędrowcy.*

– Przepraszam, ale to dla mnie za trudne.

– Nie poddawaj się zbyt łatwo, tylko pomyśl. Kogo święty Jan mógł nazwać

„wędrowcem”? Z pewnością kogoś, kogo znał, kto dużo podróżował.

– Z tego co wiem, wszyscy apostołowie dużo podróżowali. Święty Andrzej do Egiptu, święty Piotr do Rzymu, święty Jakub do Hiszpanii...

– Ale był jeden szczególny, w dodatku nie należący do dwunastu apostołów, który podróżował najwięcej z nich.

– Paweł z Tarsu?

– Tak, synu.

– Załóżmy, że o niego chodzi. Cóż z tego? Święty Paweł zapewne w każdym mieście miał tysiące przyjaciół. Jak dojdziemy, kogo miał na myśli nasz ewangelista?

– Skup się, synu. Przyjaciół miał może wielu, ale przecież nie do wszystkich pisze się listy.

– Listy?

– Święty Jan doskonale zdawał sobie sprawę, że jego przesłanie odcyfrowywać będziemy po wiekach, musiał więc z pewnością sięgnąć po formę dobrze znaną. O której pamięć przetrwa do naszych czasów.

Robert otworzył spis treści Pisma Świętego.

– Jest tylko trzech adresatów listów świętego Pawła wymienionych z imienia – rzekł. –

Prócz Kolosan czy innych Filipian, Paweł pisywał jeszcze do Filemona, do Tytusa, do Tymoteusza... Co panu? – Zobaczył nagle, jak twarz Jorge'a wpierw pobladła, a potem gwałtownie poczerwieniała. – Pan już wie?

– Może. – Gutierrez energicznie ruszył ku drzwiom – Muszę koniecznie znaleźć encyklopedię, żeby posprawdzać pewne fakty – powiedział. – A ty, z łaski swojej, nie marnuj czasu, tylko przygotuj mi cyferki z siódmego pola.

Wrócił po dłuższej chwili z naręczem książek i natychmiast pogрузzył się w pracy kryptograficznej. Niebawem odszyfrował pierwsze zdanie z wybranego obszaru:

– *Cztery żelazne ptaki z nieba spadną. Znikną dwie wieże...* – W jego oczach pojawił się błysk triumfu.

– Jezus Maria! Jak pan na to wpadł? – wykrzyknął Robert, któremu również stanęła przed oczami nowojorska tragedia z jedenastego września.

– Tymoteusz! To imię nasunęło mi na myśl tragedię, która o siedem lat poprzedziła atak na World Trade Center i Pentagon – wyjaśnił Jorge, otwierając encyklopedię na hasło

„Oklahoma City”. – Dzięki Bogu pamięć mam dobrą, nawet do szczegółów. Posłuchaj:

„Dziewiętnastego kwietnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku Timothy Mc Veigh wysadził w Oklahoma City drapacz chmur, pod którego gruzami zginęło sto sześćdziesiąt osiem niewinnych ofiar”.

– DOM CHMUR! – wyszeptał Mirski. – Tymoteusz, druh wędrowca...

– Musiałem się jeszcze upewnić, czy to nie przypadek. Założyłem, że proroctwa zostały ułożone chronologicznie. Byłem przekonany, że prorok nie mógł opuścić najważniejszego z dramatycznych wydarzeń ostatnich lat. Jednak postanowiłem to sprawdzić, dlatego poprosiłem cię o pomoc w odczytaniu zapisu mogącego dotyczyć roku dwa tysiące pierwszego...

– Kiedy cztery żelazne ptaki zaatakowały Amerykę?

– Właśnie. Gdy potwierdziło się, że intuicja mnie nie zawiodła, wszystko było już jasne.

– Podsunął Mirskiemu fotograficzną kronikę XX wieku, otwartą na roku 1995. – Masz kolejne proroctwo: *Krew czarnych braci, zabitych tysiące*. Czyż nie jest to opis krwawej bratobójczej wojny czarnoskórych Tutsi i Hutu w Rwandzie?

– Czego jednak miało by dotyczyć sformułowanie: *Na skale skały legowisko Bestii wielkie wzniesiono?* – zastanawiał się Robert.

– Nie wiesz? No to popatrz! – Jorge podsunął mu fotografię wielkiego meczetu otwartego w tym samym 1995 roku w Rzymie. – *Legowisko muzułmańskiej Bestii wzniesiono na skale skał*. A więc tam, gdzie władał święty Piotr. *Petrus!* Opoka... A jego następca, stróż ziemskiej owczarni, papież, zresztą twój rodak, nic nie mógł na to poradzić. Święty Jan dwa tysiące lat temu doskonale to wszystko przewidział!

Mirski milczał dobrą chwilę, próbując poradzić sobie z natłokiem informacji i towarzyszących im myśli. Wreszcie zapytał:

– Nie rozumiem tylko jednego, dlaczego pierwsze proroctwa zaczynają się akurat od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku?

– To akurat jest dla mnie zupełnie jasne. Trzecie milenium! Dzisiaj już wiemy, że Dionizy Młodszy, ustalający w średniowieczu datę narodzin Zbawiciela na rok siedemset pięćdziesiąty trzeci po założeniu Rzymu pomylił się o sześć lat.

– Naprawdę?

– Jest na to mnóstwo dowodów. Chociażby taki, że Herod Wielki, odgrywający tak ważną rolę w Ewangelii, zmarł cztery lata przed naszą erą, toteż obecnie przyjmuje się powszechnie, choć brzmi to nieco paradoksalnie, że Jezus Chrystus urodził się w szóstym roku przed Chrystusem. A zmarł? To jest jeszcze prostsze. Analizując na podstawie kalendarza astronomicznego, kiedy w pierwszej połowie pierwszego wieku przypadało u Żydów ruchome święto Paschy, udało się ustalić datę tamtego Wielkiego Piątku – czternasty dzień miesiąca nisan, czyli jedenasty kwietnia dwudziestego siódmego roku. Zgodnie z Pismem Pan został ukrzyżowany trzydzieści trzy lata po swym narodzeniu!

– Niesamowite!

– Ale również niepokojące. – Jorge spoważniał. – Nasze odkrycie ma dodatkowe implikacje: wyznacza termin końca świata.

– Co pan mówi!?

– Od wieków ludzkość bała się dnia Sądu Ostatecznego i z niepokojem oczekiwała kolejnych „okrągłych dat”, że wspomnę psychozę, jaka ogarnęła Europę około roku tysięcznego, czy niedawne obawy związane z rokiem dwutysięcznym. Nikt jednak nie zadał

sobie pytania, dlaczego powtórne przyjście Pana, paruzja, miałyby nastąpić w radosną rocznicę Narodzin Dzieciątka... O wiele bardziej na Dzień Gniewu pasuje przecież jubileusz męczeństwa Syna Bożego i Jego zmartwychwstania.

Robert poczuł, że zasycha mu w gardle.

– Pan naprawdę uważa, że już zaczęło się odliczanie, i za jakieś dwadzieścia parę lat czeka ludzkość definitywny koniec?

– To będziemy wiedzieli, kiedy poznamy pełny zapis Objawienia Świętego Jana.

* * *

Wzięli się ostro do pracy. Mirski, zgodnie ze wskazówkami brata, przekładał greckie litery na łacińskie, a te zmieniał na cyfry, Jorge zaś odnajdował stosowne słowa w synajskim manuskrypcie, zapisywał je, a następnie szukał stosownych form gramatycznych. Szło im coraz sprawniej. Co prawda, im więcej odczytywali, tym bardziej racjonalna część umysłu Roberta burzyła się na myśl, że towarzysz wędrówek Jezusa mógł przewidzieć zdarzenia, które miały nastąpić po dwóch tysiącach lat. I co ważniejsze, wybierać te, które w znaczącym stopniu absorbowały wyobraźnię mieszkańców świata, czego nie mógł przecież przewidzieć.

A może mógł?

Passus: Zmącony spokój igrzysk w brzoskwiniowym gaju, dotyczył z całą pewnością zamachu podczas olimpiady w 1996 roku w Atlancie, mieście, którego symbolem jest właśnie *peach tree*.

Umiera matka z kraju krów ogromnego odnosiło się niewątpliwie do śmierci błogosławionej Matki Teresy z Kalkuty w 1997 roku.

Do tego samego roku można było przypisać jeszcze dwie prorocze notatki. *Bez życia –*

życie jagnięcia wbrew Bogu – pasowała tu jak ulał sklonowana właśnie wtedy owieczka Dolly.

Trzecia informacja na pierwszy rzut oka wydawała się jeszcze bardziej zagadkowa.

Nierządzą w diademie, z grzesznym synem Nilu, śmierć dopada w biegu.

– A tu kogo mógł mieć na myśli święty Jan? – zastanawiał się głośno Robert.

Gutierrez tylko się roześmiał.

– Zapomniałeś już o fałszywej ikonie prostaczków, jaką była w ostatniej dekadzie dwudziestego wieku brytyjska księżna Diana, która zginęła wraz ze swym egipskim kochaniem w Paryżu, w wypadku samochodowym?

– Oczywiście! Że też od razu na to nie wpadłem!

Przeszli do następnego roku.

Mały z siepaczy, w koronie imperium, wielki ambicją, silny nienawiścią, śmierć krzesze ze śmierci małego narodu...

– Myśli pan, że może chodzić o prezydenta Putina i drugą wojnę przeciwko Czeczenom?

– A o kogo innego? Słuchaj dalej! – przynaglał Gutierrez. – *W pudle pod wodą powolne konanie, na śmierć wydani z ambicji i z pychy...*

– Nic dodać, nic ująć! – westchnął Robert, przypominając sobie tragedię okrętu podwodnego „Kursk”. Wskutek ambicji i pychy rosyjskiego dowództwa, które nie chciało zwrócić się o pomoc do Zachodu, jego załoga została skazana na makabryczną powolną śmierć.

W następnym zdaniu pojawiła się też zapowiedź powiększenia Zjednoczonej Europy, która nie chciała wpisać chrześcijańskiego rodowodu do swej konstytucji.

Zachód zwiększony, ale bez korzeni. Zgubie wystawion na przedprożu Bestii...

Czyżby chodziło o zaproszenie Turcji do Unii?

Jedenasty rok zaczynał się wzmianką o tsunami, które w drugi dzień Bożego Narodzenia przyniosło zagładę setkom tysięcy mieszkańców wybrzeży Oceanu Indyjskiego.

Morze pochłonie trzykroć sto tysięcy.

Dalej odczytali znamienity zapis, który spowodował u Mirskiego bolesne ściśnięcie krtani:

Odejdzie ojciec wasz, strażnik opoki. Płacz wielki po nim nastąpi, ten, który oliwę w chwale na wzburzone wody lać będzie w czasie zamętu i lęku.

Robert znów dostrzegł na twarzy byłego duchownego charakterystyczny grymas gorzkiego triumfu.

– A więc wszyscy się mylili, szukając sensu Malachiaszowego określenia *de gloria olivae*

– wyszeptał Gutierrez.

– Nie bardzo rozumiem.

– Nie słyszałeś o prorocztwie Malachiasza, w którym Jan Paweł Drugi określany był *de labor solis* – z pracy słońca – co odnosić się mogło do tego, że sam w młodości był

robotnikiem, albo do tego, że stał się patronem duchowym Solidarności. Jego następca, przedostatni z papieży, ukryty został pod hasłem *Z chwały oliwki*. Wszyscy spekulowali, że może chodzi o jakiegoś papieża Murzyna (i dziś podniecają się murzyńską główką w herbie *pontifeksa*), lub progresistę wspierającego we Włoszech socjalistyczną koalicję o nazwie Drzewo Oliwne, a tu mamy całkiem inną wykładnię. Benedykt Szesnasty ma być tym, który spróbuje łąć oliwę na wzburzone fale teraźniejszości. Pytanie tylko, z jakim efektem? Ale idźmy dalej. Podaj mi kolejne cyfry.

– Nie mam już czego podawać – odpowiedział Robert. – To już wszystko.

– Jak to?

– Tylko tyle z inskrypcji wyrytej na płycie zdołałem utrwalić na zdjęciu. Jacek uważał, że to jedna trzecia całości. Resztę będziemy mogli poznać, kiedy wyświetlimy zdjęcie ukryte w pamięci komórki mojego brata...

– Czekamy zatem, aż brat Dimitrios wróci z miasteczka z ładowarką. A na razie napijmy się i odpocznijmy chwilę.

Nie tylko słaby głos, ale blada, zroszona potem twarz Gutierreza zdradzała, że odekodowywanie tekstu bardzo go zmęczyło. Mirskiemu również kręciło się w głowie od natłoku wrażeń i informacji.

– Strasznie trudno mi uwierzyć, że mamy do czynienia z przekazem sprzed dwóch tysięcy lat. Czy naprawdę nie dopuszcza pan myśli, że to może być jakaś misterna mistyfikacja, mająca na celu wywołanie zamieszania? – zapytał, ocierając usta.

– Mistyfikacja? – zamyślił się Jorge.

– Teoretycznie jest przecież możliwe, że po trzęsieniu Ziemi ktoś, kto wcześniej niż ja odkrył grootę na Patmos, podrzucił tam tę płytę, po czym spokojnie czekał, aż zostanie przez kogoś znaleziona.

– Taką możliwość możemy rozpatrywać jedynie teoretycznie. – Były duchowny zmarszczył krzaczaste brwi. – Można naturalnie wykonać taką płytę, tym bardziej że na twoim zdjęciu sprawia wrażenie prawie nietkniętej zębem czasu. Jednak ktokolwiek by to uczynił, wcześniej musiałby zainscenizować wizje i przepowiednie Vassyliki. I nie tylko jej...

Jak myślisz, dlaczego znalazłem się tam, pod wodą, w akwalungu i dlaczego tu, w klasztorze, ukryłem kopię Apokalipsy? Zupełnie nie rozumiem, dlaczego nie chcesz przyjąć za fakt, że trafiłeś na autentyk?

– Jestem sceptykiem, a w dodatku wygląda to dość podejrzanie, że mogliśmy rozszyfrować jedynie te

proroctwa, które dotyczyły zdarzeń już minionych. Żeby znalazła się tam chociaż jedna informacja o przyszłości!

– Cierpliwości, wkrótce się przekonamy, co znajduje się w drugiej części. Czuję, że brat Dimitrios zaraz tu będzie, a wtedy zapoznamy się z ostatnimi dwudziestoma trzema latami ludzkości.

6.

Pościgi i uciezki

Trudno opisać uczucia targające Arią Mavreli. Od kiedy została osaczona na urwistym brzegu Patmos (nie mogła w żaden sposób przeciwstawić się napastnikom, trzymając w obu rękach linę), miała poczucie nierealności. Jej umysł bronił się przed pogodzeniem się z faktem, że jej ukochany Jacek zmartwychwstał tylko po to, aby prawie natychmiast umrzeć, a Stavros, człowiek, którego dwa dni wcześniej zabiła w apartamencie na Glifadzie, stał przed nią z wyszczerzonymi zębami. Pewny siebie pan życia i śmierci. Gdyby jeszcze był sam i wykazywał mniejszą czujność, gdyby nieco bardziej nonszalancko mierzył do niej z lugera, mogłaby się pokusić... Jednak zbir nawet nie odwrócił głowy, nie zbliżył się do krawędzi urwiska, by sprawdzić, czy kule jego kompanów trafiły Roberta.

Tymczasem zadzwonił jeden z napastników. Z nerwowego dialogu wywnioskowała, że młodszy Mirski zniknął.

– Jak to zniknął? – zdenerwował się Stavros. – Nie ma ciała?

– Nie mamy pojęcia, może utonął.

Odwrócił wzrok, a Aria sprężyła się do skoku. Natychmiast to wyczuł.

– Ani się waż!

Dołączyli do niego jeszcze dwaj inni, w tym dwumetrowy mięśniak, i dziewczyna porzuciła marzenie o kontrataku. Najemnicy naradzali się przez chwilę, aż nagle któryś z nich dojrzał motorówkę. Mała łódka wyprysnęła w morze spoza przylądka z dwoma osobami na pokładzie.

– To on! On i ten klecha! – ryknął herszt. Pozostali otworzyli ogień. Minuta wystarczyła, by zorientować się, że strzały nie sięgają celu.

Grecy klęli w sposób nie przystojący potomkom Homera, ale Stavros zdobył się na uśmiech.

– Na szczęście mamy ciebie, panienko.

Jego kompani zrewidowali ją dość brutalnie, nie zaniehbując obmacania jej piersi i wsunięcia łapsk w majtki. Przy okazji pozbawili wszelkiej broni, z małym nożykiem ukrytym pod skarpetką włącznie. Następnie poprowadzono ją w głąb lądu.

Pocieszała się myślą, że przynajmniej Robert znalazł się chwilowo poza ich zasięgiem.

Nie wiedziała, kto mu pomógł, jednak z nerwowego zachowania prześladowców wywnioskowała, że nieoczekiwany sojusznik nie był dla nich kimś nieznanym. W każdym razie ta ucieczka mocno pomieszała im szyki. Słyszała, jak Stavros, krzycząc do telefonu, domaga się szybkiego przysłania helikoptera, ale jego rozmówca wyraźnie się z tym nie kwapił. Zresztą seria przekleństw urwała się

dość szybko. Szef najemników musiał

dowiedzieć się najwyraźniej czegoś dla siebie bardzo niemiłego, bo spuścił z tonu, wymamrotał coś, co zabrzmiało: „Tak jest, doktorze!”, po czym zwrócił się do Arii:

– Powiniennem cię kropnąć, dziecino.

Miała ochotę zapytać: „To dlaczego nie kropniesz?”, ale ugryzła się w język.

– Twoim przyjaciółom na razie udało się uciec. Poradzimy sobie z tym – ciągnął. – Teraz zejdziesz grzeczniutko na mój statek. Z góry uprzedzam, że najmniejsza próba jakiegoś głupiego numeru z twojej strony, a będę musiał roztrzaskać tę piękną główkę.

– Rozumiem – powiedziała potulnie, obiecując sobie w duchu, że przy najbliższej okazji narobi Stavrosowi i jego kumplom tyle kłopotów, ile tylko będzie możliwe.

Bandziorów wraz z szefem było sześciu. Aria знаła ten typ osiłków o mózgu wielkości pięści. Wiedziała jednak, że w bezpośrednim starciu z nimi nie ma szans. Dlatego spokojnie dała się zaprowadzić do polnej drogi, gdzie czekały dwa wozy terenowe, które zawiozły ich do portu. Serce zabiło jej mocniej, kiedy obok wejścia na molo dostrzegła kilku policjantów.

A gdyby tak zaczęła krzyczeć?

– Wszystko w porządku, panie Stavros? – Najstarszy stopniem wyprężył się na widok bandziora.

– W jak najlepszym, Manolis. – Wskazał Arię. – Zguba się znalazła.

No to pięknie!, pomyślała z goryczą. Bandyci i policja z Patmos działają w najlepszej komitywie.

Kiedy szła pomostem, korciło ją żeby rzucić się do wody. Ale co by to dało? W biały dzień, bez broni, ucieczka nie miała szans powodzenia. Pozwoliła się więc zaprowadzić na pokład eleganckiej jednostki o wymownej nazwie „Hades”.

Herszt odwiązał cumę i oddalił się w stronę portu. Aria, pchnięta przez ogromnego zbira, weszła do wyłożonej drewnem kabiny... i zdrętwiała.

Kolejny Stavros, identyczny jak dwaj poprzedni, tyle że odziany w kapitański mundur, powitał ją zimnym uśmiechem.

– Moje uszanowanie panno Mavreli – powiedział. – Może drinka? Albo jakąś małą przekąskę?

Kim oni są, u diabła? Myśli w głowie Arii przelatywały niczym klatki filmowe.

Trojaczkami, a może klonami?

– Dokąd mnie zabieracie? – zapytała.

– Do piekła! – odparł spokojnie Stavros numer 3. – Ale po drodze dołączymy do naszej ekipy dwóch pani nierozsądnych przyjaciół, którzy mieli pecha i stanęli nam na drodze.

* * *

– Kiedy wreszcie przywiozą tę ładowarkę? – Robert krążył niecierpliwie po klasztornej celi.

– Nie ma co się gorączkować – filozoficznie odpowiadał Gutierrez. – To, co najważniejsze, już wiemy. Przekaz świętego Jana jest jasny. Światu pozostało naprawdę niewiele czasu.

– Na co?

– Na refleksję, poprawę, nawrócenie...

– Wierzy pan w koniec świata za dwadzieścia lat z hakiem? Niby jak miałyby to nastąpić?

– Niezbadane są wyroki Pana, jednak fakt, że prawda wyszła na jaw właśnie teraz, jest co najmniej zastanawiający. Możemy się domyślać, iż Jan Ewangelista wystąpił w roli wysłannika Bożego. Może dostał takie polecenie i sporządził swój klucz po to, by w momencie zbliżania się Dnia Sądu ujawnić ludzkości to, co dotąd było zakryte? Zawołać:

„Opamiętajcie się!”.

Robert przystanął nagle i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w ikonę z ciemnowłosym młodzieńcem.

– Myśli pan, że dwa tysiące lat temu przewidział nie tylko te wydarzenia, ale również to, że właśnie teraz odnajdziemy jego przesłanie?

– To trudne do uwierzenia, ale proszę zaproponować inną interpretację!

– W porządku. Załóżmy, że święty Jan poznał przyszłość. Jego motywy stałyby się wówczas całkowicie zrozumiałe. Nadal jednak chciałbym wiedzieć, kim są ci, którzy chcą nam przeszkodzić w ujawnieniu prawdy Apokalipsy. Ten Stavros i jego mocodawcy.

Jorge przez chwilę mierzył chłopaka uważnym spojrzeniem, jakby zastanawiał się, jaki wariant odpowiedzi wybrać.

– Sądzę, że poprzez nich działa szatan! – rzekł powoli i dobitnie. A widząc zaskoczenie na twarzy swego młodego rozmówcy, dodał: – Nie wyobrażaj go sobie jako potwora z rogami i kopytami. Zło, choć osobowe, w naszych czasach przybiera bardzo różne, nieraz całkiem ponętne formy. Wiem, bom sam podlegał jego kuszeniu i niewiele brakowało, bym uległ. W

dwudziestym stuleciu Zły miał wiele twarzy. Dwie doskonale znamy: tę z wąsikami i ciemnymi włosami zaczesanymi na bok i tę, którą do dziś możemy oglądać w moskiewskim mauzoleum.

– Pan uważa, że Hitler i Lenin byli diabłami?

– Z całą pewnością wiernie im służyli. Zważ, przyjacielu, że obie społeczne dewiacje, które wyrządziły tyle zła na świecie – komunizm i nazizm – miały jeden wspólny mianownik: obie zakładały wykluczenie Boga z życia człowieka. Adolf Hitler, jeśli poczytasz jego wynurzenia przy stole, to stanie się dla ciebie jasne, że nienawidził chrześcijaństwa na równi z judaizmem, a może nawet bardziej. Szczególnie wstrętą była mu empatia – współczucie i miłosierdzie zawarte w nauce Jezusa Chrystusa, tak obce ordynarnej, zwierzęcej walce o byt, na której zbudował swą koncepcję. A Ulianow i jego godny następca, Dżugaszwili, niedoszły pop z Tyflisu? Czyż szczytowym, wręcz symbolicznym osiągnięciem stalinizmu nie było wysadzenie w sercu Moskwy cerkwi Chrystusa Króla?

– Obaj przegrali.

– Przegrali arcykapłani, ale nie sam szatan! Zło szybko zmutowało. Przybrało inne postacie, łagodne, wręcz urokliwe, obdarzone naukowymi certyfikatami. Dzisiejszy Mefisto, drogi Robercie, ma najczęściej tytuł profesora, szeroki uśmiech i gębę pełną tolerancji, praw mniejszości... Wiem, bo sam należałem do tego grona. Swoje prawdy głosi jako tezy naukowe, z którymi każdy „światły i wykształcony” człowiek musi się zgodzić. Oczywiście, jak zawsze swoje imperium buduje na naszych słabościach. Kiedyś najgorsze demony wywabiało na światło dzienne pozornie niegroźne hasło „równość”, burzące umowę społeczną, budzące egalitarne widma nienawiści. Dziś wszystkie nasze grzechy biorą swój początek w wygodzie. Indywidualnej żądzy przyjemności. Obowiązki, poświęcenie, wyrzeczenia dla bliźnich – to jest we współczesnym społeczeństwie *passé*. Wychowawczą rolę rodziców wobec dzieci przejmuje telewizor i komputer. A dzieci wobec rodziców nie mają już żadnych zobowiązań. Nie muszą ich nawet szanować.

– Wszystko to prawda – zgodził się Robert – tylko czy trzeba dopatrywać się w tym roboty szatana?

– A kogo? Człowiek przez wieki, wychodząc ze stanu półzwierzęcego, sublimował się, potrzebował piękna, harmonii, moralnego ładu. A dziś upada niżej niż niejedno zwierzę.

Związki pedryli ogłaszane są wyższą formą rodziny. Sama rodzina została rozmontowana przez wścibskie państwo, rozbito hierarchie społeczne, kobiety przeciwstawiono mężczyznom. Czyż można uwierzyć, żeby homo sapiens gotował sam sobie zagładę bez obcej inspiracji?

Mirskiego raziły kategoryczne sądy wypowiedane przez byłego księdza, nie chciał jednak wchodzić w polemikę.

– Pozostała jeszcze jedna bariera, ostatnia zaporą do pokonania – kontynuował Jorge. –

Katolicyzm. Inne odłamy chrześcijaństwa poszły na ugodę ze złem. Zrealizowały

„postępowe” postulaty, otworzyły się na argumenty przeciwników Boga, dostosowały się do

„cywilizacji śmierci”, zezwalając na aborcję, eutanazję, śluby pedałów, i dlatego prawie już nie istnieją. Nic dziwnego, że cała furia Złego skierowała się na rzymski bastion. Udało się go odizolować, przeciwstawić mu znaczną część opinii publicznej, przedstawić nasz Kościół

jako twór anachroniczny, wsteczny, wręcz szkodliwy dla człowieka. Wiem, co mówię, sam przecież przeżyłem infekcję postmodernistycznym relatywizmem. Sam stałem w pierwszym szeregu atakujących...

– Jak Szaweł, zanim wyruszył do Damaszku?

– Niegodny jestem takich porównań! Lepiej, Robercie, przyjrzyjmy się aktualnej sytuacji na naszym globie: szatan zwycięża na wszystkich frontach, jest w prawdziwej euforii. A tu naraz pojawia się świadectwo, które może ludzi przerazić. Termin końca i zapowiadające go znaki. Zrazu pewnie pojawi się niedowierzanie i kpiny, ale jeśli zostanie ogłoszona lista prorocत्व, a te z roku na rok zaczną się sprawdzać, i żadnemu z nich nie da się zapobiec...

Wyobrazasz sobie, co się wtedy zacznie dziać? Ilu wiernych na kolanach wróci do świątyń, ilu dzisiejszych sybarytów całkiem inaczej popatrzy na swoje życie, czując, że żarty się skończyły?

– Jedno jest w tym trochę nielogiczne – wtrącił się Robert – jeśli koniec świata jest definitywnie ustalony i wkrótce ma się wypełnić prorocत्व Apokalipsy, wedle którego diabeł

ma zostać ostatecznie pokonany i... – sięgnął po Biblię – *wrzucony do jeziora ognia i siarki, tam gdzie są Bestia i fałszywy Prorok. I będą cierpieć katusze we dnie i w nocy na wieki wieków*, jaki sens ma działalność tych... nie bardzo wiem, jak ich nazwać... satanistów? Chcą pociągnąć za sobą jak najwięcej potępionych? Nie dać ludziom możliwości refleksji i poprawy?

– Nie wiem, co kombinują – powiedział bardzo poważnie Gutierrez – ale bardzo możliwe, że trzymają coś w zanadrzu.

* * *

Arię umieszczono pod pokładem „Hadesu”, w ciasnej kabinie na dziobie. Napastnicy mieli dobre rozeznanie i nie zwiódł ich niewinny wygląd dziewczyny. Profilaktycznie skuli jej ręce kajdankami. Pocieszała się, że przynajmniej z przodu. Na dobitkę ponury typ imieniem Spiros ani na chwilę nie spuszczał jej z oka.

Sądząc po kącie padania promieni słonecznych, kierowali się z dużą prędkością na południowy wschód, zatem celem ich mogło być Leros, Rodos, a może Kos. Uciekinierzy mieli nad nimi około pół godziny przewagi, ta jednak zdawała się maleć z każdą chwilą.

Zastanawiała się, co powinna zrobić? Spiros był z wyglądu zwalistym, chmurnym wieśniakiem o śladowej inteligencji, jednak był tylko mężczyzną. Zauważyła spojrzenia rzucone ukradkiem na jej opalone kolana i piersi, wyraźnie rysujące się pod bluzką. Może należy to wykorzystać?

Odrzuciła skute kajdankami dłonie wysoko ponad głowę, przeciągnęła się i westchnęła.

Greki natychmiast przestał na nią zerkać. Ale gdy się poprawiła na miejscu, natychmiast popatrzył czujnie, tyle że jedynie na jej twarz.

Zapytała go o godzinę po grecku, potem po angielsku. Nie odpowiedział. Czyżby na stróża wybrali

głuchoniemego?

Po półgodzinie rejsu w kabinie znów pojawił się kapitan Stavros. Nie mając pojęcia, na ile ją przejrżeli (o jej pracy dla Agencji nie wiedziała nawet grecka służba bezpieczeństwa), postanowiła nie iść w zaparte, tylko grać słodką idiotkę, gotową do współpracy. Owszem, była przyjaciółką „tego biednego Polaka”, naturalnie słyszała o odkryciu jakiejś starożytnej płyty, ale nie widziała sporządzonej reprodukcji, nie ma też pojęcia, co na niej jest. Jej rola w całej sprawie ograniczała się do pomocy Robertowi, który był przekonany, że jego brat żyje.

– Doprowadziłam go na wyspę Patmos, gdzie spodziewał się znaleźć brata. To wszystko.

– A kto zabił mojego brata? – warknął Stavros numer 3.

– Skąd mam wiedzieć? Kiedy znalazłam się w apartamencie na Glifadzie, pana brat już nie żył, a Robert, śmiertelnie przerażony, prosił, żebym go stamtąd zabrała. Był półprzytomny i nie potrafił powiedzieć, co tam się stało.

– A ten pop? Od kiedy zaczęliście współpracować?

– Jaki pop? – W jej głosie zabrzmiało tak szczere zdumienie, że Stavros numer 3 chyba jej uwierzył.

– Nigdy nie poznałaś ojca Gutiereza? – Nachylił się tak blisko, że poczuła jego nieświeży oddech.

– Nie wiem nawet, o kogo chodzi. Myśli pan może o człowieku, który wywiózł z wyspy pana Mirskiego? Przecież nawet nie widziałam go z bliska. A nazwisko, które pan podał, słyszę po raz pierwszy w życiu. Czy to nie jest Grek?

Stavros skrzywił się, jakby skosztował wyjątkowo gorzkiej potrawy, ale powiedział tylko:

– Lepiej będzie dla ciebie, jeśli mówiłaś prawdę.

I wyszedł. Aria znów została sam na sam ze Spirosem. Parę razy zakładała nogę na nogę, jednak szelest gołej skóry zdawał się nie robić na niemym strażniku żadnego wrażenia.

– Chce mi się sikać! – powiedziała wreszcie.

O dziwo, zareagował. Milcząco wskazał jej drzwi mikroskopijnej toalety. Okienko było tam tak małe, że nawet kot przecisnąłby się z trudem. Jednak Aria nie zamierzała uciekać, przynajmniej nie w tej chwili.

Uniosła za to do ust złoty krzyżyk wiszący na jej szyi, nacisnęła zębami. Z podstawy wysunął się mały uniwersalny wytrych. Delikatnie obróciła go w ustach i pochyliła się nad kajdankami. Otwarcie zamka zajęło jej kilka sekund.

Po chwili zatrzasnęła je ponownie, ale już zdecydowanie luźniej, tak, żeby w każdej chwili dało się je zsunąć z przegubów. Miała nadzieję, że Spiros, zerkający głównie na jej nogi, nie będzie szczególnie przypatrywał się rękom.

Pół godziny później silniki statku zwolniły obroty. Za iluminatorami pojawił się gorący skalisty brzeg, bez zabudowań. Statek kołysał się na falach, jednak nie podpływał do pobliskiego mola. Banda Stavrosa wyraźnie na coś czekała.

* * *

Rozległo się pukanie. Gutierrez uchylił drzwi szafy. Wyłonił się z nich uśmiechnięty brat Dimitrios z pakunkiem w ręku.

– Ładowarka? – zapytał Jorge.

Mnich uśmiechnął się jeszcze szerzej, gestami przeproszając za zwłokę i tłumacząc na migi, że po sprzęt musiał peregrynować aż do miasta Kos. Ładowarka była dość spora. Robert podłączył do niej telefon, a Gutierrez rozglądał się za gniazdkiem. Mnich był szybszy, pokazał

otwór tuż przy ziemi za szafą i chociaż nikt go o to nie prosił, usłużnie włożył wtyczkę...

Prawie natychmiast celę rozjaśnił ostry błysk, ładowarka eksplodowała w rękach mnicha, którego twarz zmieniła się w krwawą miazgę. Telefon wypadł z rąk Roberta. Wokół rozszedł

się swąd palonego tworzywa.

– *Per Dios* – zaklął Gutierrez, klękając przy Dimitriosie. Mnich nie żył.

Robert pochylił się nad komórką. Rzekoma ładowarka, w istocie supersilny detonator, doszczętnie zniszczył aparat.

Nie było nawet co marzyć o odzyskaniu karty.

Nie zdążyli ochłonać, kiedy z zewnątrz, od strony morza, dobiegły energiczne kroki i rzucone półgłosem komendy. Dopadli ich! Łomot do drzwi rozległ się również od strony miasteczka. Byli okrążeni. Gutierrez złapał odbitkę Apokalipsy, zgarnął kartki z notatkami i pociągnął skamieniałego ze strachu Mirskiego w stronę szafy. Chwilę potem zagrzechotała seria z automatycznego karabinu, rozwalająca zamek wejściowy. Potem druga.

Koniec z nami, pomyślał Robert.

W rzeczy samej ich los wydawał się przesądzony. Stracili komórkę z fotografią całej płyty – ich ostatnią kartę przetargową. Teraz byli już tylko do odstrzału. Oni i Aria. Jeśli jeszcze żyła.

Na szczęście Jorge dobrze orientował się w rozkładzie klasztornych pomieszczeń. Przez szafę i wąski korytarz dotarł wraz z Robertem do jakiejś ciemnej komórki, i z siłą, o którą trudno go było posadzić, uniósł kamienny krąg przykrywający okrągły otwór szybu czy raczej studni.

Tymczasem spokojny dotąd monastyr wypełniły wrzaski, rozległy się strzały. Ktoś trafiony krzyczał rozzierająco, niepomny ślubów milczenia.

– Właż za mną! – zakomenderował Gutierrez.

Studnia, zda się bezdenna, była na szczęście wąska i miała naturalne nierówności, zapewniające z biedą jakieś oparcie dla nóg. Posuwali się powoli w głąb czeluści, metr za metrem.

Wkrótce nad ich głowami rozległy się głosy. Światła latarek omiotły przestrzeń ponad nimi, nieco powyżej głowy Mirskiego. Szczęknęła zarepetowana broń. Robert poczuł

nieprzepartą pokusę puszczenia się ściany.

– Spokojnie! – powstrzymał go Jorge. – Za wysoko, żeby skakać!

Sunęli więc dalej w mrok, a krzywizna szybu sprawiała, że serie z automatów niewiele mogły im zaszkodzić. Owszem, odłamki skał sypały się obficie, a jeden większy kamyk boleśnie rozciął Robertowi czoło, ale nic więcej. Wreszcie w dole pojawiła się jakaś słaba poświata odbijająca się od tafli wody. Dlaczego ten Latynos nie skacze? – zastanawiał się Robert.

Zapewne myślał o bezcennych papierach, które miał przy sobie, Apokalipsie i rozszyfrowanych tekstach. A może wiedział, że jest tu bardzo płytko i wolał nie ryzykować połamania nóg? Komin skończył się gdzieś dwa metry ponad powierzchnią, przechodząc w niską grootę. Jorge plasnął w wodę, ale utrzymał równowagę. Rzeczywiście było płytko.

Najwyżej do kolan.

Kiedy ostatnie oparcie usunęło mu się spod nóg, Mirski runął w ślad za byłym duchownym. Spadł jak żaba na cztery kończyny, a słona woda zalała mu twarz. Studnia miała połączenie z morzem!

Dzienne światło, dostające się szczeliną tuż poniżej linii wody, wypełniało pieczarę seledynową poświatą. Zupełnie jak w Lazurowej Grocie na Capri.

Gutierrez mocno odczuł trudy ucieczki, bo przysiadł na kamieniu i dyszał ciężko, niezdolny iść dalej.

– Nic panu nie jest? – W głosie Roberta zabrzmiał niepokój.

– Nic, nic! Tylko odsapnę...

Wysoko ponad nimi trwała kanonada, kule ciągle rykoszetowały na kamieniach, nie mogły jednak wyrządzić uciekinierom żadnej krzywdy.

– Da pan radę zanurkować? – zapytał Mirski, wskazując podziemny tunel łączący grootę z morzem.

– Nie ma potrzeby. Jest ścieżka.

Wreszcie strzały umilkły. Oznaczało to, że prześladowcy zorientowali się, iż ich działania są bezowocne i lada moment mogli ruszyć ich śladem. Jorge poderwał się na równe nogi, zapominając o zadyszce.

Szczelina wykuta w skale doprowadziła ich do kolejnej otwartej groty, od wieków służącej mnichom za tajną przystań. Znajdowała się tam motorówka, którą przybyli na Kos, i jeszcze dwie inne zdezelowane łajby. Później Gutierrez wyjaśnił Polakowi, że studnia ewakuacyjna od dawien dawna służyła joannitom i przemytnikom do tajnego transportu towarów i ludzi, aż do dziś pozostając znana jedynie wtajemniczonym.

Pośpiesznie, odpychając się od ścian pagajami, wąskim kanałem wypłynęli na morze.

– Cholera! – jęknął Mirski. Wyjście z przystani blokował jacht Stavrosa. A stojący na pokładzie potężny zakapior mierzył do nich z karabinu maszynowego.

* * *

Po zejściu najemników na ląd na pokładzie „Hadesa”, oprócz Spirosa, został jedynie Lazarus, olbrzymi, ponad dwumetrowy mieszaniec kilku niełatwych do ustalenia ras. Aria, z trudem opanowując przyśpieszony łomot serca, udawała, że drzemie, a w istocie przypominała sobie wszystko, czego nauczyła się na szkoleniach. Jej nogi absorbowwały Spirosa znacznie mniej niż pół godziny temu. Wyraźnie żałując, iż nie wyruszył z kumplami na brzeg, nie mógł usiedzieć na miejscu. Ta ciekawość go zgubiła. Kiedy od strony monasteru dobiegły strzały, poderwał się na równe nogi i odwrócił do drzwi. Jego broń, dotąd wymierzona w Arię, na chwilę zmieniła kierunek. Dziewczyna kopniakiem wybiła mu ją z ręki, jednocześnie oburącz uderzyła go w uszy. Spiros zawył, usiłował odwrócić się... Kolejne uderzenie, tym razem w grdykę, pozbawiło go oddechu. A następne, w tętnicę, wysłało w odmęt niepamięci. Aria nie chciała go zabijać, chociaż mogła. Złapała za to jego broń, gotowa do walki. Powściągnęła jednak myśl o wypadnięciu na pokład. Gdzieś ponad nią czał się niewidoczny Lazarus z odbezpieczoną bronią. Postanowiła zaczekać na jego ruch.

Tymczasem strzały na górze ucichły, i dopiero po paru minutach kanonada zaczęła dobiegać stłumionym echem, tym razem gdzieś z wnętrza skał.

Strzelają, a więc jeszcze ich nie dopadli, pomyślała. I naraz dostrzegła śniade nogi przemykające koło drzwiczek. Lazarus pobiegł na rufę, by zająć pozycję strzelecką.

Cicho wspięła się za nim po schodkach, dokładnie w momencie, kiedy łódź z Robertem i czarnobrodym wysunęła się z niewidocznego przesmyku między skałami.

Obaj mężczyźni byli jak na talerzu, najemnik nie mógł chybić. Aria nie wahała się ani sekundy. Trzymając oburącz lugera, złożyła się i wypaliła prosto w plecy Lazarusza. Olbrzym zareagował, jakby ugryzła go mucha, odwrócił się, puszczał serię masakrującą takielunek.

Przypadając do ziemi, dziewczyna strzeliła jeszcze raz, w głowę. Czerep olbrzyma rozpadł się jak trafiony arbuz.

Od strony motorówki poleciały wiwaty.

Nie czekała na dalsze gratulacje. Wpadła na mostek, chcąc jak najszybciej uruchomić silnik. Udało się. Rzuciła cumę Robertowi, i biorąc na hol motorówkę księdza, ruszyła w morze. Dopiero po paru

minutach od strony klasztoru po zboczu nadbiegli bandyci, z tej odległości przypominający mrówki. Strzelali w ich stronę, ale byli bez szans.

Kiedy cypel Kos pozostał daleko, Robert i czarnobrody spokojnie przeszli na pokład jachtu Stavrosa, zostawiając motorówkę na holu.

Robert porwał Arię w objęcia i ucałował.

– Myślałem, że już się nie spotkamy – powiedział. – Ci dranie naprawdę próbowali nas zgładzić.

– Jeszcze nie powiedzieli ostatniego słowa – zauważyła dziewczyna.

– Nie przedstawiłem ci mojego wybawcy. Ojciec Gutierrez.

Jorge potrząsnął energicznie ręką Arii.

– Ocaleliśmy, ale komórka przepadła. Wraz z nią jedyna szansa na odcyfrowanie całości płyty – westchnął.

– Nie jedyna, wystarczy odszukać oryginał...

– To szukajcie. Ja mam dosyć. – Robert przysiadł ciężko na burcie. Wyglądał, jakby dopiero teraz dotarło do niego wszystko, co przeżył tego dnia.

To jeszcze dzieciak, pomyślała Aria, trzeba jak najszybciej wyekspediować go do domu, a głośno powiedziała Gutierrezowi:

– Ten zbir Stavros zna pańskie nazwisko.

– Nic dziwnego, nasza gra nie rozpoczęła się dzisiaj – odparł eksjezuita. – I chyba prędko się nie skończy.

Aria podeszła do steru, odblokowała go i dokonała nieznaczonej korekty kursu

– Dokąd płyniemy? – zainteresował się Mirski.

– Turcja! – Panna Mavreli wskazała ląd widoczny za cieśniną pomiędzy dwoma wyspami. – Mam tam sporo przyjaciół. Poza tym chyba jeszcze nie dotarł tam list gończy za nami.

Pozbyli się ciała olbrzyma, wyrzucając je za burtę. Jego kamrat Spiros żył, ale był

nieprzytomny. Na wszelki wypadek skuli go jego własnymi kajdankami. Potem Jorge ułożył

się na pokładzie i najspokojniej w świecie zasnął, Robert natomiast przez blisko godzinę opowiadał Arii o kluczu do Apokalipsy, o odczytanych tekście, nie zapomniał też streścić niezwyklej biografii ojca Gutierrez.

Potem oboje zastanawiali się nad przyszłością.

– Powinieneś jak najszybciej wrócić do Polski – stwierdziła dziewczyna. – Tam będziesz bezpieczny.

– Nie sędzę, zapewne szukają nas w całej Unii. Poza tym uważam, że dopóki cała sprawa nie zostanie wyjaśniona, nie powinniśmy się rozdzielać.

– Może masz rację...

Zbliżał się wieczór. Od portu Bodrum (starożytnego Halikarnasu) dzieliło ich niecałe pół godziny rejsu, kiedy na bezchmurnym niebie od strony Kos pojawiła się stalowa wałka.

Oczywiście mógł to być helikopter greckiej policji, ale przeczucie mówiło im, że raczej nie.

– Załatwią nas – jęknął Robert. W otwartych drzwiach zbliżającej się maszyny rozpoznał obu Stavrosów z automatami w rękach.

– Wątpię... – odparła Aria.

Jej słowom towarzyszył ryk syreny dobiegający od strony tureckiego niszczyciela, zmierzającego im na spotkanie.

Napastnicy zrozumieli ostrzeżenie. Nie padł żaden strzał. Helikopter zatoczył łuk nad łodzią i oddalił się w stronę Grecji.

* * *

Niewątpliwie Arii i jej kontaktom należy zawdzięczać, że przesłuchanie na komisariacie w Bodrumie było krótkie, po czym cała trójka została zwolniona.

Turcja nie miała zamiaru wydawać ich Grecji, z którą tradycyjnie nie łączyły jej dobre stosunki, zresztą nikt tego nie zażądał.

Co ciekawe, w greckich mediach w ogóle nie było ani słowa o zuchwałym napadzie na klasztor i związanych z tym ofiarach śmiertelnych, nie wspomniano o uprowadzeniu jachtu należącego do greckiego armatora, a tym bardziej o nieudanym pościgu helikopterem za sprawcami tego porwania.

– Jak to możliwe?! – dziwił się Robert, kiedy wynajęty busik wiózł ich w stronę Izmiru, gdzie jacyś znajomi panny Mavreli mieli udzielić im pomocy. – Przecież musieli być świadkowie masakry w klasztorze.

– Najwyraźniej wprowadzono embargo na informacje dotyczące tej sprawy – uznała Aria.

– I media tak łatwo dały się zakneblować. Grecja to przecież praworządny kraj, członek Unii i

NATO, a tymczasem kryje takich bandytów?!

– Są dwie możliwości – wtrącił się Gutierrez – albo nie wie, co z tym począć, i na wszelki wypadek milczy, albo wpływy naszych przeciwników są arcypotężne.

– I co w tej sytuacji możemy zrobić? – Robert utkwił wzrok w byłym duchownym.

– Ja będę kontynuował śledztwo – zdecydował Jorge. – Wy natomiast powinniście się przyciąć, dopóki się to wszystko nie skończy.

– Wykluczone – zaproponowała Aria. – To, że jestem spalona w mojej firmie, nie oznacza, że nie mam przyjaciół i nie mogę przydać się w rozgrywce.

– Przecież nie wiesz nawet, o co chodzi w tej grze, młoda damo.

– Liczę, że wielebny mi powie. Kto tu gra i o co? Chyba jest na to najwyższy czas.

– Kto gra? Mówiłem już o tym panu Mirskiemu: dobro ze złem – odparł lakonicznie Gutierrez.

– A konkretniej?

– Sam dokładnie nie wiem. Mogę się jedynie domyślać. Tylko nie da się tego wytłumaczyć jednym słowem...

– Mamy dużo czasu. Do Izmiru szmat drogi, chętnie posłuchamy. To, co dotąd usłyszałam, nie wydaje mi się zbyt logiczne. Dlaczego nas ścigają? Przecież osiągnęli swój cel. Mają tablicę, zniszczyli aparat Jacka i zdjęcie całej płyty... Nie dysponujemy niczym, co w jakikolwiek sposób mogłoby im jeszcze zaszkodzić.

– Mogą nie wiedzieć, że my nic nie wiemy – mruknął Gutierrez. – Albo obawiają się, że wprowadzie teraz nic nie wiemy, jednak wkrótce możemy się czegoś dowiedzieć, w czymś im przeszkodzić.

Tymczasem ich samochód raptownie zwolnił.

– Co się dzieje? – zapytała Aria.

– Jakaś kontrola drogowa – odpowiedział Turek. – Mundurowi.

Zdrętwieli, obawiając się najgorszego. Nie mieli broni. Cały śmierny sprzęt zabrała im policja.

Jednak nie stało się nic strasznego. Policjanci zajrzeli do samochodu, sprawdzili ich dokumenty i kazali jechać dalej.

– Na państwa miejscu nie obawiałbym się niczego. – Kierowca musiał zauważyć ich niepokój. – Wczoraj w Ankarze doszło do zamachu terrorystycznego na konsulat USA, wszystkie siły postawiono w stan pogotowia. Jeśli macie tutaj jakichś wrogów, ci z pewnością nie wytkną przez pewien czas

nosa ze swej nory.

Uwierzyli w to zapewnienie, zresztą nie mieli innego wyjścia. Zapał do zwierzeń i spekulacji minął. Reszta podróży minęła w prawie całkowitym milczeniu. W Izmirze czekały na nich dwa pokoje w hotelu.

– Moi przyjaciele zarezerwowali jedynekę i dwójkę – zakomunikowała Aria. – Jak śpimy?

– Oczywiście ja z Robertem – zdecydował ojciec Gutierrez. – Chyba że są jakieś inne propozycje.

* * *

Cykady szalały. Wietrzyk wiejący od Lago Albano niósł przyjemny orzeźwiający chłód.

Dzienny zgiełk miasteczka ustępował wieczornemu wyciszeniu. Od strony pobliskiego kościoła dobiegały śpiewy z odbywających się tam nieszporów. Jednak oblicze papieskiego sekretarza stawało się z każdą chwilą bardziej chmurne.

– Czy to pewne? – zapytał, próbując przeniknąć kamienną twarz ubranego po świecku hierarchy. – Czy powinniśmy informować o tym Jego Świątobliwość już teraz?

– Jeśli pogłoski się potwierdzą będzie to najdotkliwszy cios, jaki od dwóch tysięcy lat spadł na Kościół. A właściwie na wszystkie Kościoły – stwierdził ponuro Amerykanin.

– Kiedy mogą ogłosić tę nowinę?

– Podejrzewam, że w ciągu miesiąca.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza, po czym biskup zwrócił się do sekretarza:

– Sądzę, że trzeba rozważyć metody przeciwdziałania.

– Co ekscelencja proponuje? Jeśli wasza informacja się potwierdzi, nie będziemy mogli wiele zrobić. Ludzie nie wyrzekną się tego daru tylko dlatego, że stoi za nim szatan.

– Myślałem o bardziej niekonwencjonalnych posunięciach.

Na twarzy młodego duchownego pojawił się blady uśmiech.

– Tylko w powieściach Dana Browna katolicka Opus Dei dysponuje komandem zawodowych zabójców. W rzeczywistości pozostaje nam modlitwa i wiara w cud.

– A jeśli to nie pomoże?

– Boję się, że będziemy świadkami śmierci chrześcijaństwa.

Zamilkli, a dźwięk przelatującego wyjątkowo nisko samolotu zabrzmiał ponuro i tak złowroźnie, że

nie tylko ich, ale również wszystkich turystów obserwujących z zewnątrz letnią siedzibę papieży w Castel Gandolfo przeszył dreszcz niepokoju.

Taniec śmierci

Żyli. Cali i zdrowi przespali spokojnie noc, nie mając wrażenia, że ktokolwiek na nich dybie. Choć może była to tylko cisza przed burzą. W każdym razie nie mieli nic do roboty.

Ubrania kupili w hotelowym sklepie, a ponieważ znajomy Arii, który obiecywał im pomoc, miał przybyć dopiero po południu, zaraz po śniadaniu zasiedli na ocienionym winoroślą tarasie, aby wysłuchać dalszego ciągu opowieści byłego księdza. Dzban wina i olbrzymia waza południowych owoców stanowiła najlepszą możliwą oprawę.

Roberta denerwowało nieco, że Jorge opowiada wszystko „od Adama i Ewy”, zamiast po prostu wyjaśnić, kto jest ich przeciwnikiem, do czego zmierza i za pomocą jakiej strategii powinni się bronić, ale z grzeczności zgodził się na metodę przyjętą przez eksjezuitę.

Zdaniem Gutiereza lata przeżyte w Fundacji Hollmayera należały do najszcześniejszych w jego życiu. Nie tylko obudził w sobie wiarę, ale odnalazł upragniony spokój. Z dala od uniwersyteckich katedr, z których kiedyś wygłaszał płomienne wykłady, odgrzebywał dawną pasję poszukiwacza prawdy, badacza podtekstów ukrytych między wierszami, tropiciela odwrotnej strony palimpsestów. A teologiczna przestrzeń, w której się poruszał, nie jawiła mu się wyłącznie jako ogród pełen nieustannie rozwidlających się ścieżek. Przeciwnie, wiele z tych drózek nieoczekiwanie jęło się zbiegać i prostować. Podobnie jak inni koledzy, począł

odnajdywać harmonię i ład w pozornym chaosie świata. Na dodatek opuściły go grzeszne pokusy, częściowo z racji wieku, a może dlatego, że w posiadłości Hollmayera nie było młodych ładnych kobiet, zaś internetowe filtry uniemożliwiały atak stron pornograficznych.

Nie należy też wykluczyć, że wzorem klasztorów i internatów, kuchnia dodawała do potraw brom lub inne specyfiki o podobnym działaniu. A nawet gdy kosmate myśli czasem teologa nachodziły – w końcu jesteśmy tylko ludźmi – wieczorny marszobieg i poranny lodowaty prysznic studziły skutecznie resztki dawnej chuci.

Czy dużo dokonał przez ten czas? Mierzając ilością zapisanego papieru, nie za dużo. Nowy przekład Apokalipsy na podstawie rękopisu synajskiego wypełnił zaledwie dwadzieścia osiem znormalizowanych stron formatu A-4. Odczytany za pomocą podczerwieni fragment Drugiego Listu św. Jana Apostoła, wydrapany z pergaminu aleksandryjskiego na długo przed soborem nicejskim, ograniczał się tylko do dwóch linijek.

Tekst epistoły, zawarty w oficjalnym wydaniu Nowego Testamentu, głosił: *Wiele mógłbym napisać, ale nie chciałem użyć karty i atramentu. Lecz mam nadzieję, że do was przybędę i osobiście z wami porozmawiam.* Porównując to z odnalezionym oryginałem można było dojść do wniosku, że nieznany kopista zdecydował się na usunięcie słów, których po prostu nie rozumiał, a które dwa wieki po śmierci Chrystusa brzmiały tylko jak niesprawdzona przepowiednia. Odkryty przez Gutiereza passus brzmiał bowiem: *Wiele mógłbym napisać, ale nie chciałem użyć karty i atramentu. Atoli w czas*

przedostatni – kamień przemówi. A słowo me osobście powita Pana.

Co to znaczyło? W owym czasie Jorge nie rozumiał tych słów i tylko intuicyjnie podejrzewał, że mogą mieć wagę szczególną. Tyle że wkrótce zafascynowało go co innego: współgranie objawień i cudów z okresami przełomowymi w dziejach świata. Wcześniej, nawet gdy jeszcze wierzył, miał do zdarzeń nadprzyrodzonych stosunek zgoła protestancki: cuda mógł czynić wyłącznie Chrystus, a jedyne objawienie zawarte jest w tekstach Ewangelii.

Obecnie był pewny permanentnej obecności Ducha w świecie oraz jego gwałtownych erupcji w czasach szczególnych. Wspólnie z Titowem skrupulatnie zestawiał współzależność dziejowych wydarzeń z aktywnością słońca, natomiast analiza dziesiątek na pozór drobnych zdarzeń, które miały miejsce na całym świecie DOKŁADNIE w minucie, w której papież Polak wołał: „Aby zstąpił Duch i odnowił oblicze Ziemi”, przyniosła zdumiewający efekt.

Zatrzymanie zegara na wieży Kremla, przedziwna tęcza obserwowana w Bułgarii, wielki biały ptak dwa razy większy od albatrosa szybujący nad wodami East River w Nowym Jorku, który równie tajemniczo zniknął, szok w trakcie pogrzebu na Słowacji, kiedy to żałobnicy upuścili trumnę i zbudzili z letargu trzynastoletnią dziewczynę, oraz uderzenie pioruna w jeden z meczetów w Mekce, który zajął się ogniem. Równocześnie w nowoorleańskim szpitalu czarnoskóra kobieta pogrążona od dziesięciu lat w śpiączce otworzyła oczy, powiedziała po aramejsku: „Wypełniło się”, po czym umarła. Nigdy nie ustalono, skąd stara Murzynka знаła mowę z czasów Chrystusowych. Czy mogły to być wyłącznie zbiegi okoliczności? Znacznie później hipotezę korelacji epokowych zdarzeń potwierdziła śmierć sędziwej siostry Łucji z portugalskiej Fatimy. Zmarła ona zaledwie parę tygodni przed zgonem papieża Jana Pawła II, który zresztą sama przepowiedziała, mówiąc: „Podąży wkrótce po mnie do Domu Ojca!”.

Geograficzna analiza rozmaitych niezwykłych wydarzeń, naniesiona na siatkę kartograficzną też zastanawiała prawidłowościami. Czyżby istniał jakiś matematyczny wzór cudu?

Oczywiście trudno byłoby mówić o zbiorowym sukcesie ich prac. Niepodważalnych dowodów na istnienie Stwórcy nie znaleziono. Co zresztą mogło być takim niepodważalnym dowodem? Fotografia aktu stworzenia? Naukowa dokumentacja wszystkich cudów? Nawet w przypadkach zarejestrowania zjawisk niemożliwych do wytłumaczenia na gruncie nauk ścisłych zawsze pojawiali się niedowiarkowie, gotowi podważyć cudowność zdarzenia. A indywidualne odczucia, przeczucia, a nawet, jak w przypadku prorocत्व Vassyliki i przewidywań Lobo, pewność Bożej obecności? Zdaniem sceptycznej części zespołu było to zbyt mało, aby móc przedstawić ich dokonania jako jednoznacznie pozytywne wyniki badań.

W wykpiwaniu zbytnej ufności w cuda celowali zwłaszcza Frischke i Jacoby.

Pierwszy uwielbiał kąśliwą ironię, hacker natomiast udatnie, oczywiście poza plecami zainteresowanych, parodiował ich zachowanie: kaczy chód Vassyliki czy rozkojarzenie Porfiria, potykającego się o meble.

– Mogę się jedynie domyślać, że nie byłem oszczędzany w tych błazenadach – zwierzył

się eksmnych.

Zapewne fascynacja pracą, a jednocześnie skupienie się na zmianach, które zachodziły w nim samym, sprawiły, że nie dojrzał w porę niepokojących znaków pojawiających się na firmamencie fundacji. Poczynając od końca lata 2004 roku, można było odnieść wrażenie, że Al Hollmayer stracił zainteresowanie własnym projektem. Coraz rzadziej pojawiał się na naukowych *symposionach*, a z końcem września ostatecznie opuścił Nową Anglię i zaszył się w jednej ze swych posiadłości na południu. Podobno miał coraz większe kłopoty ze zdrowiem. Jak żartował sobie niezbyt elegancko doktor Frischke, był coraz bliższy chwili, w której empirycznie sprawdzi – jest Pan Bóg czy Go nie ma?

Ale chociaż podobno co jakiś czas uczestniczył w kompleksowych badaniach miliardera, poza żartami nic na temat stanu zdrowia ich chlebobdawcy nie udało się z Niemca wyciągnąć.

Pogorszyły się też nastroje innych naukowców, jakby w murach fundacji naraz zabrakło niewidzialnych fluidów stymulujących ich działanie. Wszyscy stali się drażliwi, niespokojni, atmosfera zgęstniała, coraz częściej dochodziło do konfliktów.

Na przykład Nowak twierdził, że ktoś celowo psuje mu doświadczenia, Jacoby utrzymywał, że niepokoją go wirusy komputerowe, które pojawiają się w zamkniętej wewnętrznej sieci, zupełnie jakby ktoś je tam złośliwie generował, natomiast Aubry wdał się w idiotyczny spór z Wilderem na temat jakiegoś szczegółu z historii Kościoła (rozstrzygnięty skądinąd na soborze chalcedońskim) i gdyby nie rozdzielił ich Green, między czcigodnymi intelektualistami doszłoby do mordobicia.

U pani Vassyliki Roidis coraz częściej zdarzały się stany katatonii, nagle przeradzające się w wybuchy. Którejś nocy, zupełnie naga, weszła na dach wschodniego skrzydła i z uniesionymi rękami wędrowała po kalenicy, wrzeszcząc przeraźliwie: „Szatan, szatan nadchodzi!”. Widziano później liczne ślady krwi znaczące drogę jej spaceru. Zapewne poraniła się w trakcie wspinaczki. Gutierrez chętnie by to wyjaśnił, od dawna nosił się z zamiarem porozmawiania z Greczynką na temat jej przecuć, ta jednak zniknęła jeszcze tej samej nocy.

Przy śniadaniu Ken Robinson – zastępca Luke’a Palmera i szef ochrony fundacji –

poinformował o przyczynach jej nieobecności.

– Zdecydowała się zerwać z nami kontrakt i wyjechać do Grecji na leczenie – tłumaczył.

– Czy wyjaśniono okoliczności, w jakich została ranna – zapytał Green, w którym obudził się duch policjanta. – Straciła, zdaje się, sporo krwi.

– Jej krwawienie nie wynikało z żadnego urazu – stwierdził Frischke i zachichotał znacząco.

Vassylika dotarła do ojczyzny, ale nie zapomniała o dawnych współpracownikach. W

Dniu Dziękczynienia przysłała każdemu z naukowców grecką widokówkę – Akropol nocą – z identycznie brzmiącymi życzeniami. Według Greena napisała je własnoręcznie, a stempel pocztowy z Aten był autentyczny.

Także trudno byłoby dopatrywać się czegoś podejrzanego w nagłym wyjeździe Porfiria Lobo. W ostatnich dniach listopada otrzymał wiadomość o ciężkim wypadku brata i natychmiast wyjechał do Mexico City.

– Odezwę się, gdy coś się wyjaśni – obiecywał. Do świąt jednak się nie odezwał.

Jakoś nikt z naukowców nie zwrócił uwagi, że z ich grona zniknęła dwójka ludzi zdolnych przewidywać przyszłość i wyczuwać zawczasu nadciągające zagrożenie. Czy mógł

to być przypadek?

W świetle tego, co zdarzyło się potem, na pewno nie.

Nadeszła zima 2004 roku. Śnieżna, choć jak to bywa w Nowej Anglii, niezbyt mroźna.

Zabudowania fundacji utonęły w białych pierzynach, ścieżki pomiędzy budynkami upodobniły się do lodowych kanionów. Jako dziecko tropików, Jorge nie miał wspomnień związanych z Wigilią wśród śniegów, tym bardziej więc udzielił mu się świąteczny nastrój.

Pracownicy fundacji zachowywali się w tych dniach jak prawdziwa rodzina. Na parę dni ucichły spory. Nowak wprowadził obyczaj łamania się opłatkiem, opowiadając o tradycji bożonarodzeniowego chleba wysyłanego w listach zesłańcom na Syberię, i uczył kolegów kołęd. Wszyscy dali sobie drobne upominki. Familijną atmosferę psuła jedynie nieobecność Ala Hollmayera. Miały to zrekompensować życzenia przywiezione przez Luke'a Palmera i urozmaicone obchody Nowego Roku.

W noc noworoczną Ken Robinson zaproponował rajd skuterami śnieżnymi na szczyt wzgórza, gdzie w starym wiatraku miało się odbyć powitanie roku. Trasę udekorowano pochodniami, z tarasów pałacu nad rzeką odpalono fajerwerki.

Wśród radosnych okrzyków, lawirując między drzewami, naukowcy pędzili beztrósco jak dzieci po idealnie białym śniegu. Gutierrez okazał się całkiem niezły. Z wyraźną satysfakcją opowiadał, jak udało mu się wyprzedzić doktora Frischke, a potem jeszcze Polaka i Francuza.

Francois Aubry zarył się w jakiejś zaspie i kłął jak szewc. Na górze Jorge zjawił się jako drugi, zaraz za Greenem. Ale w pięć minut dołączyła cała reszta. Wnętrze wiatraka rozświetliły kolorowe lampki, na ogromnym rożnie obracał się, skwiercząc, jakiś zwierz, olbrzymi baran, a może tylko mały byczek. W każdym razie nic z wieprzowiny. Chińskie hostessy powitały przybyszów znakomitymi drinkami. Niejeden z naukowców oczekiwał w głębi ducha, że nagle pojawi się sam Hollmayer. To by było w jego stylu. Ale się zawiedli.

Może stary Al rzeczywiście był bardziej chory, niż myśleli.

Znakomita zabawa trwała do północy. Dokładnie o dwunastej strzeliły szampany, a niebo znów rozświetliły sztuczne ognie. Wybiegli z wiatraka, obserwować tę świetlną feerię, która przygasiła gwiazdy. Zresztą całe niebo zdawało się zmieniać barwę. Co dziwniejsze, zmiana ta wydawała się trwać. Fajerwerki zgasły, a luna ponad lasem pozostała. A potem, kiedy ktoś uciszył irlandzką orkiestrę, dobiegły do ich uszu przenikliwe dzwonki alarmowe.

– Jezus Maria, pali się w fundacji! – krzyknął Ramos.

– Słyszę eksplozje, to chyba w laboratorium! – pisnęła Alima.

– Diabeł postanowił zrobić nam prezencik na Nowy Rok – zachichotał Frischke, ale nikt nie miał ochoty na żarty.

Po chwili ponad koronami świerków pojawiły się płomienie. W pierwszym impulsie chcieli rzucić się do skuterów i pośpieszyć na ratunek. Powstrzymał ich Robinson, który nawiązał łączność z wartownią, wspierany przez piątkę osiłków z ochrony.

– Panujemy nad sytuacją! – wołał. – Natychmiast włączyły się systemy alarmowe oraz automatyczne zraszacze. Nasi ludzie przystąpili do akcji. Poza tym straż pożarna jest w drodze. Proszę jeść i pić, a resztę zostawić fachowcom.

Wilder próbował protestować, wymachiwać rękami, ale zderzył się z murem pozbawionych poczucia humoru ochroniarzy. Gutierrez z jakimś zdumieniem zauważył, że mężczyźni są uzbrojeni. Czyżby przewidzieli, że coś się wydarzy?

Nic dziwnego, że wszyscy, myśląc o pozostawionym sprzęcie i dorobku, stracili ochotę do zabawy. Pozostało jedzenie i picie. Jorge, nienawykły do mocnych alkoholi, okropnie się upił. Jak przez mgłę pamiętał, że koło drugiej w nocy pojawiły się mikrobusiki, które rozwiozły uczestników biesiady po okolicznych motelach.

Obudził się dobrze koło południa w stanie dość rozpaczliwym, z bolącą głową i rozstrojem żołądka. Bardziej z rozsądku niż z głodu powłókł się na śniadanie do hotelowej kawiarni. W drzwiach natknął się na Wildera.

– Słyszałeś? – zagadał go Ben. – Stary nie żyje.

Dopiero po dłuższej chwili dotarło do byłego księdza, że pisarz mówi o Hollmayerze.

– Co się stało?

– Chyba serce. Robinson twierdzi, że zmarł dokładnie w momencie, kiedy zaczął się pożar. Zupełnie jakby piekło się o niego upomniało.

Jorge nie uznał tego za szczególnie taktowne sformułowanie, zaczął jednak dopytywać się o możliwe przyczyny wybuchu pożaru i skutki pożogi.

– Ktoś mi mówił, że spaliło się wszystko, ale to podobno plotki.

– A widziałeś kogoś z naszych?

– Mignął mi Jaś Nowak i Jacobi. Resztę zakwaterowano chyba w innych hotelach. A my nie mamy przy sobie nawet naszych komórek.

Aby zapełnić pusty żołądek, Gutierrez skubnął coś ze szwedzkiego stołu i wrócił do pokoju. Pod każdym względem czuł się podle. Z trudem docierało do niego, że Al nie żyje.

Wiadomo było, że stan Hollmayera jest kiepski, ale jakoś nie brano pod uwagę tego, że umrze. Naukowcy woleli nie spekulować, co stanie się z projektem. Było jasne, że czereda potomków z prawych i nieprawych związków z pewnością postara się powstrzymać wydatki na tak niepoważny i mało intratny program, jak poszukiwanie Boga.

Rzeczywistość okazała się gorsza, niż podejrzewali.

Musieli czekać trzy dni, zdani wyłącznie na domysły i spekulacje. Ani telewizja, ani prasa nie doniosły o pożarze i zagładzie fundacji. (Skądinąd nigdy też nie powiadomiły o jej powstaniu). Nawet śmierci Hollmayera poświęcono mniej miejsca, niż on sam mógł

oczekiwać. Zapewne przyczyniło się do tego bożonarodzeniowe tsunami w Azji, które zepchnęło wszystkie inne informacje na dalszy plan.

W hotelu, w którym, niczym w domowym areszcie, siedziała podgrupa Gutierreza, próbując określonymi drogami skontaktować się z resztą naukowców, pojawił się wreszcie Ken Robinson.

Miał kamienną twarz i zasłaniał się pełnomocnictwem wystawionym przez spadkobierców. Podobno dogadali się nad wyraz szybko. Efekt nie był korzystny dla naukowców. Z dniem 4 stycznia 2005 roku fundacja przestawała istnieć. Jej pracownicy mieli dostać zaległe gratyfikacje i stosowne odprawy. Firmom transportowym zlecono przewiezienie na miejsca wyznaczone przez zainteresowanych ich rzeczy osobistych. I koniec. Na moment wszystkich замуrowało.

– A co z naszymi pracami, z wynikami badań? – zapytał Nowak.

– Jeśli pyta pan o laboratoria i bibliotekę, wszystko przepadło – odparł Robinson.

– Domyślam się. Mam jednak na myśli mojego laptopa i zawartość jego dysku.

Trzymałem go w apartamencie, a z tego co wiem, nasze pokoje ocalały.

Ken ściągnął brwi.

– Podpisaliście państwo klauzulę poufności badań...

– Dla fundacji, której nie ma!

– I nigdy nie było. Spadkobiercom pana Hollmayera zależy na dobrej pamięci tego wielkiego człowieka. A działalność tego... hm, przedsięwzięcia... cóż, ostatnimi laty było bardzo

kontrowersyjne...

– Co za brednie!? – Spokojny zazwyczaj Jaś Nowak nie wytrzymał. – Żądam oddania laptopa! Zapisalem tam wyniki badań, które mogą zrewolucjonizować współczesną fizykę i nie pozwolę...

Wyglądało na to, że rzuci się Robinsonowi do gardła. Ken pewnie też tak pomyślał, więc trochę spuścił z tonu.

– Zobaczymy, co da się z tym zrobić. Być może pański komputer rzeczywiście nie uległ zniszczeniu. Czy ktoś jeszcze – rozejrzył się – ma podobne postulaty?

Gutierrez się nie awanturował. Był spokojny o swój dorobek. Po zakończeniu każdej pracy zwykł przelewać wszystko do 10-gigabajtowego pentdrive'a wielkości kciuka, z którym nigdy, z wyjątkiem kąpieli, się nie rozstawał. Poza tym pamiętał rozmaite klauzule umowy i wiedział, że pyskując, ryzykuje utratę pokaźnej odprawy.

– Ta sprawa śmierdzi, i to nie tylko spalenizną – powiedział przy rozstaniu Ben Wilder.

Jorge nie bardzo wiedział, co pisarz ma na myśli, i pewnie dlatego nie podzielał jego obaw.

* * *

– Naprawdę nie widział pan w tym wszystkim niczego podejrzanego? – zapytała Aria, gdy Gutierrez na chwilę zamilkł.

– Powiem szczerze, że nie. I to nie z powodu wrodzonej naiwności. Drodzy państwo, jaki ja miałem na to wpływ? Stało się. Al umarł. Fundacja przestała istnieć. Spadkobiercy zrezygnowali z moich usług. Nie widziałem powodu, żeby nie podpisać wszystkiego, tak jak chcieli. Stan mojego konta w banku sprawiał, że nawet jako bezrobotny, bez planu prac, bez terminów wykładów, nareszcie poczułem się człowiekiem wolnym. Jeśli cokolwiek zaczęło mi doskwierać, to samotność. Oczywiście mogłem zadzwonić do dawnych przyjaciół, w końcu miałem ich setki: pastorów gejów, lesbijek, kapłanek feminizmu, rewolucyjnych wolnomyślicieli, lewicowych pravicowców, ekologicznych błaznów i apostołów New Age'u.

Tylko o czym miałby z nimi rozmawiać? O odnowie w Duchu Świętym czy o wizji piekła?

Zamiast tego poleciałem do Quito. Odwiedziłem grób moich rodziców, kościółek, w którym przyjąłem pierwszą komunię... Nikt mnie tam nie rozpoznał i ja nie rozpoznałem nikogo. W końcu minęło tyle lat. Podążyłem dalej na południe, szlakiem młodszych wspomnień: Lima, Arequipa, dźwigająca się po kolejnym trzęsieniu Ziemi, Puno nad jeziorem Titicaca, Sillustani, gdzie w starodawnych przedinkaskich wieżach znajdowałem celtyckie runy i dumałem nad znaczeniem znaku krzyża w rysunkach sprzed naszej ery.

Zatrzymywałem się w dobrych hotelach, jadałem w pierwszorzędnym restauracjach. Jak turysta. Na co liczyłem? Nie wiem. Co kazało mi nocą spacerować po Machu Picchu, czego szukałem na płaskowyżu Nazca? Czekałem na znak? Bo ja wiem? Chciałem napisać książkę o moim nawróceniu,

o cudach w życiu codziennym. Chodziło mi po głowie, by na własną rękę dokonać analizy porównawczej objawień fatimskich ze zdarzeniami z roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego w jugosłowiańskim Medjugorie, według jednych będących kolejnym kontaktem z transcendencją, a według innych jaskrawym przykładem działania fałszywych proroków inspirowanych przez szatana. Tylko gdzie miałbym to opublikować, za czyje pieniądze? Dla katolików pozostawałem odszczepieńcem, dla kontestatorów – zdrajcą. Wiele razy otwierałem laptopa, wystukiwałem parę zdań i go zamykałem.

Jednocześnie niczym ćmiący ból trawił mnie trudny do określenia niepokój.

Nie uśmierzała go modlitwa ani poranny jogging. Nie znajdowałem miejsca ani w parnej Amazonii, ani na słonej pustyni. Udałem się do Australii, jakby pod Krzyżem Południa można było rozmawiać z Bogiem lepiej niż pod Wielką Niedźwiedzicą. Wędrując przez bezdroża między osadami Aborygenów, zatraciłem poczucie czasu. Któregoś dnia na zakurzonym szlaku z Alice Springs do Ayer's Rock zobaczyłem zupełnie siwego tubylca, który szedł, niosąc radio tranzystorowe i płakał.

Zatrzymałem wóz, pytając, co się stało.

– Ojciec umarł – odparł.

– Pański ojciec? – zdziwiłem się.

– Ojciec nas wszystkich. *John Paul the Second*. Zrozumiałem, że mówi o papieżu.

– Jest pan katolikiem? – zainteresowałem się.

– Baptystą! – odparł. – Ale jakie to ma znaczenie. To był *holy man*. Święty człowiek.

Zrezygnowałem z oglądania Czerwonego Kamienia. Nie wiem, ale stało się dla mnie oczywiste, że powinienem jak najprędzej pojechać tam, gdzie znajduje się opoka. Skala.

Petrus.

Czasami mam wrażenie, że to ktoś inny podjął za mnie tę decyzję.

W Rzymie znalazłem się dopiero w dniu pogrzebu waszego wielkiego rodaka. Za późno.

Nie miałem najmniejszych szans dostania się na sam plac Świętego Piotra. Wyznam – nawet nie próbowałem. Na ogromnym telebimie nieopodal zamku Świętego Anioła obserwowałem, jak wiatr przewraca karty Pisma Świętego i wreszcie zatrząskuje je na dobre. Poczulem dreszcz i w tym momencie czyjaś ręka trąciła mnie w ramię.

– Wiedziałem, że tu będziesz, chociaż nie miałem pojęcia, że odnajdę cię tak łatwo.

Steven Green! Gliniarz tropiący z ramienia fundacji Pana Boga metodami policyjnymi.

Ledwie go poznałem. W ciągu ostatnich czterech miesięcy były detektyw schudł o połowę, szcerniał i

chyba zmalął. Wyglądało na to, że pali się do rozmowy ze mną, ale poprosiłem go, aby nie zakłócał ceremonii.

Posłuchał niechętnie. Cały czas jednak zachowywał się dziwnie, był rozkojarzony, nieustannie rozglądał się, skrobał po głowie... Na moment straciłem go z oczu podczas komunii, jednak kiedy po zakończeniu mszy ruszyłem z ogromnym tłumem ku mostom na Tybrze, wyrósł u mego boku.

Nigdy nie przepadałem za Greenem. W grupie naukowców i wizjonerów wydawał się osobą obcą, wręcz prostacką. Lubił używki, grube kawały, ale z drugiej strony wnosił do naszego zespołu mnóstwo zdrowego rozsądku, a także znajomość technik operacyjnych –

sposoby tropienia ludzi i spraw, docieranie do akt czy raportów, które podobno nigdy nie istniały.

Nie wiedziałem, czego może ode mnie chcieć, a on nie kwapił się z wykładaniem kawy na ławę. Z pojedynczych słów wynikało, że szukał mnie od pewnego czasu, a decyzja o przybyciu do Rzymu była z jego strony prawdziwym aktem desperacji. Chyba nigdy wcześniej nie opuścił kontynentu amerykańskiego...

– Gdzie się zakwaterowałeś? – spytał, gdy znaleźliśmy się na środku mostu.

– Jeszcze nigdzie, przyjechałem prosto z lotniska.

– I pewnie jeszcze nie jadłeś obiadu?

– Jakbyś zgadł.

– No to zapraszam cię do mnie. Pojemy, pogadamy... Zatrzymałem się niedaleko stąd, w hoteliku koło placu Navona, z pięknym widokiem na Panteon.

– Ale o czym chciałbyś pogadać?

– Tego nie da się opowiedzieć w dwóch słowach.

– No to spotkajmy się jutro. Dzisiaj padam z nóg.

– Dostaniesz coś na wzmocnienie, wielebny. A jutro... Jutro może być za późno.

Co miałem zrobić? Poszedłem za nim. Ponieważ Steven nie był głodny, sam zjadłem kopiasty talerz *pasta eon funghi*. Green towarzyszył mi milcząco, wciśnięty we wnękę.

Na dobre rozgadał się dopiero w pokoju. Na początek opuścił wszystkie rolety i włączył

radio na cały regulator. Potem kazał mi się rozebrać do majtek, zbadał dokładnie moją garderobę, a następnie wyciągnął pudełeczko przypominające żelazko zabawkę, i centymetr po centymetrze przejechał nim po całym moim ciele, ze szczególnym uwzględnieniem pokaźnego brzucha. Na widok blizny po operacji wyrostka cmoknął tylko: „Bardzo ładnie”!

Byłem zbyt zaskoczony, by zaprotestować, a poza tym w śmiertelnej powadze Stevena było coś zastanawiającego.

– Możesz mi powiedzieć, po co te wszystkie środki ostrożności? – wykrztusiłem wreszcie.

– Strzeżonego pan Bóg strzeże – odparł. – A tak przy okazji, kontaktowałeś się z którymkolwiek z kolegów z fundacji?

– Właściwie nie...

– Co to znaczy „właściwie”. Tak czy nie? – Steve był facetem bardzo konkretnym.

– No cóż... Kiedy byłem w Nowym Jorku podkusiło mnie, żeby zadzwonić do Wildera.

Ale nie podnosił słuchawki. Milczał również domowy telefon Jasia Nowaka. Na Uniwersytecie Columbia, gdzie przed podjęciem pracy w fundacji wykładał Nowak, uzyskałem informację, że wpadł tam zaraz po Nowym Roku „dosłownie na kwadrans” tylko po to, by się pożegnać przed wyjazdem do Polski. Adresu nie zostawił...

– Rozumiem, że więcej nie próbowałeś?

– Czekając na samolot w Los Angeles, pomyślałem o Howardzie Boonie. Wśród telefonicznych abonentów w Sacramento odszukałem jego rodzinę. Ale była żona nie miała pojęcia, gdzie się teraz podziewa. „Najprawdopodobniej z jakąś młodą czekoladową osiemnastolatką szlaja się po Hawajach”, powiedziała, po czym rzuciła słuchawkę. To tyle.

– A nie dostałeś przypadkiem żadnych maili od Gene’a Jacoba?

– Nie, ale przyznam, że od wyjazdu ze Stanów ani razu nie sprawdziłem mojej skrzynki pocztowej...

– Zatem naprawdę nic nie wiesz – pokiwał głową Green.

– A powinienem?

– Naprawdę nie zastanawiałeś się nad tym, co się stało?! Wymówienie wymówieniem, ale ten wyjątkowy tryb! Dlaczego tak starannie zadbano, żeby możliwie jak najszybciej nas rozproszyć, żebyśmy nie mogli zabrać naszych rzeczy ani zobaczyć, w jakim stanie jest siedziba fundacji?

– Oczywiście byłem zaskoczony, ale co mogłem zrobić? Zwłaszcza że otrzymałem królewską odprawę.

– Jak wszyscy. Sęk w tym, że powinniśmy wcześniej domyślić się, że to nastąpi.

– Ale skąd? Miałeś jakieś informacje?

– Lobo. – Green uniósł do góry palec. – Nasz meksykański jasnowidz. Nikomu nie mówiłem, ale jeszcze w listopadzie dał mi cynk, że coś w fundacji nie gra. Rozmawiałem z nim po tej aferze z

Vassylką. Był więcej niż poruszony jej wyjazdem. Z całego zespołu on jeden bliżej kolegował się z Greczynką i zapewne wiedział więcej niż my wszyscy o jej wizjach i kulisach nagłego wyjazdu. Wiele mi nie zdradził, a mimo to nalegał, abym z nikim na ten temat nie rozmawiał.

„Zbliża się nieszczęście. Czuję rosnącą ciemną moc!, mówił Porfirio. Nie potrafię jej nazwać, nie wiem, skąd się dobywa, wiem, że jest straszna, bezlitosna”.

Wiedziałem o jego skłonności do hysterii, toteż nie potraktowałem tych jeremiad poważnie. Jednak parę dni później szepnął mi podczas spaceru:

„Miała rację stara wiedźma, twierdząc, że szatan wkrótce się ujawni, a my nic mu nie będziemy mogli zrobić”.

„Przybędzie tutaj?”.

„Zawsze był wśród nas, tylko dobrze się kamuflował”.

„Możesz powiedzieć, kto nim jest?”.

„Powiem ci, kiedy będę pewny”.

– I wyjawiał ci tę tajemnicę? – zapytałem, łapiąc się na tym, że opowieść detektywa zaczyna mnie wciągać.

– Nie zdążył. Jak zapewne pamiętasz, podobnie jak pani Roidis wyjechał nagle w środku nocy. Z nikim się nie pożegnał.

– Ale ty nie odpuściłeś sprawy?

– Pewnie bym odpuścił. Po zamknięciu fundacji rozglądałem się głównie za jakąś robotą.

Wprawdzie dostałem piękną odprawę, ale jak zapewne wiesz, pieniądze nigdy długo się mnie nie trzymały. Co do podejrzeń, to postarano się, żebym ich nie miał albo je po prostu olał.

Luke Palmer, nazajutrz po tym, jak rozeszła się wieść o zamknięciu fundacji, odwiedził mnie w pokoju hotelowym. Wyglądał na zakłopotanego sytuacją. Przecież do wczoraj na swój sposób kolegowaliśmy się. Grywaliśmy w bilard, chodziliśmy razem na ryby...

„To nie są moje decyzje, Steve, tłumaczył, nie patrząc mi w oczy. Nie wiedziałem, że kiedy stary umrze, wszystko się rozwali. Ale jeśli chcesz, mogę załatwić ci robotę. Znam dzianego faceta w Kalifornii, który potrzebuje szefa ochrony. Słówko, a będzie załatwione”.

„Dzięki, Luke! Może za jakiś czas skorzystam z tej oferty, ale na razie chciałbym wypocząć. Wiesz, Bahamy albo Cancun...”

„Kreolki i tym podobne? Murzyn ze zrozumieniem pokiwał głową. Masz rację, Steve.

Jedź gdzieś. Baw się, masz w końcu forsy jak lodu. I zapomnij, że tu byłeś”.

„A jeśli nie zapomnę?”.

Na moment jego wzrok zrobił się lodowaty, potem jednak czarne oblicze złagodniało.

„Jesteś inteligentny – zapomnisz”, powiedział.

Długo po tym, jak wyszedł, jak trzasnęły drzwi na dole i odjechał jego samochód, nie mogłem pozbyć się wrażenia, że naprawdę wie dużo więcej, niż chce albo może mi powiedzieć.

– Ale nie pojechałeś do Cancunu? – zapytałem domyślnie.

– Miałem najszczerzy zamiar. Tyle że nie od razu. I nie sam. Odwiozłem moje graty do Nowego Jorku, pokręciłem się trochę po Wielkim Jabłku, odnawiając stare znajomości. I kiedy nawinęła mi się pewna trzydziestka, gotowa pojechać ze mną na koniec świata, jakaś menda podrzuciła mi do poczty mailowej notatkę prasową. Donoszono w niej o skazaniu na długoletnie więzienie niejakiego Porfiria Lobo, swego czasu cieszącego się w kręgach miłośników parapsychologii opinią szamana. Włączyłem wyszukiwarkę i w jednej z gazet ukazujących się w Nowym Meksyku wyczytałem, że trzydziestego listopada, a więc cztery dni po opuszczeniu fundacji, nasz przyjaciel został zatrzymany podczas przekraczania granicy z dużym ładunkiem kokainy. Fakt, że śpieszył się na pogrzeb brata i że przemycał narkotyki dokładnie „pod prąd” białej fali, zupełnie nie zainteresował wymiaru sprawiedliwości stanu Nowy Meksyk.

– Zdumiewające, że nie poprosił o pomoc nikogo z nas! – wykrzyknąłem.

Detektyw tylko się uśmiechnął.

– Znalazłem tam całe mnóstwo zdumiewających spraw. Łącznie z tym, że adwokat, lokalna znakomitość w El Paso, wynajęty, jak sprawdziłem, przez ludzi Hollmayera, robił

wszystko, aby maksymalnie pogrążyć swojego klienta.

– Aż trudno uwierzyć!

– Mnie też przychodziło to nie bez wysiłku. Jednak sprawa nie podobała mi się coraz bardziej: mistrz prekognicji bawiący się w pospolity przemysł? Było jasne, że go wrobiono.

Tylko w jakim celu? Dlaczego komuś zależało, aby odciąć go od świata? Pasowało mi to do sposobu naszego rozproszenia. Komuś wyraźnie chodziło o to, żebyśmy nie mogli się kontaktować ani wykorzystywać swoich umiejętności. Tylko komu?

– Spadkobiercom Hollmayera?

– Jorge! Zastanów się, co mówisz! Kiedy wrabiano Porfiria, nasz boss miał przed sobą jeszcze kilka tygodni życia, a wszyscy myśleli, że pociągnie parę lat.

– Chyba że ktoś już wiedział że umrze... – zacząłem i urwałem. – Zaraz, Steve!

Sugerujesz, że zamordowano nam patrona?

– Niczego nie sugeruję. Mam co najwyżej pewne hipotezy. W każdym razie postanowiłem spotkać się z Lobo...

– W więzieniu?

– Nie było to łatwe! Porfirio trafił do zakładu w Nowym Meksyku o zaostrowym rygorze i naprawdę musiałem pociągnąć za wiele sznurków, żeby uzyskać widzenie. To nie było miłe spotkanie. Lobo sprawiał wrażenie zastraszonego. Dawno nie widziałem równie przerażonych oczu. (Chyba tylko u jednej kobiety, świadka koronnego, która zaczęła sypać mafię. Długo nie pożyła!). Porfirio też zachowywał się, jakby doskonale wiedział, że jeśli kłapnie dziobem, nie doczeka następnego dnia. Więzienie pełne jest różnych paskudnych typów, gotowych zrealizować każde zlecenie.

– Ale co mówił?

– Zachowywał się dziwnie, bredził w kółko o apelacji, o tym, że narkotyki mu podrzucono. W sumie powiedział mi tylko dwie rzeczy godne uwagi. Jedna zresztą była skierowana do ciebie.

– Do mnie? A cóż takiego powiedział?

– „Szansę ma tylko padre. Jego nie zechcą zabić. Trzymaj się padre Gutiereza”.

Oczywiście nie odpowiedział na moje pytanie, kto miałby zabijać?

– A ta druga informacja?

– Rzucił ją na odchodnym, wstając od okienka. Brzmiała niczym zagadka. Powiedział:

„Gdy martwi żyją, żywi umrzeć muszą”.

– Wyjaśnił, co ma na myśli?

– Nie. Zresztą, jak mówiłem, to był już koniec widzenia.

– Należało spotkać się z nim jeszcze raz.

– Miałem taki zamiar, ale tego samego dnia na spacerunku ktoś pchnął go nożem. Prosto w serce.

– Jezus Maria!

Detektyw otarł pot z czoła, choć w hoteliku nie było zbyt gorąco. Co do mnie, odczuwałem coraz większy chłód.

– Można powiedzieć, że przyczyniłem się do jego śmierci. Gdybym nie węszył, nie odwiedzał go w

mamrze... Ale w tej sytuacji, jak rozumiesz, postanowiłem nie gubić tropu.

Poniuchałem trochę w El Paso, a także po drugiej stronie Rio Grande. Może zainteresuje cię, że samochód, w którym znaleziono misternie ukryte narkotyki, pożyczył mu Ken Robinson.

– Niesamowite! Tylko dlaczego Lobo nie poleciał do Meksyku samolotem, a tłukł się przez całe Stany?

– W tym nie było akurat niczego dziwnego. Chorobliwie bał się latania...

– Zapomniałem.

– Biorąc się za zagadkę, próbowałem najpierw ustalić, kto nadał mi sprawę. Nie udało mi się. Ktokolwiek przysłał mi maila, perfekcyjnie zatarł ślady.

– Myślisz, że mógł to zrobić Jacobi?

– Licho wie. Zawsze był ostrożny, jak to Żyd. Ale przy okazji cholernie dociekliwy. I nieosiągalny. Napisałem do niego parę zdawkowych słów i wysłałem na adres jacobjacob@aol.com, ale się nie odezwał.

– Może zmienił adres swojej poczty elektronicznej? – podsunąłem.

– Może, choć przypuszczam, że z sobie wiadomego powodu postanowił się nie ujawniać.

Szukałem jednak dalej. W El Paso, gdzie odbył się proces, trafiłem na mur nie do przebiccia.

Adwokat, który odwalił brudną robotę, natychmiast zniknął, w więzieniu odmówiono jakichkolwiek informacji na temat zabójstwa, a w dodatku ktoś przeciął przewody hamulcowe w moim samochodzie i tylko cudem uniknąłem wypadku. Wróciłem do Nowego Jorku znacznie ostrożniejszy i starałem się zachowywać jak człowiek szukający pracy, a nie zainteresowany rozwiązywaniem zagadek. Tak naprawdę ta sprawa pochłonięła mnie bez reszty. Pozbycie się jasnowidzów, śmierć Hollmayera, pożar i zamknięcie fundacji układało się w dość logiczny ciąg zdarzeń. Dokąd jednak to wszystko prowadziło? Moje śledztwo postanowiłem zacząć nie od dymu, ale od ognia. Na wszelki wypadek, gdyby znów ktoś chciał mnie śledzić, wykonałem kilka rutynowych manewrów: pojechałem Amtrakiem do Albany, tam zmieniłem charakterystycę i przesiadłem się w Greyhounda, następnie, po kolejnych przesiadkach, dotarłem w pobliże naszej niedawnej „świątyni nauk”. W miasteczku Jefferson wypożyczyłem biegówki i udałem się na dłuższą wycieczkę. Ostrożność, jak się okazało, nie była konieczna. Ludzie Palmera już opuścili fundację, a na głównej bramie pojawiła się wywieszka „Na sprzedaż”. Co ciekawe, sam obiekt wcale nie robił wrażenia wypalonej ruiny. Ocalał główny budynek, laboratoria, biblioteka, nasze apartamenty.

Splonęły jedynie stare magazyny i nieczynny od dawna gmach dawnego szpitala. A zatem okłamano nas, inscenizując widowisko z gatunku światło i dźwięk tylko po to, żebyśmy po wiadomości o śmierci Hollmayera nie mogli już wrócić, być razem, nadzorować likwidacji...

– Niesamowite!

– Coraz bardziej zaciekawiony, pokonałem ogrodzenie, ryzykując, że w każdej chwili ktoś może capnąć mnie za dupę. Ale nie spotkałem nikogo. Ani w kwaterach, ani w biurach...

Dla kogoś, kto oddał fundacji kawał życia, widok był przygnębiający. Wszystkie sprzęty rzeczywiście wywieziono, wybijając przy okazji kilka okien, toteż po pustych salach i korytarzach hulały przeciągi. W naszych pracowniach pozostały gołe ściany. Nawet śmietniki opróżniono do czysta... Nie wiedziałem, jak to zinterpretować. Do samej rezydencji Hollmayera nie zdołałem podejść. Ktoś jej pilnował. Z daleka usłyszałem ujadanie psów, a od dzieciństwa nie przepadam za rottweilerami. W efekcie wróciłem do motelu w Jefferson bardziej zdeorientowany niż przed tą forsowną wycieczką.

Kiedy w miejscowym pubie raczyłem się rozgrzewającym drinkiem, podszedł do mnie jakiś potężny facet w stroju narciarskim i spytał, czy może się przysiąc.

– Czemu nie – rzekłem uprzejmie, choć ogolona na łyso czacha i potężna szczeka dowodziły, że oprócz nart natręt może mieć jeszcze inne, mniej sympatyczne zainteresowania.

Przedstawił się jako Konstantin Stavros, zawodowy wojskowy. Nie miałem powodu, by mu nie wierzyć. Nie okazał się jednak szczególnie atrakcyjnym rozmówcą. Wypytywał mnie o najlepsze trasy narciarskie, jednak nie miałem na ten temat wiele do powiedzenia.

Skończyło się na dwóch kolejkach, po których stwierdziłem grzecznie, że muszę iść się przespać. Nie narzucał mi się ze swoim towarzystwem.

Spałem źle, po raz pierwszy od paru dobrych lat z gnatem pod poduszką. Nic się jednak nie wydarzyło. Następnego dnia pokręciłem się jeszcze trochę po okolicy, ale niczego nie udało mi się dowiedzieć. Przynajmniej niczego istotnego.

Sprzęty i aparatura z fundacji zostały podobno rozdane domom opieki, szpitalom i szkołom, bibliotekę (mocno zdekompletowaną) ofiarowano Uniwersytetowi Harvarda, a dzieła sztuki z prywatnej kolekcji Hollmayera zamierzano sprzedać na aukcji. Wszystkim zajmowała się kancelaria niejakiego Howarda Scotta z Bostonu i firma spedycyjna braci Ghiberti, jednak wizyta w obu tych instytucjach nie pogłębiła mojej wiedzy ani odrobinę. W

żaden sposób nie mogłem poznać szczegółów śmierci miliardera, ani nawet dowiedzieć się, gdzie odbył się jego pogrzeb. Podobno został skremowany. Luke Palmer i Ken Robinson też jakby się pod ziemię zapadli. Nikt nie miał pojęcia, kto został głównym spadkobiercą fortuny.

Ukochany gulfstream od miesiąca stał beczynnie w hangarze pod Atlantą. Znacznie później sprzedano go jakiemuś podejrzanemu biznesmenowi z Kolumbii czy Gwatemali.

Nie poddawałem się jednak. Mam niezłe doświadczenie do kontrolerów lotów, więc po zainwestowaniu pewnych kwot udało mi się ustalić, że nasz świętej pamięci pryncypał, Al Trzeci, do niedawna zatwardziały domator, mniej więcej od zeszłej wiosny dość często wykorzystywał swojego gulfstreama, latając przynajmniej raz w miesiącu do Atlanty. Siedział

tam tydzień, potem wracał. We wrześniu, tuż przed zniknięciem, bywał tam praktycznie co tydzień.

Zadałem sobie pytanie, z czym przeciętnemu Amerykaninowi kojarzy się Atlanta poza niezapomnianymi scenami z *Przeminęło z wiatrem*?

– Z centralą CNN-u, wytwórnią coca-coli i Instytutem Chorób Tropikalnych –

odpowiedziałem automatycznie.

– Właśnie, instytut! Nagle coś zaświtało mi w głowie. Pamięć mam dobrą, więc natychmiast przypomniał mi się doktor Sebastian Laval, Kreol czy raczej Cajun z Nowego Orleanu...

– Faktycznie, był ktoś taki. Raczej krótko – przytaknąłem, wysilając pamięć. – Ze względu na śnieżnobiałą cerę i negroidalne rysy ktoś, chyba Jacoby, a może Frischke, przezywał go Michaeliem Jacksonem. Z tego co pamiętam, nie za bardzo integrował się z zespołem.

– To prawda. Według mnie pojawił się zeszłej zimy i przepracował u nas parę miesięcy, do późnej wiosny, po czym zrezygnował.

– Tak! Wywołało to nawet małą sensację, bo Laval cieszył się uznaniem samego Hollmayera i miał nieograniczony dostęp do jego rezydencji.

– Pamiętasz, w czym się specjalizował?

– Chyba genetyka i toksykologia, ale czym konkretnie... Nie wiem. Na sympozjonach rzadko się odzywał. Poza tym są to dziedziny szalenie odległe od moich zainteresowań.

Chyba faktycznie podkupiliśmy go z Atlanty... Pewnie sprawdziłeś, czy po rezygnacji powrócił do Georgii?

– Wrócił, ale nie do Instytutu Chorób Tropikalnych w Atlancie. Najpierw wyglądało na to, że zniknął zupełnie, ale po dłuższych poszukiwaniach udało mi się ustalić, że ktoś o tym nazwisku podjął pracę w luksusowym domu starców pod Savannah, choć wydało mi się dość nieprawdopodobne, aby jakiś dom opieki zatrudnił specjalistę od toksyn i wirusów. Miałem zamiar sprawdzić to osobiście. Wcześniej jednak postanowiłem podzielić się z kimś moimi ustaleniami. Pomyślałem o Benie Wilderze. Mimo opinii odludka zawsze cechował go niezwykle syntetyczny umysł, potrafił patrzeć szerzej niż ktokolwiek z nas, może poza tobą, *padre*.

– Nie żartuj. Przecież nie zareagował, kiedy próbowałem się do niego dodzwonić.

– Ben miał osobliwe poglądy na temat kontaktów ze światem zewnętrznym, nie odbierał telefonu, nie otwierał drzwi, nie odpowiadał na e-maile. Nie wiadomo nawet, kto załatwiał mu niezbędne sprawunki, podejrzewam, że ktoś z sąsiadów.

– Jak więc zdołałeś się z nim skontaktować?

– Za pomocą zajęczka.

– Nie rozumiem.

Steven wyciągnął lusterko i zademonstrował mi dziecięcą zabawę.

– Namierzyłem jego penthouse przy South Central Park i zacząłem nadawać alfabetem Morse’a prosto w jego okna rozmaite hasła, a na koniec podałem mu numer mojej komórki.

– Nie powiesz, że oddzwonił?

– Mało że oddzwonił, to jeszcze zaprosił mnie na kawę.

– Niesamowite...

– Spędziłem u niego ponad pięć godzin, w miękkim fotelu, przed ogromnym buzującym kominkiem, przypominającym paszczę Molocha. Strop nad nami był szklany, tak że nic nie przysłaniało nieba, z którego sypał śnieg. Wilder wysłuchał mnie uważnie. Zadał kilka pytań.

Okazało się, że sam też był pełen ponurych podejrzeń.

„Czy wiesz – zapytał nieoczekiwanie – że ostatniego lata Al Hollmeyer zważył w Boga?”

„Nic mi o tym nie wiadomo”

„Bo nie dzielił się tym z innymi. Nie mówił wprost. A jednak podczas paru spotkań wyczułem, że bardzo zainteresował się diabłem”.

„Nie miałem pojęcia...”

„Też nie od razu to do mnie dotarło. Choć dane miałem jak na talerzu. Al godzinami potrafił wypytywać o prorocтва dotyczące »czasów ostatnich«. O Armagedon i, co znamienne, o wszelkie znane przypadki opętań. Wreszcie, któreś sierpniowej nocy, wezwał

mnie do siebie i na serio zaczął wypytywać o reguły rządzące cyrografami. Tak jak rozmawia się z prawnikiem przed zawarciem ważnej umowy”.

„Do reszty zwariował!” – wykrzyknąłem.

„I mnie przyszło to do głowy. Sęk w tym, że nasz boss nie wyglądał na wariata ani nawet na człowieka szczególnie chorego. Raczej na biznesmena badającego grunt pod przyszły kontrakt”.

„Nie sędzisz chyba, że zawarł pakt z diabłem i że pełnomocnikiem piekieł był doktor Laval?”

„Niczego nie wykluczam – odpowiedział poważnie Ben. – Ale jeśli założymy, że doszło do czegoś takiego, fundacja szukająca Boga stała się niepotrzebna”.

Usiłowałem się roześmiać.

„Jeśli rzeczywiście podpisał cyrograf, to zrobił wyjątkowo marny interes, zaprzedał duszę, a długo nie pożył. Frajer”.

Wilder pozwolił mi się wyśmiać, a potem zapytał:

„Drogi Steve, a na jakiej podstawie uważasz, że Hollmayer nie żyje?”.

Tym zdaniem mnie zastrześlił.

„Masz przesłanki, że nadal żyje?!” – wykrzyknąłem.

„Może tak, może nie. Zresztą dajmy już temu spokój. Późno się robi i jestem trochę zmęczony”.

Nagle stał się opryskliwy, jak człowiek, który za dużo wygadał. Zamknął się jak chińskie pudełeczko, a ja daremnie próbowałem pociągnąć go za język. Ostatnie, co powiedział, odprowadzając mnie do windy, to to, że ma parę hipotez, ale przedstawi mi je, kiedy upewni się co do niektórych kwestii.

„Mam nadzieję, że będę mógł liczyć na twoją pomoc?” – zakończył.

„Oczywiście”.

Zanim jeszcze zamknęły się drzwi windy, zauważyłem, że cofając się, wyciągnął z kieszeni kawałek kredy i nakreślił na podłodze przed drzwiami linię, jakby wierzył, że zło nigdy nie zdoła jej przekroczyć.

– Mówisz tak, jakby przekroczyło... – Coś w tonie detektywa bardzo mnie zaniepokoiło.

– No cóż... Nie mogłem wtedy przewidywać... Miał odezwać się za parę dni, ale nie minęła doba, a zadzwonił na moją komórkę. W pierwszej chwili nie poznałem go, tak zmieniony miał głos.

„Możesz jak najszybciej do mnie przyjechać?” – zapytał. A kiedy potwierdziłem, dorzucił:

– Cholernie się boję, Steve!”.

Próbowałem wybadać, czego się boi, ale zdołałem wydusić z niego jedynie: „Chyba za dużo wiem!”.

Nie zlekceważyłem jego obaw, natychmiast wyjąłem z szafki broń i złapałem taksówkę.

Niestety, wieczorne korki sprawiły, że droga w okolice Central Parku zajęła mi ponad godzinę. Kiedy przybyłem na miejsce, policja usiłowała zapanować nad tłumem gapiów, gromadzących się wokół nieruchomego ciała w szlafroku, leżącego na chodniku. Wystarczył

mi rzut oka w górę. Balkonowe okno w penthousie było otwarte, a wiatr wydymał firankę.

„Kiedy to się stało?” – zapytałem sprzedawcę pieczonych kasztanów.

„Jakieś pięć minut temu”.

Instynkt sprawił, że nagle odwróciłem głowę i zobaczyłem zwałistą postać opuszczającą sąsiedni apartamentowiec. Wychodząc, naciągnął na głowę futrzaną czapę, wcześniej jednak błysnęła łysa czacha. Stavros?! Nie mogło być mowy o pomyłce. Pobiegłem za nim, ale drań zdążył wskoczyć do żółtej taksówki. Co gorsza, zauważył mnie. Kiedy wóz mnie mijał, nabierając pędu, dostrzegłem błysk ciemnych oczu i brzydki grymas mięsistych warg. Nie jestem tchórzem, ale poczułem dżgnięcie lodowatego palca kostuchy.

Byłem wstrząśnięty, nie oznaczało to jednak, że miałem zamiar pozostawać bezczynny.

Skontaktowałem się z Fredem, moim kumplem pracującym w wydziale zabójstw, i poznałem kilka szczegółów dotyczących incydentu. Ben Wilder, jak wykazała sekcja, był w momencie upadku absolutnie trzeźwy. Nie zostawił żadnego listu. Jedyнным dowodem wskazującym, zdaniem policji, na samobójstwo, było dokładne wyczyszczenie twardego dysku komputera i spalenie wszystkich wydruków w kominku. (Moim zdaniem wskazywało to na coś zupełnie innego). Za przyczynę śmierci uznano nagły atak depresji, bo jeszcze poprzedniego dnia Ben zwierzał się swemu agentowi, że pracuje nad powieścią, która zakasuje bestseller Dana Browna... W rewanżu za informacje podrzuciłem gliniarzom trop Stavrosa. Fred oddzwonił

do mnie następnego dnia. „Pomyliłeś się, stary – oświadczył. – Konstantin Stavros był tego wieczoru na meczu bokserskim w Madison Square Garden. Siedział tuż przy ringu. Nie wyszedł nawet do kibla. Widziało go mnóstwo ludzi, nie mówiąc o paru milionach telewidzów, kiedy kamery pokazywały trybuny. Poza tym człowiek, o którym mówisz, jest od paru lat funkcjonariuszem greckiej policji. W Stanach przebywa na urlopie i ma naprawdę co innego do roboty niż wypychanie z okna amerykańskich pisarzy...”.

* * *

– Steven Green nie należał do ludzi, których łatwo przestraszyć – kontynuował swą opowieść ojciec Gutierrez. – Zdwoił jednak czujność. Dotąd był tylko ostrożny, teraz postanowił być pięć razy ostrożniejszy. Podjął z banku wszystkie pieniądze (karta kredytowa, jak wiadomo, pozostawia niepotrzebne ślady), postarał się o lewe dokumenty. Pozbył się samochodu i kupił za gotówkę całkiem niezłą maszynę, jednak o wyglądzie kompletnego rzęcha. Jeśli chodzi o powierzchowność, upodobił się do starego, zmęczonego życiem komiwojażera. Czy w ten sposób zdołał zmylić przeciwnika? Początkowo był przekonany, że tak. W jego mózgu konkurowały dwie koncepcje. Pierwsza nakazywała szybkie porozumienie się z kolegami z fundacji, według drugiej w żadnym wypadku nie powinien ich narażać.

Kimkolwiek był przeciwnik, wyglądał na zdecydowanego za wszelką cenę pozostać w ukryciu.

W efekcie Steven postanowił skontaktować się przynajmniej z jednym z dawnych kolegów. Zdecydował dość prędko, kto będzie pierwszy – Carlos Ramos, ze swymi nadprzyrodzonymi zdolnościami, mógł okazać się bezcennym pomocnikiem, poza tym przebywał na komunistycznej Kubie, a tam nawet sam diabeł miał niewielkie możliwości działania.

Wskutek wieloletniego embarga obywatele amerykańscy mają trudności z podróżą do królestwa Fidela Castro. Dla Greena nie stanowiło to problemu. Zdobył skądś kanadyjski paszport, załatwił wizę oraz tygodniowy pobyt (*all inclusive*) w hotelu Mariposa i jako Jack Chichester, rencista z Toronto, pojawił się w Varadero w zgrai samców napalonych na kubańskie ślicznotki, tanie i chętne jak koty w marcu. Trzy dni buszował po plażowych dyskotekach, po czym, jak wielu mu podobnych, wyskoczył do pobliskiego Cardenas, gdzie rozrywki były podobno tańsze i jeszcze bardziej ekscytujące. Inna sprawa, że miał na oku zupełnie inny obiekt.

Po pełnym świąteł Varadero przeżył prawdziwy szok – miasto tonęło w mrokach realnego socjalizmu. Ponure wrażenie potęgowały chmury, co rusz przesłaniające księżyc. Na ulicy, na której według posiadanych przez Greena informacji miał mieszkać Carlos Ramos, z pozapadanymi chodnikami i dziurami w jezdni, paliła się tylko jedna żarówka. To wystarczyło, by ustawić pod nią dwa stoliki, przy których grupka mężczyzn oddawała się grze w szachy. Steven, zajęty patrzeniem pod nogi (tu i ówdzie chodnik się zapadł i można było wylądować w kanale), zamierzał ich minąć, kiedy dobiegł do niego znajomy głos:

„A ja biję piona. I szach mat”.

„Carlos? – detektyw podszedł bliżej. Grający obrócił ku niemu twarz z czarną opaską na oczach. Wyciągnął rękę. Green zamierzał ją uścisnąć, ale zorientował się, że jest to kikut obwiązany szmatą. – Carlos, co się stało?”.

„My się znamy, *amigo*. Nie sądzę!”. Ramos wstał znad planszy i skierował się w stronę wnęki w murze. Wyraźnie nie miał ochoty na rozmowę.

Detektyw jednak łatwo nie rezygnował i natychmiast ruszył jego śladem. Przez furtkę wyszedł za Ramosem na jakieś podwórko. Tam Kubańczyk przystanął.

„Tu nie można rozmawiać, wszyscy podsłuchują, donoszą... – powiedział szeptem. – A jak się narazisz...”. Tylko machnął kikutem.

„Kto ci to zrobił?” – zapytał również szeptem Steven.

„Ja sam. Wróciłem tu zobaczyć się z rodziną... Miałem zostać tylko kilka dni, ale już na lotnisku zabrano mi paszport i kazano czekać na odpowiedź, a potem któregoś wieczoru eksplodowała kuchenka gazowa. W jednej chwili straciłem wzrok i jedną dłoń...”.

„Oczywiście to robota władz...”.

Carlos nie pozwolił mu dokończyć pytania.

„To był wypadek. Zwykły wypadek. Kiepski gaz, stara kuchenka, moja własna nieostrożność”.

Green chciał dodać, że wypadek dość szczególny, pozbawiający telepaty narzędzi jego pracy, ręki i oczu, ale ugryzł się w język i zamiast tego powiedział:

„Przyjechałem specjalnie, żeby z tobą porozmawiać”.

„Nie tutaj!” – powtórzył Kubańczyk.

„Więc gdzie?”.

„Nigdzie. Jedyne, co mogę zrobić, to poprosić Miguela, żeby odwiózł cię z powrotem do Varadero. Pojadę z wami i pogadamy po drodze. Miguel nie mówi po angielsku” – dorzucił

na wszelki wypadek.

Jak się okazało, szwagier Carlosa był szczęśliwym posiadaczem wspaniałego chevroleta z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego piątego. Silnik wprawdzie pochodził z radzieckiej wołgi, jednak z zewnątrz bryka prezentowała się doskonale.

Do Varadero było blisko, ale Miguel, namówiony przez brata, wybrał trasę po jakichś bezdrożach. Green pokrótce opowiedział mi o swoich doświadczeniach i podejrzeniach.

„Rozumiem, że liczyłeś na moją pomoc, ale ja nic nie mogę. Jestem wrakiem! Cóż to za telekinetyk, który nie jest w stanie zawiązać sobie sznurowadła?!?”.

„Nie potrzebuję bezpośredniej pomocy, liczyłem raczej na twoją intuicję. Chciałbym zrozumieć, co się stało i co się dzieje? W czym im zagrażamy i kim są Oni?”.

Carlos milczał przez chwilę, wreszcie rzekł:

„Ostatnio znów miewam sny! Dziwne, straszne...”.

„A konkretnie?”.

„Rzecz w tym, że nie są konkretne. Śnią mi się na przykład kałuże smoły rozlewające się coraz szerzej i dalej, i zatrzymujące u stóp człowieka w czarnej sutannie. Kiedy indziej jest to pożar i wylatujące zeń ogniste orły”.

„Orły?”.

„Albo szmaragdowa woda i biała bryła marmuru, osuwająca się w głębinę”.

„Jakiś posąg?”.

„Nie. Prostokąt z dziwnymi napisami, ale widzę go przez wodę, niewyraźnie...”.

„Potrafisz to jakoś wytłumaczyć? Co mam dalej robić? Do kogo się zwrócić?”.

Za pagórkami ukazały się światła Varadero.

„Musisz obrócić moc przeciwko mocy – wymamrotał Carlos. – Odszukaj księdza. Tylko on może nam pomóc”.

„Ale gdzie jest wróg? Przynajmniej wskaż mi wroga!”

Naraz zorientował się, że Ramos cały dygoce. Zerwał opaskę, ukazując ledwie zagojone oczodoły i poparzoną twarz. Zatoczył ręką łuk.

„Wszędzie! Wszędzie!”

Tymczasem Miguel zatrzymał wóz i zaczął bardzo prędko mówić coś po hiszpańsku.

„O co mu chodzi?” – zapytał Green.

„Mój szwagier twierdzi, że lepiej będzie dla nas wszystkich, jeśli dojdiesz ten ostatni kawałek na piechotę. Widzisz w dole posterunek przed mostem? Masz paszport, nie mogą cię zatrzymać”.

Pożegnali się. Ramos na odchodnym wcisnął mu paczkę doskonałych cygar „Monte Cristo”.

„Żebyś pamiętał o Kubie”.

„Dzięki. Tylko co będzie z tobą, Carlos?”

„Nic. Ja przynajmniej jestem w domu”. Zatrzasnął drzwiczki i wóz zaczął się cofać.

Detektyw stromą ścieżką wspiał się na szczyt pagórka. Varadero wydawało się leżeć na wyciągnięcie ręki.

„Stój, *Americano* – dobiegło naraz z mroku i szcęknął zamek pistoletu. – Milicja!”

Steve stanął jak wryty. W głosie mężczyzny brzmiał ton, którego nigdy nie lekcewał.

„Senor Green?”, pytał nadal niewidoczny funkcjonariusz.

Chciał potwierdzić, kiedy zdał sobie sprawę, że występuje tu jako Chichester i nikt, z Fidelem Castro włącznie, nie powinien znać jego prawdziwego nazwiska.

Bąknął niepewne „nie”, ale w tym momencie zza chmur wyjrzał księżyc, oświetlając zimnym blaskiem ich obu: Stevena na ścieżce i oddalonego o trzy metry z bronią gotową do strzału Stavrosa. Poznali się natychmiast. Kwadratową twarz Greka wykrzywił uśmiech, wargi rozchyliły się w łatwo rozpoznawalnym *good bye*. Palec nacisnął spust.

Nie mógł chybić. Nie z tej odległości, nie przy tym oświetleniu. A jednak. Minęło kilkanaście sekund i Green ciągle żył, a pistolet, jakby pociągnięty niewidzialną żyłką, poleciał w krzaki.

„Uciekaj!” – dobiegł go krzyk Ramosa.

Kubańczyk nie musiał powtarzać dwa razy. Nim do zabójcy dotarło, co się właśnie stało, Steven już gnał ścieżką między chałupami, przypominając sobie, że w college’u był mistrzem biegów przełajowych. Jeśli nawet Stavros puścił się za nim w pościg, szybko zrezygnował.

Na szosie był spory ruch, szczęśliwcy za dnia zatrudnieni w luksusowych hotelach wracali do swych ubogich przysiółków. Green złapał taksówkę i kazał wieźć się do Mariposy.

W głowie miał chaos. Jak go znaleźli, w jaki sposób Stavros dotarł za nim aż na socjalistyczną Kubę? Do rana łamał sobie głowę, nie mogąc znaleźć odpowiedzi. Następnego dnia, postanawiając nie prowokować losu, skrócił pobyt i odleciał do Kanady.

– A potem odszukał pana? – zgađł Robert.

– Nie od razu – powiedział Gutierrez. – Podążając moim, co tu ukrywać, mocno pokręconym tropem, równocześnie starał się dowiedzieć, co dzieje się z pozostałymi kolegami. Złe przeczucia go nie myliły. Do kwietnia grono byłych pracowników fundacji zmalało jeszcze bardziej. Można powiedzieć, że trwała prawdziwa czarna seria. Pod koniec stycznia Aleksiej Titow zamarł po pijaku na ławce w moskiewskim parku imienia Gorkiego.

Nikt nie wie, czego wybitny astronom tam szukał przy trzydziestostopniowym mrozie. W

lutym, wedle doniesień mediów, samobójstwo popełnił zoolog Howard Boon. Scenerię dla swego dramatycznego kroku wybrał filmową – słynny hotel Coronado w San Diego, do którego przybył w przeddzień tragedii z jakąś dziwką. Ta ulotniła się w połowie nocy, a rano pokojówka znalazła nagiego naukowca w łazience. Sekcja wykazała końską dawkę środków nasennych, popitych whisky.

Francois Aubry miał więcej szczęścia – w połowie marca ten zdrowy jak koń mężczyzna przeszedł potężny wylew i wegetuje w charakterze warzywa w eleganckim hospicjum pod Tuluzą. Oczywiście żadne ze wspomnianych zdarzeń nie spowodowało śledztwa, nikt nie powiązał ich ze sobą, bo przecież miały miejsce w różnych krajach, na różnych kontynentach...

No a w kwietniu, jak już wiecie, przy okazji pogrzebu papieża, doszło do naszego spotkania.

– Uwierzył pan wszystkim jego słowom? – zapytała Aria.

– Trudno było nie uwierzyć. Steven miał ze sobą wycinki prasowe, wydruki z komputera.

Nikt przy zdrowych zmysłach nie potraktowałby tego jako ciągu nieszczęśliwych wypadków.

Moje obiekcje dotyczyły kwestii, czy powinienem się w to mieszać. Wiele wskazywało, że nieszczęścia przydarzały się tym, którzy zdradzali niezdrową ciekawość. Green zauważył

moje wahanie.

– Wiem, że cię narażam – powiedział. – Jednak jeśli wierzyć słowom Lobo, ty jeden masz szansę to wszystko powstrzymać.

– Niby dlaczego? – zapytałem.

– Nie wiem. Może dlatego, że byłeś księdzem.

– Złym księdzem, wielkim grzesznikiem, który całe lata służył szatanowi!

– Ale ostatecznie wybrał dobro – przerwał mi Steven. – Kto wie, być może czasowy pobyt po stronie ciemności i przewyciężenie jej uodparnia jak przebyta choroba...

Jego interpretacja trochę mnie rozbawiła, ale mnie nie przekonała.

– W imię czego – zapytałem – mam pakować się w twoje śledztwo, Steven, kiedy nawet nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi? Jeśli stary Hollmayer żyje i zaprzedał duszę diabłu, a przynajmniej, nie masz na to żadnych dowodów, jest to jego prywatna sprawa.

– A ci wszyscy ludzie, których zabito?

– Zainteresuj tym odpowiednie agencje. Ja ci w niczym nie mogę pomóc. Wątpię nawet, czy moje modlitwy będą skuteczne.

– Słowem, mam zrezygnować, zapomnieć?

– Owszem, i zachować życie. Zresztą, może uznali, że nie stanowisz dla nich zagrożenia?

I zrezygnowali.

– Zrezygnowali?! – zachnął się. – Nie powiedziałbym. Od powrotu z Kuby co najmniej dwa razy otarłem się o śmierć! Żyję dzięki przychylności anioła stróża, no i własnej przeczności. Nie rozstaję się z bronią. Dokładnie sprawdzam pokoje, w których mieszkam, samochody, którymi się poruszam. Jeśli przebywam dłużej w jednym miejscu, staram się o dyskretną obstawę. Nie rozmawiam z nieznanymi. Unikam miejsc, które mogłyby okazać się pułapką... Ale ile razy można wygrywać? Poza tym – zaśmiał się cwaniacko – przejrzałem ich. Wiem, że nie są wszechmocni. Nie dopadną mnie.

– Jesteś pewny? Dotąd radzili sobie świetnie, jakby czytali w myślach.

– Bez przesady. Ich przewaga opiera się na bardziej prozaicznych powodach. Wpadłem na to zaraz po powrocie z Kuby. Nie mogąc wykoncytować, w jaki sposób tak szybko i łatwo dopadł mnie Stavros, skontaktowałem się z Jackiem Brownem, moim kumplem jeszcze ze studiów w Quantico, zajmującym się techniką w centrali FBI. Już wcześniej próbowałem zainteresować go sprawą fundacji. W pierwszej chwili wykazał zainteresowanie, ale szybko je stracił.

„Nie ma najmniejszych dowodów, że popełniono przestępstwa” – oznajmił. – Większość podejrzanych zdarzeń działa się poza granicami USA. Śmierć Lobo uznano za porachunki narkotykowych dealerów, zgon Wildera został zakwalifikowany jako samobójstwo. Poza tym nie powinienem ci tego mówić, na górze panuje zadziwiająca niechęć do ruszania czegokolwiek w tej sprawie. Wygląda na to, że nawet po śmierci twój były szef ma w kieszeni połowę Kongresu... Musiałbym mieć dowód, że Hollmayer nadal żyje i sfigował

własną śmierć, a któryś z jego ludzi dopuścił się przynajmniej przestępstwa drogowego...”

Zupełnie inaczej podszedł do zagadnienia łatwości, z jaką mnie namierzano. Poddał mnie szczegółowemu, trwającemu osiem godzin badaniu.

„Masz chipa” – stwierdził na koniec z miną lekarza, który pacjentowi podejrzewającemu, że ma AIDS, komunikuje, iż to tylko rzeżączka.

„Mam co?”.

„Chipa, trudno wykrywalną wersję GPS-a, nadajnik emitujący co trzy godziny ćwierćsekundowy sygnał wylapywany za pośrednictwem satelity. To wystarcza, żeby cię namierzyć, gdziekolwiek byś się znalazł na tej planecie”.

„Ale jak mogli mi go wszczepić? Nie miałem żadnej operacji. I gdzie siedzi to świństwo?!”.

„Są na to sposoby. Laboratorium za chwilę udzieli odpowiedzi”.

Nie czekałem długo. Nadajnik, urządzenie nie większe niż groszek, zlokalizowano w moim wyrostku robaczkowym. Green promieniał.

„Moim zdaniem podano ci to najwyżej parę miesięcy temu, podczas snu, a następnie za pomocą mikrosondy dostarczono gdzie trzeba i tam zakotwiczone – twierdził Jack. – Idealne miejsce, w którym taki szpieg może funkcjonować przez wiele lat. Specjalna powłoka uniemożliwia stany zapalne, kwasy żołądkowe zasilają baterię...

„I mam to już na zawsze?” – zaniepokoił się Green.

„Spokojnie, brachu, jeśli coś dało się zainstalować, musi dać się również odinstalować...

Nawet bez konieczności operacji”.

– Rozumiem, że zabieg się powiódł? – zapytałem Stevena.

– Skutki nie kazały na siebie czekać! Zamachy skończyły się jak ręką odjął. Na wszelki wypadek ponownie zmieniłem tożsamość. Ważne, że nie doświadczałem więcej skutków jakiegokolwiek inwigilacji. Ale to nie wszystko. Po dotarciu do kart zdrowia członków fundacji stwierdziłem, że dwie osoby z ekipy naukowców kiedyś przeszły operacje ślepej кишки. Gene Jacoby i ojciec Gutierrez.

– Rzeczywiście jako dziecko nazałem się piasku...

– No i podziękuj Bogu.

Podniecony swoim odkryciem Steven natychmiast zadzwonił do Browna z pytaniem o możliwość innego namierzania.

„Jeśli ktoś nie ma wyrostka, ten rodzaj chipa jest trudniejszy do zainstalowania, a gdy nie ma dość czasu, operacja wszczepienia może się nie powieść – oznajmił specjalista”.

„Czy to znaczy, że bezwrostkowcy są czyści?”

„Istnieje takie prawdopodobieństwo. Być może są kontrolowani w jakiś inny sposób. Ale z pewnością jest to trudniejsze”.

Ucieszyło to Greena, tym bardziej gdy uświadomił sobie, że jeśli zabiegu wszczepienia dokonano już po rozwiązaniu fundacji, „czysta” mogła pozostawać również Vassylika Roidis.

– Nie muszę ukrywać – powiedział Gutierrez – że ta informacja uradowała mnie jeszcze bardziej, ale zarazem upewniła w postanowieniu nie mieszania się do tej afery.

Tymczasem zrobiło się naprawdę późno i dalszą rozmowę postanowiliśmy przełożyć na następny dzień.

Ponieważ nie miałem zarezerwowanego hotelu, a w dniu pogrzebu Ojca Świętego w promieniu stu kilometrów od Rzymu nie można było nawet marzyć o pokoju, Steven zaproponował mi nocleg we własnym podwójnym łóżku. Nie odmówiłem.

Zasypiając, myślałem o tym, że jeśli ktoś naprawdę postanowił wykończyć wszystkich pracowników fundacji, to dziś miał wyjątkową okazję ustrzelić dubla. Ale jej nie wykorzystał.

Może zresztą tej nocy szatan w Wiecznym Mieście miał bardzo ograniczone możliwości działania?

Po raz pierwszy od wielu miesięcy przyśniła mi się Shirley. W beżowym kostiumie, w którym widziałem ją po raz ostatni, stała na wysokości ostatnich kolumn portyku Berniniego, powtarzając z innymi: *Santo subito! Santo subito!* Ruszyłem w jej stronę, przedzierając się przez tłum jak pływak, który rzucił się w wartki prąd. Nic z tego! Rozdzielająca nas ludzka rzeka stawała się coraz szersza, coraz szersza, aż osłabłem i upadłem na asfalt. Zdepczą mnie! – pomyślałem. Ale nie, nogi pielgrzymów przechodziły przede mną jak przez mgłę, nie czyniąc mi żadnej krzywdy, nie wywołując bólu. Czy ja umarłem?

Sante Giovanni Paolo ora pro nobis!, wyszeptałem.

8.

Cisza przed burzą

Gutierrez opowiadał przez ładnych parę godzin, mimo to Aria i Robert słuchali go z niesłabnącym napięciem, przerywając jedynie z rzadka. Zupełnie zapomnieli o głodzie. Kosz owoców na stole opróżnili bardzo szybko, z dzbanka z winem od dawna nie dało się wysączyć ani kropelki. Biorąc pod uwagę, że od opisywanych zdarzeń upłynął ponad rok, zapowiadało się dłuższe posiedzenie. Tymczasem zakończenie niezwyklej historii nastąpiło szybko i nieoczekiwanie.

– Po tym wieczorze zwierzeń zerwałem się skoro świt – podjął Jorge. – Półprzytomny Green sugerował wprawdzie, żebym sobie pospał, ale należę do rannych ptaszków i po przebudzeniu nie potrafię uleżeć w łóżku. W planie miałem spotkanie z przyjacielem z seminarium, który oficjalnie zrzucił sutannę i dochował się piątki dzieci, ale w odróżnieniu ode mnie nigdy nie popadł w grzech zwątpienia.

– Spotkajmy się po południu – zaproponował Steven. – Powiem ci, jakie mam plany...

– Pogadać możemy – zgodziłem się niechętnie. – Ale nie myśl, że wciągniesz mnie do twojego śledztwa.

– Dobra. Nie będę za bardzo nalegał. Jesteśmy umówieni o piątej u mnie.

– A może lepiej gdzieś na świeżym powietrzu? Ten ciemny pokój działa na mnie przygnębiająco. Umówmy się... Na przykład pod Koloseum. Pospacerujemy, a przy okazji pokażę ci miasto.

– Dla mnie miasto to Brooklin, Bronx i Queens, ale zgoda! – wyciągnął do mnie sękatą grabę.

Swoim zwyczajem na spotkanie przyszedłem kwadrans wcześniej. Bardzo lubię to miejsce, gdzie każda cegła, każdy fryz mówi tak wiele o dramatycznej historii chrześcijaństwa. Przespacerowałem się wzdłuż antycznych murów, rozmyślając o prawdopodobnych interpolacjach w tekstach Tacyta i Józefa Flawiusza, ale do żadnych odkrywczych konkluzji nie doszedłem, mimo że czasu miałem sporo. Detektyw nie zjawił się o piątej ani w ciągu następnej pół godziny.

Zadzwoiłem na jego komórkę, aby upewnić się, czy nie pomyliłem miejsca i czasu, ale dowiedziałem się jedynie, że abonent chwilowo niedostępny. Kiedy upłynęła pełna godzina, poważnie zaniepokojony wskoczyłem do taksówki i kazałem się wieźć do hoteliku, w którym wspólnie spędziliśmy ostatnią noc. Poza zmianą recepcjonisty wyglądał dokładnie tak jak o świcie. Spytałem faceta za kontuarem, czy Steven Green jest u siebie. W pokoju 33.

– Steven Green? Nikt taki tu nie mieszka – odparł uprzejmie, ale zdecydowanie.

– Wyprowadził się? Kiedy? Przerzucił jakieś papiery.

– Obawiam się, że wprowadzono pana w błąd. O ile pamiętam, nie mieliśmy ostatnio gościa o takim nazwisku.

Przez moment pomyślałem, że stroi sobie ze mnie żarty, ale uświadomiłem sobie, że przecież, ze względów konspiracyjnych, Steven mógł posługiwać się fałszywymi dokumentami.

– Chodzi mi o gościa z pokoju numer trzydzieści trzy – powiedziałem z naciskiem.

– Trzydzieści trzy? – Zajrzał do książki meldunkowej. – Od wczoraj mieszkała tam panna Clara Benelli z Katanii, ale przed południem zwolniła pokój.

– To jakaś paranoja! – podniosłem głos. – Odwiedziłem go wczoraj w tym pokoju. Jeśli zapyta pan swojego zmiennika...

Zaskoczony moim wybuchem, facet zadzwonił do recepcjonisty, który pełnił dyżur poprzedniej doby.

Zmiennik nie przypominał sobie Greena ani mnie. Nagle zdałem sobie sprawę, że jeśli chodzi o mnie, wcale nie musi kłamać. Wieczorem przemknąłem z restauracji od razu do pokoju, a rano wymknąłem się dość cicho. Mogli mnie nie zauważyć. Jednak Green był

przecież stałym gościem! Mężczyzną i cudzoziemcem! Widząc moje niedowierzanie, recepcjonista pokazał mi kartę meldunkową i drobny kobiecy podpis, który raczej nie wyszedł

spod sękaty ręki detektywa. Czy to możliwe, żebym pomylił hotele? Wyszedłem na zewnątrz. Wszystko się zgadzało, skręciłem do restauracji.

Kelnerka, która nas obsługiwała, sympatyczna czarnula o zadartym nosku, nie szła w zaparte. Owszem, pamiętała mnie i moje zamówienie, jednak upierała się, że jadłem obiad sam. Kłamała? A może milczący detektyw, który nie zamówił nawet szklanki wody, po prostu nie rzucił jej się w oczy?

Wyszedłem na ulicę i jeszcze raz wystukałem jego numer. Nic! Nadal nie odbierał. Nie chciałem iść na policję. Wołałem wykorzystać fakt, że żona mego przyjaciela Fabrizia jest siostrą karabiniera.

Próbowali mi pomóc, ale nie na wiele się to zdało. Green przepadł jak kamień w wodę.

Nikt go nie widział, nikt o nim nie słyszał. Nie było nawet śladu, że ktoś taki przybył do Italii.

W dodatku nikt poza mną nie widział go w Rzymie. Jeszcze bardziej zdumiewające okazało się to, że komórka, której numer mi podał, znajdowała się w jego nowojorskim mieszkaniu.

Czyżbym rozmawiał z duchem? Uległem halucynacji? Gdzie w takim razie spędziłem tę noc, jeśli nie w pokoju trzydzieści trzy?

Nie mogłem tego tak zostawić. W kawiarence internetowej nad Tybrem wszedłem do sieci. Najpierw sprawdziłem wszystkie informacje, które mi przekazał. Nie kłamał! Seria nieszczęśliwych wypadków, jakie dotknęły naszych kolegów, była porażająca, podobnie jak fakt, że po żadnym nie wdrożono śledztwa.

Powinienem dać sobie z tym spokój, ale nie mogłem. Wpadało przynajmniej ostrzec pracowników fundacji pozostałych jeszcze przy życiu. Zdobyłem adres Alimy w Moskwie i namiary na Jasia

Nowaka pracującego na Uniwersytecie Warszawskim. Do obojga dodzwoniłem się za pierwszym razem, ale rozmowa była dosyć głupia. Oboje wydawali się zdziwieni moim nagłym zainteresowaniem ich losami. Nie czuli się zagrożeni ani inwigilowani. Jaś kontynuował badania w Instytucie Fizyki przy alei Żwirki i Wigury w Warszawie, Alima rozwinęła paramedyczną praktykę w Moskwie i mimo zawodowej dyskrecji przyznała się, że ma klientów również z kręgu kremłowskiej wierchuszki. Dwa dni później, za moją namową Nowak zrobił sobie prześwietlenie, ale żadnego chipa u niego nie znaleziono. Co ważniejsze, czarna seria zgonów się zakończyła. Po zniknięciu Greena w ciągu całego następnego roku nie umarł nikt więcej. Miałem trudności z odnalezieniem Vassyliki, ale tylko dlatego, że wróciwszy do zawodu wróżbitki, podróżowała po całej Grecji.

Natomiast doktor Frischke, który oddawał się jakimś badaniom na Nowej Gwinei, ale utrzymywał kontakty z prasą fachową gdzieś po miesiącu odpowiedział na mojego maila.

Czuł się świetnie i miał w nosie sprawę fundacji oraz losy dawnych kolegów.

Mam sukcesy i wyniki w życiu seksualnym dzikich, zakończył maila efektowną fraszką.

Momentami zadawałem sobie pytanie, czy przypadkiem Green nie zaraził mnie swoją obsesją. Ogłupił czymś, co było wyłącznie tworem jego imaginacji. Dlaczego jednak zniknął?

A jeśli go zabito, co stało się z ciałem? Pytania się mnożyły, a na żadne nie mogłem znaleźć odpowiedzi. Jeżeli ktokolwiek zamierzał wyeliminować dawnych tropicieli Boga, dlaczego nagle odstąpił od swego morderczego planu?

– Może uznał, że grono pozostałe przy życiu przestało być groźne... – podsunęła Aria.

– A ten hacker, Jacoby? – zapytał Robert.

– Nie można go było namierzyć i przez następny rok nie dawał znaku życia. Ale po kolei.

Gdzieś po tygodniu zdałem sobie sprawę, że dalszy pobyt w Rzymie nie ma wielkiego sensu.

– I co pan zrobił?

– Wróciłem do Ameryki. W pewnym college'u na środkowym zachodzie, bardziej zachowawczym niż postmodernistycznym, szukano akurat wykładowcy dziejów religii.

Przyjąłem tę ofertę.

– Rezygnując ze śledztwa?

– Trudno nazywać moje działania śledztwem. Próbowałem podjąć parę tropów Greena, ale bez rezultatów. Nie znalazłem najmniejszych punktów zaczepienia. Dawni pretorianie Hollmayera, Luke Palmer i Ken Robinson, przepadli, jakby pochłonęła ich święta ziemia. W

domu dla bogatych starców pod Savannah po doktorze Lavalu nie pozostał najmniejszy ślad.

Pojechałem tam tylko po to, żeby się dowiedzieć, iż zrezygnował z pracy jeszcze przed nowym rokiem. Kancelaria Howarda Scotta z Bostonu, likwidująca sprawy fundacji, okazała się całkowicie impregnowana, zresztą mecenas Bowley, który zajmował się sprawami Hollmayera, zrezygnował właśnie z pracy i wyjechał do Nowej Zelandii, nie zostawiwszy adresu. Odnalazłem nawet przyjaciela Greena, Jacka Browna z FBI. Porucznik wydawał się szczerze zmartwiony zniknięciem kolegi. Jednak Steven tylko pobieżnie wtajemniczył go w istotę sprawy. Nie wspomniał nawet o zamiarze wyjazdu do Europy... Wszelkie próby ustalenia aktualnego miejsca pobytu detektywa zawiodły. Ostatni raz pobierał coś ze swojego konta w bankomacie na lotnisku w Waszyngtonie, trzy dni przed pogrzebem papieża. Później, jeśli żył, musiał odżywiać się powietrzem albo mieć inne źródła zasilania. Pod tym względem równie zagadkowo wyglądały losy Palmera i Robinsona. Po zlikwidowaniu fundacji nie korzystali już ze swoich kart kredytowych (inna sprawa, że mieli debet), nie odnotowano żadnych wykroczeń drogowych z ich udziałem ani przekraczania granicy. Przynajmniej pod własnym nazwiskiem. Co się zaś tyczy fortuny Hollmayera wyglądało na to, że prawni spadkobiercy otrzymali jakieś nędzne resztki, jednak zarówno oni, jak ich prawnicy i plenipotenci nie puszczali na ten temat pary z ust. A co stało się z resztą? Jeśli nawet ktoś się tym interesował, porucznik Brown nie miał dostępu do tych informacji.

– Nic, tylko zrezygnować! – mruknęła Aria.

– Dlatego zrezygnowałem. A przynajmniej tak mi się wydawało. Miasto, w którym podjąłem pracę, było małe. Mieszkańcy życzliwi, a młodzież zdecydowanie mniej rozwyrzona niż w wielkich centrach edukacyjnych. Znalazła się nawet sympatyczna bibliotekarka, czterdziestoletnia wdowa, która wyraźnie zagięła na mnie parol. Przez parę miesięcy opierałem się jej zalotom. Przychodziło mi to tym łatwiej, że Cynthia była osobą pobożną, nie wyobrażającą sobie pozamałżeńskiego seksu, a parę wspólnych kolacji dowiodło, że usidlenie mnie na dobre jest tylko kwestią czasu.

– Rozumiem jednak, że nie przestał pan interesować się sprawą fundacji? – zapytał

Robert.

– Przestałem! Ostatni raport od Jacka Browna, który dotarł do mnie ponad pół roku temu, nie dawał najmniejszych punktów zaczepienia. Naprawdę zacząłem zapominać o całej tej historii. I dopiero trzy tygodnie temu wszystko ożyło... Podczas lunchu dopadła mnie Cynthia.

– Słuchaj, dziwna sprawa – zaczęła bez wstępów. – Na moją prywatną pocztę mailową przyszło coś, co chyba jest dla ciebie. Podawałeś komuś mój adres?

– Nawet go nie znam. Faza korespondencyjna ciągle jest jeszcze przed nami. Ale dlaczego przypuszczasz, że to do mnie?

– Bo cały tekst listu ogranicza się do jednego zdania: „Dla Jorgego”.

– I to wszystko?

– W załączniku jest dużo plików JPG...

– A w nich?

– Nie otwierałam. Skoro są do ciebie, to licho wie, co się w nich znajduje. Może to twarda pornografia? Albo wirusy. Wpadniesz zobaczyć?

Wpadłem. Internetowa przesyłka nie miała nadawcy. Pierwsze zdjęcie bardzo mnie zdziwiło. Była to zeskanowana z jakiejś gazety fotografia dorodnego, ponad trzystukilowego marlina, wiszącego na haku nad pokładem jakiegoś statku. Znalezisko otaczała grupka mężczyzn. Podpis: „Rekordowy połów nieopodal Turneffe Island” też nie wzbudziłby zainteresowania, jednak ktoś, kto przysłał mi te zdjęcia, obwiodł czerwonym flamastrem dwie postacie. Jedną z nich był olbrzymi Murzyn, usiłujący zasłonić sobie twarz, a drugą biały, kryjący się w cieniu. W następnych załącznikach obie twarze powiększono i poddano obróbce komputerowej. Omal nie krzyknąłem – rybakami unikającymi obiektywu byli Luke Palmer i Ken Robinson.

Kolejne zdjęcie, zrobione z pewnej odległości, pokazywało elegancki jacht w całej okazałości oraz mniejszą łódkę pełną nurków w kombinezonach, zapewne gapiów zwabionych przez sukces. Fotograf musiał znajdować się w trzeciej łodzi. W dalekim tle widać było odległy brzeg z palmami. Turneffe Island – nazwa nic mi nie mówiła. Samo zdjęcie mogło pochodzić z Oceanii, Karaibów, Malediwów, Filipin. Na szczęście uchwycony został napis na łodzi nurków „Manta 3 – Caye Caulker – BELIZE”.

A więc byli pracownicy fundacji łowili ryby w Ameryce Środkowej! Na pytanie kiedy, odpowiedziała następna kopia. Tym razem strony tytułowej. Numer „Belize Voice” pochodził z piętnastego maja dwa tysiące szóstego roku. Oczywiście niczego to nie przesądzało, byli funkcjonariusze fundacji mogli bawić tam na wakacjach...

Otworzyłem następny plik i zgłupiałem. Na tle zupełnie innego pejzażu zobaczyłem czerstwą twarz Vassyliki Roidis, z którą sfotografował się jakiś turysta – Japończyk w podkoszulku z napisem DELFY... Więcej załączników nie było.

Cynthii powiedziałem, że są to zdjęcia moich znajomych, którzy w ten sposób dają mi znać, co porabiają. Było to prawdą tylko w połowie. Bo przecież nie oni wysłali tego maila.

– A kto? Ten hacker Gene Jacoby? – zapytał Robert.

– Chwilowo nie mam innego kandydata. Nie ulega wątpliwości, że komputerowy geniusz, nie chcąc rezygnować z bezpiecznej izolacji, postanowił skłonić mnie do kontynuowania śledztwa.

– I pan je podjął? – bardziej stwierdziła, niż zapytała Aria.

– Nie od razu. Na razie spróbowałem zebrać trochę informacji. W Internecie sprawdziłem, że na Caye Caulker działają trzy centra nurkowe: Belize Diving Service, Franchie’s Diving Service, Paradise Down Scuba. „Manta 3” wykorzystywana była przez tę ostatnią. Zadzwoiłem. Miałem szczęście, telefon 226-0437 odebrał niejaki Jack, który doskonale pamiętał spotkanie jachtu z olbrzymim marlinem.

– Mogę sprawdzić w papierach. Spotkanie miało miejsce... tak, jedenastego maja.

Zapamiętałem je, bo marliny na naszych wodach to rzadkość, a tych rozmiarów prawie się nie trafiają. To było późne popołudnie. Wracaliśmy z grupą Kanadyjczyków z nurkowania w Blue Hole i na północ od Turneffe Island przeciął nam drogę ten jacht. Najwyraźniej stoczyli z rybą ciężką walkę i zanim marlin skapitulował, musieli dociągnąć go aż na płyciznę. Sukces wywołał niemałą sensację. Pojawiła się jeszcze jedna łódź... Tymczasem triumfatorzy nie wydawali się uradowani naszą obecnością. Wściekali się na fotografowanie, żądali, abyśmy jak najszybciej odpłynęli. W ogóle byli bardzo nieprzyjemni.

– Zapamiętał pan może nazwę łodzi?

– „Salome”.

– Skąd przyłynęła?

– Nie mam pojęcia, nie miała flagi ani nazwy portu macierzystego na rufie.

– A jej załoga?

– Wyglądali na dzianych Amerykanów. Jednak nie byli kłusownikami. Kiedy zawiadomiłem przez radio policję wodną, najpierw wyrazili zainteresowanie incydentem, jednak po kwadransie kazano mi się stamtąd zabierać. Wyglądało na to, że „Salome” jest w porządku, a na jej pokładzie przebywają poważni biznesmeni czy inne VIP-y.

– Nie sprawdzał pan, kto konkretnie?

Jack tylko się roześmiał:

– Kto by miał czas na zajmowanie się takimi rzeczami? W sezonie!

Podziękowałem mu i się rozłączyłem. Przez moment miałem ochotę zadzwonić do belizyjskiej policji, ale doszedłem do wniosku, że to byłby błąd. Czulem, że jest w jakiś sposób powiązana z właścicielem „Salome”... Uznałem, że o wiele bezpieczniej będzie polecieć tam incognito i rozejrzeć się na miejscu. Czulem, że trop jest wart zachodu. Nazwa jachtu jeszcze to potwierdzała.

– „Salome”? – zdziwiła się Aria. – Z jakiego powodu?

– No cóż, matka Hollmayera nosiła imię Salomea. Ciekawy zbieg okoliczności, nieprawdaz?

– Ale nie pojechał pan do Belize? – domyślił się Robert.

– Pojechałbym, gdyby nie ta druga fotografia z Vassyliką. Mój informator z pewnością dołączył ją nie bez powodu. Całą noc biłem się z myślami, czy jechać do dawnego Hondurasu Brytyjskiego, czy do Grecji? Uznałem, że powinienem najpierw wpaść do Europy. Intuicja podpowiadała mi, że podejmując ryzykowną grę, dobrze jest dowiedzieć się, co na ten temat ma do powiedzenia jasnowidząca.

Jeszcze w Rzymie zacząłem zapuszczać brodę. Po roku wyglądała imponująco.

Przyglądając się sobie w lustrze, wpadłem na pomysł, że przebranie się za ortodoksyjnego popa może być znakomitym kamuflażem. Do Delf przybyłem zatem, legitymując się prawem jazdy Homera Christopulosa, greckiego popa z Ameryki.

Pani Roidis, mieszkająca w przyczepie kempingowej niedaleko sanktuarium Apollina, w pierwszej chwili mnie nie poznała. W drugiej jednak pobladła i poczęła wykonywać rękami gesty, jakby chciała odgonić upiora. Poczekalem, aż się uspokoi, a potem w możliwie najuprzejmiejszych słowach zacząłem tłumaczyć, że odwiedziłem ją, bawiąc przejazdem w Grecji.

– Byłem ciekaw, jak się czujesz, Vassyliko – powiedziałem.

– Nieprawda. – Rzuciła okiem spode łba. – Wiedziałam, że w końcu do mnie przyjdiesz.

A za tobą śmierć.

– Jaka śmierć? – bagatelizowałem jej obawy. – Chwalić Boga, czuję się świetnie.

Nie odpowiedziała. Milczenie się przedłużało, wciągając w ciszę i mnie, i zda się, cały świat, który cichł, kurczył się, tężał... Znajac Vassylikę, wiedziałem, że wpada w jeden ze swoich dziwnych stanów niby to otępienia, a zarazem nadzwyczajnego wyczulenia. Jak mawiała – niezbyt zbornie, nigdy bowiem nie opanowała w pełni języka angielskiego, a moja klasyczna greka ledwie przydawała się przy rozumieniu współczesnego języka Hellenów – w jej mózgu otwierały się okna, czy raczej studnie, pozwalające oglądać zdarzenia odległe i przyszłe.

Mocno pobladła, potem zaczęła mrużyć i kiwać się jak bogobojny Żyd. Powieki miała zaciśnięte, a spomiędzy warg sączyła się ślina. Jej bełkot stawał się coraz wyraźniejszy. Po kwadransie mogłem rozpoznać pojedyncze wyrazy.

Powtarzały się w nich słowa: tablica, bestia, dni ostatnie. Nie przysięgłbym, ale usłyszałem też chyba nazwisko Hollmayera...

Nagle Greczynka oprzytomniała i jakby dopiero mnie spostrzegając, zaczęła pytać, czy jestem strudzony, głodny i na jak długo przybyłem w te strony. Wyglądało na to, że nie pamięta nic z tego słowotoku. Przez kilka minut mówiliśmy o wszystkim i o niczym. Potem sama wróciła do tematu:

– Wybacz moje zachowanie, Jorge, ale w moich snach jesteś zwiastunem śmierci. Jak rychłej, nie wiem, ale w głowie kołacze mi ciągle jedno zdanie: „Żyć będziesz, dopóki morze i ziemia nie wydadzą SŁOWA na światło dnia, dopóki nie nadejdą młodzieńcy z północy”.

– Przewidziała nasze przybycie! – wykrzyknął Robert.

– A „Słowo wydane na światło dnia przez ziemię i morze” może oznaczać Logos świętego Jana – treść napisu na płycie – dorzuciła Aria.

Gutierrez skinął głową.

- Sami rozumiecie, że wtedy niczego jeszcze nie rozumiałem. Vassylika zauważyła moje zagubienie.
- Nie wierzysz mi, ja bym też nie wierzyła. Ale mam dowody! – Ściągnęła rękawice i oderwała plastry pokrywające dłonie, ujawniając otarte rany, z których sączyła się krew.
- Masz stygmaty! – wykrzyknąłem. – Nie miałem wcześniej pojęcia...
- Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli – rzekła Greczynka. A po chwili dodała jeszcze: – Bądź ze mną kiedy się to stanie. Nie chcę umierać w samotności.

Nie bardzo jej wierzyłem, ale na wszelki wypadek postanowiłem zostać w Delfach jakiś czas. Wynająłem hotel w mieście, a całe dni spędzałem, dyskretnie towarzysząc Vassylice przy jej wróżbach. Można by sądzić, że były to jedynie szwindle i naciąganie naiwniaków. Bo były. Przeważnie. Aż pojawiliście się wy. Wpadła w panikę. No i stało się to, co musiało się stać.

- Wiesz, kto ją zabił?
- Mimo kasku motocyklista wyglądał znajomo... Oczywiście nie dałbym głowy, ale chyba to był Stavros.
- I to już wszystko? – zapytała Aria.
- Chyba wszystko – odparł Jorge. – W tej chwili wiecie już tyle co ja.
- Czyli niewiele – wtrącił Robert. – A poza osobą tego Greka zabójcy, czy raczej zabójców, nie widzę logicznego związku między obydwojema sprawami.
- Ale być muszą! – rzekł z naciskiem Gutierrez.

– Podsumujmy to, co wiemy. – Aria wyciągnęła długopis i bloczek korespondencyjny. –

Mieliśmy fundację szukającą śladów Boga. W pewnym momencie jej obdarzeni zdolnościami ponadnormalnymi pracownicy zaczęli zauważać, czy raczej czuć, ingerencję szatana. Miało to związek z wpływem, jaki na Hollmayera zyskuje tajemniczy doktor Lacoste...

- Laval. Sebastian Laval! – poprawił były jezuita.
- Oczywiście, Laval! Wkrótce potem Hollmayer umiera bądź symuluje swoją śmierć.

Fundacja zostaje zlikwidowana, a pracownicy starannie rozproszeni. Część z nich ginie, kiedy próbuje dowiedzieć się o całej aferze.

- Nic nie wskazuje na to, żeby Boon, Titow i Aubry przejawiali takie zainteresowania – zauważył Gutierrez. – chociaż... Byłbym zapomniał!

– O czym?

– Brownowi udało się odzyskać trochę danych z elektronicznej poczty Greena. Między innymi to... – Wyciągnął z kieszeni jakieś wydruki.

– Co to jest?

– Kopie elektronicznych biletów lotniczych, które tajemniczy informator podrzucił

detektywowi do skrzynki. Wynika z nich, że dwudziestego trzeciego stycznia, zaledwie trzy tygodnie po rozwiązaniu fundacji, panowie Boon, Titow i Aubry przybyli do Atlanty, pierwszy American Airlines, drugi Lufthanzą, trzeci Air France. Dwudziestego szóstego wszyscy tymi samymi liniami wrócili do domów. Niedługo potem nie żyli. Co robili przez te trzy dni, nie wiadomo. W każdym razie Brown to sprawdził, nie zameldowali się w żadnym z hoteli w Atlancie.

– Co pan sugeruje?

– Rozwazałem różne ewentualności. Wykluczam, że wyznaczili sobie konspiracyjne spotkanie akurat w mieście, do którego tak często peregrynował Hollmayer. Może chcieli coś tam sprawdzić? Na przykład postanowili odwiedzić dom Savannah. Albo przeciwnie, wezwano ich... Same znaki zapytania – zawiesił głos.

– Odłóżmy na chwilę ten wątek! – zaproponowała Aria. – Widać, że nazbyt ciekawscy zostali wyeliminowani, a ci, którzy grzecznie zajęli się swoimi sprawami – przeżyli. Bardziej zastanawia mnie, że potem nastąpił rok ciszy, podczas którego nikt nie zginął i w ogóle nic się nie działo. Ruch w interesie zaczyna się w momencie, kiedy Robert odkrywa płytę. Znowu rusza karuzela śmierci, giną greccy naukowcy, potem pletwonurkowie – złodzieje antyków...

Wygląda na to, że zlecniodawcom morderców zależało przede wszystkim na tym, aby przekaz świętego Jana nie ujrzał światła dziennego. Dlaczego?

– To akurat wydaje się oczywiste – odezwał się Mirski. – Jeśli znajdują się tam proroctwa na temat niechybnego końca świata, nie jest w interesie stronników diabła, aby ludzkość się o nich dowiedziała.

– Tylko skąd zlecniodawcy Stavrosów wiedzieli, co na niej może być, zanim wpadła w ich ręce? – zastanawiała się Mavreli.

Zadzwonił telefon.

Hotelowy portier informował, że przybyli goście do pani Arii.

* * *

Przyjaciół Arii Mavreli, Sid Conolly, który przedstawił się jako radca ambasady USA z Ankary, był przystojny jak Brad Pitt. Wrażenie potęgowała postawa oraz ruchy oficera sił

specjalnych USA, wskazujące, że nie sprawy zagubionych paszportów i wiz dla współmałżonków są tym, czym się głównie zajmuje.

Jeszcze większe zaskoczenie Arii i Roberta wzbudził jego niezapowiedziany towarzysz.

– Pan minister! – wykrzyknął młody Polak.

– Przybyłem bez chwili zwłoki, moi drodzy – powiedział, ściskając im ręce, Alexander Leros. – Zamiast uciekać z Aten, trzeba było odezwać się do mnie. – Tu zwrócił się do Roberta: – Pamiętasz chyba, młody człowieku, że ofiarowałem ci wszechstronną pomoc... Nie ufałeś mi?

– Sprawy wyglądały źle – Aria wzięła Mirskiego w obronę. – Policja ma nasze rysopisy.

Podejrzewano nas o zabójstwo kapitana Stavrosa...

– Chodziło im wyłącznie o przesłuchanie was. Nikt nie płacze po tym gagatku. Wiemy, że interesuje się nim Interpol i FBI.

Conolly skinął głową.

– W dodatku po ataku i masakrze w klasztorze na Kos jego zbirów będzie ścigać połowa Europy.

– Skąd mieliśmy wiedzieć? W telewizji nie było o tym słowa – tłumaczył Robert. –

Obawialiśmy się, że wszystko pójdzie na nasze konto.

– Naczytałeś się zbyt wielu powieści szpiegowskich, chłopcze. – Leros po przyjacielsku klepnął go w ramię. – A pewne informacje nie są podawane w telewizji. Czasem prawo do wolności informacji musi ustąpić dobru śledztwa. Przybyłem zapewnić was, że możecie spokojnie wrócić do Grecji. Dotyczy to, rzecz jasna, również waszego towarzysza.

– Jakoś się nie palę – mruknął Gutierrez.

– Nie będziemy naciskali. – Wiceminister promieniał życzliwością. – Nasz śledczy może przybyć do Izmiru i odebrać od was zeznania na miejscu. Jest jeszcze problem pogrzebu pańskiego świętej pamięci brata, Robercie. Rodzice chcą żeby jak najszybciej przetransportowano go do Polski. Pański ojciec ma przylecieć jutro na Patmos, zidentyfikować ciało. Dobrze by było, żeby i pan...

– Czy to konieczne? – przerwała mu Aria.

– Absolutnie nie.

– W takim razie wolimy pojechać prosto do Polski.

– Jeśli takie jest wasze życzenie...

– Mamy zapewnienie tureckiej policji, że podczas pobytu tutaj dostaniecie niezbędną ochronę – obiecał Conolly. – A ja postaram się zapewnić wam transport. Rozumiem, że najpierw do Polski?

Popatrzyli na Lerosa. Rozcapierzonymi palcami przyczesał swoją lwią grzywę.

– Dołożymy starań, żeby śledczy mógł przesłuchać was jutro, najpóźniej pojutrze... A na razie zapraszam na obiad.

* * *

W Izmirze spędzili trzy dni. Spokojne i raczej nudne. Nie narzekali. Po dramatycznych przeżyciach zasługiwali na wypoczynek. I korzystali z okazji. W hotelu znajdował się basen, mogli więc do woli oddawać się kąpielom wodnym i słonecznym. Poczucie zagrożenia ustępowało. Conolly, który niewątpliwie miał na miejscu swoich ludzi, twierdził, że nie natrafiono na żaden przejaw wrogiej inwigilacji. Po Stavrosie nie pozostał najmniejszy ślad.

Helikopter zniknął równie tajemniczo, jak się pojawił, a zachmurzenie, które tego dnia utrzymywało się nad Morzem Egejskim, uniemożliwiło wykorzystanie zdjęć satelitarnych.

– Być może nasi przeciwnicy uznali, że nie jesteśmy już w stanie w niczym im zagrozić?

– zasugerowała Aria.

Gutierrez jednak wciąż był nieufny

Informacja, że identycznych Stavrosów jest dwóch, a wcześniej było trzech, zdumiała Conolly'ego. Jego mocodawcy, kimkolwiek byli, nie mieli o tym pojęcia. Oczywiście stało się jasne, dlaczego Stavros, podejrzewany o rozmaite przestępstwa, miał zawsze stuprocentowe alibi i wymykał się sprawiedliwości.

– A swoją drogą to dziwne, że w jego aktach nie ma najmniejszej wzmianki, że mógł

pochoǳić z ciąży mnogiej – zauważył Amerykanin. – Mamy świadectwo jego urodzenia, świadectwa szkolne...

– Może dwaj pozostali to klony? – podsunął Robert.

– Nie ma dowodów na udane klonowanie ludzi, w dodatku przed trzydziestu laty –

replikował Gutierrez. – W naszym gronie... (chciał powiedzieć w fundacji, ale ugryzł się w język – przy osobach postronnych wolał nie wymawiać jej nazwy) – ...znaczy moi znajomi naukowcy genetycy z pewnością by o tym wiedzieli.

– Pod warunkiem, że twój genetycy mieliby dostęp do naprawdę tajnych informacji –

stwierdziła jak zwykle sceptyczna Aria.

– Kiedy zostaną zatrzymani, wszystko się wyjaśni – postawił kropkę nad „i” Leros. –

Został wystawiony międzynarodowy list gończy i gdziekolwiek się pokażą, niezależnie od liczby, zostaną zatrzymani.

Wiceminister zabawił z nimi tylko jeden dzień. Obowiązki wezwały go do Aten. Widać było, że bardzo interesuje się całą sprawą, a szczególnie starożytnym znaleziskiem.

– Najchętniej napisałbym o tym książkę – zwierzył się swym rozmówcom. – To fascynujący temat, przy którym błędnie tajemniczy dysk z Fajstos. A propos, udało się wam złamać ten szyfr?

Robert już chciał się pochwalić ich osiągnięciami, ale ku jego zdziwieniu, odezwał się Gutierrez:

– To, że płyta zawiera tekst napisany szyfrem, stanowi tylko jedną z możliwych hipotez –

rzekł. – Równie prawdopodobna jest inna możliwość.

– Jaka? – Leros odrzucił grzywę opadającą mu na oczy.

– Że greckich liter użyto do zapisu tekstu w innym języku.

– Analiza komputerowa to wyklucza.

– Bo zapewne braliście pod uwagę tylko języki znane nauce. A wiemy, że w tamtym czasie istniało ich w tej części basenu Morza Śródziemnego o wiele więcej i niektóre zanikły...

– Czy jednak to czyniłoby tablicę aż tak cenną?

– Tego nie wiem. – Gutierrez rozłożył bezradnie ręce.

– Dlaczego nie powiedział mu pan prawdy? – zapytał Robert, kiedy zostali sami.

– A po co? Prawda jest zbyt cenna, żeby ujawniać ją za darmo. Poza tym im mniej osób wie, że rozszyfrowaliśmy zapis, tym lepiej dla nas...

– Nie ufa pan ministrowi?

– Życie nauczyło mnie prostej zasady, młody człowieku – ufać wszystkim i nikomu!

Dlatego przed oficjalnym przesłuchaniem uzgodnili zeznania. Ustalili, że będą mówili wyłącznie prawdę – nie powiedzą jednak ani słowa o odszyfrowanym tekście, ani słowa o zwłokach świętego Jana, które rozsypały się w proch, no i oczywiście o fundacji. Jorge, według uzgodnionej wersji, miał być jedynie turystą, który przypadkowo wplątał się w sprawę, udzielając pomocy Robertowi i Arii.

I tego się trzymali.

Alexander Leros odleciał rozczarowany do Aten, natomiast Conolly'ego „Klucz do Apokalipsy” wydawał się mało interesować.

Znacznie bardziej zajmowała go sama Aria. Wyraźnie ją adorował. I nie spotykał się ze szczególnym odporem. Robert cierpiał w milczeniu. Ale co mógł zrobić? Aria to zauważyła.

– To tylko przyjaciel, Bobby – wyjaśniła. – Nie szukam nikogo na miejsce po twoim bracie.

Amerikanin załatwił im przelot wojskowym samolotem, kursującym wahadłowo między bazą amerykańską pod Trapezuntem a niemieckim Ramstein. Oprócz żołnierzy NATO

dopuszczano przewożenie nim rodzin wojskowych i pewnej liczby osób na wyjątkowych prawach. Jakimś cudem trójce naszych bohaterów udało się znaleźć w tej kategorii. Następnie bez żadnych komplikacji dolecieli do Warszawy.

* * *

Pięć dni spędzonych w Polsce w niczym nie przypominało pogodnego pobytu w Izmirze.

Spotkanie z rodziną, pogrzeb, posępna stypa sprawiły, że Robert od nowa przeżywał śmierć Jacka. Bolało tak samo jak na Patmos. Może nawet bardziej. Wtedy nie było czasu na ból.

Aria i ojciec Gutierrez zachowywali dyskretny dystans, a podczas pogrzebu ograniczyli się do krótkich kondolencji. Czym się zajmowali? Aria, mieszkająca w hotelu, którego nazwy nie podała, twierdziła, że zwiedzała miasto. A co robiła naprawdę? Nie licząc pogrzebu, tylko dwa razy spotkała się z Robertem. Trudno im się rozmawiało. Gutierrez też realizował własny program. Odwiedził na przykład Jasia Nowaka w Instytucie Fizyki. Jednak to spotkanie w cztery oczy nie przyniosło szczególnych efektów. Nowak należał do naukowców, których cały świat ogranicza się do przestrzeni laboratorium, a jedynym, co podniecało jego wyobraźnię, była praca w ultranowoczesnym laboratorium szwajcarskim, z którym we wrześniu miał podpisać kontrakt. Nikt go nie nachodził, nie ostrzegał, nie szantażował. W

zgonach kolegów nie widział niczego podejrzanego. „Czarne serie rządzą się własnymi prawami” – twierdził. Co zaś się tyczy diabła? Nie negował jego istnienia w wymiarze kosmicznym. Jeśli świat został zbudowany według wzoru zerojedynkowego, dobru musi odpowiadać jego brak, czyli zło. Jednak myśl, że Hollmayer z roli tropiącego istnienie Boga grzesznika miał przeistoczyć się w apologetę szatana, i to u kresu życia, uznawał za nielogiczną.

– Bardziej sensowne, zakładając naturalnie, że stary Al ciągle żyje, byłoby przyjąć koncepcję, że został ubezwłasnowolniony. Ale, proszę wybaczyć, mnie to już nie interesuje.

Chyba że pan, jako duszpasterz, pragnie uratować jego grzeszną duszę.

Trzy dni po pogrzebie Gutierrez wraz z Arią i Robertem spotkali się w chłodnej piwnicy zacisznej kawiarenki na Starym Mieście.

– Podjąłem decyzję, jutro jadę do Belize – oznajmił Jorge. – Sądzę, że tam kryje się klucz do zrozumienia całej sprawy.

– I co pan zrobi, jeśli go znajdzie? – zapytał Robert.

– Zainteresuję odpowiednie władze. Jeśli dowiodę, że Hollmayer żyje, a jego ludzie kryją się za serią tajemniczych zgonów, to Jack Brown i Sid Conolly pomogą mi dotrzeć do właściwych osób. A

nie sądzę, żeby zlekceważyli sprawę.

– Chce pan dokonać tego sam?

– W najgorszym wypadku. Ale jeśli panna Mavreli podtrzymuje swoją ofertę współpracy, nie odmówię.

– To chyba jasne, że pracujemy nad tym razem – zdecydowała Greczynka.

– Ja też muszę z wami jechać! – Mirski poderwał się tak raptownie, że omal nie roztrzaskał sobie czaszki o niskie sklepienie.

– Nie! – padła równoczesna odpowiedź Gutiereza i Arii.

– W niczym nam nie pomożesz, a ryzyko jest zbyt duże – dorzuciła piękna Greczynka.

– Oni zabili mojego brata!

– Dlatego zrobimy wszystko, aby nie uszło im to na sucho – podkreślił były jezuita. –

Być może kiedyś twoja pomoc okaże się nieodzowna, na razie musimy się jedynie rozejrzeć.

Mirski łatwo nie rezygnował.

– Pojadę z wami, czy chcecie tego, czy nie! – powiedział z naciskiem.

Gutierrez nie przejął się jego deklaracją.

– Poza wszystkimi innymi komplikacjami, jedna przeszkoda jest rozstrzygająca –

powiedział. – Zamierzamy lecieć już pojutrze. Zarezerwowałem nawet dwa bilety w British Airways.

– Mam dość pieniędzy, żeby wykupić trzeci bilet!

– Nie na tym polega problem. Jeśli chce się dolecieć do Belize, trzeba przesiąść się w Miami, a jeśli dobrze się orientuję, nie masz, przyjacielu, ważnej wizy amerykańskiej.

Prawda?

9.

Gadzia Wyspa

Front Street, biegnąca równolegle do piaszczystej plaży, jest główną ulicą Caye Caulker.

Właściwie odpowiedniejszym określeniem byłoby słowo „deptak”, jako że cały ruch na malowniczej wysepce ogranicza się do rikszy i wózków elektrycznych. Jedyne dwa lub trzy samochody spalinowe należą do policji i pogotowia, ale widuje się je rzadko. Bójki i nagłe wypadki prawie się w tym zakątku nie zdarzają. Owego dnia, koło czwartej po południu, żar, słabo łagodzony przez wietrzyk od morza, zdawał się osiągać apogeum. Nieliczni przechodnie starali się poruszać w wąskim pasku cienia, który rzucały grzywiaste palmy i niskie drewniane budynki, kryjące w swym wnętrzu hoteliki, sklepy i restauracje.

Większy ruch zrobił się na krótko, kiedy do molo kończącego Dock Street przybiła motorówka, zapewniająca stałe połączenie między Belize City a San Pedro na pobliskiej Ambergis Caye. Wygramoliła się z niej liczna gromadka podróżnych, którą natychmiast opadli miejscowi rikszarze, wyrywający sobie z rąk walizki wydobywane spod pokładu łodzi.

Krótko ostrzyżona blondynka w ciemnych okularach zlekceważyła namolny tłumek tubylców. Jedyne bagaż, torbę podróżną przerzuciła sobie przez ramię tak lekko, jakby zawierała wyłącznie kostium kąpielowy i czeki podróżne, i ruszyła w głąb lądu. Zlekceważyła uśmiech taksjarza z meleksa, który obserwując jej wspaniałe nogi, nie występujące wśród endemicznej kurdupłowatej ludności Jukatana (choć wśród napływowych Murzynek trafiały się podobne), po prostu zapomniał języka w gębie. Dziewczyna, ubrana jedynie w mikroskopijne szorty i przykrótki T-shirt z obrazkiem przedstawiającym ruiny sanktuarium w Tikal na biuście, dotarła do deptaka i skręciła w lewo. Opalenizna wskazywała, że nie jest turystką, właśnie przybyłą z krajów chłodnych, a może po prostu należy do stałych bywalczyń solariów. Po kilkudziesięciu krokach zatrzymała się przed pawilonem, na którym malunki i szyld zapowiadały atrakcje nurkowe. Tuż przy drodze na czarnej tablicy bieleły wykonane kredą napisy, zapowiadające na kolejne dni wycieczki do Blue Hole i Turneffe Reef. Zajrzała do środka. Pod leniwie wiosłującym wentylatorem tęgawy Metys wydawał się drzemać, jednak na widok przybyłej zerwał się na równe nogi.

– Pan jest Jack? – zapytała po angielsku.

Jakby posmutniał.

– Jacka nie ma! Ale jest Jim. – Wskazał na siebie.

Dziewczyna nie dała za wygraną.

– A kiedy zastanę Jacka? – dopytywała się. – Moja koleżanka zachwalała mi go jako znakomitego *dive mastera*.

– Jack nie żyje! – poinformował Jim, a przez jego twarz przebiegł bolesny skurcz.

– Rany boskie, kiedy to się stało?

– Dwa tygodnie temu. Wyjątkowo nieszczęśliwy wypadek. Dwaj *Americanos* uparli się na nocne nurkowanie, mimo złej pogody... Rano rybacy znaleźli wrak naszej łodzi pomiędzy rafami. Musiała przyjść wielka fala... Takie zdarzenie nie miało u nas miejsca od lat. Mój szwagier był doświadczonym żeglarzem.

– I nikt nie ocalał?

– Nikt.

– A ciała tych *Americanos*?

– Nie wyłowiono nikogo... Nic dziwnego, w miejscu, gdzie to się zdarzyło, żyje mnóstwo rekinów. Nie bez powodu nosi nazwę Sharks Avenue... Zwykle są bardzo łagodne. Od lat nie mieliśmy żadnego ataku na nurków. Ale jeśli poczują krew...

– Jaki to musiał być dramat dla ich rodzin – westchnęła blondynka.

– Byli tu sami, we dwóch, jak to – Jim ściszył głos – pani wie... geje!

– I nikt po nich nie zapłakał?

– Po paru dniach pojawił się jakiś ich kuzyn, chyba z Bostonu. Tak, z Bostonu. Zabrał ich rzeczy z hotelu, załatwił formalności... I to wszystko.

Dziewczyna błogosławiła gadatliwość Metysa. Nie trzeba go było nawet za bardzo wypytywać.

– A pamięta pan może, jak wyglądali ci Amerykanie? Po niektórych widać, jaki los może być im pisany... Podobno, na przykład, grube zrośnięte brwi...

– Tak wypisz wymaluj wyglądał ten drugi. Moim zdaniem „dziewczynka” – ożywił się mieszaniec. – Zrośnięte brwi, dziewczęce dłonie. Za to ten pierwszy stanowił jego całkowite przeciwieństwo. Wielki jak góra, muskularny i bez jednego włoska na twarzy i głowie.

Stavros, a więc to też twoje dzieło!, pomyślała Aria Mavreli. Rzeczywiście musi być was paru, żeby podołać tylu zadaniom na różnych kontynentach.

* * *

Ruszając na wojnę, zachowali wszelkie środki ostrożności. Przede wszystkim zrezygnowali z pokusy przybycia do Belize najprostsza drogą. Przeciwnicy byli czujni i jeśli gdzieś w pobliżu mieściła się ich kryjówka, zapewne kontrolowali listy przylatujących pasażerów. Dlatego zamiast do Belize City Gutierrez wykupił w British Airways lot do stolicy Gwatemali (przez Londyn i Miami). Już na miejscu, w biurze turystycznym Enjoy Guatemala przy lotnisku, załatwili sobie lotniczą wycieczkę do Tikal, wspaniałych ruin położonych w dżungli Jukatanu. Tam, po fascynującym dniu, kiedy zachowywali się jak typowi turyści, wspinając się na szczyty monumentalnych piramid i fotografując,

co się dało (Jorge okazał się doskonałym przewodnikiem po *mundo perdido*), zanocowali w wygodnym bungalowie nad basenem hotelu Tikal Inn. Były ksiądz zamierzał wynająć dwa pokoje, ale Aria zaprotestowała.

– Powinniśmy wyglądać jak para kochanków, a nie śledczych – rzekła. – Daję słowo, wielebny, nie zgwałcę cię... – Widząc, że spurpurowiał, dorzuciła ze śmiechem: – A jeśli nawet, to pójdzie na konto moich grzechów.

Noc dla eksjezuity okazała się wyjątkowo ciężka. Nie tylko dlatego, że o dwudziestej drugiej w całym obiekcie wyłączono światło, unieruchamiając klimatyzację. Nie mogąc zasnąć, leżał nieruchomo w pościeli (przynajmniej łóżka były osobne), wsłuchany w odgłosy otaczającej hotel puszczy: monotony jęk cykad, wrzaski małp i nietoperzy, odległy ryk jaguara... Ileż dekad upłynęło od chwili, kiedy słyszał te dźwięki po raz ostatni? Atoli o wiele bliższy i bardziej niepokojący był oddech Arii. Diabeł przegnany po śmierci Shirley najwyraźniej wracał. Na próżno Gutierrez walczył z erekcją za pomocą modlitwy. Imaginacja podsuwająca ponętne kształty dziewczyny śpiącej o metr od niego była bezlitosna. Wreszcie nie wytrzymał, wymknął się do łazienki i wziął zimny prysznic. Wracając, usłyszał szept Arii:

„Nie zostawiaj mnie, Jacku, nie zostawiaj!”.

To go otrzeźwiło. Zasnął.

Następnego dnia taksówka, przybyła z pobliskiego Flores, dowiozła ich do granicznego Melchor de Mancos. Tam pieszo przekroczyli granicę dawnego Hondurasu Brytyjskiego, po drugiej stronie bez trudu znaleźli mały klimatyzowany bus, który za dwieście dolarów dowiózł ich do Belize City. Swoje poszukiwania postanowili zacząć od Caye Caulker. Na wypadek gdyby ktoś z wysepki czatował na przybywających, rozdzielili się. Jorge popłynął

wcześniej kursem, w hotelu Tropical Paradise miał zarezerwowany hotel na nazwisko małżeństwa Evy i Filipa Jimenez z Florydy. Numer karty kredytowej pana Jimeneza, znajomego Jorgego z Miami, był zresztą prawdziwy, należność Gutierrez zamierzał

uregulować gotówką i liczył, że nikt nie zażąda od niego paszportu.

Miał rację, znużona recepcjonistka nie zareagowałaby nawet, gdyby okazał się wielkim, dawno wymarłym leniwcem. Dostał pokój na pięterku drewnianego domku stojącego tuż przy plaży, z zadaszonym balkonem i pięknym widokiem na morze. Czekaając na Arię, rozpakował

rzeczy, sprawdził pocztę w laptopie, potem spędził chwilę w łazience, przeglądając się w lustrze. Ogolony na zero, z błękitnymi szklami kontaktowymi, w ogóle nie przypominał

dawnego ojca Gutiereza.

Kwadrans po czwartej wyszedł na balkon. Arię, choć ufarbowane włosy zmieniły ją nie do poznania, zauważył natychmiast. Figura, krok modelki, którą była podczas studiów...

Obserwował z góry, jak przecina cmentarzyk położony tuż obok hotelu i przystaje przy jedynej

świeżej mogile pokrytej kwiatami... Potem usłyszał lekkie kroki na ażurowych schodkach i pukanie do drzwi. Otworzył.

– Czyj grób tak cię zainteresował? – zapytał.

– Jacka Andersona! – W paru słowach zrelacjonowała wszystko, czego dowiedziała się w klubie nurkowym. – Najgorzej, że po jego śmierci trop się urywa.

– Pewnie dlatego nieborak musiał zginąć. Ale nie martw się, pojawiła się nowa wskazówka. – Jorge pociągnął ją w stronę laptopa. – Zobacz, co dostałem przed godziną.

Tym razem w pozbawionej komentarza przesyłce znalazły się dwa prawie identyczne zdjęcia. Przedstawiały piękny jacht pełnomorski, który widzieli już wcześniej z trofeum w postaci marlina. Różnica między fotografiami polegała na nazwie. Na pierwszej jednostka uchwycona na tle zabudowań portowych pyszniła się napisem „Margarita – Belize City”, na drugiej, zrobionej na pełnym morzu, można było odczytać wyłącznie „Salome”.

– Myślisz, że to ten sam jacht?

– Nie ulega najmniejszej wątpliwości. Jutro wrócę do miasta i spróbuję dowiedzieć się, kiedy i komu został sprzedany.

– Tylko bądź ostrożny!

* * *

Zadanie zlokalizowania przeciwnika okazało się banalnie proste. Gutierrez bez trudu znalazł miejsce, gdzie sfotografowano „Margaritę”, a sprzedawca pamiątek, zagadnięty w belizyjskim porcie, mówił dużo i chętnie. Jacht należał do narkotykowego bossa z Kolumbii zatrzymanego przed rokiem w Stanach. Ponieważ Kolumbijczyk pilnie potrzebował pieniędzy na kaucję, łódź sprzedano pierwszemu chętnemu, który się napatoczył.

– Komu? – spytał Jorge.

– Nie mam pojęcia – rzekł przekupień, jednak widząc, jak Gutierrez bawi się portfelem, dodał szybko: – Ale mógłbym się dowiedzieć.

– Na pewno?

– To mały kraj.

Po kwadransie były jezuita miał już komplet informacji. Jacht kupiło ekologiczne towarzystwo zajmujące się ochroną ginących gatunków gadów. Żółwi, iguan, kajmanów i węży.

– Mają swój ośrodek w nie zamieszkannej części atolu Turneffe – dorzucił informator, wskazując ręką na wschód.

– Można zwiedzać ten obiekt?

– Wątpię. Od rybaków wiem, że naukowcy mają hyzia na punkcie ochrony przyrody, czystości raf. Pędzą wszystkich, którzy mogliby, jak mówią „naruszyć równowagę ekosystemu”, a ponieważ mają forsy jak lodu, władze skaczą wokół nich na dwóch łapkach.

Gutierrez nie wypytywał więcej, przekupień zasługiwał na obiecane pięćdziesiąt dolarów.

– Jesteś pewien, że znajdziemy tam Hollmayera? – spytała Aria, wysłuchawszy relacji.

– Tego nie wiem, ale warto sprawdzić. Ekologiczna przykrywka jest doskonała, choć nie mam pojęcia, dlaczego wybrali akurat to miejsce.

Częściowej odpowiedzi dostarczyły zdjęcia satelitarne Turneffe Island, ściągnięte z Internetu za stosunkowo niewielką opłatą na laptop Gutierieza. Uruchamiając dodatkowy program poprawiający rozdzielczość, mogli rozpoznawać poszczególne obiekty z dokładnością do jednego metra. Ukryty za pierścieniem mangrowii, wśród wysokich palm, ośrodek był zaskakująco rozległy. Składał się na niego dom z dwuspadowym dachem i kilka otaczających go baraków, a także parę betonowych obiektów, bunkrów, może basenów.

Zauważyli lotnisko z helikopterem, a także hangar nad wodą, zapewne przeznaczony na aeroplan. Dalej była przystań z paroma łódkami i zakotwiczonym w pewnej odległości od mołu jachtem (zapewne „Salome”). Wśród soczystej zieleni palm i bananowców znalazł się również kort tenisowy z niewysoką wieżą obrośniętą parasolami anten.

– Muszą bardzo lubić telewizję, ci ekolodzy – zauważył Jorge.

– Do odbioru telewizji służą jedynie dwa talerze – wyjaśniła Aria, pochłonięta sporządzaniem dokładnego planu. – Pozostałe to radary.

– To oznacza, że trudno będzie się tam dostać.

– Dosyć trudno, ale mam pewien pomysł.

* * *

Zmierzch w tropikach zapada błyskawicznie. O siódmej wśród palm przy plaży było już zupełnie ciemno, a dzięki dużej wilgotności powietrza mrok wydawał się jeszcze głębszy.

Nad pomostem na tyłach *diving center* paliły się zaledwie dwie słabe lampy, tak że nieliczni spacerowicze mieliby trudności z rozpoznaniem rysopisów trójki ludzi, którzy spotkali się na pomoście. Aria wyciągnęła Andersona z biura pod pozorem oglądania łodzi, w cieniu, na opustoszałej plaży oczekiwał Jorge. We trójkę weszli na „Mantę 5”, która zastąpiła tę roztrzaskaną o rafy. Mavreli prosiła o nie zapalanie świateł i szybko przystąpiła do rzeczy.

Jima nie trzeba było długo przekonywać. Informacja, że jego szwagier został

najprawdopodobniej zamordowany przez zbirów podających się za ekologów, odniosła natychmiastowy efekt.

– Popłyniemy tam i zabijemy wszystkich?!

Gutierrez przez dłuższą chwilę musiał wyprowadzać go z błędu.

– Nie jesteśmy ekipą Jamesa Bonda. Naszym zadaniem jest jedynie zdobycie informacji.

Te przekazemy odpowiednim władzom, a one, mam nadzieję, potrafią zrobić z nich użytek.

Druga część zdania była oczywistym kłamstwem, ale kłamano w dobrej sprawie. Metys nadal palił się do współpracy.

– Jak mogę wam pomóc? – zapytał.

– Potrzebujemy szybkiej łodzi, sprzętu do nurkowania i przewodnika po tamtych wysepkach.

– Nie mogliście lepiej trafić. Przez trzy sezony pracowałem na Blackbird Caye i znam na tamtym atolu każdą rafę.

– A co wiesz o tej „ekologicznej placówce badawczej”?

Anderson skrzywił się, jakby ugryzł cierpki owoc, i powiedział:

– Za moich czasów, jakieś dziesięć lat temu, ta część archipelagu była praktycznie bezludna, mieszkał tam jeden stary Murzyn, nazywający sam siebie „strażnikiem rezerwatu”.

Hodował trochę gadów i pokazywał je turystom. Później pojawili się tam amerykańscy naukowcy, powstała profesjonalna hodowla żółwi i legwanów, ale nadal wpuszczano tam wycieczki, a w rezydencji można było nawet zanoć.

– A teraz już nie wpuszczają? – spytała Aria.

– Nawet zbliżyć się nie można. Wokół ośrodka jest trzykilometrowy pas ochronny, nurków stamtąd pędzą, a paru rybaków zdrowo oberwało, próbując koło Gadziej Wyspy łowić homary i ośmiornice.

– Od jak dawna panuje taka sytuacja? – próbował uściślić Gutierrez.

– Jakies dwa lata temu pojawili się nowi właściciele. Podobno stoi za nimi rząd amerykański i ONZ, w każdym razie mają masę forsy. Przez parę miesięcy kilkudziesięciu robotników, chyba z Chin, pracowało tam dzień i noc. Przyływały statki z cementem.

Pilnowali ich strażnicy w zielonych mundurach. Nikt z miejscowych nie miał pojęcia, co tam się buduje. Podobno laboratoria i baseny dla zwierząt. Ale nikt tego nie sprawdził.

– A belizyjskie władze?

Anderson zachichotał.

– Nie mieszają się do niczego. Widocznie ekolodzy dobrze im płacą skoro nawet gdy doszło do zniszczenia łodzi pewnego rybaka, który zapędził się za daleko, przymknięto oczy.

Oczywiście nie wiem wszystkiego, bo nigdy się tym szczególnie nie interesowałem.

– Nawet kiedy pański szwagier spotkał się z jachtem „Salome”?

– Jack nie miał pojęcia, że to ich jednostka. Bo co to za ekolodzy, którzy polują na marliny?

* * *

Postanowili wyruszyć następnej nocy, tak aby przy Gadziej Wyspie znaleźć się przed świtem, w porze, kiedy czujność wartowników opada do poziomu pryczy. Aria spędziła cały wieczór nad planem sporządzonym na podstawie zdjęcia satelitarnego i doszła do wniosku, że najłatwiej będzie dostać się do ośrodka z tyłu, od strony doku, przy którym cumowały łodzie wywożące z wyspy odpadki.

– Sądziysz, że ta część obiektu nie jest pilnowana?

– Z pewnością jest. Z analizy zdjęć wynika, że mogą tam mieć kamery na podczerwień, a także zasieki pod prądem.

– Żeby im żółwie nie puciekały?

– Najprawdopodobniej...

Jorge w zamyśleniu sączył piwo.

– Nie bierzesz pod uwagę, że możemy wpaść w ich łapy?

– Biorę, ale pewnie weźmiesz mnie za wariatkę... właśnie to w naszej ekspedycji jest najbardziej fascynujące.

– Chyba nie mówisz serio...

– Jak najbardziej! Strachu pozbyłam się dość dawno temu po pewnym incydencie, który zdarzył się na przedmieściu Salonik. Pojechaliśmy z bratem na wycieczkę rowerową i wybraliśmy niewłaściwą drogę. Dzieciaki z lepszych dzielnic, nie mające pojęcia o prawdziwej naturze świata. Na skraju slumsów bez powodu zaatakowała nas grupa wyrostków. Pięciu, może sześciu małych z slumsów... Victor próbował nas bronić, skatowali go do nieprzytomności, a mnie... chociaż w wieku dwunastu lat byłam koszmarnie chuda i zupełnie nieatrakcyjna, postanowili zgwałcić. Pewnie by im się udało, ale ich młodociany szef zdecydował: „Najpierw szczeniara zrobi nam wszystkim laskę!”.

– A ty? – Głos byłego księdza zadrżał.

– Udałam, że się zgadzam, ale kiedy herszt wyciągnął ku mnie swojego kutasa, zrobiłam jedyne, co mogłam zrobić. Odgryzłam go. Wrzasnął przeraźliwie, a ja rzuciłam się do ucieczki. Byłam drobna, ale zwinna i szybka. Gdybym dopadła rowerem, mogło mi się udać.

Niestety, na drodze wyrósł matołkowaty grubas, który wyciągnął nóż. Chyba nie chciał mnie zabić... Ale prawie mu się udało.

Kiedy brocząc krwią, upadłam na ziemię, przerażeni gówniarze rzucili się do ucieczki...

Na moje szczęście Victor odzyskał jakimś cudem przytomność i wezwał pomoc. Po incydencie pozostało jedynie to. – Zadarła T-shirt, ukazując na mgnienie oka, oprócz dwojga piersi rajskim owocom podobnych, starą bliznę... – Ślad w mojej psychice okazał się chyba mniejszy. Stwardniałam. Postanowiłam, że historia nigdy się nie powtórzy. Z zapamiętaniem trenowałam sztuki walki, szermierkę, boks. Kończąc szkołę średnią, byłam zdecydowana zostać policjantką.

– Ale nie zostałam?

– Nie. W dniu egzaminu znowu spotkałam tego herszta. Był świeżo upieczonym absolwentem szkoły policyjnej. Sądząc po wyglądzie *macho*, przyszyli mu jego męskość...

Jak trafił do naszej policji, nie mam pojęcia. Rozumiesz jednak, że natychmiast straciłam ochotę, aby służyć u jego boku... Skorzystałam z zaproszenia Victora, który od paru lat studiował w Stanach, i przyjechałam do Ameryki studiować lingwistykę. Na drugim roku ktoś zajmujący się werbunkiem do służb zauważył mnie w klubie szermierczym i złożył

interesującą propozycję. Przyjęłam ją. Nie żałuję tej decyzji.

Jorge milczał. Opowieść zrobiła na nim chyba równie silne wrażenie jak blizna.

– Może skoczę po piwo, bo widzę, że się kończy? – zaproponowała Aria.

Wypili jeszcze cały sześcioopak i Greczynka trochę się wstawiła. Zaproponowała nawet Gutierrezowi, by z nią zatańczył. Były mnich odmówił, choć wiele by dał, żeby wziąć ją w ramiona, poczuć na swej piersi jej stwardniałe sutki, rozchylić jej gładkie opalone uda...

Nie, nie! Przerażony własnym pożądaniem, wyszedł na balkon. Nad jego głową bezchmurne niebo rozpościerało się niczym gwiazdzisty dywan. Inaczej niż dla *gringos* z północy, zdolnych wypatrzeć co najwyżej Wielki Wóz, przestrzenie południowego nieba były dla Gutiereza światem znajomym: Krzyż Południa wieńczący sklepienie, brosza Oriona, jaskrawe ślepiea Syriusza i Antaresa i przyprawiające o zawrót głowy świetliste pasmo Mlecznej Drogi.

– Gdziekolwiek jesteś, Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu!

Kiedy wrócił do pokoju, Aria była już w łazience, z której dochodził szum prysznic.

Wyobraźnia znów podsunęła mu obraz jej nagiego ciała. I znów próbował odgonić ten obraz modlitwą.

– Co zrobisz, jeśli wyjdzie w samym ręczniku?

Wyszła w bardzo przyzwoitej błękitnej piżamce w kolorowe wielorybki. Zupełnie trzeźwa, bez krztyny kokieterii.

– Mogę zgasić światło? – zapytała. – Jutro czeka nas ciężki dzień. I noc.

* * *

Gutiereza męczyły złe sny. Znowu znajdował się w budynku fundacji i szedł długim mrocznym korytarzem pierwszego piętra, a we wszystkich załomach, wnękach, na parapetach czaili się umarli – Lobo i Boon, Vassylika Roidis i Titow, Ramos i Wilder... – Dlaczego widzę wyłącznie nieboszczyków?, pytał sam siebie. A jesteś pewien, że jeszcze ciągle należysz do żywych?, odpowiedziało mu echo.

Kiedy się ocknął, za oknem było jeszcze całkiem ciemno, a wiatr, który musiał zerwać się koło północy, zawodził potępieńczo w szczelinach. Aria spała na sąsiednim łóżku, oddychając równo i spokojnie. On spokojny nie był. Miał dziwne wrażenie, jakby nie byli w domku sami. I nie chodziło o liczną rodzinę Kanadyjczyków z parteru. Nigdy nie lekcewał

przeczuć.

Cicho rozsunął drzwi i wyszedł na balkon. Niebo nad morzem różowiało. Na plaży ani śladu człowieka, nikogo pod parasolami ani na zielonych plastikowych leżakach. Popatrzył w stronę cmentarzyka. Też pusto. Chociaż odniósł wrażenie, że na mogile Jacka w ciągu nocy jakby przybyło kwiatów...

Dzień spędzili wypoczynkowo, opalając się i pływając. Nikt nie zwracał na nich uwagi, może poza recepcjonistką, sądząc po krzyżu na piersi, żarliwej katoliczce. Nie podobała jej się para, w której mężczyzna mógłby być ojcem kobiety, a może i dziadkiem.

Kolację zjedli lekką, bez grama alkoholu. O wpół do drugiej w nocy „Manta” cichutko podpłynęła do pomostu przed ich hotelem. Szybko wbiegli na pokład. Nic nie wskazywało na to, żeby ktokolwiek ich obserwował. Zgodnie z ustaleniami, Jim Anderson przyplłynął sam.

Początkowo chciał wyruszyć z całą rodziną, ale Jorge szybko przekonał go, że wybierają się na zwiad, nie na kampanię wojenną, a zresztą w bezpośrednim starciu z gromadą zawodowych zbirów w rodzaju Stavrosa nie mieliby żadnych szans.

„Manta” obrała kurs na południowy wschód. Gdy tylko przekroczyli łańcuch raf, zaczęło nieźle huśtać, ale Jim jeszcze przyśpieszył, uprzedzając jedynie, że „droga będzie trochę wyboista”.

Podróż pod wiatr zabrała im około dwóch godzin. W porównaniu ze wzburzonym pełnym morzem wody atolu były spokojne jak w wannie. Łódź przecięła lagunę, kierując się ku Gadziej Wyspie. Metys zmniejszył obroty silnika, tak więc posuwali się bardzo cicho, mijając uspięne chaty. Raz czy dwa z brzegu dobiegło szczekanie psów. Później, kiedy znaleźli się na terenie nie zamieszkanym, kanałami wśród mangrowii Anderson podpłynął najbliżej jak mógł, nie podnosząc alarmu, i zarzucił

kotwicę. Było jeszcze ciemno, ale odbijający się w wodzie księżyc pozwalał odróżnić morze od nieba, a na wprost nich widać było, w odległości może pół mili, ciemnawy kształt przypominający burzową chmurę.

– Gadzia Wyspa – oznajmił Metys. – Wejście do kanału jest na wprost nas. Zresztą oznakowali je bojami.

– Jak tu głęboko? – zapytała Aria.

– Trzy do pięciu metrów, przy samym brzegu oczywiście jeszcze płycej, ale kanał był pogłębiany.

Mavreli założyła ryszunek nurka. Woda była ciepła jak zupa, a ona nie zamierzała schodzić w głębinę, toteż zrezygnowała z piankowego kombinezonu, pozostając w jednoczęściowym kostiumie. Do piersi przytroczyła płaską torbę z niezbędnym sprzętem, następnie założyła kamizelkę z butlą, do kieszeni włożyła parę balastowych ciężarków, teraz wystarczyło tylko sięgnąć po maskę i płetwy.

– Jestem gotowa, a ty?

Jim był bardziej obciążony, przytroczył sobie bowiem aż dwie butle.

– Czy to wam wystarczy? – niepokoił się Jorge.

– Kiedy nurkuje się tak płytko, jedna butla może wystarczyć spokojnie na półtorej godziny.

Zanurzyli się. Początkowo mieli wrażenie, że pochłania ich zupełna ciemność, później oczy zaczęły zauważać to i owo. Dno laguny było piaszczyste, tylko tu i ówdzie porośnięte morskim zielskiem.

Jim spojrzał na fosforyzującą tarczę kompasu i obrał kierunek. Aria ruszyła tuż za nim, płynąc równo, spokojnie, jakby urodziła się z płetwami na stopach. Sunęli przy samym dnie, omijając pojedyncze skały, oblepione ukwiałami i gąbkami.

Wpatrując się w wodę, która się nad nimi zamknęła, Gutierrez widział jeszcze przez chwilę pęcherzyki powietrza, ale potem i one zniknęły.

Do kanału dopłynęli bez większych przeszkód, minęli cementowe bryły, do których przymocowano boje. Tor wodny, wryty między mangrowiami, przygotowano do przyjmowania całkiem sporych jednostek, dno było usiane śmieciami, co wskazywało, że ludzie pracujący dla ekologów do czyściochów nie należą.

Jim jeszcze zwolnił, stawał się coraz ostrożniejszy. Naraz zatrzymał się. Kiedy Mavreli się z nim zrównała, pokazał dwa ledwo widoczne cienkie przewody przegradzające kanał, czekające na jakiegoś nieuważnego nurka. (Ryby w sobie tylko znany sposób wyczuwały takie przeszkody). Najwyraźniej kanał był zabezpieczany jak przed wiekami Bosfor. Gdyby noc była bezksiężycowa, wpadliby jak nic...

Ostrożnie, szorując brzuchami po dnie, przepłynęli pod kablami.

Mniej więcej po godzinie od pożegnania z Gutierzem wreszcie znaleźli się przy barce zakotwiczonej bezpośrednio przy betonowym pirsie. Wypłynęli ostrożnie na powierzchnię, tak aby kadłub zasłaniał ich od strony lądu. Ostrożność nie była pozbawiona podstaw. Prawie natychmiast usłyszeli kroki przechadzającego się wartownika. Aria pociągnęła Jima pod wodę. Cofnęli się, między korzeniami znaleźli jamę, w której zmieściła się zapasowa butla.

Mavreli zsunęła kamizelkę, pozbyła się maski i płetw, uściśnęła Jima, który natychmiast zawrócił w stronę łodzi, i pociągnęła ostatni łyk powietrza z regulatora. Do przepłynięcia pozostało jej około trzydziestu metrów pod wodą, ale dla tak znakomitej pływaczki nie stanowiło to problemu.

Kroki strażnika rozbrzmiewały coraz dalej. Aria wślizgnęła się do środka barki.

Śmierząco, ale pusto. Jeśli łódź przybyła po odpady, nie dokonano jeszcze załadunku.

Z torby wyciągnęła czarny trykot, nóż i pistolet z magazynkiem. Włożyła noktowizyjne gogle z zamontowanym detektorem wykrywającym kamery i czujniki ruchu. (O wszystkie te gadżety postarał się jeszcze w Turcji Conolly, jej instruktor z Ameryki).

Tak przygotowana wychyliła się i poszukała zabezpieczeń. Zero sygnału! Zauważyła wprawdzie dwie kamery zainstalowane na palmach, ale wszystko wskazywało na to, że są wyłączone. Awaria, a może absolutne poczucie bezpieczeństwa, kazało pracownikom ośrodka zaniedbać procedurę. Zeskoczyła na brzeg. Cisza! W pobliskiej szopie czujnik wykrył ciepło, a mikrofon kierunkowy złowił lekkie pochrapywanie dwóch osób.

Piaszczysta ścieżka poprowadziła ją lekko w górę do linii zasieków. Nie były pod napięciem. Jeszcze bardziej zaskoczyła ją uchylona furtka. Na moment w jej duszy zabrzączał

ostrzegawczy dzwoneczek. Za dobrze jej idzie. A jeśli miała okazać się myszką dobrowolnie pakującą się w pułapkę?

Z drugiej strony skąd przeciwnik miałby wiedzieć o ich wyprawie? Zachowali przecież wszelkie środki ostrożności. Sprawdziła broń – pistolet i nóż. Były na miejscu. Przeżegnała się, przekroczyła furtkę i skierowała w stronę centrum ośrodka.

Drugi strażnik kręcił się między zabudowaniami. Wizja lokalna potwierdzała hipotezy wysnute na podstawie zdjęcia. Na wprost Mavreli miała rezydencję, na prawo baraki strażników, na lewo kompleks bunkrów. Wiele by dała za możliwość dostania się do środka.

Detektor wskazywał, że kamery w tej części są włączone. System monitoringu chronił

również centralny pawilon. Szkoda. Zastanawiała się, co robić, gdy usłyszała szmer głosów.

Instynktownie cofnęła się głębiej w zarośla i znieruchomiała. Drzwi baraku otworzyły się i wyszło z niego dwóch mężczyzn: jeden szczupły, w staromodnych okularach i z bródką niegdysiejszego hippisa, a zaraz za nim potężny Murzyn w podkoszulku i bokserkach.

Pierwszy nie kojarzył jej się z nikim, ale drugim, jeśli rysopis Gutiereza był precyzyjny, mógł być sam Luke Palmer. Tym razem zdecydowanie mniej elegancki niż zwykle. Okularnik podreptał w stronę betonowych bunkrów, za pomocą identyfikatora noszonego na szyi otworzył ze zgrzytem stalowe drzwi, zachichotał jak dziecko, któremu udało się uruchomić zabawkę, i zniknął we wnętrzu, natomiast majordomus Hollmayera przeciągnął się, po czym pogrzebał w majtkach i najspokojniej w świecie zaczął sikać w kierunku Arii. Zakończywszy tę czynność, wrócił do środka.

Aria odczekała jeszcze chwilę, po czym ruszyła wzdłuż ściany budynku, rozważając różne ewentualności: mały sabotaż systemu ochrony, ogłuszenie strażnika i posłużenie się jego identyfikatorem, jeśli takowy miał, aby dostać się do laboratorium. Wiedziała już, kto zaszył się na wysepce. Gdyby jeszcze udało jej się ustalić po co!

– A co ty tu robisz? – Starczyła chwila nieuwagi, aby przeoczyć strażnika, który wyrósł za jej plecami. Odwróciła się. Azjata nie należał do przesadnie czujnych, broń trzymał dość niedbale, a widok kobiety w roli nocnego gościa na chwilę go zdekoncentrował.

Uderzyła błyskawicznie jak kobra: cios stopą trafił go w gardło, poprawiła dłonią.

Zwiotczał i osunął się na ziemię. Zerwała mu z szyi identyfikator... I w tym momencie zaskrzeczał odbiornik: „Co u ciebie, Wang, wszystko w porządku?”.

Niedobrze. Jeśli strażnik nie odpowie, zaczną go szukać. Nie miała czasu, zawróciła na ścieżkę. Zbiegając ku przystani, wypatrywała strażnika. Był ukryty w gąszczu, ale zlokalizowała go dzięki czujnikowi. Musiała użyć noża.

Kiedy dawała nura w wodę, nad wyspą rozległ się dźwięk alarmu. Niezbyt głośny, ale przenikliwy. Zabłyły reflektory, ożyły kamery. Czy zdążyły ją zarejestrować?

Na bezdechu dopłynęła pod wodą do kryjówki między korzeniami mangrowii.

Sprzęt był na miejscu. Pociągnęła solidny haust powietrza i zaczęła płynąć w stronę laguny.

Ile czasu zabierze przeciwnikowi ustalenie kierunku jej ucieczki?

Miała nadzieję, że alarm usłyszał również Jorge. I nie stchórzył. Nie pomyliła się. U wylotu kanału rozległ się znajomy warkot silnika. „Manta” wypłynęła jej na spotkanie.

Jim wciągnął ją na pokład i ruszył, wykorzystując pełną siłę motoru.

Tymczasem na brzegu pojawiło się kilkunastu uzbrojonych Azjatów, wygrażających intruzom.

Dziwne, że nie strzelają, przemknęło Arii przez myśl. Czyżby czekali na rozkaz?

Jim nie zamierzał kierować się w stronę pełnego morza, tylko wprowadził łódź w labirynt kanałów,

jakimś cudem znajdując drogę między mangrowiami. Tu, mimo różowiejącego nieba, panowała ciemność. Miał zamiar popłynąć jak najdalej między wyspami i dotrzeć do głównego uczęszczanego szlaku w stronę Belize City, licząc, że na oczach świadków wróg nie zdecyduje się otworzyć do nich ognia.

Naraz Gutierrez krzyknął z dziobu:

– Przed nami człowiek!

Jim nie zamierzał zwalniać, kiedy dobiegł ich krzyk pływaka.

– Na pomoc! Jorge, na pomoc!

– To Green?! Na Boga, zatrzymajmy się.

Detektyw wydawał się płynąć resztką sił.

– Wyrwałem się, korzystając z zamieszania – wyjaśnił, gramoląc się na pokład.

– Wiązili cię tu przez rok?! – zdziwił się były ksiądz, serdecznie ściskając detektywa.

– Mniej więcej – wysapał Steven. – A potem rzucił do Arii: – Odrzuć broń, panienko, nie chciałbym skrzywdzić tego klechy.

Potwierdzeniem jego słów był nóż przytknięty do gardła Gutiereza.

– Co... co ty wyprawiasz? – wykrztusił Jorge.

– Zachowaj spokój. A pan niech zatrzyma łódź, panie Anderson. – Głos detektywa brzmiał śmiertelnie poważnie: – Gra skończona!

Chwilę potem pojawiły się dwie pościgowe motorówki, obie prowadzone przez identycznych Stavrosów.

– Jak to miło znów cię widzieć, wielebny! – powitał eksmnicha siedzący na drugiej z nich Ken Robinson.

10.

Słudzy szatana

Mogli się spodziewać wszystkiego najgorszego: śmierci, bicia, torturowania, a przynajmniej pogróżek. Na razie spotkali się z kurtuazją. Nie zostali nawet związani i gdyby nie wymierzona w nich broń, mogliby pomyśleć, że jadą z wizytą, zaproszeni przez jakiegoś karaibskiego miliardera.

Zdrajca Green usiłował nawet się uśmiechać. A kiedy motorówka ruszyła wokół wyspy, aby wysadzić ich od frontu, mruknął do byłego jezuitę:

– Nie łam się, stary! Wszystko dobrze się skończy. Dołączysz do nas. I będzie jak dawniej.

Gutierrez nie miał szczególnej ochoty z nim rozmawiać, jednak nie potrafił powstrzymać się od pytania:

– Powiedz, Steve, od kiedy dla nich pracujesz? Już w Rzymie wykonywałeś ich polecenia?

Detektyw zareagował gardłowym śmiechem.

– W Rzymie, zanim trafiłem w ich ręce, byłem ślepy jak kocię. Potem przez krótki czas czułem się identycznie jak ty teraz. Ale kiedy poznałem prawdę, zrozumiałem, jakimi idiotami wszyscy byliśmy.

– A co jest prawdą?

Green może by i odpowiedział, jednak do rozmowy włączył się jeden ze Stavrosów.

– Dowiesz się wkrótce, księżulku – warknął.

Trzy łodzie przybiły do molo. Zrobiło się już całkiem widno. Bezchmurne niebo zapowiadało piękny dzień. Dla kogo ostatni? W Komitecie powitalnym zgromadzonym na przystani przeważali chińscy najemnicy. Na ich płaskich, nieruchomych twarzach nie malowały się żadne emocje, ale Aria zdawała sobie sprawę, że palą się do odwetu za śmierć kolegi. A ten odwet, biorąc pod uwagę predylekcje Azjatów do wyrafinowanych tortur, mógł

okazać się bardzo bolesny.

Jeszcze na łodzi przez jakąś sekundę Mavreli zastanawiała się, czy nie podjąć walki.

Mogła poświęcić Gutieręza, zabić Greena, i bohatersko polec w starciu z przeważającymi siłami. Jeśli się powstrzymała, to uczyniła tak wyłącznie dlatego, że doszła do ważnego wniosku: przeciwnik nie chce ich zabić. Przynajmniej na razie. Postanowiono wziąć ich żywcem. Z jakiegoś powodu ciągle są potrzebni. A dopóki człowiek żyje, dużo może się wydarzyć.

Traktowano ich dobrze również po zejściu na ląd. Nie wepchnięto do jakiejś pełnej szcurów celi. Skądże znowu. Wyglądało na to, że preferowane są tu subtelniejsze metody.

Wręcz humanitarne. Doświadczył tego Jim Anderson. Stavros numer 1 po prostu polecił mu wracać do domu, na Caye Caulker.

– I ani słowa o tym, co tu się działo! – rzucił groźnie.

– A jeśli zapytają o moich pasażerów? – dopytywał się Jim, bardziej zdziwiony niż przerażony.

– Kto ma pytać? Nikt nie wie, że ich zabrałeś... W najgorszym razie powiesz, że twoi goście wysiedli w Belize City.

– I niech ci się nie zachce robić jakichś numerów. – Do rozmowy włączył się drugi Stavros. – Wiemy, że masz piękną żonę i dzieci, które wysłałeś do rodziny w Belopan. Może cię zdziwi, ale nie dojechały na miejsce.

– Wyy... dranie!!! – Twarz Metysa spurpurowiała.

– Spokojnie! Nic im nie jest. Na razie... – dorzucił olbrzym z obleśnym uśmiechem. –

Jeśli będziesz grzeczny, dostaniesz numer telefonu, pod który będziesz mógł zadzwonić i z nimi porozmawiać... Jeśli wszystko pójdzie dobrze, wrócą do domu całe i zdrowe.

– Kiedy? – W głosie Jima zabrzmiała pokorna rezygnacja.

– Najdalej za dwa tygodnie. A to za fatywę. – Stavros wcisnął oszołomionemu żeglarzowi zwitek banknotów.

Anderson wrócił na „Mantę”, natomiast Arię i Gutiereza zaprowadzono do rezydencji, gdzie w salonie, przy stole zastawionym owocami i kolorowymi drinkami, siedziało czterech mężczyzn, tylko na pierwszy rzut oka przypominających turystów. Kena Robinsona, zimnego drania o niebieskich oczach, Aria zdążyła już poznać. Jorge przedstawił jej pozostałych: Luke Palmer wyglądał dokładnie tak, jak go sobie wyobrażała, elegancki, czarny, czernią nieomal wpadającą w fiolet. W jasnym garniturze trzymał się z boku i w odróżnieniu od pozostałych, wydawał się smutny. Podstarzały hippis, którego widziała przed świtem, okazał się być doktorem Hansem Frischke. (Kłamał, mówiąc o swej podróży na Nową Gwineę). Wreszcie Sebastian Laval. Ta postać szczególnie przykuła jej uwagę. Twarz sybaryty o lekko wyłupiastych oczach i mięsistych, jakby opuchniętych wargach, wełniste włosy. Diabeł?

Wątpliwości mogła mieć do momentu, kiedy skrzyżowały się ich spojrzenia. Za namową Jacka przeczytała niedawno *Mistrza i Małgorzatę* Bułhakowa i zawarty tam opis oczu Wolanda osobliwie pasował do oczu lekarza z Nowego Orleanu. Jedna z wydatnych gałek, zielonkawa, przypominała zimny górski staw, druga, czarna jak smoła, sztolnię sięgającą samego dna piekieł. Natomiast atencja, z jaką odnosili się do niego pozostali, nie pozostawiała wątpliwości, kto jest osobą dominującą w tym gronie.

– Cieszę się, że przyjęli państwo nasze zaproszenie! – rzekł niskim głosem, który w innych okolicznościach można by uznać za ujmujący. – Ze swej strony pragnę zapewnić, że w przypadku lojalnej współpracy nic państwu nie grozi, a przeciwnie, jak zapewne zaświadczy Steven, możecie

liczyć na prezent niezwykły, a co więcej – nieoczekiwany.

– Jak Lobo, Vassylka, Wilder? – zapytał z ironią Jorge.

– Musieliśmy się bronić. – Laval rozłożył ręce niczym kapłan podczas nabożeństwa. –

Obecnie jednak nasz program znajduje się w takim stadium, że nikt i nic nie jest w stanie pokrzyżować naszych planów. A już na pewno nie wy! Za tydzień zmienimy losy świata.

Staniemy się dobroczyńcami ludzkości, a powszechna miłość społeczeństw bronić będzie nas lepiej niż garstka oddanych przyjaciół.

Buńczuczność jego tonu wcale nie wyglądała na fanfaronadę i Jorge nie zamierzał z nim polemizować.

– Zaiste piękna to perspektywa, ale w takim razie przetrzymywanie nas nie ma większego sensu.

– Ależ ma, ma, wielebny! Chodzi o rozszyfrowanie pewnego tekstu nazywanego

„Objawieniem świętego Jana”. Wiemy, że wam się to udało.

– Macie złe informacje. Byliśmy dosyć słabo zaawansowani, kiedy wasza akcja na Kos wszystko spaskudziła – odparł szybko Jorge, choć nie zabrzmiało to zbyt przekonująco.

– Doprawdy? – Sebastian wyduł usta i wyciągnął z kieszeni osmalony kawałek papieru. –

A czyja to robota? Aniołków?

Cztery żelazne ptaki z nieba spadną. Znikną dwie wieże... – Aria poznała charakter pisma Roberta. Jorge tylko zacisnął wargi.

– Musielibyśmy być kretynami, żeby nie domyślić się, o co tu chodzi – ciągnął Laval. –

Jest oczywiste, że ten grecki napis stanowi „Klucz do Apokalipsy” i że zawarte są tam prorocтва dotyczące trzydziestu trzech pierwszych lat trzeciego tysiąclecia. (To sformułowanie nie było ścisłe, ale Jorge i Aria nie zamierzali go prostować). Wiemy, że dysponowaliście jedynie fragmentem płyty i odczytaliście zaledwie jedną trzecią. Teraz chodzi nam o doprowadzenie sprawy do końca i odcyfrowanie całości.

– Nie możecie zrobić tego sami?

– Próbowaliśmy – wyrwało się Greenowi, ale zamilkł, bo Laval zgromił go wzrokiem.

A więc dlatego żyjemy. Jesteśmy potrzebni jako kryptografowie, pomyślała Aria.

– Zamierzacie nas zmusić do współpracy? – zapytał Gutierrez.

– Mam nadzieję, że przymus nie będzie potrzebny – odrzekł wielkodusznie Laval. – Aby dać wyraz dobrej woli, odpowiemy na wszystkie wasze pytania. Ujawnimy nasze osiągnięcia i zamiary. A kiedy je poznacie, wybierzećie jedyną rozsądną drogę.

– Mam nadzieję, że podczas tego święta pojednania nie zapomnicie o mnie. – Od strony wejścia rozległ się dźwięczny głos. Odwrócili głowy.

Kiedy Jorge widział Alexandra Hollmayera po raz ostatni, miliarder wydawał się zniedołężniałym starcem. Wychudły jak derwisz, poruszał się na wózku, a jego cera nabrała niezdrowego odcienia. Mężczyzna, który wszedł do salonu, wydawał się o dwadzieścia lat młodszy. Pięknie opalony, z gęstą ciemną czupryną, poruszał się sprężystym krokiem sportowca. Gutierrezowi wydało się, że śni.

– To ty, Al? – wybełkotał.

– A któż by inny? – Miliarder uśmiechnął się szeroko. – Co prawda, dzięki Sebastianowi przeszedłem remont kapitalny.

Lekarz wyszczerzył ostre, wilcze zęby.

– Nasz program nosi nazwę „Marzenie Fausta” i już wkrótce dostępny będzie dla wszystkich – rzekł.
– Albo, powiedzmy, prawie wszystkich, którzy przejdą na naszą stronę.

– Jak wiadomo głupie zabobony nazywane religią zrodziły się z lęku przed śmiercią –

ciągnął Hollmayer, z pewnością godny pociotek Karola Marksa. – Żerowały na perspektywie Sądu Bożego i ewentualnego potępienia... Stąd łatwo zgodzić się z hipotezą, że jeśli człowiek mógłby żyć wiecznie, wszelkie zagadnienia, nad którymi łamali sobie głowy filozofowie, stałyby się marginalne, podobnie jak samo istnienie lub nieistnienie Stwórcy.

– Chcecie powiedzieć, że rozwiązaliście zagadkę wiecznego życia?! – wyrwało się Arii.

– Jeśli na razie jeszcze nie wiecznego, to z perspektywy dzisiejszego człowieka nieprawdopodobnie długiego – wtrącił się nie zabierający dotąd głosu Frischke. – Jak wiadomo ludzie współcześni niesłychanie rzadko dożywają setki. Jeśli więc damy im gwarancję życia przez parę tysięcy lat, to będzie to prawie nieśmiertelność.

– Możecie wyobrazić sobie życie przez osiem lub dziesięć tysięcy lat? – podchwycił

miliarder. – To tak, jakby dziś ciągle żył faraon Cheops! W dodatku Cheops cieszący się kondycją mężczyzny w sile wieku.

Co to za brednie?, pomyślała Mavreli. Najgorsze, że oni chyba święcie w to wierzą.

– Wiemy, że nasze zamierzenia zakrawają na fantazję – uśmiechnął się Laval. – Dlatego poprosimy doktora Frischke o mały wykład na ten temat.

Naukowiec okazał się doskonale przygotowany do swojej roli, a może prelekcję dla Arii i Gutiereza

traktował jako próbę generalną. Za pomocą pilota sprawił, że arras na ścianie podjechał w górę, odsłaniając ekran olbrzymiego telebimu. W miarę jak toczył się wykład, zaczęły się na nim pojawiać ilustrujące go rysunki, wykresy i fotografie, stwarzając wrażenie, że prelekcja ma miejsce w audytorium któregoś z renomowanych uniwersytetów, przed rzeszą studentów, a nie dwójką niepewnych swego losu więźniów.

– Zagadka wiecznego życia, poszukiwanie kamienia filozoficznego lub źródła młodości pasjonowało ludzkość od zawsze – zaczął nieco piskliwym głosem Frischke. – Wspaniałe osiągnięcia medycyny ostatnich dwóch stuleci nie przyniosły radykalnego przedłużenia życia człowieka, sukcesy ograniczały się do statystyki, można powiedzieć, że w skali populacji żyliśmy dłużej i, mówiąc żartobliwie, umieraliśmy zdrowsi. Coraz lepsze metody leczenia jednych chorób sprawiały, że w większym stopniu wykańczały nas inne. Niedawne odczytanie kodu genetycznego zagroziło prawdziwym przekleństwem – owszem, mogliśmy dość precyzyjnie ustalić, kiedy i na co dany osobnik umrze, choć nadal nie mieliśmy na to wpływu. Oczywiście rozwinęły się badania nad komórkami macierzystymi, pojawiła się szansa na reperaturę genetycznych uwarunkowań, ale u płodów, a nie u osobników dojrzałych.

Jednocześnie coraz częściej, zarówno ja, jak i doktor Laval, niezależnie od siebie zadawaliśmy sobie pytanie, dlaczego jedne organizmy żyją bardzo krótko, a inne, jak np.

zółwie czy papugi, dość długo. Co powoduje, że telomery w naszych jądrach komórkowych przy każdej kolejnej mitozie stają się krótsze i krótsze, zamiast się regenerować?

Przełomowego odkrycia dokonał na tej niwie biedny doktor Boon (słowo „biedny”

zabrzmiało tak, jakby nie żywota biologa przecięła jedna z trzech Parek, a nie zbir Stavros).

Jakieś dwa lata temu Howardowi udało się wyodrębnić gen długowieczności u paru gatunków zwierząt, a następnie odnalazł jego odpowiednik u sekwoi kalifornijskiej, najbardziej długowiecznego gatunku roślin na tej ziemi. Stąd pozostawał już tylko krok do pomysłu modyfikacji „licznika naszego żywota”. Koncepcja tylko w pierwszej chwili zakrawała na szaloną. Skoro możliwe było wyhodowanie tytoniu z genem świetlika, tytoniu, który świeci, człowiek żyjący długo niczym sekwoja wydawał się teoretycznie możliwy...

Urwał i napił się koktajlu. Inni poszli za jego przykładem.

– Niestety – wtrącił się Hollmayer – profesor Boon miał poważne opory moralne przed takim udoskonalaniem naszego organizmu. Najpierw sprzeciwiał się naszym eksperymentom, potem zaczął grozić, że je zablokuje. Zawiązał nawet spisek z innymi...

– Musieliśmy chronić program! – kropkę nad i postawił Laval. – Zwłaszcza że wyhodowanie zmodyfikowanego superdługowiecznego człowieka znalazło się w zasięgu ręki...

– Podstawowy problem polegał na czymś innym – podjął Frischke. – Początkowo nasze możliwości ograniczały się do stworzenia zmodyfikowanego embriona, który kto wie jak długo zechce dojrzewać. Istniała realna możliwość, że osiągnie dojrzałość dopiero po pięciuset latach.

– Poza tym, co nam, śmiertelnikom z perspektywą rychłego zgonu, po potomkach dziesięcioletnich? – dorzucił sarkastycznie miliardier. – Na szczęście, kiedy pozostawaliśmy w takim rozdarciu, z nieba, czy raczej z piekła, spadł nam Sebastian.

Wirusolog skromnie skinął głową.

– Już wcześniej pracowałem nad użyciem wirusów-tragarzy, mających na celu dostarczenie białkowych elementów do wszystkich komórek ciała – powiedział. –

Zrewolucjonizowało to walkę z toksynami, umożliwiło bezinwazyjne leczenie martwicy i dawało szansę na eliminację raka... Nie zanudzając was szczegółami, zdradzę, iż znalazłem sposób na reperację ludzkich chromosomów i rewitalizację telomerów za pomocą genów sekwoi. Pomóżcie, panowie. – Skinął na Robinsona i Palmera, a ci wnieśli słój z owadami i klatkę pełną polnych myszy.

– Te muszki owocówki żyją już ponad dwa lata – kontynuował Sebastian Laval, odsuwając na bok Niemca, który nerwowo przygryzł wargę. – Podejmując pracę nad myszami, wzięliśmy do doświadczeń osobniki stare, niezdolne do rozrodu. Efekty widzicie sami. W większości przypadków wróciła zdolność wydawania na świat potomstwa.

– A skutki uboczne? – chciał wiedzieć Gutierrez.

– Żadnych. Poza jednym. Potomstwo dziedziczy gen długowieczności.

– Rozumiecie już, dlaczego zafascynował mnie ten projekt – zabrał głos Hollmayer. –

Dlaczego najpierw ściągnąłem do nas Sebastiana, potem załatwiłem mu pracę w domu starców pod Savannah...

– Przeprowadzaliście tam nielegalne doświadczenia na ludziach?! – wykrzyknęła Aria.

– To było nieuniknione, zanim zabiegowi nie poddał się osobiście Al. Zresztą wszyscy pacjenci wyrazili zgodę – zapewnił Laval.

– Statystycznie rzecz biorąc, byłem dopiero czterdziestym czwartym królikiem doświadczalnym – rzekł Hollmayer. – Pierwszy zabieg przeprowadzono pół roku temu, a efekty możecie obserwować wszyscy. W niespełna tydzień ja i dziewięciu ochotników zostanie pokazanych w telewizji. A potem akcja ruszy pełną parą. Równocześnie otwieramy nasze kliniki w Bogocie i Bangkoku, Szanghaju, na Bahamach, w Mińsku na Białorusi, i w Zimbabwie...

– Wszędzie tam, gdzie prawa człowieka nie są przesadnie fetyszyzowane – zachichotał

Frischke. – A ponieważ dysponować będziemy monopolem na życie bez końca, staniemy się w krótkim czasie panami świata.

– Zabieg będzie początkowo dość kosztowny – dodał Sebastian – sądzimy jednak, że z czasem stanie się ogólnodostępny, a kto wie, może zaczniemy go fundować tym, których na to nie stać? Wszelako pod jednym warunkiem.

– Jakim? – Więźniowie utkwili wzrok w lekarzu.

– W dawnych czasach Holendrzy pragnący handlować z separującymi się od świata Japończykami, musieli przechodzić przez pewną symboliczną procedurę. Schodząc na ląd w Kraju Kwitnącej Wiśni, musieli podeptać krzyż. Zamierzamy zaproponować naszym klientom coś podobnego.

Mavreli zwróciła uwagę na zmieszanie Luke’a Palmera, przede wszystkim jednak dostrzegła, że twarz Gutiereza robi się szkarłatna. Laval niewątpliwie również to zauważył.

– Od wielebnego nie będziemy wymagali takiej manifestacji, zapewnimy mu nieśmiertelność gratis...
– rzekł.

Jorge zdusił ogarniający go gniew.

– Nie rozumiem jednak, po co wam stary tekst z Apokalipsy, którą macie w pogardzie? –
wycedził.

Laval uśmiechnął się szeroko.

– Na wszelki wypadek. Chcemy wiedzieć, czy Starszy Pan, zagrożony dezercją ostatnich wiernych, nie szykuje nam jakiegoś psikusa. Ale przejdźmy do konkretów. Powiedzcie, czego wam potrzeba, by ukończyć pracę. Pomocy naukowych? Słowników? A może oryginalnego tekstu? Ile to roboty?

Podszedł do stołu i gwałtownym szarpnięciem zerwał obrus z całą zastawą.

Oczom zebranych ukazał się blok marmuru pokryty greckimi inskrypcjami.

Gutierrez zbliżył się do niego, ukląkł i z szacunkiem ucałował napis. Wszyscy przyglądali mu się w milczeniu. Po minucie wstał. Twarz miał zmienioną ale pogodną.

– A jeśli odmówię? – zapytał.

– Jesteś rozsądnym człowiekiem, nie odmówisz – powiedział Hollmayer.

* * *

Więźniów rozdzielono. Jorge został zaprowadzony do niedużego pokoju z zakratowanym oknem, Arię zmuszono, by udała się do drugiej części domu. Na razie nadal nie działo się nic strasznego, pozwolono im się wykąpać, dostali nową odzież. Eksmnic w szortach i kolorowej hawajskiej koszuli wyglądał nawet zabawnie. Choć nie było mu do śmiechu.

Gdy został sam, jeśli nie liczyć niefrasobliwych jaszczurek płasających po ścianach, były kapłan padł na kolana i zaczął się żarliwie modlić.

Jego samotność nie trwała długo. Zgrzytnął klucz w zamku i pojawił się Green. Minę miał niewyraźną.

– Na twoim miejscu nie stwarzałbym dodatkowych problemów, Jorge – zaczął. – Z nimi nie można wygrać. Sam się o tym przekonałem.

– Trudno, w takim razie umrę.

– Bywają rzeczy gorsze niż śmierć, te Kitajce... – detektyw ściszył głos. – Poza tym Al nie domaga się niczego wyjątkowego, chce tylko, żebyś odszyfrował napis.

– Żałuję, ale nie mogę im pomagać.

– Niby dlaczego? Nie wierzysz im? Z doświadczenia wiem, że spełniają obietnice. Poza tym, czy praktyczna nieśmiertelność jest dla ciebie kiepską ceną?

– Z tego, co słyszałem, wynika, iż zabieg daje jedynie szansę. Wcale nie gwarantuje, że pewnego dnia nie wpadniesz pod samochód lub nie pogryzie cię wściekły pies.

– Zagrożenie wypadkami da się zminimalizować, a choroby wyleczyć. Człowieku, chyba nie łapiesz, co się tu dzieje! Przez całe stulecia wy, księża, straszylście małuczkich widmem piekła. Teraz wizja ta oddala się na święty nigdy. Co zrobicie w tej nowej rzeczywistości?

Ludzie już od dawna was nie słuchają. Ani waszych pouczeń w sprawach seksu, ani gładzenia o ochronie życia. Robili swoje. Żadna encyklika nie była zdolna powstrzymać rozwodów, aborcji, eutanazji... A wobec perspektywy wiecznego życia... Do czego potrzebni będziecie wy i Bóg? Trzeba się z tym pogodzić.

– Gódź się zatem, Steve. Jeśli potrafisz sobie wyobrazić życie w świecie bez śmierci i bez zasad, żyj zdrowo, ale mnie do tego nie mieszaj.

Pięćdziesiąt metrów dalej w linii prostej, w sypialni położonej na pierwszym piętrze północnego skrzydła, Sebastian Laval kusił Arię. Może raczej należałoby powiedzieć, że próbował ją zahipnotyzować. Patrzyła na niego i widziała gada. Pradawnego węża, który przybrał ludzką postać.

– Rozumiem, że klecha potrzebuje nieco czasu, aby oswoić się z nową sytuacją, natomiast nie rozumiem, dlaczego taka piękna, młoda dziewczyna nie chce z nami współpracować. – Zrobił ruch, jakby zamierzał ją pogłaskać.

Dotknie mnie, a złamię mu rękę!, pomyślała Mavreli. A głośno rzekła:

– Kto mówi, że nie chcę? Tyle że nie mam możliwości. Inskrypcję widziałam dziś po raz pierwszy, nie wiem nic o szyfrze. Kiedy Jorge z Robertem przebywali w klasztorze na wyspie Kos i próbowali odcyfrować tekst, znajdowałam się pod troskliwą kuratelą Stavrosów...

– Wierzę ci, moja śliczna, że sama nie dasz rady, ale możesz wpłynąć na Gutiereza.

Widać, że darzy cię sporą sympatią.

– Cóż z tego? Na ile go znam, nie zmieni zdania.

Sebastian zmarkotniał.

– To źle, bardzo źle! – westchnął. – Zwłaszcza dla ciebie.

* * *

„Kuszenie świętego Antoniego”, jak zadanie Greena wobec byłego jezuita określił

Hollmayer, nie przyniosło rezultatów. Po dwóch godzinach detektyw zrozumiał, że nic nie wskóra. Jorge był grzeczny, można nawet powiedzieć – przyjacielski, lecz zarazem nieprzejednany. Rozmowę mającą go skruszyć wykorzystał, by wyciągnąć informacje. Na przykład na temat Stavrosów.

– Oczywiście rozgryzłem tę kwestię. Nie, nie są to klony ani nawet trojaczki jednojajowe

– wytłumaczył Green. – Kilkanaście lat temu Ken Robinson, zanim jeszcze zaczął pracować dla Hollmayera, dostał polecenie od swoich poprzednich mocodawców zmontowania pewnej grupy do zadań specjalnych... Trafił na dwóch Meksykanów nielegalnie przebywających w Stanach, osobliwie wzrostem i budową do Stavrosa podobnych. Aby uzyskać stuprocentowe podobieństwo, poddał ich odpowiednim operacjom plastycznym, a następnie używał do różnych podejrzanych akcji. Nigdy razem. Pozwalało to zawsze na stuprocentowe alibi. Po roku dwa tysiące pierwszym, kiedy na amerykańskich granicach wprowadzono kontrolę odcisków palców, oryginalnego Stavrosa wysłano do Grecji, a pozostali nie przekraczali granic legalnie. Rok temu przestało to stanowić problem.

– Dlaczego?

– Udało się zorganizować hodowlę sztucznej skóry o dowolnym, dającym się programować kształcie linii papilarnych. Dopóki nie upowszechni się badanie siatkówki, Stavrosowie znów mogą uchodzić za jedną osobę. Proste, prawda? Oczywiście ja ich rozróżniam.

– W jaki sposób?

– Minimalne różnice w ruchach, w barwie głosu... Poza tym nie zapominaj, że to mój zawód.

I tak sobie rozmawiali. Co ciekawe, chociaż Greenowi nie udało się skaptować Gutiereza, ten zasiał ziarno niepokoju w przewerbowanej, zda się, duszy detektywa.

– Laval obiecał ci wieczne życie?

– Ma się rozumieć! Inaczej bym dla niego nie pracował.

– A jeśli ta obietnica okaże nic niewarta?

– Niby dlaczego?

– Wiesz chyba, co mówi napis na płycie.

– Podobno jakieś starodawne proroctwa dotyczące naszych czasów.

– Tak, Steve. Uściślając, znajduje się tam opis trzydziestu trzech ostatnich lat ludzkości, zakończonych kresem tego świata, powtórным przyjściem Chrystusa i Sądem Ostatecznym.

Co po kuszącej perspektywie tysiącleci słodkiego życia, kiedy za dwadzieścia lat nasz świat dobiegnie kresu, my przestaniemy istnieć, a co gorsza będziemy musieli zdać sprawę ze swoich ziemskich uczynków, nie jest zbyt zachęcające.

– Nie gadaj głupstw, wielebny! – przerwał mu detektyw. – Uprzedzali mnie, że będziesz chciał mnie przestraszyć! Nawet nie próbuj! – Starł się nie dawać tego po sobie poznać, ale perspektywa rychłego Sądu Ostatecznego wywarła na nim spore wrażenie. Szybko pożegnał się i wyszedł.

Cele musiały być na podsłuchu, bo kiedy po południu Jorge stanął przed doktorem Lavalem, ten znał treść rozmowy z detektywem słowo w słowo.

– Nie strasz mi personelu, księżę – powiedział. – Tym bardziej że nie znasz jeszcze całego tekstu.

– Mogę się go domyślać. – Spojrzał wyzywająco na Lavalą. – Nadchodzi dzień gniewu.

Ten wytrzymał jego spojrzenie, a nawet się uśmiechnął.

– Zobaczymy, jak będzie. Różne proroctwa w tej kwestii są sprzeczne. Według kalendarza Majów kataklizm ma nastąpić dokładnie dwudziestego trzeciego grudnia dwa tysiące dwunastego roku, z kolei według świętego Malachiasza nasz Benek szesnasty jest przedostatni, a po nim ma być już tylko Piotr Rzymianin, pasący resztki owczarni na ruinach Rzymu. Gdzie te trzydzieści trzy lata?

– Akurat nie widzę tu żadnej sprzeczności w proroctwach. Majowie zapowiadają gigantyczny kataklizm na miarę tego, który uśmiercił dinozaury. I taki kataklizm może się zdarzyć. Po nim pozostanie tym nielicznym z ludzi, którzy przeżyją, już tylko oczekiwanie na paruzję, czyli powtórne przyjście Pana.

Laval spoważniał.

– Myślisz, że On już się urodził? Odpowiedź na to powinna być zawarta w inskrypcji.

– Nic nie myślę.

– Tym lepiej. Święty Jan nie omieszkałby odnotować faktu powtórnych narodzin Syna Człowieczego. Przekonajmy się, co ma być dalej. Bierz się do roboty, stary.

– Nie mam najmniejszego zamiaru. – W głosie eksjezuity zabrzmiała taka determinacja, że Laval się zdziwił. Ten człowiek naprawdę nie wyglądał na przerażonego.

– Chyba sobie kpisz? Potrafię zmusić do współpracy nawet kamień!

– Mnie nie zmusisz.

Uderzenie w twarz zdradzało boksinerskie predyspozycje wirusologa. Jorge zatoczył się i upadł na pryczę.

– Mam nadstawić drugi policzek? – zapytał uprzejmie.

Sebastian, z furią nie licującą z medycznymi tytułami, rzucił się na kapłana, zaczął go kopać i nie wiadomo, jak by się to skończyło, gdyby nie interwencja Luke’a Palmera, który niczym stalowa kurtyna wcisnął się między nich.

– Daj spokój, doktorze! Martwy będzie zupełnie nieprzydatny.

Kiedy wyszli, Gutierrez znów zaczął się modlić. Zastanawiał się, dlaczego nie odczuwa bólu. Jednocześnie przekonanie, że musi konsekwentnie odmawiać współpracy, przerodziło się w pewność. Nie bez powodu Laval pytał o powtórne przyjście Jezusa. Jeśli gdzieś na tej ziemi przebywa już dziesięcioletni Jezus, słudzy szatana mogą pokusić się o zgładzenie Go.

Wieczorem spróbowano złamać go jeszcze raz. Tym razem w obecności Hollmayera i jego świty.

Dwóch Chińczyków przyprowadziło, czy raczej przywlokło Arię. Dziewczyna wyglądała na przerażoną.

– Nie chciałem posuwać się do tego, klecho – rzekł Laval – ale skoro mnie zmuszasz...

Twoja odmowa współpracy oznacza śmierć tej pięknej dziewczyny. Śmierć, muszę dodać, powolną, bardzo nieprzyjemną...

Samego Gutiereza zdumiał głos, który w odpowiedzi wydobył się z jego gardła:

– Zaprawdę, ktokolwiek krzywdę jej uczyni, dziesięciokroć boleśniej sam zapłaci.

– Nie strasz, nie strasz – zaśmiał się Sebastian i rzekł do zebranych: – Nie przejmujemy się księżulem. No, panowie, kto pierwszy przeleci tę świętą dziewczynę?

Luke Palmer się nie kwapił, Ken Robinson wykrzywił usta.

– Mogę ja. Ale pod warunkiem, że najpierw będzie przyjemność – zgłosił się Stavros, rozpinając spodnie.

– To wam nic nie da. – Były ksiądz pochylił się nad sygnetem, który zawsze nosił na palcu. Poruszył nim i zanim ktokolwiek uczynił choćby ruch, pomiędzy jego zębami zaślśniła mała błękitna kapsułka. Wzniósł oczy do nieba. Wszyscy obecni zrozumieli sens tej demonstracji. Wystarczy, że zaciśnie zęby, a nikt nie odcyfruje zakodowanej inskrypcji.

– Wstrzymaj się! – krzyknął Hollmayer do Stavrosa. Ten usłuchał, chociaż niechętnie, a miliarder zwrócił się do Gutiereza: – Punkt dla ciebie, Jorge. Dzisiaj wygrałeś. Możecie iść spać. Załatwimy to inaczej.

Mavreli posłała eksmniczowi spojrzenie pełne wdzięczności, a Jorge nawet się uśmiechnął.

Dobrze, że Laval nie umiał czytać w jego myślach. Wiedziałyby, że błękitna kapsułka jest jedynie koralikiem z różańca siostry Łucji z Fatimy i nie zawiera żadnej trucizny.

Więźniów odprowadzono do ich pokojów. Reszta pozostała chmurna i zdezorientowana.

– I co teraz? – Hollmayer nie krył irytacji. – Nie przewidzieliśmy takiej determinacji.

– Przy pierwszej okazji postaram się uspić tego fanatyka – obiecał Robinson. –

Zabierzemy mu truciznę, a potem...

– Znam ten typ, prędzej się powiesi albo zagłodzi, niż pójdzie nam na rękę – burknął miliarder. – Nie tędy droga.

– A tortury? – dopominał się Stavros. – Otwierałem gębę nie takim twardzielom.

– Taka ewentualność zawsze istnieje, jednak wobec kandydata na męczennika tortury mogą okazać się nieskuteczne. A co ty proponujesz, Sebastianie?

Wirusolog odczekał chwilę, aby jego słowa mogły wywrzeć większy efekt.

– Mam koncepcję pewnej subtelnej, ale bardzo skutecznej zagrywki...

* * *

Ku zaskoczeniu obojga, umieszczono ich znowu we wspólnej celi. W dodatku z jednym wygodnym łóżkiem. Miała to być kara czy nagroda?

Ledwie zamknięto za nimi drzwi, Aria przytuliła się do Gutiereza.

– Dziękuję ci, Jorge!

– Nie ma sprawy. – Po ojcowsku potargał jej włosy, po czym delikatnie odsunął dziewczynę od siebie.

– Jak myślisz, co teraz z nami zrobią? – spytała.

Nie odpowiedział, tylko powiódł ręką dookoła, a następnie przyłożył palec do ust. Pojęła, pokój musi być naszpikowany „pluskwami”.

„Prześpijmy się”, zaproponował gestem, pochylając głowę na złożonych dłoniach.

„Razem?”, zapytała, zestawiając ze sobą równoległe palce wskazujące dwóch rąk, według kodu nurkowego.

Pogroził jej palcem, po czym uniósł go ku niebu. „Bój się Boga, dziewczyno!”.

Następnie wziął koc i zaczął mościć sobie posłanie na podłodze. Aria przejechała ręką po gardle i jeszcze raz wskazała łóżko. „Teraz albo nigdy!”.

Jej propozycja zawisła w próżni. „Ty tam, a ja tu”, odpowiedział tą samą metodą Jorge.

Aria była zaskoczona przemianą, jaka zaszła w Gutierezie. Jeszcze wczoraj miał na nią z trudem maskowaną ochotę, a dziś zgrywał cnotliwego anachoretę. Może zresztą nie zgrywał...

Idiota!

Potrzebowała chwili zapomnienia i czułości. Chciała znaleźć ją w ramionach mężczyzny, który wprawdzie mógł być jej ojcem, ale na szczęście nie był.

Bała się cierpienia i nie chciała umierać. Były kapłan najwyraźniej pogodził się z rolą męczennika. Ona nie. Wściekało ją oczekiwanie na niewiadome. Tym bardziej że z sytuacji, w jakiej się znaleźli, prowadziły same złe wyjścia.

– Chodź do łóżka, przysięgam, że nie będę cię molestowała – powiedziała głośno.

Niechętnie posłuchał.

Czy zamierzała dotrzymać obietnicy? Przekorna część jej natury korciła ją by spróbować.

Co będzie, jeśli nad ranem, zupełnie naga, przytuli się do Gutiereza, jej sutki będą napierać na jego plecy, jej krocze na pośladki, język zacznie igrać w małżowinie usznej, a palce zaczną go pieścić, zrazu delikatnie, daleko od punktów newralgicznych, potem coraz bardziej zdecydowanie...

Co wówczas zrobi? Odrąci ją zerwie się z łóżka? A może odwróci się i da porwać nieokiełznanej fali przyływu?

Jak się okazało, rozważania te nie miały sensu. Prawie natychmiast zapadli w głęboki sen bez zwidów i majaków. Aria obudziła się, gdy dzień był w pełni.

Zobaczyła, że posłanie obok jest puste. Dotknęła poduszki Gutiereza. Chłodna!

Zawołała półgłosem: „Jorge!”, ale nikt nie odpowiedział. Wstała i chwiejnym krokiem ruszyła do łazienki. W głowie jej huczało. Czyżby podano jej jakiś narkotyk?

Łazienka była pusta. Kłapa sedesu opuszczona. I tylko na półeczce między szczoteczkami do zębów błękitniał paciorek, zwykły szklany paciorek, który poprzedniego dnia wszyscy wzięli za kapsułkę z trucizną.

Zabrali go we śnie, pozbawili możliwości oporu...

Przez cały dzień czekała, kiedy przyjdą po nią. Starła się myśleć o czymś neutralnym, ale

powracająca wizja tortur sprawiała, że Aria oblewała się zimnym potem. Co działo się na zewnątrz, nie miała pojęcia. Nie docierały do niej żadne szczególne hałasy. Jedzenie przyniesiono jej dopiero po zmierzchu. Dwóch Chińczyków z automatami, trzeci z tacą.

Próbowała do nich zagadać. Nie odpowiedzieli. Może nie znali angielskiego? Nie tknęła jedzenia, piła wyłącznie wodę z kranu. Ze snu wyrwały ją dwa krótkie bliskie strzały. Serce na moment w niej zmartwiało. Zaraz potem wpadli Chińczycy i Stavros (chyba numer 2, rozróżniała go po pryszczu, który zrobił mu się na szyi).

Jeden żółtek skrepował jej ręce z tyłu. Próbowała krzyknąć. Na ustach poczuła lepki plaster... Wywlekli ją na zewnątrz. Noc była parna, a księżyc, jedyny świadek dramatu, nieprawdopodobnie czerwony. Gorączkowe próby przypomnienia sobie zapomnianych modlitw zwalczyła pytaniem, co się właściwie stało? Czyżby Gutierrez powiedział już wszystko, czego chcieli się dowiedzieć?

Pod ścianą zobaczyła skurczone ciało w kolorowej koszuli. Jorge!!! A teraz pewnie ona...

Jednak Chińczycy, nie zwalniając, ominęli placyk kaźni. Jasne! Najpierw czeka ją przesłuchanie. Całkowicie zrezygnowana dała się wepchnąć przez otwarte drzwi do bunkra...

11.

Czas niespodzianek

Zadzwonił telefon. Robert nie odebrał. Któż miałby dzwonić? Ze starymi rozmawiał

przed kwadransiem. I jak zwykle rozmowa zdołowała go jeszcze bardziej. Kochał rodziców, ale nie potrafił z nimi wytrzymać. We wzroku matki widział czysty ból, ojciec był jeszcze gorszy. Z trudem ukrywał żal, że śmierć zabrała pierworodnego, najukochańszego. Dlatego Robert wyniósł się z domu. Mając dosyć tych tłumionych łez, znaczących spojrzeń i przesadnej czułości, postanowił skorzystać z mieszkania brata. Nie było to najlepsze rozwiązanie. Już wchodząc do żoliborskiego bloku, poczuł się jak w grobowcu. Mieszkanie było widne, czyste, pełne książek i w zasadzie nic się w nim nie zmieniło... A jednak. Czy mury mogą czuć, że ich lokator nie żyje?

Telefon umilkł po piątym dzwonku. Może jednak należało podnieść słuchawkę? Odłożył

książkę i wstał z łóżka. Dochodziło południe, a przecież nadal czuł się niewyspany, rozbity...

Wydawało mu się, że kiedy znajdzie się sam w czterech ścianach, nie będzie musiał wstydzić się łez. Wstydzić się rzeczywiście nie musiał, ale ponieważ nic nie zajmowało jego uwagi, dojmujący ból powracał, każąc opłakiwać sprzęty i wspomnienia. Czy stojące we wnęce narty wiedziały, że ich właściciel nigdy nie śmignie po stoku Kasprowego? A co myślał komputer na biurku, obok sterty nie otwartej korespondencji, stosu książek o Grecji, tej starożytnej i współczesnej, które Jacek przerzucił, wybierając się na placówkę?

Telefon znów zadzwonił. A może to do niego? Może matka podała komuś...

– Halo! Halo!

Odpowiedziała mu cisza. Pewnie pomyłka. Nie przychodził mu na myśl nikt, kto mógłby tutaj zadzwonić. Były wakacje. Wszyscy bliżsi i dalsi koledzy porozjeżdżali się po kraju i Europie. Inna sprawa, że nie bardzo tęsknił za ich towarzystwem. Myśłami był przy księdzu i dziewczynie brata. Zapewne dotarli już do Belize. Znaleźli się na Caye Caulker. Może wpadli na jakiś trop? Jednak nie odezwali się.

W swojej skrzynce mailowej niczego nie znalazł. Od Gutiereza i Arii nie przyszedł żaden meldunek. Pewnie znakomicie się bawili. Z nudów zabrał się za przeglądanie zawartości komputera brata. Jednak Jacek nie zostawił żadnych plików związanych ze swoją działalnością zawodową. Przed wyjazdem do Grecji wyczyścił dysk. A może wyczyszczono go za niego? Naraz zauważył, że wśród spamowego śmiecia zachowała się wskazówka, że jego brat podczas pobytu w Polsce otwierał jakąś pocztę na serwerze home.pl.

Dziwne. Robert był przekonany, że skrzynka na Onecie jako jedyna obsługuje korespondencję Jacka.

Otworzył stronę, adres Jacka wpisany był w górnym okienku. Brakowało hasła. Poważny problem. Być może jednak do rozwiązania. Wystarczy domyślić się, jaki *password* mógł

wybrać jego ukochany brat. Bez wahania wystukał własne imię – ROBERT.

Nic. Faktycznie to byłoby za łatwe. Przez chwilę miał wrażenie, że zalewa go wodospad możliwości, przez który nigdy nie zdoła się przeprawić. Ale w tym momencie jego wzrok padł na półkę z książkami, wśród których czytelnym napisem na grzbiecie wyróżniał się wielki album Leonarda da Vinci.

Leonardo! Przypomniała mu się rozmowa z Jackiem i jego fascynacja pismem odwrotnym stosowanym przez geniusza!

Nie zastanawiając się, jako hasło wpisał TREBOR. I skrzynka otworzyła się jak automatyczny parasol.

Nie wiedział, czego właściwie szuka, miał jednak dziwne przeświadczenie, że duch brata kieruje jego posunięciami. W skrzynce znajdowało się mnóstwo maili, w tym sporo nieodebranych. Można było wysnuć wniosek, że jakiś program kopiował i przekierunkowywał na Warszawę dane płynące do jego ateńskiego komputera. Trudno zgadnąć motywy, jakimi kierował się Jacek, ustawiając taką opcję. Zresztą nie to było w tym momencie najważniejsze. Cała uwaga Roberta skoncentrowała się na ostatniej informacji, wysłanej w dniu dramatu na Patmos z telefonu komórkowego. Właściwie najważniejszy mógł

okazać się załącznik.

Spoconymi palcami wystukał komendę „otwórz”.

Cały plazmowy monitor wypełniła fotografia płyty z kodem do Apokalipsy.

Boże kochany! Takie proste! Oto ją ma. Przyszłość całej ludzkości i jej nieuchronny koniec na wyciągnięcie ręki.

Nie zabrał się za odczytywanie, ponieważ egzemplarz Nowego Testamentu, jaki znalazł

na półce, nie nadawał się jako baza do odszyfrowywania. Musi poczekać na Gutiereza. Na wszelki wypadek skopiował dane na dwie dyskietki; dodatkowo dla pewności, że nic nie przepadnie, wysłał jeszcze obrazek na swój domowy komputer.

Poczuł się głodny. Przez chwilę bezmyślnie wpatrywał się we wnętrze pustej lodówki.

Potem odgonił myśl pojechania do domu. Nadal źle znosił spotkania z rodzicami. Postanowił

wpaść do którejś z pobliskich pizzerii. Gdy szedł rozgrzaną słońcem ulicą, przypomniał mu się codzienny jogging z Jackiem... Mój Boże!

Z zamyślenia wyrwało go zdanie rzucone po angielsku:

– *Mister Mirski?* Co za przypadek?!

Robert zwolnił. Przez uchyloną szybę białego bmw wychylał się uśmiechnięty wiceminister Leros.

– Pan mnie szukał?

– Skądże znowu! Ale los widocznie chciał, żebyśmy się spotkali. Wczoraj przyjechałem na parę dni do Polski. Nasza ambasada ma rezydencję dwie przecznice stąd... Nigdy bym nie przypuszczał, że tak szybko znowu się spotkamy.

Leros jechał wolno, dostosowując się do kroku Roberta idącego chodnikiem.

– Z tego co wiem, śledztwo drepcze w miejscu – opowiadał. – Artefaktu też nie udało się odnaleźć. Jadł pan już może lunch?

Mirski poczuł ssanie w żołądku. Był głodny jak wilk. Grecki wiceminister chyba to zauważył.

– Wybieram się właśnie do nowo otwartej greckiej restauracji – powiedział. – Mam akurat dwugodzinną przerwę w zajęciach i trochę brakuje mi towarzystwa. Może pozwoli się pan zaprosić?

Robert stanął.

– A gdzie jest ta restauracja? – zapytał.

– Za miastem, niedaleko Łomianek. Zapraszam do wozu.

Bmw miało niezłego kopa, a Leros prowadził równie świetnie, jak pisał.

Wypadli na szosę gdańską i wkrótce skręcili w stronę Puszczy Kampinoskiej. Zdziwiło to Roberta.

– Lokal został urządzony jak typowa grecka tawerna w Tesalii – tłumaczył Leros. –

Zamówię coś, żebyśmy długo nie czekali. – Przez komórkę rzucił parę słów po grecku.

Mirski rozglądał się w poszukiwaniu jakiegoś szyldu wabiącego konsumentów, ale nie zauważył niczego podobnego. Zatrzymali się nagle na skraju jakiegoś zagajnika.

– Do licha, chyba koło poszło – mruknął Leros. – Na szczęście mam zapas.

Robert wyszedł, żeby pomóc. I wtedy z bocznej ścieżki wyszło dwóch ludzi. Jednego z nich znał. Stavros!

Naraz, pomimo upalnego dnia, zrobiło mu się okropnie zimno.

* * *

Upłynęły ponad dwie doby, zanim państwo Mirscy stwierdzili nieobecność syna.

Wprawdzie nie odbierał ich telefonów i nie reagował na pozostawiane wiadomości, ale to zdarzało się wcześniej. Kiedy jednak pojechali do mieszkania na Żoliborzu, po pleśni rozkwitającej w

szklance i po nieodebranej poczcie w skrzynce zorientowali się, że od paru dni nikogo tu nie było. Wpadli w panikę. Obdzwonili znajomych, skontaktowali się z pogotowiem, odwiedzili szpitale. Daremnie. Ani śladu syna. Przyjaciel Jacka z Komendy Stołecznej poruszył niebo i ziemię. Policja znalazła dowody, że ktoś musiał być w mieszkaniu pod nieobecność Roberta. Choć, biorąc pod uwagę brak śladów włamania, posłużył się zapewne jego kluczami. Komputer został wyczyszczony nader profesjonalnie, a lokal gruntownie przeszukany. Czy coś znalezione, trudno orzec. Na pewno brakowało paszportu młodzieńca, choć karty visa jego i brata pozostały w szufladzie, co wykluczało ewentualność wycieczki *last minute*. Zarazem jednak mogło wskazywać na uprowadzenie. Bezwłocznie zaalarmowano porty lotnicze, powiadomiono straż graniczną, powielono i rozesłano zdjęcie Mirskiego. Wszystko na nic. Nazwisko Roberta nie figurowało na listach pasażerów, a żaden z indagowanych urzędników czy funkcjonariuszy nie zapamiętał jego twarzy. Zresztą nie mógł. Bmw, którym minister Leros wracał do Hellady, miało numery dyplomatyczne i żaden celnik czy pogranicznik nie ośmieliłby się otworzyć bagażnika.

* * *

Obudziła go seria nieprzyjemnych szarpnięć. Otworzył oczy. Za okrągłym okienkiem zobaczył przenikliwie błękitne niebo, a równy pomruk silników wskazywał, że znajduje się w powietrzu.

– Drobnie turbulencje, kochany Robercie – wyjaśnił Alexander Leros przypięty do sąsiedniego fotela.
– Przechodzimy przez front burzowy. Nic groźnego.

– Co ja tu robię? – wybełkotał Robert, z wolna przytomniejąc.

– Podróżujesz. Zabieram cię na mój koszt do baśniowych krain.

Jeszcze chwila, a pamięć wróciła mu całkowicie. Przypomniała mu się scena na skraju Puszczy Kampinoskiej, kiedy osłupiały skonstatował, że grecki wiceminister gra w drużynie przeciwnika. Potem nastąpiła desperacka ucieczka przez las, gonitwa wśród krzaków. Stavros okazał się szybszy, powalił go na ziemię, zdzielił pięścią raz i drugi... Robert zapadł w ciemność.

– Zostałem porwany? – jęknął, jakby jeszcze istniały co do tego jakieś wątpliwości.

– Wolałbym określenie „wycieczka sponsorowana”.

– Ale jak znalazłem się w samolocie?

– Chętnie zaspokoję twoją ciekawość – odparł dygnitarz. – Z Polski wyjechałeś jako przesyłka dyplomatyczna. Na lotnisku w pobliżu Ostrawy czekał wynajęty gulfstream, miejscowe służby wzięły wystarczająco wysoką łapówkę i nie nalegały na zbyt dokładną kontrolę ładunku.

– Dokąd lecimy?

– Na początek na wyspy Bahia w Hondurasie. Tam powinien czekać na nas helikopter, który zawiezie nas dalej.

– Ameryka Łacińska?

– Dokładniej mówiąc, Środkowa. Piękne strony, wkrótce się przekonasz.

– Jak? Bez paszportu?

– Ależ masz, masz paszport, drogi przyjacielu. Pomyśleliśmy o wszystkim.

Wraz z powrotem do świadomości Mirski zaczął odczuwać narastający gniew. I równocześnie strach.

– Czego ode mnie chcecie?

– Niewiele. Na razie spełniamy twoje najskrytsze marzenia. Chciałeś być razem z przyjaciółmi. Umożliwimy ci to.

– My, czyli kto? Od początku współpracował pan z tą bandą?

– Nie nazywałbym tak znakomitych naukowców i wybitnych przedsiębiorców połączonych w dążeniu do zapewnienia ludzkości lepszego jutra.

– Razem z diabłem.

Znakomity pisarz roześmiał się.

– Nie wierzę ani w diabła, ani w Boga. Jeśliby jednak istnieli, to mam wrażenie, że szatan jest od zawsze większym przyjacielem człowieka. Nigdy niczego nam nie zabraniał, nie straszył, przeciwnie, zawsze powtarzał: „Róbta co chceta!”

– Prowadząc potępionych do piekła?

– Akurat męki piekielne wymyślił sobie kler, aby trzymać owieczki w ryzach. I artyści pędzla, którym się to świetnie malowało. Zresztą nawet gdyby takie inferno istniało, pośmiertną karą straszyć można tylko tych, którzy mogą umrzeć.

– Nikt nie jest wieczny.

– Nikt? A może się założymy?

Gulfstream zatoczył szeroki łuk ponad pagórkowatym wybrzeżem Hondurasu i wylądował miękko na wyspie Roatan, gdzie zamiast w stronę terminalu, natychmiast odskołował na sam skraj pasa. Czekał tam niewielki śmigłowiec z napisem „Ekologiczny Rezerwat – Gadzia Wyspa”.

Do maszyny niczym podmuch z wielkiego pieca wdarło się gorące powietrze. Była parno, a pierzaste obłoki, płynące od strony lądu, zbijały się w coraz ciemniejszy wał chmur. Stavros i Leros, trzymając Roberta pod rękę, zaprowadzili go do helikoptera. Wóz obsługi honduraskiego lotniska cały czas zachowywał życzliwy dystans. Nawet gdyby Mirski chciał

krzyczeć lub wrywać się konwojentom, nic by to nie dało.

Pięć minut potem srebrzysta ważka znalazła się w powietrzu, biorąc kurs na zachód. W

dole widać było jasnoblękitne płycizny i niebieskie, przechodzące w granat głębie. Po kilkudziesięciu minutach pojawiły się wysepki – plamy soczystej zieleni w piaszczystych obwódkach i ciemnogrnatowy krążek przywodzący na myśl studnię.

– Blue Hole – wyjaśnił Grek. – Raj dla płetwonurków.

Wkrótce śmigłowiec obniżył lot, docierając do archipelagu wysepek tworzących nieregularną elipsę, i skierował się ku jednej z nich. Między palmami pojawiły się dachy niskich budynków, kort, basen i niewielkie lądowisko. Robert zdał sobie sprawę, że są na miejscu.

Nie znał ludzi oczekujących na skraju płyty. Elegancki Murzyn pasował do rysopisu Luke'a Palmera, ale kim mógł być blady brunet o murzyńsko skręconych włosach, którego z wielkim szacunkiem uściskał Leros?

– Zostaniesz z nami kilka dni, Alexandre? – zapytał ministra.

Ten pokręcił głową.

– Nie, Sebastianie. Jeszcze dziś muszę być na kongresie archeologów Mexico City. Ale na wielką premierę wrócę. Możesz być pewny.

Dopiero teraz wełnistowłosa zwrócił się do Polaka:

– Jestem doktor Sebastian Laval. Witam na Gadziej Wyspie.

Zaprowadzono go do jakiegoś baraku. Wciąż nie bardzo wiedział, czego mogą od niego chcieć. Wewnątrz było ciemnawo, w pierwszej chwili dostrzegł jedynie połyskliwy ekran komputera i postać skuloną na pryczy. Stavros zapalił światło.

– Aria!

Dziewczyna była brudna, związana. Usta kneblowała jej taśma klejąca. Pod krzesłem widać było kałuże moczu, którego cierpki odór unosił się w powietrzu.

– Łajdaki! Coście jej zrobili?!

– Jeszcze nic szczególnego – mruknął Laval. – Ale jeśli nie będziesz skłonny do współpracy...

– Co miałbym niby robić?

Laval kliknął myszką. Na ekranie pojawił się obraz płyty świętego Jana. Całej. Chwilę potem zaszemrała laserowa drukarka, wypluwając wydrukowany tekst inskrypcji.

– Odczytasz to! – powiedział doktor.

Aria szarpnęła się na krzesło, a przez taśmę przedarł się nieartykułowany bełkot.

Robert wziął kartkę do ręki.

– Ale ja nie wiem... nie potrafię.

– Potrafisz. Wiemy, że na Kos odszyfrowaliście jedną trzecią tekstu.

– Nie ja... To ojciec Gutierrez, zwróćcie się do niego.

– Trzeba by wpierw zorganizować seans spirytystyczny. Ojczulek dawno gryzie ziemię.

Robert popatrzył na Greczynkę, licząc, że ta zaprzeczy. Mavreli tylko zwiesiła głowę.

– Gdybym mógł, natychmiast wziąłbym się do roboty, ale to naprawdę przekracza moje możliwości.

– Cóż, przekonamy się. Stavros, skalpel!

Zbir podał mu nóż. Laval ciął ramię Arii i krew trysnęła jak fontanna. Z ust Luke'a Palmera wydarło się ciężkie westchnienie.

– Wykrwawi się w ciągu kwadransa – wyjaśnił doktor tonem wykładowcy. – Gdy umrze, zabierzemy się za ciebie.

– Nie, nie! – zaprotestował Robert. – Zatamujcie krew, zrobię, co każecie.

Aria znów próbowała krzyknąć, natomiast na twarzy Palmera pojawił się wyraz ulgi.

Laval uśmiechnął się z satysfakcją.

– Słyszałeś, co powiedział ten młodzieniec, Luke? Opatrzcie damę i zabierzcie w przyjemniejsze miejsce. Może się nawet umyć. A my do roboty...

– To nie takie proste – powstrzymywał go Robert. – Oprócz samego klucza potrzebna jest księga...

– Apokalipsa! Zaskoczę cię, ale wpadliśmy na to jakiś czas temu. I jesteśmy na to przygotowani. Green!!! – Po chwili detektyw zjawił się z naręczem książek. – Proszę, przyjacielu, masz tu egzemplarz grecki, łaciński, angielski, nawet polski. Uprzedzam tylko, że granie na zwłokę nic nie da...

– Nie chodzi o czas. Sami możecie się przekonać, że przyjęcie jako podstawy którejs z tych wersji Objawienia sprawi, że otrzymamy zwyczajny bełkot.

– Dlaczego? – Doktor wyglądał na stropionego.

– Święty Jan Ewangelista, szyfrując przekaz, posłużył się swoim autorskim egzemplarzem. I tylko taki pozwoliłby na odczytanie tablicy. To żelazna zasada szyfru książkowego.

Laval zmarszczył czoło.

– Ken – rzucił po krótkim namyśle do szefa ochrony, który cały czas milcząco trwał na progu – rewidowałeś tego martwego klechę? Były przy nim jakieś papiery?

– Nie.

Sebastian zaklął.

– Najstarszą wersję Apokalipsy zawiera „Rękopis Synajski” – dodał Ken Robinson. –

Mieliśmy jego kopię w fundacji, ale zniknęła...

– Trzeba to ściągnąć. Jak najszybciej. Trzeba wysłać kogoś do Egiptu. Wezwijcie Stavrosa.

Tak czy siak zyskałem trochę czasu, pocieszał się Robert. Jednak okazało się, że nadzieje na zwłokę są płonne.

– W Tropical Paradise na Caye Caulker zostały rzeczy księżula – powiedział Stavros. –

Może zamiast podróżować na Synaj, warto najpierw je przetrzepać?

– Doskonale, popłyn tam i wracaj jak najszybciej.

Zbir zmył się, a Laval ponownie zwrócił się do Mirskiego:

– Lubię inteligentnych młodych ludzi, którzy chętnie ze mną współpracują. Do jutra możesz odpoczywać. Ale liczę, że kiedy dostaniesz Apokalipsę, szybko weźmiesz się do roboty.

Robert skinął głową, a doktor zwrócił się do Greena:

– Weź go na basen, Steve, ale nie spuszcza z niego z oka.

* * *

Szli wśród kęp bambusów, co rusz omijając dorodne iguany wylegające się na ścieżce.

Przy baraku chińskich strażników powitał ich skrzek barwnych papug. Wśród olśniewających kwiatów unosiły się długodziobe kolibry.

Gdyby nie okoliczności, mógłbym pomyśleć, że wylądowałem w raju, przemknęło Robertowi przez myśl. Podziwiając cuda przyrody, starał się równocześnie dostrzec jak najwięcej urządzeń zabezpieczających. Rejestrował w pamięci zasieki i radary. Liczył

strażników.

Detektyw przejrzał go w lot.

– Stąd nie można uciec – powiedział. – Zresztą dokąd?

Mirski natychmiast posmutniał. Green, który wyglądał na człowieka o miękkim sercu, natychmiast to spostrzegł.

– Wszystko będzie dobrze – pocieszał Polaka. – To tylko biznes. Zrobisz swoje i cię wypuszczą. Popatrz na mnie. Na początku też się bałem i oczekiwałem najgorszego. A stanę się nieśmiertelny.

Zwariowali! Najpierw Leros plótł coś o wiecznym życiu, teraz ten... pomyślał Mirski, ale nie przerywał detektywowi.

Green okazał się nad wyraz rozmowny. Tym bardziej że długonoga Murzynka przyniosła im drinki wprost nad basen.

Po godzinie byli zaprzyjaźnieni. Steven wypytywał Roberta o zdarzenia na Patmos.

Wytłumaczył też, dlaczego przeszedł do obozu wroga.

– Życie wieczne to całkiem dobra cena za skurwienie – rzekł, opowiadając o istocie realizowanego programu. – Zresztą nie musiałem nawet nikogo zabić.

– Wasza kalkulacja ma sens pod warunkiem, że rychło nie nadejdzie koniec świata i dzień sądu. Bo wówczas cała nieśmiertelność będzie warta tyle co zeszłoroczny kalendarz –

ripostował Robert. Zauważył, że ta uwaga zrobiła na detektywie pewne wrażenie.

– Wierzysz w takie bzdury? – sapnął.

– Znam tylko część proroctwa. Pierwsze jedenaście lat do roku dwa tysiące piątego. Do tej pory wszystko się zgodziło...

– Jak to jedenaście? – Steven wyglądał na poruszonego. – Co sugerujesz? Że ludzkości zostały tylko dwadzieścia dwa lata?

– Moim zdaniem nawet nie dwadzieścia dwa. Ale teraz chcę zanurkować.

Kąpiel orzeźwiła go, ale na krótko. Robiło się coraz parniej, słońce, jeszcze przed półgodziną przepiekające niczym żelazko, znikło pod pierzyną nadciągających chmur. Green wypił jeszcze dwa drinki i zamilkł. Widać było, że problem niepewnej przyszłości mocno go gryzie. Po następnej godzinie zaproponował Mirskiemu, aby się zbierał, milcząco zaprowadził go do jego pokoju (czy raczej celi) w jedynym ze skrzydeł wielkiej posesji, i dopiero na progu szepnął mu prosto do ucha:

– Jorge żyje!

Ale zanim osłupiały Mirski zdążył zareagować, wepchnął go do pokoju i zaryglował drzwi.

Burza rozszalała się po zmierzchu. Najpierw zerwał się porywisty wiatr, potem całe niebo stanęło w ogniu. Zmęczenie okazało się silniejsze i mimo rozpoczynającego się pandemonium Robert zapadł w sen. Ciężki i bardzo krótki. Obudził go ogłuszający grom.

Piorun strzelił gdzieś blisko, trafiając zapewne w instalację elektryczną, zgasły wszystkie światła na zewnątrz i wewnątrz, jakby sam Stwórca stracił cierpliwość, pogrążając Gadzią Wyspę w mroku.

O dach budynku zadudniły ciężkie krople, wnet zmieniając się w ulewę. W Europie określono by ją „oberwaniem chmury”, w tropikach mieściła się w kategorii „opadów przelotnych”.

Dobry kwadrans leżał wsłuchany w odgłosy nawałnicy, nie powracał ani sen, ani światło.

Nieoczekiwanie otworzyły się drzwi.

– Śpisz? – dobiegł go szept Stevena Greena. – Zmywamy się stąd – powiedział detektyw.

Kompletnie zaskoczony Robert dał się ubrać jak grzeczne dziecko i razem wyszli w ulewę.

– Nie mogę na to pozwolić! Nie mogę! – powtarzał półgłosem Amerykanin, prowadząc go alejką biegnącą przez środek wyspy

– Na co nie może pan pozwolić?

– Na kolejne zbrodnie. Dowiedziałem się, że postanowili was rozwalić, kiedy tylko odczytacie tekst.

– Chcą nas zabić? Z jakiego powodu? W czym im zagrażamy?!

– Na wszelki wypadek. Może dla przyjemności! Laval jest psychopatą, podobnie jak Frischke. Razem opętali starego Hollmayera. A reszta wykona każdy rozkaz.

– A pan?

– Ja nie!

– W takim razie, co chce pan zrobić?

– Wiać stąd! Awaria elektryczności to dla nas dar niebios.

Znaleźli się na skraju lądowiska, na którym w strugach deszczu majaczył śmigłowiec – wielka zmoknięta ważka.

Parę kroków dalej zobaczyli nieruchome sylwetki dwóch Chińczyków w wielkich wojskowych pelerynach – strażników maszyny.

– A co z Arią i ojcem Gutierrezem? – szepnął Robert do Greena.

– Zaraz tu będą!

Prawie natychmiast usłyszał za sobą trzask łamanych gałęzi. Obok nich wyłoniły się trzy przygarbione sylwetki. Zbiegowie bezzwłocznie przypadli do ziemi. Aria, Jorge i... Luke Palmer?!

– Pppan z nami? – zdumiał się Polak.

– Wbrew temu, co się sądzi o Murzynach, ten facet wierzy w Boga – poinformował

Roberta Gutierrez.

– Od dawna miał dość – dorzucił Steven.

Afroamerykanin tylko błysnął białkami oczu. Gestem pokazał, by zachowali spokój.

Mruknął coś do Arii. Ta skinęła głową. Luke wyszedł na otwartą przestrzeń i krzyknął do Chińczyków. Poderwali się, a jeden ruszył w jego kierunku. Nie słyszeli rozmowy, w każdym razie strażnik spokojnie zarzucił broń na plecy i ruszył w stronę alejki, natomiast Palmer zbliżył się do jego kolegi.

Kitajec mijał ich kryjówkę, kiedy wysunięta stopa Arii podcięła mu nogi. Potknął się i w tym momencie dziewczyna spadła na niego z obnażonym nożem.

Deszcz zagłuszył rżenie. Drugi z żółtków chyba coś usłyszał albo przeczuł, bo sięgnął

po broń, ale w tym momencie Palmer, były żołnierz piechoty morskiej, schwycił go w stalowy uścisk i wprawnym ruchem zgruchotał mu kark.

– Pośpieszcie się! – zawołał do pozostałych.

Wbiegli na płytę.

– Czy ktoś umie tym kierować? – zapytał niespokojnie Jorge.

– Ja – odparł Luke, otwierając drzwi kabiny śmigłowca. – I nawet postarałem się o klucz.

– Startuj, będę cię osłaniał – powiedział Green, zajmując z odbezpieczonym uzi miejsce w rozsuniętych drzwiach helikoptera.

Silnik kaszlnął, ale zaskoczył, a łopaty wirnika zaczęły coraz prędzej rozgarniać strumienie deszczu.

Jeśli myśleli, że odlecą bez kłopotów, mylili się. Byli może metr nad ziemią, kiedy z hangaru wypadło paru rozwrzeszczanych Chińczyków. Green zaczął strzelać i faceci padli jak marionetki, którym urwano sznurki.

– Prędzej, prędzej! – gorączkował się Robert.

Napastników przybywało, wypadali z baraków, półnadzy ale uzbrojeni. Strzelali nieskutecznie – żadna z kul nie trafiła w maszynę unoszącą się coraz wyżej.

– Patałachy! – wrzeszczał Green, siejąc prawdziwe spustoszenie. Nie zauważył niestety muskularnej postaci, która zajęła stanowisko na balkonie domu. Ken Robinson! Uzbrojony w karabin snajperski, oparł broń o balustradę, przyklęknął... Wówczas dostrzegł go Gutierrez.

– Uważaj, Steve! – krzyknął.

Za późno. Kula trafiła detektywa w pierś. Trzeba było trafu, że biorąc kurs w stronę morza, Palmer właśnie pochylił maszynę. Ranny Green wypuścił z rąk automat i chciał złapać się drzwi. Minął je o centymetry i wypadł na zewnątrz. Kawalek koszuli, za który zdołała chwycić go Aria, został jej w rękach. Koziółkując w locie, nieszczęśnik runął jak worek na kort tenisowy.

– Boże, bądź mu miłościw! – wyszeptał były duchowny.

Robinson nie oddał kolejnego strzału. Może broń mu się zacięła, a może palmy zasłoniły śmigłowiec. Jeszcze chwila, a Gdzia Wyspa pozostała daleko w tyle. W kabinie zachrypiało radio:

– Luke, jesteś już trupem – usłyszeli wściekły głos Lavalá. – Obedrę cię żywcem z tej twojej hebanowej dermy!

Nie odpowiadając na pogróżki, Palmer spokojnie wyłączył głośnik.

– Dokąd lecimy? – zapytała Aria, podnosząc głos, by przekrzyczeć warkot silnika.

– Meksyk! – odkrzyknął Murzyn. – Tam powinniśmy być w miarę bezpieczni. Paliwa spokojnie wystarczy nam do Cancunu.

– Zaraz, zaraz! Musimy zrobić przystanek w Caya Caulker – zaprotestował Jorge – Tam zostały nasze rzeczy...

– Rozumiem, że chodzi panu o to, a nie o bikini panny Mavreli? – Murzyn rozpiął kurtkę i wyciągnął spod koszuli kilkanaście kartek z tekstem Apokalipsy, skopiowanych z „Rękopisu Synajskiego”. – Stavros przywiózł to jakieś dwie godziny temu. Wręczył mi, abym zaniósł

Ałowi. Na nasze szczęście szef już spał...

– Nie wiem, jak panu dziękować! – zawołała Aria.

– To jeszcze nie wszystko. – Zadowolony z siebie majordomus Hollmayera sięgnął do kieszeni. – Wydaje mi się, że bez paszportów też byście daleko nie zalecieli.

Nie wierzyli własnym oczom.

– Nie wiem, jak panu dziękować – wybełkotał Robert.

Aria po pierwszej euforii wywołanej uwolnieniem wołała zadawać bardziej zasadnicze pytania:

– Dlaczego pan to dla nas robi?

– Dobrze pytanie. Jeśli pozwolicie, odpowiem, kiedy wylądujemy. Teraz jest zbyt głośno.

Słowa dotrzymał, choć na odpowiedź musieli trochę poczekać.

Zaraz po wylądowaniu w Cancun, gdzie mieszkańcy z Gadziej Wyspy musieli być częstymi gośćmi, bo nikt na lotnisku nie wydawał się zaskoczony ich przybyciem i nie stwarzał najmniejszych problemów, Palmer wynajął pierwszy z brzegu minibus z zaspanym kierowcą i zamiast zakwaterowania w ruchliwym centrum turystycznym zaproponował

przejazd do odległego o kilkadziesiąt kilometrów na południe Playa del Carmen.

– Nie namierzą nas tam? – dopytywał się Robert.

– Z pewnością namierzą – odparła Aria, która dopiero co skończyła rozmowę ze Stanami.

– Pytanie kiedy? – Tu zwróciła się do Luke’a: – Mają drugi śmigłowiec?

– Mają hydroplan – odpowiedział Palmer, zamykając drzwi samochodu. – A właściwie mieli. Biedny Steven zadbał, żeby dzisiejszej nocy był niezdalny do użytku. Mogą naturalnie posłużyć się „Salome”. Przy tej pogodzie nie dotrą tu wcześniej niż jutro. I to pod warunkiem, że będą wiedzieli, gdzie nas szukać. Śmigłowiec zlokalizują łatwo, ale nas... Mogliśmy przecież pojechać dokądkolwiek w Meksyku.

– A ten taksówkarz? – Jorge ściszył głos. – Możemy być go pewni?

– Sprawdziłem, nie mówi po angielsku. Poza tym dostanie sporo pieniędzy za to tylko, aby po dowiezieniu nas na miejsce przez dwie doby nikt go nie znalazł.

– Zatem nasza sytuacja nie jest zła – podsumowała Mavreli. – Najpóźniej wieczorem Conolly przyśle tu swoich ludzi, a ci nas ochronią.

– Ze swej strony postaram się skontaktować z detektywem Jackiem Brownem. Green zostawił mi jego namiary – dorzucił Luke.

Tymczasem meksykański kierowca zapalił silnik.

Z lotniska dojechali dwupasmówką do drogi numer 307, ale zamiast w lewo na Cancun skręcili na południe.

Teraz, zgodnie z obietnicą Palmer opowiedział o motywach swojego postępowania.

Poświęcił Hollmayerowi dwadzieścia pięć lat. Był jego powiernikiem, kierowcą, sekretarzem, rajfurem...

– Czasami czułem się nawet jak jego adoptowany syn – mówił – któremu jednak, co jakiś czas, dość brutalnie pokazywano, gdzie jest jego miejsce. Mimo to przywiązałem się do Ala.

Można nawet powiedzieć, że go polubiłem, jeśli w ogóle da się polubić bryłę lodu. Czasami współczułem mu, widząc, jak bardzo jest samotny i jak stara się nie okazywać strachu.

– Czego się bał? – spytała Aria.

– Śmierci. Prześladował go ten rodzaj lęku, który starannie maskowany, tli się przez cały czas, by w szczególnym momencie eksplodować jak prawdziwy gejzer. Nienawidził

kostuchy, gardził nią i bał się... Trudno mu się zresztą dziwić. Miał wszystko, a nawet dużo więcej. Ale życia... tego jednego nie mógł sobie kupić. Ba, nie był w stanie dowiedzieć się, co go czeka po drugiej stronie.

– Stąd pomysł powołania fundacji? – domyślił się Gutierrez.

– Oczywiście... Zresztą jego działalność nie ograniczała się do fundacji. Był czas, kiedy próbował wykupić sobie miejscówkę do raju. Trudno zliczyć wszystkie jego dotacje dla rozmaitych Kościołów, akcje humanitarne... Aż nagle pojawił się Laval z doktorem Frichke.

Oni omamili go wizją wiecznego życia. Parę lat wcześniej odesłałby ich do diabła, z którym zresztą obaj są w doskonałej komitywie. Tym razem jednak obaj kusiciele trafili na dobry moment. Al przeżywał kryzys, zdrowie, dotąd żelazne, zaczynało szwankować, a wy w fundacji ciągle nie potrafiliście dostarczyć niezbitych dowodów na to, że „można sobie załatwić żywot wieczny, amen”.

– Pan nie uwierzył Lavalowi? – chciała wiedzieć Aria.

– Od urodzenia należę do niedowiarków. Uznałem jednak, że gra jest warta świeczki.

Szef czuł się coraz gorzej... Nie przewidziałem jednak wszystkich konsekwencji – w ciągu pół roku Frischke, Laval i Robinson przejęli nad nim pełną kontrolę. Co gorsza nie przypuszczałem, że są zdolni posunąć się do zbrodni.

– Ale się posunęli. – W głosie Gutierieza zabrzmiała cierpka satysfakcja.

– Tak. A ja nic w tej sprawie nie mogłem zrobić. Nawet ostrzec przyjaciół... Na szczęście Al, kiedy trochę wydobrzał, powściągnął ich ekstremizm. Cel stawał się coraz realniejszy.

Sukces był w zasięgu ręki. I gdyby nie ta afera z tablicą... Nie byłem przy tym, kiedy z kół

handlarzy antykami w Azji Mniejszej przyszła wiadomość o pańskim odkryciu, panie Robercie. Wiem, że Sebastian się przestraszył, a jego panika udzieliła się szefowi. Na pomoc Konstantinosowi w Grecji ruszyły Stavrosy sobowtóry. Resztę znacie...

Zapadła cisza przerywana jedynie hałasem samochodów jadących z naprzeciwka. Po dłuższej chwili Aria rzekła:

– Jednak coś się musiało zmienić, skoro dzisiejszej nocy zdecydował się pan wypowiedzieć posłuszeństwo.

– Green mnie przekonał. Biedak poważnie przejął się perspektywą Sądu Ostatecznego.

– A pan się nie przejął?

– Jak powiedziałem, jestem sceptykiem. Wychowałem się w czarnym getcie w Detroit.

Moja matka była bardzo pobożna. Ja przestałem chodzić do kościoła, kiedy miałem dwanaście lat. Zapewne gdyby nie moja smykałka do sportu, skończyłbym jako ćpun na ulicy lub dealer w mamrze. Dzięki koszykówce ukończyłem college i poznałem lepszy świat.

Potem trafiłem do woja – trzy lata w marines, akcja w Grenadzie. Rana... A potem zupełnie przypadkowo dostałem robotę jako ochroniarz w jednej z rezydencji szefa... Ale chyba odbiegłem od tematu. Miałem mówić o moich relacjach z Panem Bogiem. Byłem więc, jak to się mówi, wierzącym niepraktykującym, chociaż po paru latach spędzonych w fundacji uznałem, że jednak są na niebie i ziemi rzeczy, o których nie śniło się filozofom.

– Więc jednak wierzysz?! – ucieszył się Gutierrez.

– Powiem tak: biorę pod uwagę, że prorocтва dotyczące końca świata mogą się sprawdzić. Jeśli nie, nie będę się martwił. Jestem stosunkowo młody i jeśli technologia wiecznego życia się rozpowszechni, załatwię ją sobie i bez Hollmayera. A w żadnym mordowaniu brać udziału nie będę. Wiesz, co powiedziała kiedyś Vassylika Kenowi Robinsonowi? „Kto księdza zabije, siebie zabije”...

Oparty ramieniem o eksjezuitę, Robert poczuł dreszcz.

Taksówka przeleciała przez uśpioną Playa del Carmen, minęła przystań, z której odchodzą promy na wyspę Cozumel, zwolniła nieco na „śpiących policjantach”

rozmieszczonych wzdłuż rzędu hoteli, których architekci na siłę starali się wzorować na budowniczych piramid Majów. Wreszcie po paru kilometrach zatrzymała się przed niedużym obiektem z drewna, krytym dachem z liści palmowych i opatrzonym napisem „Hotel Cenota”.

– Skąd wziął pan ten adres? – zapytała Aria. – Był pan tu kiedyś?

Murzyn pokręcił głową i pokazał kolorową reklamówkę, którą wziął na lotnisku.

– Spodobała mi się nazwa i miejsce. Według informacji mają wolne, niezbyt drogie pokoje.

Po kwadransie dzwonienia udało się obudzić młodą Indiankę, która w jarzeniowym świetle recepcji wyglądała jak dziewczyna topielica, świeżo wyciągnięta z dna świętej studni w Chichen Itza. Drugi kwadrans zajęło tłumaczenie jej, że cztery dorosłe osoby potrzebują czterech osobnych pokoi.

Kiedy pertraktacje dobiegły końca, śmiertelnie zmęczony Robert po prostu spał na stojąco. Recepcjonistka rozdała wreszcie plastikowe klucze, wyglądem przypominające karty kredytowe.

Palmer wziął pokój numer 121, Aria 122, Robert 123, a Jorge 124. Apartamenty znajdowały się obok siebie, na pierwszym piętrze, wzdłuż drewnianego ganku okalającego dziedziniec z niewielką na wpół wyschniętą sadzawką wśród kamieni, nie próbującą nawet udawać basenu. Przechodząc obok niej, Robert zauważył, że wykute w skale schodki schodzą do lustra wody położonego dwa metry poniżej poziomu dziedzińca.

– Masz reprodukcję inskrypcji? – zapytał go półgłosem Jorge, kiedy młody Polak walczył

z drzwiami zaopatrzonymi w zamek elektroniczny. – Pożycz mi ją do rana.

– Chcesz jeszcze popracować? Teraz? – zdziwił się Mirski. – Myślałem, że zabierzmy się za to jutro. Razem.

– Oczywiście, oczywiście, będziesz pierwszym, który pozna tekst proroctwa, ale uwierz mi, poczuje się znacznie lepiej, jeśli będę miał to przy sobie.

– Nie ma sprawy! Proszę.

Po kolejnej próbie obok klamki zabłyśło zielone światełko i zamek wreszcie ustąpił.

Mirski wtoczył się do wnętrza. Miał nadzieję, że nie zaśnie przed dotarciem do łóżka.

12.

Nić Ariadny

Robertowi przyśnili się Chińczycy. Długie szeregi uzbrojonych Chińczyków ciągnących o zmroku pod stromą górę przypominającą tę, którą widział na amatorskim filmie brata nakręconym na Synaju. Tylko co mogli mieć wspólnego Chińczycy i Dziesięcioro Przykazań? Śniąc, usiłował analizować sens snu, ale nic mu z tego nie wychodziło.

Nieoczekiwanie nastąpił wstrząs. Mroczne góry ożyły, Mirski czuł, że jakaś wewnętrzna siła każe rozstępować się ziemi, zapadać szczytom. Chińczycy znikli, pozostał sam, wczepiony palcami w kamienistą glebę, kiedy ponad nim ukazała się olbrzymia oślepiająca tarcza słońca.

A może nie było to wcale wschodzące słońce? Może obserwował wybuch nuklearny?

Współczesną wersję końca świata. Nie wiadomo dlaczego pomyślał o samochodzie pozostawionym gdzieś na parkingu u stóp gór.

Cholera jasna! Szlag trafi całą automatykę!

Nie słyszał archanielskich trąb, choć powinny chyba się odezwać. Wraz z przygaśnięciem światła ujrzał cienie. Tysiące, może miliony cieni zstępujących z niebios i równocześnie wypływających z podziemi. Czyżby śpieszyli na Sąd Ostateczny? Jakże się on i wszyscy pomieszczą w dolinie Cedronu?, pomyślał.

Tymczasem ziemia rozstała się pod nim i ogarnęła go duszna ciemność.

Leżał teraz na wznak z rękami złożonymi na piersiach. Uniósł nieco głowę i uderzył nią w drewnianą deskę. Podobny efekt spowodowała próba poruszenia nogami lub rękami.

Poczuł ukłucie drzazgi w opuszcze palca... Ogarnęła go panika gdy uświadomił sobie, iż znajduje się w prostokątnym pudle z nie heblowanego drewna. Biedatrumnie, w jakich zwykło się chować ofiary masowych kataklizmów lub katastrof lotniczych.

„Co ja tu robię?! Przecież ja żyję! Żyję!” – wrzasnął. Miał to być krzyk zdolny poruszyć ziemię, ale zabrzmiał jak stłumiony szept kogoś, kto ma zaszyte wargi.

Skąd to wrażenie? Pojął szybko. Po prostu się dusił. Leżał w trumnie zapewne już jakiś czas i zapas powietrza się kończył. Trenując jako nurek długotrwały bezdech (jego rekord zbliżał się do pięciu minut), potrafił doskonale sobie wyobrazić śmierć przez uduszenie. Parę razy balansował na krawędzi, ale był z nim trener, zawsze mógł wypłynąć, zaczerpnąć powietrza z butli. A teraz...

Przypomniał sobie o komórce. Coraz częściej umierający domagali się, aby chować ich z aparatami komórkowymi. On też starał się z nim nie rozstawać.

Kieszenie spodni okazały się puste, jednak koniuszkami palców prawej ręki namacał

charakterystyczny kształt obok kolana. Była tam. Kochana stara nokia! „Chodź do mnie, malutka”, wyszeptał. W trumnie jednak nie sposób się schylić. Co gorsza, trącony palcem aparat osunął się centymetr niżej.

No to koniec. Otaczająca go ciemność stała się jeszcze bardziej smolista, a łomot serca odbijający się o ściany trumny brzmiał niczym cwał jeźdźców Apokalipsy. Robert pohamował histerię. Przypomniawszy sobie o nogach. Komórka leżała na wysokości łydki. Gdyby udało się ją odbić w górę. Majowie grający w pelotę, podbijając ciałem piłkę, dokonywali znacznie większych sztuczek. A potem i tak szli pod nóż, przypomniawszy sobie opowieści przewodnika z Tikal.

Powietrza było coraz mniej. Chrzanić to! Napiął mięśnie...

Do rzeczywistości przywołał go dzwonek telefonu. Strachy pierzchły. Słońce wlewało się do hotelowego pokoju przez niedomknięte żaluzje, niosąc zapachy pobliskiej dżungli i śpiew ptaków.

Podniósł słuchawkę.

– Wiesz, która jest godzina? – przywitała go Aria. – Jedenasta! Strasznie zaspaliśmy.

Gotowi nie dać nam śniadania.

– Będę na dole za pięć minut.

Restaurację hotelu Cenota tworzyło kilkanaście drewnianych stołów ustawionych wśród hibiskusów i bugenwilli pod galerią otaczającą patio.

Mavreli już czekała, wykąpana, bez najmniejszego śladu niedawnych przeżyć. Nawet blizna zniknęła pod nieco dłuższym rękawem. Z uśmiechem niefrasobliwej turystki Aria składała zamówienie wymokniętej dziewczynie, która za dnia pełniła, jak widać, funkcję kelnerki.

Mirski dołączył do Greczynki, która na powitanie nadstawiła policzek do pocałunku. Zgodnie zamówili jajka sadzone i mnóstwo sałatek owocowych.

Dopiero teraz zauważył, że są jedynymi gośćmi na dziedzińcu.

– Dzwoniłaś już do ojca Gutiereza? – zapytał.

– Nie ma go w pokoju. Podobnie jak Palmera – odparła Aria. – Być może poszli na spacer albo siedzą w sali z Internetem... Rozmawiałam za to z Sidem Conollym. Ich samolot ląduje w Cancunie za parę godzin.

– Świetnie.

Zaspokoiwszy pierwszy głód, wypatrzył napis na drzwiach w końcu dziedzińca. „Diving Center”. Chociaż miał uszkodzony błędnik, pasja dała o sobie znać. Zagadnął kelnerkę:

– Gdzie się nurkuje w waszej okolicy?

– Tu! – Wskazała dziurę z oczkiem wodnym pośrodku dziedzińca.

– W tej kałuży? – roześmiał się Robert.

W odpowiedzi padło słowo *cenota*. Oczy Polaka zabłyśły. W przewodnikach dla miłośników nurkowania można znaleźć mnóstwo informacji o podziemno-podwodnych jaskiniach, tworzących prawdziwy labirynt pod Jukatanem. Niektórzy autorzy twierdzili, że cały system liczy ponad dwadzieścia pięć tysięcy kilometrów, inni, że jeszcze więcej. Czyżby tu, na dziedzińcu, znajdowało się jedno z wejść do takiej jaskini jako dodatkowa atrakcja dla turystów?

Dziewczyna potwierdziła, mówiąc jednocześnie, że zamiar nurkowania trzeba zgłaszać przynajmniej dzień wcześniej, ponieważ penetrowanie jaskiń wymaga doświadczonych przewodników. Sądząc z prospektu, który im podała, tras rozpoczynających się w hotelu było parę. Jedne tworzyły niezbyt długie pętle, inne prowadziły do wyjść poza hotelem, jeszcze inne łączyły się z całym labiryntem innych pieczar i na koniec z morzem.

Miał jeszcze mnóstwo pytań, ale Aria zmieniła temat i zapytała:

– Bardzo tu pięknie, tylko dlaczego hotel wygląda jakby był pusty?

– Bo jest pusty – odparła kelnerka. – Mieliśmy rezerwację dla sporej grupy Japończyków, ale z powodu burzy zostali w Mexico City i dotrą dopiero jutro. Na razie jesteście państwo sami.

– A nasi przyjaciele? Zjedli już śniadanie?

– Nie. Państwo przyszli pierwsi..

To stwierdzenie zaniepokoiło Roberta.

– Czy to znaczy, że panowie z pokoi sto dwadzieścia jeden i sto dwadzieścia cztery nie opuszczali dotąd hotelu?

– Ja ich nie widziałam. W każdym razie w recepcji nie ma kluczy do ich pokoi.

Robert i Aria poderwali się z miejsc.

Przebiegli przez salę komputerową, klub fitness – ani śladu. Dłuższą chwilę łomotali do pokoi 121 i 124, ale nikt nie odpowiadał. Wezwana pokojówka zjawiła się z duplikatami kluczy. Pokój Luke’a Palmera wyglądał tak, jakby nikt w nim nie spał. A Gutiereza?

– *Per Dios!* – pisnęła pokojówka.

Jorge leżał na podłodze obok stolika, twarzą do dołu, a wokół niego czerwieńiała olbrzymia kałuża. Aria uknęła przy nim.

– Żyje, ale stracił mnóstwo krwi! – zawołała. – Wezwij pomoc! – rzuciła do poblądłej pokojówki, która wybiegła z pokoju. – A ty pomóż mi go obrócić, Bob...

Rana wskazywała, że morderca ugodził duchownego w brzuch, od przodu, najwyraźniej wykorzystując ufność i pełne zaskoczenie ofiary, która być może sama otworzyła przed nim ramiona.

Poruszony Gutierrez jęknął i otworzył oczy.

– Pułapka, uciekajcie...

– Zostaniemy z tobą.

– To moja wina. Głupota... – Z trudem wymawiał urywane słowa. – Uwierzyłem w mistyfikację... Oni tylko chcieli, żebym odczytał...

– I odczytałeś? – wyrwało się Robertowi. – Wszystko?

– Odczytałem. Idą niezwykle czasy. Straszne i piękne. Jezus jest blisko.

– Ale oni nie wygrają?

– Uciekajcie! Uciekaj... – powtórzył Gutierrez i znieruchomiał. Jego szkliste oczy zastygły wpatrzone w sufit. A może gdzieś wyżej...

Z piersi Roberta wydobył się szloch.

Aria przez chwilę próbowała reanimować eksmnicha, jednak w końcu zrezygnowała.

Kłęczeli ogłuszeni obok zwłok, a ponura prawda torowała sobie drogę do ich świadomości.

Odegrali rolę w scenariuszu napisanym przez wroga. Pozwolono im uciec, ba, poświęcono nawet paru Chińczyków.

Zresztą kto wie, czy poświęcono? Być może z wyjątkiem kuli, która zabiła Greena (ten zapewne działał w dobrej wierze) wszystkie pozostałe były ślepakami. Cel inscenizacji był

prosty – odczytać inskrypcję. Hollmayer czy Laval, ktokolwiek wymyślił ten szatański plan, doskonale wiedział, że Gutierrez prędzej by zginął, niż powierzył swe odkrycie wrogom. Ale gdyby przekonać go, że jest na wolności? Psychologiczne zagranie okazało się bezbłędne!

Pierwsze, co zrobił Jorge, to mimo zmęczenia odszyfrował tekst.

Rozejrzeli się po pokoju. Ani skrawka papieru. Pod stołem znaleźli jedynie długopis, który wypadł z palców zaatakowanego księdza. Czy zabił go Palmer, czy Stavros, miało w tym momencie mniejsze znaczenie. Aria podejrzewała Murzyna – ufny do końca Jorge nie bronił się. Poza tym zawodowy zabójca zadałby cios zdecydowanie precyzyjniej.

Tymczasem do ich uszu dotarł dziwny dźwięk. Przypominało to szum wiatru albo raczej szmer zgromadzonego tłumu. Mavreli dopadła okna i szarpnęła żaluzje.

– Pali się!

Ogień musiał wybuchnąć nagle w paru miejscach naraz, bo rozprzestrzenił się błyskawicznie. Płonął już daszek nad recepcją, jęzory płomieni wspinały się po drewnianych ścianach i galeriach.

Wypadli na korytarz. Wzdłuż podłogi snuły się już smugi dymu. Wołając: „Pożar! Pali się!”, zbiegli na dół, nigdzie nikogo nie napotykając. Ani śladu personelu. Podbiegli do drzwi wyjściowych. Zamknięte i zabarykadowane na głucho! W kuchni i w pomieszczeniach biurowych na parterze szalało morze ognia... Czyżby hotel podpalono ze wszystkich stron?

Robert wpadł w panikę. Próbował jeszcze przez restaurację wydostać się na zewnątrz, ale wszystkie sale stanowiące zewnętrzny krąg budynku zmieniły się w ogniste piekło. Dym gryzł w oczy i nozdrza, żar stawał się nie do wytrzymania. Na szczęście Aria nie straciła głowy.

– Chodź! – Pociągnęła go w stronę *diving clubu*.

– Co ty kombinujesz? Chcesz wziąć maski i butle i próbować przebić się przez pożogę?

– Cenota! – rzuciła jednym słowem.

Pojął natychmiast. Jedyna droga ucieczki prowadziła przez zalane wodą pieczary. Może wystarczy tylko przeczekać pożar pod wodą? Błyskawicznie nałożyli sprzęt, maski, kamizelki z butlami, pasy balastowe i z płetwami oraz latarkami w rękach wypadli na dziedziniec.

Wszystko płonęło: galerie, stoły, krzesła, nawet drzewa. Zbiegli do oczka wodnego i śmiało skoczyli w toń. Pod nogami nie wyczuli gruntu. Kelnerka mówiła prawdę. Niepozorna sadzawka była faktycznie wąskim włazem. Tuż pod nim kryła się obszerna grotka, z której pochyły chodnik prowadził w głąb ziemi. Usunęli resztę powietrza z kamizelek i dopiero teraz włożyli płetwy. Aria zapaliła latarkę i ruszyła jako pierwsza. Po kilkunastu metrach natrafili na rozwidlenie tuneli i dziewczyna bez wahania wybrała skręt w prawo. Skąd miała pewność, że należy posuwać się tą drogą? – zastanawiał się Robert.

Domyśliła się jego wątpliwości i oświetliła żółty sznur biegnący przy samym dnie. Ich nić Ariadny.

Przeplłynęli następnych kilkadziesiąt metrów. Robert wreszcie się uspokoił, oddychał

powoli, głęboko, co zapewniało maksymalną wydajność. Dopiero teraz rzucił okiem na manometr. I zdrętwiał. Strzałka poziomu powietrza zahaczała o czerwone pole. Poniżej pięćdziesięciu milibarów. Jezus Maria! W pośpiechu zabrał prawie pustą butlę.

Spanikowany wystrzelił do przodu i złapał za płetwę Arii. Gdy się odwróciła, pokazał

nieprzyjemną niespodziankę.

Najpierw spróbowała odkręcić butlę. W pośpiechu mógł o tym zapomnieć. Wskaźnik ani drgnął. Uspokoiła go gestem „OK” i kazała zawrócić.

Niestety, nim wrócili na dziedziniec, dobiegł ich wstrząs eksplozji – być może wybuchły butle w magazynie, a może Palmer dla pewności rozmieścił jakieś ładunki. Po paru metrach zorientowali się, że droga powrotna została odcięta. Walące się ruiny hotelu zablokowały jedyny wjazd. Robert zaświecił w stronę Arii. Nie traciła głowy. Wzięła drugi ustnik na dłuższym przewodzie i pokazała mu, unosząc go do góry. Znak był absolutnie czytelny:

„Będziesz mógł korzystać z mojego zapasu powietrza”.

Również uniósł kciuk do góry, dając do zrozumienia, że na razie ma jeszcze resztkę w swojej butli. Pokręciła głową. Z jej gestykulacji wynikało, że tę resztkę lepiej zachować na wyjątkową sytuację. Na przykład na moment, kiedy korytarz stanie się zbyt wąski, by płynąć obok siebie. Odpowiedział, że rozumie, i przejął zapasowy ustnik.

Dalej popłynęli razem. Zanurzenie nie przekraczało sześciu metrów poniżej poziomu morza. Na tej głębokości nawet we dwójkę, korzystając z pełnej butli, mieli sporo czasu. Aria co pewien czas gasiła latarkę (Robert przez oszczędność w ogóle przestał używać swojej) sprawdzając, czy przypadkiem nie dostrzeże gdzieś dziennego światła. Przekonawszy się, że wszędzie panuje mrok, włączała ją ponownie. W mijanych jaskiniach zauważali kształty niewątpliwie będące dziełem morza, ale również wapienne nacieki, które musiały pochodzić z czasów, kiedy Morze Karaibskie nie miało tutaj dostępu. Widać też było wyraźną linię oddzielającą wodę słoną od słodkiej, pochodzącej z opadów. A zatem, jak mówił prospekt, musiały tu być jakieś inne wejścia.

Według zegarka przebywali w podziemiach już dwadzieścia minut, kiedy ujrzeli przed sobą jasną poświatę.

Wyjście! Jesteśmy uratowani!

Robert odrzucił ustnik Arii i złapał swój. Nie musi już oszczędzać! Jeszcze dwa uderzenia płetw i znaleźli się w rotundzie przeciętej przez dwie słoneczne smugi, wydobywające się z otworów w sklepieniu. Popłynęli ku nim.

Cholera! Otwory miały zaledwie pięć i trzy centymetry średnicy. Ponad nimi, odgródzone kilkoma metrami skały, widać było zieleń, niebo... Z pewnością śpiewały ptaki. Ale nie mogli się tam dostać...

Bliski paniki Robert poczuł na ramieniu mocny uścisk szczupłej dłoni.

„Nie łam się”, komunikowała mu Aria.

Opłynęli całą grotę, nie znajdując nigdzie przejścia. Pomarańczowy sznur kończył się hakiem wbitym w dno. A zatem trafili na szlak dla początkujących.

Zawrócili. Aria starała się utrzymywać równe tempo. Robert też próbował nie ulegać emocjom.

„Mniej się denerwujesz, mniej powietrza zużywasz”, przypominały mu się słowa Jacka z ich pierwszych podwodnych eksploracji w egipskiej Hurgadzie.

Powrót do rozwidlenia zajął im następne dziesięć minut. Strzałka ciśnieniomierza wskazywała, że została im jeszcze połowa powietrza.

„Masz jeszcze jedno życie”, w mózgu Roberta odezwała się informacja znana z gier komputerowych. „Wiem”, odpowiedział sam sobie, pocieszając się, że obie trasy przygotowano z myślą o początkujących nurkach, zatem wyjście nie powinno być zbyt daleko.

Tym razem ruszyli wzdłuż białego sznura. Wybrany korytarz biegł znacznie niżej, co Mirski odczuł w swoich nadwyrężonych uszach. Na szczęście już po kilkudziesięciu metrach znów skierował się ku górze. Płynęli razem, rozgarniając wodę równymi uderzeniami płetw, Aria wzięła Roberta pod rękę. Jej wyjątkowy spokój był nieprawdopodobnie kojący. Niestety, wyjście z kolejnej jaskini było tak wąskie, że nie dało się płynąć razem.

„Zaczekaj spokojnie”. Aria wskazała na jego zegarek. „Zobaczę, jak długi jest ten wąski odcinek, i wrócę po ciebie”.

„OK!”.

Robert przeszedł znów na swoją butlę, zgasił latarką i patrzył, jak światełko dziewczyny roztapia się w mroku.

Kiedy znikło zupełnie, poczuł dławiący strach. Z jednej strony coś mówiło mu, żeby ją gonić, z drugiej rozsądek podpowiadał: „Poczekaj, zaraz wróci. Nie ma dość powietrza na eksperymenty”.

Wbił wzrok w zegarek. Ten sam, który towarzyszył Jackowi w jego ostatnich chwilach.

Może nie powinien go zabierać? Kiedy Aria odpływała, włączył stoper. Upłynęła minuta, dwie, trzy...

Co, u diabła, się stało? Przecież nie mogła mnie tak zostawić.

Czwarta minuta, piąta... Niepokój zamieniał się w trwogę, lodowaty strach ogarniał go całego, redukując jego odczuwanie do odruchów maleńkiego dziecka, marzącego tylko o tym, aby pobiec do swojej rodzicielki i zawołać: „Mamusiu, przecież byłem grzeczny!”.

Naraz poczuł, że nie może oddychać. Co jest? Rzucił okiem na wskaźnik. Zero!

A więc koniec! Gorączkowo połykał resztki powietrza. Koniec!!!

Nieoczekiwanie panika ustąpiła. Z porażającą jasnością uświadomił sobie, że ma ostatnią szansę. Kamizelka! Wybrzuszenia na niej świadczyły o tym, że w jej wnętrzu zostało jeszcze trochę powietrza. Przycisnął do ust zawór służący do wypuszczania powietrza lub nadmuchiwania kamizelki i opierając się całym ciałem o skalną ścianę, nacisnął przycisk.

Miał jedną szansę na milion, ale musiał zagrać pokerowo. W mgnieniu oka pozbył się całego sprzętu, poza pasem balastowym, i jedynie z latarką w ręku płynął w wąski korytarz.

Trzy, cztery minuty na bezdechu. To kupa czasu! Musi się udać! Płynąc, starał się nie przyspieszać. Równo! Spokojnie, Robercie! Niestety, korytarz biegł w dół, potem zakręcał.

Żadnego światła. Czuł, że jego możliwości się kończą. Płuca rozpaczliwie domagały się powietrza. W oczach ciemniało. Jakies światło w górze? Bzdura! A może jednak? Czy starczy mu sił? Desperacko pozbył się pasa balastowego. I poszedł w górę. Ku światłu. I naraz coś go zatrzymało. Nie mógł wykonać najmniejszego ruchu. Przyciśnięty do występu skalnego, trwał

pod wodą o parę metrów od skąpanej w słońcu powierzchni. Tracił przytomność, to pewne.

Za chwilę będzie musiał otworzyć usta...

„Stałeś się za lekki, usłyszał naraz głos brata. Zmniejsz pływalność”. Resztką woli, a może bez jej udziału, działając jak automat, wypuścił z płuc resztkę powietrza. Odpadł od skały. Dał nura w bok.

Na moment stracił przytomność, a może tylko tak mu się wydawało. Parę sekund później, a może były to minuty, krztusząc się i plując, stał w oślepiającym blasku słońca.

Nic nie widział. Ale pod stopami miał grunt. Śliskie otoczaki. Przymknął oczy. Nie mogąc ustać, bo nogi miał jak z waty, opadł na kolana, rozcinając sobie skórę. Ale nie dbał o to. Żył. Machinalnie ściągnął maskę i płetwy. Powolotku rozsunał powieki. Jego oczy z trudem przyzwyczajały się do światła. Znajdował się na skraju cenoty otoczonej puszcza.

Niedaleko musiała biec droga, bo dochodził do niego hałas przejeżdżających samochodów, a nawet wycie wozów straży pożarnej pędzących w stronę hotelu, w którym zapewne nie było już czego gasić. Do góry prowadziły drewniane stopnie. Czepiając się poręczy, zaczął się po nich wspinać, czy raczej pełznąć, na zakrwawionych drżących kolanach. Chyba wołał Arię, ale nie wiedział, czy z jego krtani wydobywają się jakiegokolwiek dźwięki. Nie słyszał też echa jaskini.

Wreszcie u szczytu schodów, na tle zieleni, dostrzegł kilka sylwetek, które równie dobrze mogły być ludźmi jak kosmitami.

– Dostyc długo kazał pan na siebie czekać, panie Robercie. – Poznał głos Luke’a Palmera.

Ostatecznie opuściły go siły i zastygł z twarzą w błocie. Ale zaraz wyrósł tuż za nim Stavros, przytknął mu lufę do kręgosłupa i kopniakiem postarał się przywrócić go do pionu.

Robert, słaniając się, wyszedł na ścieżkę. Pod krzakami dojrzał Arię. Żywą, ale strumyczek krwi sączący się między włosami wskazywał, że próbowała walczyć i mocno oberwała.

Obok stał Stavros numer 2 i jeden z Chińczyków. A więc wysłali najmocniejszy skład.

Na widok kumpli i Mirskiego Grek szarpnął Arię za ramię.

– Idziemy, suko!

– Dranie, dlaczego nie rozwalicie nas na miejscu?! – krzyknęła.

– Ponieważ otrzymaliśmy nieco inne polecenia, panno Mavreli – odpowiedział Palmer we właściwy sobie wytworny sposób, zdradzający absolwenta renomowanego college’u ze Wschodniego Wybrzeża.

– Kogo teraz pan udaje, kamerdynera czy intelektualistę? – prychnęła dziewczyna.

– Kogo sobie pani życzy. Mam w CV także krótki okres występów w teatrze amatorskim i wydaje mi się, że wczoraj odegrałem moją rolę bez zarzutu.

Aria nie skomentowała tych słów, tylko zbliżyła się do Roberta. Jej szczupła dłoń dotknęła jego palców. Doznał jakby energetycznego wstrząsu, poczuł przypływ sił, i zamiast chwiać się na nogach zaczął stąpać prosto i zdecydowanie. Po kilkunastu minutach leśna ścieżka wyprowadziła ich na dziedziniec indiańskiego gospodarstwa, gdzie sprzedawano pamiątki i udostępniano turystom atrakcje w cenotach.

Dziś jednak żadnej wycieczki nie było. Czekają za to jeszcze dwóch żółtoskórych najemników i helikopter, który nocą zostawili na lotnisku pod Cancunem. Mokrych i słonych wpakowano Arię i Roberta do wnętrza, nie proponując nawet kropli wody do picia.

Luke Palmer tak jak wczoraj znów zasiadł przy sterach. Maszyna wzbiła się w powietrze.

Przeleciała nad drogą, nad zaroślami mangrowymi wzdłuż wybrzeża, nad rafą, i wzięła kurs na południowy zachód. Ku Gadziej Wyspie!

Milczeli, bo o czym mogli rozmawiać? Gutierrez nie żył. Tekst proroctwa, którego nawet nie zdążyli poznać, trafił w ręce wroga, a ich samych żadna ludzka siła nie była w stanie uratować.

13.

Miłosierdzie Boże

Śmigłowiec usiadł na lądowisku, tarmosząc grzywy pobliskich palm i strącając kilka dojrzałych kokosów. Na ziemi oprócz trzech żółtoskórych strażników nie widać było żadnego komitetu powitalnego. Palmer warknął coś w tajemniczym slangu i Chińczycy zaprowadzili więźniów do najbliższego baraku. Wbrew obawom Arii i Roberta w przestronnym, wyłożonym kafelkami pomieszczeniu nie czekał na nich pluton egzekucyjny, tylko gorący tusz i czyste dresy do przebrania. Robert zastanawiał się wprawdzie, czy z prysznicą nie polecą przypadkiem trujący gaz, ale Aria nie wahała się, dwoma ruchami zdarła przemoczone ubranie i tak, jak ją Pan Bóg stworzył (a trzeba przyznać, że udało Mu się to dzieło!), wskoczyła pod strumień wody. Chcąc nie chcąc, Robert poszedł w jej ślady, ale wstydząc się jak nastolatek, starał się jak mógł stać do niej tyłem...

Tymczasem Luke Palmer pośpieszył zameldować o rezultatach operacji Lavalowi i Hollmayerowi. Był z siebie zadowolony. Perfidny plan zrealizował w stu procentach. A może nawet stu pięciu.

Po drodze przeszedł przez obszerny salon, w którym kończono przygotowania do jutrzejszej konferencji. Dzięki transmisji satelitarnej cały świat miał poznać nadzwyczajną metodę przedłużania życia. W kilkudziesięciu szpitalach planowano otwarcie oddziałów

„wiecznej terapii”, a w Internecie zamierzano otworzyć specjalne portale umożliwiające zapisywanie się wszystkich chętnych i przelewanie zaliczek na konto Fundacji „Żywot Wieczny”.

Amen!, dorzucił Luke w myślach.

Szefostwo zastał w obszernej sypialni Ala, służącej mu też za gabinet. Przykryte szklanym dachem pomieszczenie było widne i chłodne. Dbały o to plazmowe regulatory kontrolujące ilość światła docierającego z góry. W słoneczny dzień dostarczający cienia strop, nocami stawał się całkowicie niewidoczny, ujawniając całą głębię tropikalnego nieba.

Wszyscy zebrani, poza doktorem Frischke, wyglądali na wyluzowanych. Ostatnie obawy, że ktoś może przeszkodzić ich zamysłom, pierzchły. Bo i któż mógłby to zrobić? Jorge nie żył. Młodzi znajdowali się pod kluczem. Ze strony tekstu proroctwa też nie widać było zagrożenia.

– Brednie bez znaczenia! – ocenił Sebastian Laval, przebiegłszy wzrokiem dostarczone kartki z tłumaczeniem Gutiereza.

– Nie ma niczego o nas? – upewnił się Hans Frischke.

– W każdym razie niczego, co można by odnieść do naszego przedsięwzięcia...

– A co jest na temat bieżącego roku? – dopytywał się Hollmayer.

– Bo ja wiem? Może to: *Zamiast pustyni wielki las powstanie, a ziemia z wodą uściski wymienią* – odczytał głośno Laval.

– Jeśli chodzi o wzmożoną działalność prądu El Nino, to prognoza jest trafna –

zachichotał Frischke.

– I nie ma nic o naszym dziele, które zmieni losy świata?

– Nic. Ani w tym, ani w następnych latach. Przeważają zapowiedzi kataklizmów, klęsk żywiołowych, zamachów i wojen określanych jako znaki przedostatnie... Zapis o lwie, który w ogniu zginie, dotyczy zapewne atomowej zagłady Iranu, północ ulegająca południu to może być upadek reżimu Korei Północnej. A wiele informacji da się zrozumieć, kiedy przepowiedane zdarzenia rzeczywiście nastąpią.

– A może księżulo coś przed nami ukrył? – Hollmayer popatrzył na swego majordomusa.

– Nie dopuszczasz tego, Luke?

– Jedno jest pewne: nie zapisał prorocstwa dotyczącego roku ostatniego.

– Nie zdążył?

– Teraz sędzę, że chyba bał się utrwalić to na papierze. Kiedy odwiedziłem go tamtego ranka, był bardzo z siebie zadowolony. „Odszyfrowałem wszystko!”, zawołał na powitanie.

Zapytałem: „A jakie są perspektywy?”. Odpowiedział: „Zależy dla kogo”. Chciałem pytać dalej, ale w tym momencie zadzwonił telefon. Nie mogłem czekać, aż Gutierrez spotka się z Polakiem i dziewczyną. Zaczekałem, aż schyli się po słuchawkę...

– Słusznie, chociaż z drugiej strony wolałbym mieć go tutaj żywego. To milczenie świętego Jana na nasz temat jest trochę dziwne – marudził Hollmayer.

– Ważniejsze, co jest tam napisane o końcu świata. O powtórny przyjsciu Chrystusa. –

Włączył się do rozmowy niemiecki profesor.

– Tylko tyle, ile jest w zapiskach dotyczących roku przedostatniego: *Słowo wcielone zamieszka wraz z ludem...*

– Tak wiele może znaczyć, że nic nie znaczy – mruknął rozczarowany Niemiec.

– W każdym razie ostatnie zdanie przekładu brzmi: *Bo wielka jest siła Miłosierdzia Pana.*

Tak jak mówiłem. Postraszy, postraszy, ale wbrew wszystkim zapowiedziom nie zrobi tego.

Wygramy!

– Obyś miał rację, Sebastianie – westchnął Hollmayer.

– Mając wszystkie źródła i znając zasadę deszyfrowania, sami odtworzymy ostatni zapis.

– No to weźcie się do roboty! – podchwycił pomysł miliarder.

– Niestety, nikt z nas nie zna greki.

– A Stavrosowie?

– Wbrew pozorom język staro i nowogrecki bardzo się od siebie różni... Poza tym, nikomu nie ubliżając, ci znakomici fachowcy od mokrej roboty nie są intelektualistami...

Jutro zjawi się tu Leros i rozwiąże ten problem.

– Mam pytanie, Al – odezwał się Ken Robinson. – Co robimy z naszymi więźniami? Nie rozumiem, dlaczego jeszcze żyją.

– Obiecałem sobie, że będą świadkami naszej chwały – odrzekł szef. – I obietnicy dotrzymam.

Frischke znów kretyńsko zachichotał. Dla pozostałych jego zachowanie było coraz bardziej irytujące. Ale musieli ścierpieć wyskoki genialnego genetyka, ponieważ był im bardzo potrzebny.

* * *

– Umyjesz mi plecy? – zapytała Aria, stojąc w strugach wody, o krok od Roberta.

Nie mógł jej odmówić. Odwrócił się i nabrawszy mydła z dozownika, dotknął jej ramion... Błyskawicznie dostał erekcji, cofnął się spłoszony i z większego dystansu delikatnie rozprowadzał pianę na jej ramionach.

– Mocniej! – zażądała.

Posłusznie namydlił jej łopatki, biodra...

Schwyciła jego dłonie i pociągnęła do przodu, tak że niczym dwie miseczki zamknęły się na jej piersiach, jędrnych i kształtnych, o wojowniczo sterczących sutkach. Na moment ich ciała się zetknęły. Poczuła jego twardość na swoich pośladkach i zaśmiała się gardłowo. Mógł

się cofnąć. Nie chciał!

Odwróciła się, miała rozszerzone źrenice i łakome usta. Pocałowali się. Ich języki zetknęły się na moment, dziewczyna jednak nie przedłużyła pocałunku, nie pozwoliła trwać chwili, która była tak piękna. Całując jego piersi, osunęła się na kolana. I po prostu wzięła go w usta.

– Aria – wybełkotał – Aria, dlaczego...

Czuł pożar w lędźwiach i obawiał się, że lada moment wybuchnie z siłą wodospadu.

Zgrzytnęły drzwi. Odskoczył jak oparzony. Greczynka spokojnie sięgnęła po ręcznik. Do łazienki zajrzał obleśnie uśmiechnięty Stavros numer 1. Czyżby ich podglądał?

– Pośpieszcie się, bo na was czekają – warknął.

Podniecenie Roberta opadło jak woda w wannie po wyrwaniu korka. Zamiast tego pojawiła się obawa, że być może pieszczoty Arii były spełnieniem ostatniego życzenia skazańca przed egzekucją.

Tym razem obok uzbrojonych Stavrosów, przypominających pokraczne demony z azjatyckich mitów, czekali na nich tylko Hollmayer i Laval. Frischke, Palmer czy Robinson mieli widać dość zajęć przed jutrzejszym dniem.

– Postanowiłem darować wam życie – powiedział miliarder tonem najwyższego sędziego, rozkoszującego się swoją wszechmocą. – Stać mnie na taką wspaniałomyślność w dniu, w którym przekraczamy barierę ograniczeń naszego gatunku. Nie lubię działań bezużytecznych, a takim byłoby usunięcie was z tego świata. Ponadto chcę, abyście byli świadkami mojego triumfu... – Umilkł i powiódł po nich władcym spojrzeniem.

– Ale na czym ten triumf miałby polegać? – zapytała Mavreli.

– Na ostatecznym zabiegu utrwalającym wyniki kuracji – wtrącił się Laval. – Przez ostatnie miesiące kilkunastu naszych pacjentów na całym świecie poddawanych było terapii odmładzająco-wzmacniającej, a przed tygodniem zainfekowaliśmy ich wirusami-tragarzami, wprowadzającymi zmiany genetyczne do jąder komórkowych w całym organizmie. Obecnie czeka nas już tylko krótki zabieg, polegający na aktywowaniu mechanizmu, samopowielaniu chromosomów i samoistnej odbudowie telomerów...

Hollmayer tylko kiwał głową. Był bardzo wzruszony, a na jego czole pojawiły się kropelki potu.

– Przed kamerami telewizyjnymi ujawnimy nasze odkrycie – oznajmił i dodał zaraz: –

Oczywiście bez zdradzania szczegółów. Pokażemy długowieczne insekty i myszy.

Przedstawimy pierwszych pacjentów. A nie będą to ludzie tuzinkowi... Politycy, gwiazdy telewizyjne i filmowe, laureat Nagrody Nobla, jeden z pięciu najbogatszych ludzi świata...

– Wszystko to piękne, ale jednego nie rozumiem – przerwał mu Robert. – Dlaczego tak zależało wam na ukryciu przesłania świętego Jana? Sądzicie, że gdyby ludzie dowiedzieli się o niechybnym końcu świata, zrezygnowaliby z inwestowania w wasz interes?

– Gówno nas obchodzą ludzie i ich pieniądze – zachnął się Laval. – Wy w ogóle nie rozumiecie istoty gry. A przecież dokładnie wyjaśniliśmy, do czego zmierzamy.

– Chodzi nam o to, żeby jak najwięcej ludzi za cenę życia bez granic porzuciło wiarę... –

podkreślił Sebastian.

– Żeby mieć w piekle większe zagęszczenie? – ironizowała Aria.

– Żeby nikt już nigdy nie trafił do piekła.

– Nie rozumiem...

– Powinniście więcej poczytać na temat Miłosierdzia Bożego, o którym tak wiele jest w naukach dwóch ostatnich papieży. – Jeśli Laval to rzeczywiście inkarnacja samego diabła, trudno było się dziwić jego teologicznej biegłości. – Postanowiliśmy w odwiecznej rozgrywce dobra i zła powiedzieć: „Sprawdzam”. Jeśli Bóg jest w istocie tak miłosierny, jak utrzymuje kler, nie zechce zwinąć interesu w momencie, w którym musiałby znakomitą większość ludzkości rzucić w ognistą czelusć. Całe wieki obowiązywała wersja końca świata jako kary za grzechy. Dziś nie jest to wcale takie pewne. Podejrzewamy nawet, że to właśnie miłosierdzie i litość wobec gatunku *homo sapiens* skłoniły Syna Bożego, aby natchnąć świętego Jana, a ten sporządził swoją przestrożę. Na krótko przed finałem ludzkość miała zostać wstrząśnięta nieuchronnością końca, zapędzona do kościołów, zmuszona do skruchy...

Ale jeśli dzięki nam do tego nie dojdzie? Jeśli alternatywą dla Stwórcy stanie się: zgładzić praktycznie wszystkich albo jeszcze zaczekać...?

Robert nie wierzył własnym uszom.

– Zamierzacie zaszantażować Pana Boga? – wykrztusił.

– Jesteśmy zmuszeni.

– A nie obawiacie się jego gniewu?

– A co nam może zrobić? – Na demonicznej twarzy Lavala pojawił się grymas bezbrzeżnej pychy.

– Jesteście młodzi, a dwadzieścia lat to tak niewiele – zakończył audiencję Hollmayer. –

Powinno wam zależeć, żeby nam się udało. A teraz wybaczenie, doktor Frischke nie lubi czekać. Nasz zabieg powinien odbyć się w ciągu pół godziny.

– Nasz? – zdziwił się Robert.

– Zaraz po mnie kroplówkę weźmie Leros. Lada moment powinien tu przybyć.

* * *

– Myślisz, że może im się udać? Koniec świata zostanie odwołany? – zapytał Robert Arię, kiedy prowadzono ich do celi.

– Nie mam pojęcia. Poza tym bardziej zastanawia mnie nasz los. Nie bardzo wierzę w obietnicę łaski. Owszem, będą chcieli, abyśmy podziwiali ich sukces, ale zaraz potem, jestem przekonana, załatwią nas.

– Przecież obiecali...

– Co z tego? Widzieliśmy część proroctwa, jesteśmy niebezpieczni.

– Nikt nam nie uwierzy.

– Mogą nie chcieć ryzykować. Trupy nie stanowią żadnego zagrożenia, żywi zawsze mogą przysporzyć kłopotów.

Tak doszli do przydzielonego im apartamentu. Chińczycy wepchnęli ich do środka i zaryglowali drzwi.

Znów byli sami.

Ich spojrzenia się spotkały.

I naraz zapomnieli o wszystkich problemach, przyszłości i zagrożeniu. Byli głodni.

Głodni jak wilki swoich ciał, rozkoszy, zatracenia... Nie marnowali czasu na grę wstępną, pocałunki, pieszczoty.

W mgnieniu oka byli gotowi. On potężny jak taran, ona wilgotna niczym bruzda urodzajnej ziemi po wiosennym deszczu.

Nie dotarli nawet do łóżka. Wziął ją na dywanie potężnym pchnięciem, zapierającym dech, dochodzącym od razu tam, gdzie wszystko się zaczyna, do miejsca, które stanowi sanktuarium połączenia, gdzie przekracza się próg samotności, zapomina o bólu, rozpacz, przerażeniu. Jej zaróżowiona podnieceniem twarz wydała się nagle o dobrych parę lat młodsza. Wyglądała jak buzia grzesznej dziewczynki, doskonale świadomej sekretów tego świata. Jej oczy stały się ogromne, dwóm stawom górskim podobne. Wznosząc się ku wierchom podniecenia, Robert zajrzał w nie i krzyknął. W jednym z nich dojrzał bowiem Jacka, a w drugim ojca Gutiereza.

– Co ci...

Zwiotczały, wysunął się z niej i leżał obok, z łomocącym sercem, zlany zimnym potem.

On – złodziej, on – świętokradca.

– Co się stało? Źle się poczułeś? – niepokoiliła się Greczynka.

– Chyba zobaczyłem śmierć – odparł głucho.

Aria w milczeniu podniosła się z dywanu, pozbierała porzucane ubrania i dopiero po paru minutach rzekła:

– Nie przejmuj się, wszystko będzie dobrze. Teraz się prześpijmy.

Sen rzeczywiście pomógł.

Kiedy po paru godzinach Robert zbudził się, czując całą długością swego ciała wtuloną w niego Arię, niczym doskonale dopasowany element, Arię gorącą i słodką, nie odczuwał

żadnych skrupułów. Jak w bajce kochali się długo i szczęśliwie. Stracił rachubę, ile razy.

Parokrotnie, w krótkich chwilach odpoczynku, próbował mówić, jak bardzo ją kocha. Za każdym razem ucinała krótko:

– Nic nie wiesz o miłości, Robercie. Po prostu bierzemy to, co nam z życia zostało.

* * *

Nad ranem obudził ich warkot śmigłowca. Później, kiedy po śniadaniu pozwolono im dołączyć do całego towarzystwa, dowiedzieli się, że przyleciała ekipa telewizyjna. Aria miała nadzieję, że zdoła dzięki komuś z obsługi nawiązać kontakt ze światem, wezwać na pomoc Conolly’ego, ale wystarczył rzut oka na przybyłą czwórkę, by nadzieje pierzchły. Ekipa nie składała się z przedstawicieli wolnych mediów, a z najemników. Żółtoskórzy, jak spod jednej sztancy, do złudzenia przypominali chińskich strażników.

Raczej kiepski materiał do dyskusji o prawach jednostki, pomyślała Mavreli.

Tymczasem do transmisji pozostała zaledwie godzina. Ekipa kończyła przygotowania w salonie. Technicy rozstawiali światła, montowali wysięgnik kamery, a także telebim i prompter dla mówców. Transmisję zamówiono wprawdzie tylko w paru peryferyjnych stacjach telewizyjnych, lecz Laval przewidywał niezliczone powtórki i górę forsy.

Z centralnego miejsca usunięto płytę z inskrypcją świętego Jana. Gdzieś poznikali uzbrojeni najemnicy. Także obaj Stavrosowie dyskretnie trzymali się z boku. Za to Sebastian z cygarem w dłoni z rozkoszą przymierzał się do roli mistrza ceremonii. Luke Palmer i Ken Robinson nie odstępowali go na krok, przyzwyczajając się do roli lwów heraldycznych.

Nawet doktor Hans Frischke sprawił sobie na tę okoliczność nowy biały garnitur. Siedział z boku i wyraźnie nie mógł się doczekać wielkiego finału. Całe jego ciało drżało, jakby było kopcem termitów. Nieustannie przebierał nogami, chrząkał, drapał się, a nawet dłubał w nosie. Miał do tego prawo. W końcu to był jego dzień.

Za to Alexander Leros, który najwyraźniej przyleciał późnym wieczorem, wyglądał na zmęczonego. Siedział w kącie salonu i w ogóle się nie odzywał. Co pewien czas tylko unosił

ręce i przypatrywał się im z dziwnym natężeniem.

– Dlaczego jeszcze nie ma Ala? – zapytał naraz Laval, zerkając na zegarek.

– Chciał dzisiaj trochę dłużej pospać – odrzekł Palmer.

– Będzie miał na to tysiące lat. Budź go, a szybko! Trzeba go ogolić, zrobić makijaż.

Musi być w świetnej formie.

Luke bez szemrania znikł w głębi domu. W tym samym momencie zadzwonił telefon.

– Waszyngton! – ucieszył się Laval, widząc numer na wyświetlaczu. – Nasz najważniejszy klient. – Przycisnął komórkę do ucha i zszedł z podestu. – Tak, Sue, to ja, we własnej osobie... Co?! Co takiego? Powtórz jeszcze raz... Jakie objawy?

W salonie zapadła głucha cisza. Nikt nie mógł oderwać wzroku od doktora. Nawet Frischke na moment stężał.

Rozmowa z Ameryką jeszcze nie dobiegła końca, kiedy do salonu wpadł flegmatyczny zazwyczaj Palmer. Twarz miał poszarzałą.

– Coś się stało szefowi! – wymamrotał. – To straszne!

Wszyscy rzucili się do sypialni. Robinson zachował na tyle przytomności umysłu, by powstrzymać ekipę telewizyjną.

– Wy zostańcie! – rzucił.

Arii i Roberta jakoś nikt nie powstrzymywał, toteż mogli pobiec za wszystkimi.

W sypialni panował ożywczy chłodek, wrażenie jednak psuł rozchodzący się fetor.

Hollmayer leżał na łożu zupełnie nagi, przykrycie zsunęło się z niego na podłogę, ujawniając zapaskudzone prześcieradło. Oczy miał wybałuszone, oddech chrapliwy.

– Coś się ze mną dzieje – wyszeptał ledwie słyszalnie. – Moje ręce... moje nogi.

Laval nadal trzymał telefon przy uchu, chociaż chyba rozmówca z Waszyngtonu już się rozłączył. Z przerażeniem wpatrywał się w leżące przed nim ciało. A raczej w to, co się z niego robiło.

Opalona twarz, zapadnięta pierś, obwisły brzuch i żałośnie skurczone genitalia Hollmayera wyglądały jeszcze w miarę normalnie, natomiast kończyny, zwłaszcza dłonie i stopy, nie przypominały niczego, z czym kiedykolwiek miał do czynienia. Ich faktura przypominała skórę krokodyla, była zielonkawa, chropowata... A wiele wskazywało na to, że to nie koniec zmian.

– Boli, boli! – jęczał Hollmayer. – Coście mi zrobili?

Sebastian poszukał wzrokiem Hansa. Gdzie się podziewa ten cholerny Szwab?

– Zabijcie mnie, zabijcie! – Z salonu dobiegł krzyk Lerosa.

Zawrócili. Chaos narastał. Wszędzie rozbrzmiewały telefony i komórki, najwyraźniej dzwonili

pozostali pacjenci. Laval przestał na nie reagować. Błyskawicznie znalazł się przy fotelu Greka.

– Co tobie, Alex?

Wiceminister wyglądał identycznie jak Hollmayer. Udało mu się jakoś zrzucić buty i skarpetki, i wstrząśnięty patrzył na nogi przekształcające się w zielonkawę pniaki.

– Nie, nie, nieeee!

W ciszy, jaka nagle zapadła, rozległ się chichot Frischkego.

Doktorek zdawał się w tym momencie najszcześliwszym z ludzi. Czyżby zwariował?

– Hans, jeśli to twoja robota, pożałujesz, żeś się urodził! – wrzasnął Laval, zmierzając w jego kierunku.

– I co, zabijesz mnie, Sebciu? – Niemiec uskoczył przed szarżującym nowoorleańczykiem na podium przygotowane do transmisji. – Przecież tylko ja mogę wszystko uratować. Znaczą program, nie ich. – Z pogardą wskazał na Lerosa. – Im już nic nie pomoże. Kręcić! Kręcić! – krzyknął do ogłupiałych kamerzystów. Miarka chyba się przebrała. W rękach Lavala pojawił się pistolet, a jego twarz przybrała kolor buraka.

– Zróbcie coś z tą ekipą! – ryknął do Stavrosów. Ci natychmiast wyciągnęli automaty i szybko wyprowadzili swoich pobratymców z budynku. – A teraz – zwrócił się do Niemca –

może mi łaskawie wytłumaczysz, co się tu dzieje? I co stało się z nimi wszystkimi?

– Po pierwsze, przestań wymachiwać spluwą, bo to i tak nic nie da... – rzekł Frischke. – A co się dzieje z naszymi pacjentami? Cóż... Właśnie stają się sekwojami. Zmiana, której dokonałem w ich genach, przekształca ich tkanki w struktury drzewa. Jeśli się prawidłowo ukorzenia, w tym nowym kształcie mogą przeżyć nawet tysiące lat. – Zaśmiał się. – To oczywiście żart. Umrą w ciągu kilkunastu minut!

– Niech cię szlag, Hans! – Z Lavala wyparowała cała pycha. Opadł ciężko na fotel, gorączkowo zastanawiając się nad wyjściem z sytuacji. – Ale jak ci się to udało? Przecież doświadczenia ze zwierzętami wskazywały, że metoda jest bezpieczna, bez skutków...

– Widzieliście tylko to, co chciałem, żebyście widzieli. Nie docenialiście Hansa. Daliście mu dużo swobody. A Hans nie mógł zaakceptować dwóch rzeczy. Ograbiania go z JEGO

wynalazku i służby szatanowi. Chciałem być największym dobrodziejem ludzkości, a nie anonimowym sługą piekiel. Nie! Nie i nie!

– Jesteś kretynem, jeśli myślisz, że zostaniesz za to nagrodzony – przerwał ten histeryczny monolog Laval. – Twój Bóg, jeśli w ogóle ma kontrolę nad światem, nie toleruje nikogo, kto robi mu konkurencję.

Aria delikatnie trąciła Roberta w ramię. Polecenie zawarte w jej wzroku nie budziło wątpliwości. „Wycofujemy się”!

Zdawało się, że mają pewne szanse. Wszyscy z zapartym tchem śledzili dialog dwóch doktorów. Nawet Leros nie był w stanie przyciągnąć niczyjej uwagi, choć wyglądał strasznie: postępujące zdrewnienie, rozdziawione w niemym krzyku usta przypominające upiorną dziuplę.

Chyłkiem wycofali się z salonu. Korytarzem przebiegli na tyły prawego skrzydła, gdzie mieściła się siłownia i sala bilardowa. Do lądowiska helikoptera było stąd niecałe sto metrów.

Gdyby udało się opanować maszynę, wzbić nią w powietrze...

– A wy dokąd? – W świetle drzwi dostrzegli zwałistą sylwetkę Stavrosa. Bydlak miał w ręku krótkie uzi i wyraźnie zamierzał zrobić z niego użytek.

Gdziekolwiek jesteś, ojczy Jorże, ratuj nas!, pomyślał Robert.

Nie wierzył w skuteczność swego wezwania. Tymczasem ratunek nadszedł. Natychmiast.

Co prawda z zupełnie nieoczekiwanej strony.

Pierwszy wstrząs był równie potężny co nieoczekiwany. Rzuciło ich na ziemię, zakolebały się wszystkie ściany. Stavros przefrunął dwa metry w powietrzu, tryknął łbem w jakiś słup i upadł bezwładny, upuszczając broń. Nie był to jednak koniec trzęsienia.

– Między framugi! – krzyknęła Aria, która w ojczystej Grecji przeżyła już niejedną wstrząs sejsmiczny. I wiedziała, że po pierwszym nastąpią kolejne.

Ledwie Robert posłuchał, nadeszła seria szybkich szarpnięć, w trakcie których wysepka wydawała się stawać dęba jak ugodzony harpunem wieloryb. Osiem stopni w skali Richtera jak nic!

Mirski, bezbronny jak cierpiący na agorafobię dzieciak w zwariowanej kolejce górskiej, myślał tylko o jednym: niech to się wreszcie skończy.

I skończyło się. Równie nagle jak się zaczęło. Świat znieruchomiał, zapadła cisza. Czy na dobre? Przez dłuższą chwilę bał się poruszyć. Kiedy kurz nieco opadł, Robert zorientował się, że chociaż na całej długości korytarza zapadło się sklepienie, futryna ponad nim wytrzymała.

A co z Arią? Struchlały na myśl, że mogła zginąć, dwukrotnie wykrzyknął jej imię.

Odpowiedział mu kaszel dochodzący ze środka gruzowiska. Dziewczyna wygramoliła się spod stołu bilardowego, pod który schroniła się w ostatniej chwili. Idąc w stronę Mirskiego, potknęła się o wystające spod gruzu nogi Stavrosa. Bandzior się nie ruszał.

Ucałowali się i omal nie parsknęli śmiechem. Oboje wyglądali jak zombie. Niestety, chwilę potem nie było im już do śmiechu.

Po dotarciu do lądowiska przekonali się, że ze śmigłowca została kupa złomu...

– Nie uciekniemy – wyszeptał Robert.

– Poczekaj. Nie rozpaczaj. Może któraś z łodzi nadaje się do użytku – podsunęła dziewczyna.

Ruszyli w stronę portu, jednak nie zaszli daleko. Nie tylko oni przeżyli trzęsienie ziemi.

Od strony domu dobiegły strzały i obok nich zaświstały kule. Aria, nie namyślając się długo, odpowiedziała ogniem z broni Stavrosa. Ktoś musiał oberwać, bo zawył boleśnie. Przypadli do ziemi. Wgłębienie i niski murek okalający dawne wiwarium z aligatorami dawały im niewielką ochronę.

Na prawo mieli jeden z bunkrów, którego wstrząs pozbawił zewnętrznych drzwi. Na wprost widoczna była przystań oraz zakotwiczony kilkadziesiąt metrów od brzegu i nieuszkodzony jakimś cudem jacht „Salome”, a za nim zewnętrzna linia raf, widoczna dzięki grzywom rozbryzgujących się fal, i pełne morze. Tylko jak się tam dostać?

Ostrzał wzmógł się. Widocznie całkiem sporo kitajców przeżyło kataklizm. Po paru minutach strzały umilkły i rozległ się głos doktora Laval:

– Poddajcie się! Nie macie żadnych szans. Biedni głupcy!

– Nie chcemy was zabijać. Nie możemy jedynie pozwolić wam uciec – wsparł go ostry głos Kena Robinsona.

– Pieprzcie się! – wrzasnęła Aria i celnym strzałem zdjęła kolejnego Chińczyka, który usiłował wspiąć się na drzewo.

Dość jednostronna strzelanina trwała ponad kwadrans. Greczynka odgryzała się rzadko, pojedynczym ogniem, bo w jej magazynku pozostało załóżnie mało nabojów. Czas pracował

na korzyść wroga.

Poczekają, aż się wystrzelamy do końca, a potem załatwią nas gołymi rękami, pomyślał

Robert.

Niewątpliwie taką właśnie taktykę przyjął Laval.

Czyżby zło miało mimo wszystko zwyciężyć?

Naraz kanonada ucichła, i rozległy się okrzyki przerażenia.

Mirski rzucił okiem na zatokę i zdębiał. Cała woda gdzieś zniknęła. Do raf i dalej rozciągał się wyłącznie piach, pojedyncze kałuże, poletka wodorostów i głązy obrosnięte prawdziwym lasem ukwiałów i gąbek.

– Co się dzieje? Skąd taki wielki odpływ?

Popatrzył na Arię. Twarz miała zmienioną.

– Tsunami idzie! – wyszeptała. – Już po nas.

Na potwierdzenie tej diagnozy nie przyszło długo czekać.

Na horyzoncie pojawił się szybko rosnący wał wody, który w rejonie rafy wznosił się na wysokość kilkunastu metrów, by z ogromnym impetem uderzyć w wybrzeże Gadziej Wyspy, przetoczyć się ponad nią, zabierając ze sobą wszystko, co było do zabrania.

Oczywiście nie czekali biernie na śmierć. Aria pociągnęła Roberta do najbliższego bunkra. W środku panował półmrok. Cała elektryka wysiadła podczas trzęsienia ziemi.

Przerażone myszy i szczury szalały w swoich klatkach. Ich świeżo nabyta długowieczność miała okazać się bardzo iluzoryczna.

Huk narastał, a nigdzie nie mogli znaleźć pomieszczenia z drzwiami zdolnymi wytrzymać uderzenie mas wody.

– Tam! – krzyknęła Mavreli, wskazując ogromne, od kilkunastu minut nieczynne zamrażarki. Otworzyła je, wyrzuciła wszystkie półki wraz z preparatami, trupami zwierząt. –

Właź! – Pociągnęła Roberta.

Czas był najwyższy. Ledwie domknęła drzwi, woda wypchnęła szyby w okienkach i z furją wdarła się do wnętrza.

Ich skrzynia zadrżała w posadach, ale wytrzymała pierwsze uderzenie. Na moment wszystko utonęło w szumie i huku. Skulony Robert modlił się żarliwie.

A inni?

Każdy ratował się jak mógł. Ken Robinson ze sprawnością wiewiórki wspiął się na maszt służący systemom łączności. Z satysfakcją patrzył, jak potężna fala zmiatająca wszystko przechodzi poniżej jego stóp. Tylko pojedyncze bryzgi ochlapały mu spodnie. Sam maszt też wytrzymał uderzenie tsunami. Jednak radość Kena okazała się przedwczesna. Przyszły następne uderzenia, a potem powracająca fala podcięła nadwątloną konstrukcję. Maszt złożył

się z przeraźliwym zgrzytem, a następnie runął na dach pobliskiego bunkra. Robinson nim umarł, mógł jeszcze widzieć, jak żelastwo przebija na wskroś jego trzewia.

Laval szukał innego sposobu ratunku. Miast w górę, pobiegł w stronę budki ze sprzętem pływającym. Tam nieomal zderzył się z Chińczykiem targającym ponton.

– Dawaj! – wrzasnął rozkazująco.

– Nie, to moje – opierał się Chińczyk.

Sebastian strzelił do niego i natychmiast zorientował się, że popełnił błąd; kula, która przeszła strażnika, przebiła również cienką gumę nadmuchiwanej łódki. Ta sflaczała i upadła na piach...

Zabawne, ale doktor Frischke w ogóle nie zauważył nadciągającej katastrofy.

Wstrząs zrzucił go z podium do ogrodu, gdzie obsypany kwiatami, przetrwał kataklizm bez szwanku. Potem, kiedy wszyscy puścili się w pościg za Arią i Robertem, ruszył w stronę swojego pokoju, myśląc jedynie o notatkach i twardym dysku. Ściany pokoju trochę popękały, a z okna, z którego rozpościerał się widok na morze, wyleciała panoramiczna szyba, ale strop wytrzymał. Laptop spadł wprawdzie z biurka na ziemię, ale wyglądał na nienaruszony. Doktor pieczołowicie otarł go z kurzu, otworzył i odpalił. Powinien działać. A co z dyskietskami? Niektóre wyglądały na zarysowane.

Nie przejmując się odgłosami kanonady, doktor zaczął sprawdzać jedną po drugiej.

Nie zwrócił nawet uwagi na huk nadciągającej fali. Spojrzał w okno dopiero, gdy gigantyczna ściana wody zasłoniła słońce.

Co zrobił? W bezrozumnym geście chwycił laptopa i przytulił go do piersi. Fala uderzyła go jak młot i rzuciła o ścianę, łamiąc mu kręgosłup.

Nie próbował uciekać także Luke Palmer, mimo iż błyskawicznie zorientował się w niebezpieczeństwie. Do końca wierny swemu chlebodawcy, pozostał przy nim. Wstrząsy nie uczyniły obu większej krzywdy, a żaden z miliona odłamków, na które rozpadło się sklepienie sypialni, nie zranił ich dotkliwie.

Patrząc na zdrewniały korpus Hollmayera, w którym żywe zdawały się jedynie jego wybałuszone oczy, Palmer słuchał huku nadciągającego żywiołu i na próżno usiłował

przypomnieć sobie słowa modlitwy, którą tak często powtarzała jego matka.

* * *

Po pierwszym uderzeniu wielkiej fali przyszło następne, potem trzecie, dużo słabsze, choć nadal niszczycielskie. Po jakichś dwudziestu minutach z największym trudem Aria i Robert otworzyli drzwiczki zamrażarki. Wody w bunkrze było po kolana. Wyszli na zewnątrz. Nie mogli nadziwić się, że żyją.

Ale widocznie tak było im pisane.

Nikt więcej poza nimi nie ocalał na Gadziej Wyspie. Z uzi w rękę obeszlą cały teren pokryty szlamem, kawałkami mebli, szkła. Tu i ówdzie uciekały im spod nóg kraby, a kolorowe ryby miały się w szybko schnących kałużach, nie akceptując nagłej przemiany w zwierzęta lądowe. Z willi ocalały jedynie fundamenty. Baraki dla personelu w ogóle przestały istnieć. Wrak „Salome” odnaleźli zaryły pośrodku kortu tenisowego. Resztki śmigłowca zabrało morze, podobnie jak większość ciał, które zwracać miało dopiero po pewnym czasie.

Wśród mangrowii, nieopodal dawnej ostoji legwanów, odnaleźli coś, co mogło przypominać strzaskany pień sekwoi. Po zegarku marki Patek Philippe, wżartym głęboko w konar, zidentyfikowali wiceministra Lerosa.

– Sądysz, że to wszystko mógł sprawić On za wstawiennictwem ojca Jorge? – Aria uniosła wzrok ku niebu.

– Nie wiem, kto to sprawił, ale będę mu dozgonnie wdzięczny – zapewnił Robert.

Z zarośli wyszedł żółw. Katastrofa nie wywarła na nim większego wrażenia. Minął ich niespiesznie i zniknął po drugiej stronie ścieżki. Ruszyli w stronę portu. Molo zniknęło, ocalał

jednie betonowy pirs. Usiedli na nim. Robert objął Arię, i tak, przytuleni, czekali, aż nadejdzie pomoc.

I nadeszła. Gdzieś po godzinie nadleciał śmigłowiec kapitana Conolly’ego. Za nim dwa inne należące do sił powietrznych Republiki Belize.

– Kawalerio kochana, mogłabyś chociaż raz przybyć na czas – opieprzyła Amerykanina Greczynka.

– Wiesz, ile czasu trwało, zanim zdobyliśmy wszystkie zezwolenia potrzebne do tego lotu?! – wykrzyknął. A potem ujął Mavreli pod ramię i dodał: – Szefowie chcą z tobą rozmawiać. Natychmiast.

Mirski zamierzał iść za nimi, ale drogę zagroził mu oliwkowy oficer z dystynkcjami kapitana belizyjskiej policji.

– Będziemy musieli prosić pana o złożenie wyjaśnień na temat tego, co się tutaj stało.

Potem odstawimy pana gdziekolwiek pan sobie zażyczy.

Na stopniach śmigłowca Aria odwróciła się w stronę Roberta i przesłała mu najpiękniejszy uśmiech, jaki kiedykolwiek widział.

Kocha mnie, naprawdę kocha... Jesteśmy dla siebie stworzeni, pomyślał.

Nie miał pojęcia, że widzi ją po raz ostatni.

* * *

Trzęsienie ziemi i spowodowane przez nie tsunami miało bardzo ograniczony zasięg i poza atolem Turneffe nie spowodowało właściwie większych zniszczeń.

Lokalnie potężne, nie zostało nawet odnotowane przez największe stacje sejsmiczne. Nie trafiło również na pierwsze strony gazet.

Akcja ratunkowa nie przyniosła rezultatów. W ciągu kilku dni odnaleziono wyłącznie ciała

pracowników stacji ekologicznej. Robert Mirski zidentyfikował zwłoki doktora Frischke, Luke'a Palmera i Kena Robinsona, znaleziono też trupy dwóch identycznych osobników odpowiadających rysopisami niejakiemu Konstantinowi Stavrosowi, który przed paroma tygodniami zginął w niewyjaśnionych okolicznościach w Grecji. W ciągu kilku dni odnaleziono większość ciał, w tym zwłoki czterech członków ekipy telewizyjnej i piętnastu chińskich ochroniarzy, zatrudnionych na Gadziej Wyspie. Niektóre z tych ciał, rzecz znamienna, nosiły ślady kul.

Nie znaleziono natomiast doktora Sebastiana Lavalą, ani żywego, ani martwego, toteż w mocy pozostaje list gończy wystosowany za tym niebezpiecznym hochsztaplerem.

Opinia publiczna nie dowiedziała się też, jaki los spotkał przebywającego w tych stronach wiceministra kultury i turystyki Republiki Grecji Alexandra Lerosa. Podejrzewa się, że nie spotkało go nic dobrego.

Robert wrócił do Polski mniej więcej po tygodniu. Sid Conolly zadbał, żeby miejscowe władze nie zadawały mu zbyt wielu trudnych pytań. Zgodnie z obietnicą daną Arii nie wspomniał ani o przesłaniu świętego Jana, ani o istocie szatańskiego spisku mającego przekreślić plany Najwyższego.

Wspominał jedynie, że chodziło o niedozwolone eksperymenty medyczne mające wydłużyć ludzkie życie. Nie wspominał, na jak długo.

Ale nawet i to nie przeciekło do mediów. Nikt nie powiązał też ze sobą kilkunastu tajemniczych zgonów prominentnych postaci, które nastąpiły w ciągu zaledwie paru dni: wiceprezydenta USA (jak podano, „zmarł po długiej i ciężkiej chorobie”), niegdysiejszego bożyszczka Hollywoodu, arabskiego szejka, jednego z multimiliarderów, laureata Nagrody Nobla...

Podczas śledztwa prowadzonego na Gadziej Wyspie zdarzyło się parę dziwnych rzeczy.

Z ostatecznego protokołu wyparowało nazwisko Ariadny Mavreli. Belizyjscy funkcjonariusze twierdzili zgodnie, że nigdy nikogo takiego na wyspie nie było. Co więcej, Conolly upierał

się, że piękna Greczynka stanowiła wytwór wyobraźni młodego Polaka, twierdząc, wbrew faktom, że kiedy wylądował, zastał go półprzytomnego, przytulonego czule do betonowego pachołka.

– To efekt szoku – powtarzał. – Po co mielibyśmy cię okłamywać?

Co dziwniejsze, po powrocie do Polski równie trudno było mu znaleźć dowód, że Greczynka istniała naprawdę. Państwo Mirscy jej nie pamiętali. „Tyle ludzi było wtedy na pogrzebie”. Jej biuro turystyczne w Atenach, do którego się zwrócił, przysłało informację, że nigdy nie pracowała u nich osoba o podobnych personaliach i rysopisie.

W miarę upływu dni samemu Robertowi wydarzenia ostatnich tygodni zdawać się zaczęły sekwencjami snu.

Ktokolwiek zacierał ślady, czynił to perfekcyjnie. Znikła starannie ukryta dyskietka z kopią inskrypcji, ktoś skasował całą pocztę Mirskiego, w której mogła znajdować się fotografia płyty, bo sam ją do siebie wysłał. Próbując dowiedzieć się czegoś o „Rękopisie Synajskim”, wyczytał, że

zniknął po niedawnym napadzie, dokonanym przez nieznaną sprawców na klasztor Świętej Katarzyny. Jedyna kopia mogła znajdować się w tajnych zbiorach Watykanu.

Zaczął się nowy rok akademicki i Roberta zaprzątęły inne sprawy. Choćby ciemnowłosa Joanna z drugiego roku, którą spotykał co środę w bibliotece uniwersyteckiej. Przy odpowiednim oświetleniu przypominała Arię, choć jej pocałunki smakowały jak odległa od oryginału namiastka. Nie znaczy to, że podczas bezsennych nocy w mieszkaniu na Żoliborzu nie wracały do niego przeżyte sceny, twarze i pytania. Tykający zegar uparcie przypominał

nie tylko o tym, że czas płynie, ale również, że być może bezpowrotnie się kończy.

Ale czy na pewno? Czy dziesięcioletni Jezus żyje już na tym świecie? A jeśli tak, to gdzie? A może dopiero ma powtórnie przyjść w chwale sądzić żywych i umarłych? I co właściwie ze swą ułomną wiedzą powinien zrobić on, jedyny bezsilny depozytariusz przesłania świętego Jana Ewangelisty?

Sykstyna

Październikowy wieczór był ciepły i pogodny. Wielkie miasto z wolna otwierało się na swoją mroczną stronę. Kurwy sływały ku ulubionym zaułkom, pederasty i lesbijki śpieszyli do licznych klubów i dyskotek. Kolejny obrazoburczy film tłukł kasę, ściągając do kin rzesze widzów, pragnących zapełnić czymś duchową pustkę. Zabawne, ale protestowali jedynie coraz bardziej rosnący w siłę muzułmanie, którzy oczami wyobraźni widzieli Rzym za kilka lat, jako stolicę światowego kalifatu. W witrynach księgarskich pojawiło się nowe pośmiertne dzieło greckiego intelektualisty Alexandra Lerosa *Chrystus gej* o homoseksualnym charakterze chrześcijańskiej wspólnoty. Tego dnia dzięki postępowym reformom lewicowego rządu zawarto w Wiecznym Mieście jedenaście homoseksualnych małżeństw (co nazwano kroplą w morzu potrzeb), wykrobano czterdzieścioro dzieci, a sześćdziesięciu pięciu starców, dzięki eutanazji, zapewniło sobie „godziwą śmierć”. W kampusie uniwersyteckim pewien początkujący fizyk z Libii rozważał efekty wybuchu brudnej bomby atomowej podłożonej na placu Świętego Piotra, nie wiedząc nawet, jak ważną rolę wyznaczy mu za parę lat historia.

Na wzgórzu watykańskim tylko pięć minut dzieliło zwiedzających od zamknięcia Kaplicy Sykstyńskiej, tego osobliwego miejsca, w którym od wieków bardzo starzy mężczyźni powierzali jednemu spośród swego grona Klucze Piotrowe. Strażniczka Lucia Santini nie mogła doczekać się końca swojego dyżuru. Być może była przeczulona (zrozumiałe u osoby urodzonej trzynastego maja 1981 roku), ale nie podobał jej się młody mężczyzna, właściwie chłopak, który od ponad godziny siedział, wpatrując się we fresk Michała Anioła przedstawiający Sąd Ostateczny. Czekał na kogoś, a może na coś? I co takiego pociągało go w tym malowidle?

Lucia nie była historykiem sztuki, jednak o samym dziele i jego twórcy wiedziała całkiem sporo.

Michał Anioł znalazł się po raz pierwszy w Sykstynie w sile wieku i dzięki katorżniczej pracy zaludnił sklepienie setką starotestamentowych postaci, tworząc najwspanialszy komiks w dziejach ludzkości. Wiele lat później wrócił tam jako starzec i przez sześć lat pracował nad swym arcydziełem. A może testamentem? Nieraz, kiedy zwiedzających było mało, Lucia siadała w tym samym miejscu co ów cudzoziemiec, i wpatrywała się w malowidło, zastanawiając się, co właściwie genialny rzeźbiarz z Florencji chciał w nim zawrzeć.

Fresk jej rodaka, w odróżnieniu od płócien mistrzów z zimnej północy (jak Memling), nie epatuje grozą. Ciała zarówno zbawionych, jak potępionych zdają się jednakowo witalne i piękne, nawet w szatach, którymi na papieskie polecenie ocenzurował mistrza Daniel z Volterra. I nie ma tu (wyjąwszy może skórę zdartą ze świętego Bartłomieja) owego turpizmu (czy raczej trupizmu), który miał zafundować ludzkości nadciągający barok.

Przeciwnie, Lucia odnosiła wrażenie, że artysta chciał przekazać ludziom, iż zbawienie i potępienie jest dziełem przypadku, kaprysem fortuny, owocem znalezienia się w określonym czasie w określonym miejscu. A może pragnął powiedzieć przyszłym pokoleniom, że zło też może być piękne, ponętne i niezwykle trudne do odróżnienia od dobra? Santini nigdy nie zazdrościła Zbawicielowi, który pośrodku obrazu musiał dokonywać ostatecznego wyboru na zasadzie zerojedynekowej. Zbawieni – potępieni. *Tertiam non datur*. Bo przecież, o ile doskonale było wiadome, dokąd

powinien pójść Kain, Neron czy Hitler, a dokąd apostołowie, męczennicy i Matka Teresa, pozostawała kwestia: co miało stać się z szarymi zwykłymi ludźmi z pogranicza cienia. Tymi, co żyli marnie, ale mieli szczęście na łożu śmierci uzyskać absolicję u kapłana, prawymi przez całe życie, którzy zwątpili i zgrzeszyli ciężko tuż przed zgonem. Czyż dla istoty tak absolutnie dobrej jak Jezus nie musiała to być prawdziwa męka?

A może Michał Anioł wyznawał skrycie pogląd, który wybuchł w naszych czasach sformułowaniem „Piekło jest puste”?

Czy była to tylko jedna tajemnica malowidła?

Podobno w 1998 roku kontemplował je przez czas dłuższy dwudziestotrzyletni kapral Cedric Tornay z Gwardii Szwajcarskiej, a następnie udał się do mieszkania swego dowódcy Aloisa Estermana i zastrzelił go wraz z jego wenezuelską żoną Gladys, po czym sam popełnił

samobójstwo. Reprodukcje fresku znaleziono też w pokoju hotelowym zajmowanym przez Ali Agcę, na krótko przed zamachem na papieża. Album z wydartą stroną poświęconą *Sądowi* znajdował się też w mieszkaniu, w którym Czerwone Brygady przetrzymywały Aldo Moro. A teraz ten chłopak... Sądząc po wyglądzie, był cudzoziemcem, Niemcem albo Polakiem. Nie miał żadnego bagażu, a może zostawił go w szatni. Lucia miała ochotę podejść i zapytać go, na co czeka, ale nie miała powodu.

Nie wiedziała naturalnie o kartce, którą chował w kieszonce koszuli. Była na niej grecka inskrypcja rozmieszczona na trzydziestu trzech polach. Młodzieniec znalazł ten obrazek poprzedniego dnia w swojej poczcie i wydrukował na domowej drukarce. Nie wiedział, kto ją przysłał. Szatan czy Gene Jacoby? Nie miał wprawdzie pojęcia, jak dotrzeć do zasobów Biblioteki Watykańskiej, ale wiedziony nagłym impulsem, kupił bilet lotniczy i przyleciał do Rzymu...

Ostatni goście wyszli z Sykstyny.

Trzeba coś zrobić, pomyślała Lucia, i oznajmiła głośno:

– Zamykamy!

Turysta ani drgnął, jakby był głuchy. W tym momencie ktoś stanął na progu kaplicy.

Strażniczka odwróciła się gwałtownie, gotowa udzielić ostrej reprimendy, ale rozpromieniła się na widok przybysza.

– *Monsignore*, jak mi miło...

Sekretarz papieża zignorował ją i podszedł do zatopionego w myślach młodzieńca.

– *Signore* Mirski?

– *Si*. – Robert wyglądał jak człowiek nagle zbudzony ze snu...

– Proszę za mną, Jego Świątobliwość czeka na pana.

– Ale przecież on... – Robertowi ze zdumienia zaschło w gardle. – ...nikt nie wie, że tu jestem, że chcę... Ja nawet nie próbowałem się skontaktować... – bełkotał nieporadną włoszczyzną.

– Ojciec Święty wie, że pan tu jest, i czeka na pana w swych prywatnych apartamentach.

Wyszli. Lucia dobrą chwilę nie mogła ochłonąć z wrażenia. Nigdy nie była świadkiem czegoś tak nieprawdopodobnego. Przed zgaszeniem świateł uniosła głowę i spojrzała jeszcze raz na *Sąd Ostateczny*. Zaszokowana zamarła i zamrugła gwałtownie. Wszystko wróciło do normy. A jednak mogłaby przysiąc, nawet na torturach, że przez sekundę widziała, jak główna postać fresku, Jezus Najwyższy Sędzia, na moment opuścił karzącą prawicę i obrócił

głowę w prawo, aby popatrzeć za odchodzącymi...

Maj 2006